

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 7-8/2020

PL ISSN 1233-0930 30 zł (VAT 8%)



Sztuka biografii Str. 56-71



Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich 2016-2020



1-3: Inauguracyjne posiedzenie
KRUP we Krakowie, 2016

4: Warszawa, UKSW, 2017

6-8: Jubileusz 30-lecia KRUP
na UŁ, 2019

5, 9: Uniwersytet Śląski
w Katowicach, 2017

10: Uniwersytet Warszawski, 2017

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Spotkanie w pół drogi – Marek Pałys	7
Uniwersytecki rekord – Mirosław Szreder	8
Na rzecz odpowiedzialnej działalności wydawniczej – Magdalena Bemke-Switlik	16
Kultura studencka – czym była, jak funkcjonowała – Lech Śliwonik	21
Kultura trudnej przyjemności – Ryszard Koziołek	22
Komórki macierzyste: możliwości, nadzieje i ograniczenia – Józef Dulak	23

ROZMOWA FORUM

Powinniśmy tę reformę przeprowadzić już dawno – z prof. Janem Szmidtem, rektorem PW, przewodniczącym KRASP, rozmawia Piotr Kieraciński	24
Przewartościowanie uniwersytetu – z prof. Zygmuntem Litwińczukiem, rektorem UPL, rozmawia Piotr Kieraciński	27

NOWY EKSPERYMENTALIZM

Robert Boyle i początki nauki laboratoryjnej – Radosław Kazibut	30
Antropologia infrastruktury nauki – Łukasz Afeltowicz	33
Ian Hacking i gra w naukę – Krzysztof Tarkowski	37
Między teorią a praktyką – Marek Sikora	40

FILIZOFICZNE JUBILEUSZE

Ingarden – Marek Lechniak	44
Filozofia literatury Romana Ingardena – Tomasz Klusek	47
Bocheński – Marek Lechniak	50
Należy czytać klasyków, nawet jeżeli się mylą – Agnieszka Lekka-Kowalik	53

SZTUKA BIOGRAFII

Biografie: ewolucja gatunku i jej skutki – Justyna Tabaszewska	56
Podróże w badaniach nad biografią – Maciej Nowak	59
„Czuły narrator” biografii w poszukiwaniu sensu życia – Anita Catek	63
Partytura ludzkich losów – z prof. Andrzejem Romanowskim, red. nac. PSB, rozmawia Aneta Zawadzka	67
Życiorysy rodzin (z tezą) – Magdalena Bajer	70
Biografie i badania biograficzne – Magda Karkowska	72
Opowiedzieć życie – z dr Martyną Pryszmont z UW rozmawia Aneta Zawadzka	75

ŻYCIE AKADEMICKIE

Dla bibliotek są prognozy złe – Jacek Wojciechowski	78
--	----

Pandemia i umiędzynarodowienie – Piotr Kieraciński	82
Edukacja dla przyszłości – Anna Sajdak-Burska	83
Studencka brać – Zbigniew Drozdowicz	86
Wirtualne pracownice – Krystyna Matuszewska	88
Każdy student to osobna historia – Dominik Wróbel	92
Artysta czy menedżer? – z dr. hab. Krzysztofem Polkowskim, rektorem ASP w Gdańsku, rozmawia Krystyna Matuszewska	95
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	102

Publikuj lub giń

W obiegu zamkniętym – Marek Misiak	100
---	-----

ŻYCIE NAUKOWE

Z laboratoriów Dlaczego potrzebujemy eutyryki? – Dorota Korwin-Piotrowska	103
--	-----

W STRONĘ HISTORII

Rody uczone (259) Bystroniowie – Magdalena Bajer	106
Kartki z dziejów nauki w Polsce (228) Życie poświęcone chorobom – Piotr Hübner	108

OKOLICE NAUKI

Nie ma nauki bez założeń – Piotr Bylica	112
--	-----

Książki

Matematyka, zarazki i życie	69
Książki nadesłane	94, 105
Zdolność do obserwacji	117
Droga donikąd	117
Niewiadomski remastered	118
Bez ozdoby zawitości	118
Problemy z obcością	119
Druga strona świata	119

FELIETONY

Psychologia na co dzień – Henryk Grabowski	81
---	----

Szkiełko w oku

Kilka uwag o błędzie – Piotr Müldner-Nieckowski	116
--	-----

Na marginesach nauki

K2-18b i inne podobne – Leszek Szaruga	120
---	-----

Projekt okładki – Sławomir Makal

FORUM AKADEMICKIE **Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich Rok XXVII Nr 7-8 (320-321) Lipiec-Sierpień 2020**

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka 2017-2020:** prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieraciński@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Joanna Kosmalka, Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Trzynasty Polak w EURASC

LIÈGE/WROCŁAW Prof. Marek Samoć został członkiem European Academy of Sciences (EURASC). To międzynarodowa, pozarządowa i nie-



Fot. OneffID

zależna organizacja non-profit, do której należą najwybitniejsi uczeni i inżynierowie prowadzący badania o wiodącym znaczeniu w zakresie rozwoju zaawansowanych technologii. Prof. Samoć kieruje Katedrą Inżynierii i Modelowania Materiałów Zaawansowanych Politechniki Wrocławskiej. Specjalizuje się w chemii fizycznej. Jego domeną są badania nad nowymi materiałami dla optoelektroniki i fotoniki, które mogą usprawnić przesyłanie i przetwarzanie informacji i sprawić, że ogniwa elektryczne trzeciej generacji będą tańsze, wydajniejsze i bardziej ekologiczne. W ub.r. był laureatem Francusko-Polskiej Nagrody Naukowej, przyznawanej przez przyznawanego przez Francuskie Towarzystwo Chemiczne.

W zarządzie ALLEA

BERLIN/WARSZAWA Prof. Paweł Rowiński, wiceprezes PAN, został ponownie wybrany do zarządu Europejskiej Federacji Akademii Nauk. Jego druga kadencja potrwa do 2022 roku. ALLEA zrzesza 61 akademii nauk z ponad 40 krajów. PAN jest jej członkiem założycielem. W 2000 roku dołączyła również Polska Akademia Umiejętności z Krakowa. Celem organizacji jest m.in. ułatwienie wymiany informacji między europejskimi akademiami, rozwijanie badań podkreślających rolę narodowych akademii w nauce



Fot. Arch. prywatne

oraz wypracowywanie propozycji dotyczących polityki naukowej dla rządów, UE, organizacji krajowych i międzynarodowych. Prof. Rowiński jest hydrologiem i hydrodynamikiem związanym z Instytutem Geofizyki PAN. Zajmuje się metodami statystycznymi w hydrologii, inteligentną analizą danych, turbulencją rzeczną oraz zmianami klimatu. Od 2006 roku kieruje Międzynarodową Szkołą Hydrauliki pod auspicjami International Association of Hydraulic Research IAHR oraz Komitetu Gospodarki Wodnej PAN.

Nowy dyrektor w Brukseli

BRUKSELA Dr Tomasz Poprawka objął stanowisko dyrektora Biura Promocji Nauki PolSCA PAN w Brukseli. Z jednostką tą związany jest od końca 2018 roku. Jest absolwentem Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu (biotechnologia). Jako ekspert w PolSCA zaangażowany był w monitorowanie polityki dotyczącej nauki, badań i innowacji na poziomie Unii Europejskiej. Obowiązki eksperta przejął po nim dr Justyna Kramarczyk. Brukselskie Biuro rozpoczęło działalność w marcu 2005 roku, początkowo jako część stacji zagranicznej PAN w Paryżu. Od 1 kwietnia 2006 ma status samodzielnej stacji, podobnie jak inne tego typu placówki



Fot. Basia Pawlik Photography

działające w Paryżu, Rzymie, Wiedniu, Berlinie i Kijowie. Jego działalność jest nadzorowana i finansowana przez PAN.

Zadba o prawa doktorantów

OLSZTYN Paweł Sobotko z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego został nowym, piątym, Rzecznikiem Praw Doktoranta. Jest uczestnikiem studiów doktoranckich i asystentem w Katedrze Prawa Administracyjnego i Nauk o Bezpieczeństwie na Wydziale Prawa i Administracji UWM. W latach 2016–2018 przewodniczył Komisji Prawnej Krajowej Reprezentacji Doktorantów. Z rekomendacji KR D zasiada w Komisji Dyscyplinarnej ds. nauczycieli akademickich przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Trzy lata temu został wyróżniony Brylantem KR D „za szczególne zasługi i osiągnięcia w działalności na rzecz doktorantów”. Zadaniem RPD jest stanąć na straży praw doktoranta, badanie sygnałów o podejrzeniu naruszenia praw doktorantów oraz podejmowanie interwencji w razie zaistnienia naruszeń. Działa przy KR D.



Fot. Arch. prywatne

W AZS bez zmian

WARSZAWA Prof. Alojzy Z. Nowak, rektor-elekt Uniwersytetu Warszawskiego, został ponownie wybrany na prezesa Akademickiego Związku Sportowego. Poparło go 147 delegatów, a tylko jeden był przeciw. Jest 25 prezesem tej organizacji. Stoi na jej czele od 2017 roku. Nie zmienili



Fot. Paweł Skrabka

się również wiceprezisi związku: za sprawy organizacyjne odpowiadać będzie Adam Roczek, za sportowe – Maciej Hartfil, za upowszechnianie kultury fizycznej – Tomasz Wróbel, za kontakty międzynarodowe – Marian Dymalski, za finanse – Jakub Kosowski, a wiceprezesem ds. rozwoju nadal będzie Mariusz Walczak. Do tego grona dołączyła nowa wiceprezes – Marta Dalecka, która zajmować się będzie sportem osób z niepełnosprawnościami. Podczas zjazdu AZS zdecydowano o zmianie długości kadencji zarządu – wydłużono ją z 2 do 4 lat. AZS liczy obecnie ok. 42 tys. członków. W Europejskich Igrzyskach Studenckich, Akademickich Mistrzostwach Europy i Świata zawodnicy spod znaku białego gryfa zdobyli już blisko tysiąc medali. Dołożyli do tego ponad 500 w letnich i zimowych Uniwersjadach.

Doktorat h.c. – prof. Piotr Gawliczek

OLSZTYN/KIJÓW Dr hab. Piotr Gawliczek, prof. UWM, pracownik badawczo-dydaktyczny filii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Elku otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Obrony Narodowej Ukrainy z Kijowa. Został uhonorowany za wkład wniesiony we wdrożenie w Siłach Zbrojnych Ukrainy kompleksowych rozwiązań e-learningowych, koordynowanych przez Centrum Kształcenia na Odległość kijowskiej



Fot. UWM

uczelnii. Prof. Gawliczek jest absolwentem Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, Akademii Dowodzenia Bundeswehry w Hamburgu, Europejskiego Kolegium Bezpieczeństwa i Obrony w Brukseli, Akademii Obrony NATO w Rzymie oraz Uniwersytetu Obrony Narodowej Chińskiej Republiki Ludowej w Pekinie. Zajmuje się zastosowaniem innowacyjnych rozwiązań i technologii informacyjno-komunikacyjnych w kształceniu, komunikacją strategiczną, a także świadomością wielokulturową (culture awareness). Jest twórcą i dyrektorem portalu natodeep.hq.nato.int – narzędzia implementacji kompleksowych rozwiązań sfery kształcenia na odległość w 15 krajach partnerskich Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Doktorat h.c. – prof. Bogusław Śliwerski

WARSZAWA Prof. Bogusław Śliwerski, kierownik Katedry Teorii Wychowania Uniwersytetu Łódzkiego, został doktorem honoris causa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Jest cenionym polskim pedagogiem oraz ekspertem polityki oświatowej. Jego zainteresowania koncentrują się na pedagogice ogólnej, teorii wychowania, współczesnych kierunkach pedagogiki, a także pedagogice wczesnoszkolnej, problemach kształcenia pedagogów oraz pedagogice porównawczej. Zajmuje się teoriami i nurtami współczesnych nauk o wychowaniu oraz teoriami, projektami i wdrożeniami w zakresie nowatorstwa pedagogicznego, pedagogiki i edukacji alternatywnej. Opublikował ponad 800 tekstów naukowych. Jest m.in. autorem monumentalnego podręcznika *Pedagogika*. Najwyższą godność akademicką otrzymał po raz piąty. Wcześniej nadały mu ją: Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy i Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II w Lublinie oraz Narodowa Akademia Nauk Pedagogicznych Ukrainy.



Fot. UNSW

Nowy Zarząd DFUM

WARSZAWA Lek. Carlo Bieńkowski, doktorant z Kliniki Chorób Zakaźnych Wieku Dziecięcego z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, absolwent Wydziału Lekarskiego WUM, został przewodniczącym Doktoranckiego Forum Uczelni Medycznych na kadencję 2020/2021. Nowe władze wybrano podczas zjazdu wyborczego, który w związku z pandemią koronawirusa odbył się wyjątkowo w formacie online. Do Zarządu weszły ponadto: mgr Katarzyna Wychodnik z Zakładu Toksykologii Środowiska Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego (I wiceprzewodnicząca) oraz lek. Agata Salabura z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego (II wiceprzewodnicząca). DFUM zrzesza reprezentantów samorządów doktorantów 11 uczelni należących do Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych oraz V Wydziału Polskiej Akademii Nauk.



Fot. RFD

Doradzą w sprawie koronawirusa

WARSZAWA Monitoring przebiegu epidemii w Polsce, analiza możliwych scenariuszy i opracowywanie rekomendacji – to najważniejsze zadania interdyscyplinarnego zespołu doradczego ds. COVID-19 powołanego przy Prezesie Polskiej Akademii Nauk. Na czele 8-osobowego gremium stanął prof. Jerzy Duszyński, prezes PAN. Jego zastępcą został prof. Krzysztof Pyrc, kierownik Pracowni Wirusologii Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ponadto w zespole znaleźli się: dr Aneta Afelt (Uniwersytet Warszawski), prof. Radosław Owczuk i dr hab. Tomasz Smiatacz (obaj Gdański Uniwersytet Medyczny), dr hab. Anna Ochab-Marcinek (Instytut Chemii Fizycznej PAN), dr hab. Magdalena Rosińska (Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Pań-

stwowy Zakład Higieny), prof. Andrzej Rychard (dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN). Członkowie nawiążą też współpracę z podobnymi grupami w innych krajach, by wymieniać się z nimi doświadczeniami na polu walki z koronawirusem.

Nowy-stary prezes CFA Poland

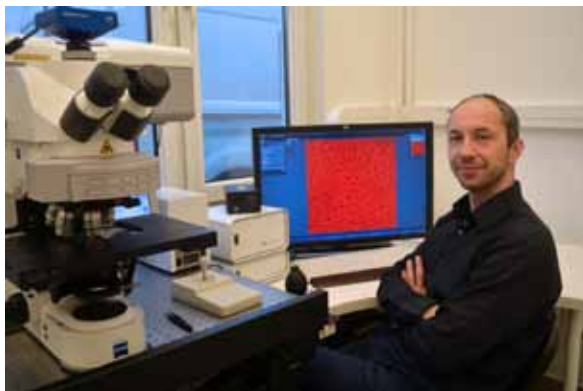
WROCŁAW Prof. Krzysztof Jajuga z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu został ponownie wybrany na prezesa Chartered Financial Analyst Society Poland. Powstało ono w 2004 roku i jest jednym ze 150 lokalnych stowarzyszeń międzynarodowego CFA Institute. Zrzesza 670 członków. Organizacja obecna jest w 70 krajach i skupia ponad 170 tys. przedstawicieli branży finansowej, głównie posiadaczy certyfikatu Chartered Financial Analyst. Jest to najbardziej prestiżowy certyfikat w zakresie finansów. Otwiera drzwi do kariery dla analityków finansowych, zarządzających portfelem inwestycyjnym, dyrektorów finansowych, doradców finansowych, konsultantów, audytorów, bankowców. Prof. Jajuga jest jednym z założycieli Polish Association of Investment Professionals (obecnie CFA Society Poland). Kieruje Katedrą Inwestycji Finansowych i Zarządzania Ryzykiem UEWr.



Fot. Arch. prywatne

Laur za badania w nanoskali

POZNAŃ Laureatem tegorocznej Nagrody Naukowej Miasta Poznania został dr hab. inż. Łukasz Piątkowski z Wydziału Inżynierii Materiałowej i Fizyki Technicznej Politechniki Poznańskiej. Doceniono go za badania



Fot. PP

właściwości strukturalnych i dynamicznych cząsteczek w nanoskali. Jednym z jego osiągnięć jest innowacyjna metoda badawcza, polegająca na wykorzystaniu zjawiska emisji wymuszonej do obrazowania oraz badania procesów fizykochemicznych zachodzących w pojedynczych nanobiektach. Wraz z uczonymi z Instytutu Nauk Fotonicznych w Barcelonie wykorzystał kombinację impulsów laserowych, które zmuszają obiekt do świecenia, a co za tym idzie sprawiają, że staje się on widoczny. Użyte wyniki mają ogromne znaczenie dla nanotechnologii, fotoniki oraz fotowoltaiki. W nagrodę otrzymał 60 tys. zł. Wręczono także 12 stypendiów dla młodych badaczy.

Nagroda dla młodego astronoma

PARYŻ/WARSZAWA Dr Przemysław Mróz z Uniwersytetu Warszawskiego znalazł się wśród dziesięciorga laureatów nagród Międzynarodowej Unii Astronomicznej za najwybitniejsze prace doktorskie w dziedzinie astronomii obronione w 2019 roku. Jest pierwszym polskim naukowcem, który otrzymał The IAU PhD Prize. Nagrodzono go za pracę *Astrophysical applications of gravitational microlensing in the Milky Way*, napisaną pod kierunkiem prof. Andrzeja Udalskiego i obronioną w Obserwatorium Astronomicznym UW. Pokazała w niej, że planety swobodne o masach zbliżonych do masy Jowisza występują znacznie rzadziej niż



Fot. Magdalena Wiśniewska-Krasnińska

wcześniej szacowano. Po raz pierwszy odkrył kilka zjawisk mikrosoczewkowania grawitacyjnego wywołanych prawdopodobnie przez planety swobodne o masach zbliżonych do masy Ziemi, których istnienie było przewidywane przez teorie formowania się układów planetarnych. Badania opierały się na wieloletnich obserwacjach prowadzonych w ramach przeglądu nieba OGLE (Optical Gravitational Lensing Experiment).

Pod jednym szyldem

WARSZAWA Należące do Sieci Badawczej Łukasiewicz instytuty: Farmaceutyczny oraz Biotechnologii i Antybiotyków zostały 1 czerwca włączone do Instytutu Chemii Przemysłowej im. prof. Ignacego Mościckiego. To już czwarta, i do tej pory największa, konsolidacja przeprowadzona w ramach działań ukierunkowanych na wzbogacenie oferty dla polskiego biznesu. W jej efekcie Łukasiewicz-ICHP będzie zatrudniał blisko 400 pracowników, z czego 200 w obszarze badawczym. Placówka zajmować się będzie, jak dotąd, technologią i przetwórstwem polimerów, syntezą i technologią chemiczną oraz chemią kosmetyczną i elektrochemią, a także nowymi zadaniami: technologią wytwarzania generycznych produktów leczniczych o kluczowym znaczeniu terapeutycznym i społecznym, a także produkcją substancji aktywnych, w tym biofarmaceutyków i szczepionek nowej generacji. Obecnie w skład Sieci Badawczej Łukasiewicz wchodzi 33 instytuty badawcze.

Nagroda im. Czochralskiego

WARSZAWA Prof. Keshra Sangwal (na fot.), emerytowany pracownik Katedry Fizyki Stosowanej na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lubelskiej, został uhonorowany Nagrodą im. prof. Jana Czochralskiego (20 tys. zł) za całokształt dorobku naukowego. Laureat specjalizuje się w kryształizacji monokryształów. Za najlepszą pracę dyplomową nagrodę (5 tys. zł) otrzymał mgr inż. Kamil Szlachetko z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, a za pracę doktorską doceniono dr Martę Sobańską z Instytutu Fizyki PAN (7 tys. zł). Celem konkursu,



Fot. PI

odbywającego się już po raz czwarty pod patronatem rektora Politechniki Warszawskiej, jest popularyzacja osiągnięć wybitnego polskiego chemika, metaloznawcy, wynalazcy powszechnie stosowanej do dziś metody otrzymywania nanokryształów krzemu, będącej podstawą procesu produkcji układów scalonych.

Strączkowe pod lupą

POZNAŃ/RADZIKÓW Nad identyfikacją zasobów genetycznych ciecierzycy, fasoli zwyczajnej, soczewicy i łubinu będą pracowali uczestnicy międzynarodowego projektu INCREASE. Wśród 28 partnerów z 14 krajów są również: Instytut Genetyki Roślin PAN oraz Instytut Hodowli i Aklimatyzacji Roślin – PIB. Projekt łączy innowacyjne podejścia badawcze w dziedzinie genetyki i genomiki roślin, wysokoprzepustowe metody fenotypowania, w tym fenotypowania molekularnego, z najnowszymi

osiągnięciami w zakresie technologii informatycznych i sztucznej inteligencji. Celem jest opracowanie ulepszonego systemu ochrony i zarządzania zasobami genetycznymi gatunków strączkowych, który pozwoli na zwiększenie bioróżnorodności w europejskim rolnictwie. Liderem konsorcjum jest Università Politecnica delle Marche we włoskiej Ankonie. Badania potrwać 5 lat. Projekt otrzymał dofinansowanie w wysokości 7 mln euro z programu Horyzont 2020.

Inteligentne nawadnianie

BYDGOSZCZ Zlokalizowany w Minikowie Rolniczy Zakład Doświadczalny Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich został wyposażony w innowacyjny system nawadniający – deszczownicę mostową IrtechHippodrom o rozpiętości 212 metrów. Nowy nabytek będzie wykorzystywany m.in. do prowadzenia badań oraz nawadniania pól uprawnych uczelni. To jedna z pierwszych w Polsce deszczownic



Fot. UTP

czowni nowej generacji. Może pracować zarówno jako maszyna centryczna, jak i liniowa, dzięki czemu nawadnia dużo większy obszar, pracując w cyklu niemal w pełni automatycznym. Posiada 4 mosty z wysięgnikiem o łącznej długości 212 metrów. Obszar jej działania to ok. 66 hektarów. Posiada 54 elektrozawory z regulatorami ciśnienia i zraszaczami Komet KPT. Autorski system niezależnego sterowania nimi w połączeniu z GPS-em o wysokiej dokładności umożliwia precyzyjne dobranie dawki dla każdego z poletek doświadczalnych i omijanie trawników, celem oszczędzania wody.

Dzieła w sieci

TORUŃ Udostępnienie w wersji cyfrowej 15 tys. dzieł literackich wydanych w XX i XXI w. jest głównym celem projektu „eBooks-On-Demand-Network Opening Publications for European Netizens”, w którym – jako jedyna polska instytucja – uczestniczy Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu. W przedsięwzięciu bierze udział 14 szkół wyższych i instytucji kultury z 11 państw. Efektem współpracy będzie powstanie międzynarodowego portalu, na którym znajdą się publikacje dotąd niedostępne cyfrowo. Ich wyboru dokonają nie tylko bibliotekarze, ale również sami czytelnicy, przysyłając na adres: skany-bu@umk.pl swoje propozycje. Po sprawdzeniu, czy dany tytuł nie został już ucyfrowiony, podjęte zostaną starania o ustalenie lub też, w zależności od stanu prawnego dzieła, uzyskanie praw do upowszechnienia.

Zmieniają świat

WROCŁAW Międzynarodowy projekt DISIRE, współtworzony przez naukowców z Politechniki Wrocławskiej, został wpisany na listę 1000 nowoczesnych technologii zmieniających świat. Tytuł przyznaje organizacja Solar Impulse Foundation, nagradzając wydajne i opłacalne rozwiązania, które mają pozytywny wpływ na środowisko i jakość życia. Trzyletni projekt DISIRE, którego budżet wynosił 6 mln euro, połączył 15 ośrodków naukowych i firm ze Szwecji, Hiszpanii, Włoch, Niemiec, Polski i Izraela. Wypracowały one rozwiązania optymalizujące procesy technologiczne m.in. w górnictwie, przemyśle chemicznym i stalowym. Naukowcy z Wydziału Geoinżynierii, Górnictwa i Geologii PWR badali możliwości aplikacyjne technologii „inteligentnej” strugi urobku. Zastosowali inteligentne czujniki – znaczniki RFID, w których zapisywali informacje na temat parametrów jakościowych i ilościowych wydobywanej



Foto: DISIRE

rudy, a następnie umieszczali je w strudze tego surowca. Kopalina trafiła razem z sensorami do zakładu wzbogacania rud, ale wcześniej odpowiednie urządzenia pomiarowe mogły odczytać informacje o jej składzie.

ALK w czołówce

WARSZAWA Akademia Leona Koźmińskiego – jako jedyna uczelnia z Europy Środkowo-Wschodniej – znalazła się w ścisłej czołówce przygotowywanego przez dziennik „Financial Times” rankingu najlepszych na świecie kierunków studiów magisterskich w dziedzinie finansów. Samodzielnie zajęła w tym zestawieniu 20. miejsce, ale jeszcze lepiej wypadła wspólnie ze swoim francuskim partnerem strategicznym – ESCP Business School, wskakując na podium. Ustąpiła jedynie HEC Paris, od lat utrzymującej fotel lidera. Trzecie miejsce przypadło także francuskiej SKEMA Business School, z którą ALK ma umowę o podwójnym dyplomie z finansów. Program Master in Finance & Accounting w Koźmińskim daje możliwość korzystania z profesjonalnego laboratorium Bloomberg z dostępem do bieżących analiz finansowych i do informacji w czasie rzeczywistym. Studenci mogą również zdobywać międzynarodowe certyfikaty i kwalifikacje zawodowe, m.in. CFA Institute, ACCA, CAIA Association czy GARP. W ALK kształcą się już 1,5 tys. obcokrajowców z 70 krajów.

Szybko prototypują

KOSZALIN Na Wydziale Mechanicznym Politechniki Koszalińskiej powstało Centrum Szybkiego Prototypowania. Będzie wykorzystywane do badań nad rozwojem technologii przyrostowych. To nowatorska metoda wytwarzania części maszyn. W odróżnieniu od frezowania,



Foto: PK

odlewania czy skrawania, pozwala nadawać elementom dowolny kształt i nie niesie ze sobą strat materiału. Sam proces produkcji też jest krótszy. Centrum wyposażono w skaner laserowy, który umożliwi bardzo dokładne i szybkie digitalizowanie obiektów i zamianę ich na model cyfrowy. Zakupiono także unikalną aparaturę pozwalającą w warunkach laboratoryjnych zamienić metal (np. w postaci drutu) w proszek, z którego potem można przygotować gotowy wyrób. Jest też maszyna wytrzymałościowa, która zbada odporność wyrobu na ściskanie, rozciąganie czy zginanie, a także na procesy związane ze zużyciem zmęczeniowym. Inwestycja pochłonęła ponad 3,5 mln zł, z czego blisko 2,2 mln zł pozyskano z RPO woj. zachodniopomorskiego, a prawie 300 tys. zł dołożyło MNiSW.

Granty Polpharmy

WARSZAWA Ponad 1,6 mln zł dostaną w sumie na prowadzone przez siebie badania laureaci grantów Naukowej Fundacji Polpharmy. Tematem tegorocznego konkursu było „Poszukiwanie punktów uchwytu dla terapii celowanej z wykorzystaniem układu immunologicznego oraz poszukiwanie mechanizmów oporności na stosowane obecnie metody immunoterapii”. Z 16 zgłoszeń do finansowania wybrano trzy. Ich autorami są: prof. Piotr Dzięgiel z Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we



Foto: UG

Wrocławiu (zbada, czy limfocyty Tc, specyficzne względem białka SATB1, mogą być zastosowane w terapii ludzkiego raka piersi), dr Małgorzata Opydo-Chanek z Uniwersytetu Jagiellońskiego (poszuka nowej strategii uwrażliwienia komórek ostrej białaczki szpikowej na przeciwciała monoklonalne) oraz dr hab. Sylwia Rodziewicz-Motowidło, prof. Uniwersytetu Gdańskiego (na fot., zajmie się immunomodulatorami peptydowymi w roli inhibitorów punktów kontrolnych PD-1/PD-L1 następnej generacji). W dotychczasowych osiemnastu edycjach konkursu wpłynęło 677 wniosków, a granty o łącznej kwocie blisko 23 mln zł otrzymało 75 zespołów. Realizacja 61 z tych projektów została już zakończona.

Będą stażować za granicą

WARSZAWA Ponad 60 młodych naukowców wyjedzie na staże do najlepszych zagranicznych ośrodków naukowych dzięki stypendiom Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. W drugim naborze do Programu im. prof. Wilhelminy Iwanowskiej złożono 228 wniosków. W gronie laureatów znalazło się 41 kobiet i 25 mężczyzn. Największą grupę stanowią badacze nauk przyrodniczych (28), następnie inżynierijnych i technicznych (23) oraz medycznych (7). Otrzymają środki na pokrycie kosztów pobytu za granicą (od 3 do 12 miesięcy), m.in. w Stanach Zjednoczonych (18), Włoszech (8), Niemczech (7), Szwajcarii (4), Wielkiej Brytanii (4), Danii (3) i Francji (3). Celem programu jest zwiększenie mobilności międzynarodowej doktorantów polskich uczelni przez umożliwienie im prowadzenia badań naukowych lub zajęć dydaktycznych w najlepszych zagranicznych ośrodkach na całym świecie. W pierwszej edycji NAWA sfinansowała naukowe pobyty 69 doktorantom.



Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Ewa Barlik, Andrzej Charytoniuk, Katarzyna Dominiak, Michał Grzybowski, Izabela Koptoń-Ryńiec, Anna Korzekwa-Józefowicz, Agnieszka Kowalska, Joanna Niedziałek, Jolanta Nowacka, Joanna Puškar, Lucyna Róg, Jolanta Szajbe, Wioletta Ustyańczyk

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Wyborczy maraton na finiszu

Czerwiec był najobfitszym miesiącem tegorocznego kalendarza wyborczego. Poznaliśmy kolejnych 45 rektorów uczelni publicznych na kadencję 2020–2024.

Na następcę prof. Marcina Pałysa w Uniwersytecie Warszawskim wybrano prof. Alojzego Z. Nowaka, który z trójki kandydatów otrzymał 208 spośród 375 oddanych głosów. Będzie 45. rektorem UW. W latach 2012–2016 był prorektorem ds. badań naukowych i współpracy. Pełnił także funkcję dyrektora Centrum Europejskiego UW. Specjalizuje się w zakresie międzynarodowych stosunków gospodarczych, bankowości, zarządzania ryzykiem na rynkach finansowych oraz na rynku kapitałowym. Od 2016 r. (wcześniej także w latach 2006–2012) jest dziekanem Wydziału Zarządzania UW, który za jego kadencji – jako jeden z dwóch w Polsce i jeden z kilku w Europie – uzyskał akredytacje AMBA i EQUIS, dwie z trzech najważniejszych przyznawanych uczelniom biznesowym.

Historyczna chwila na Politechnice Białostockiej. Po raz pierwszy w 70-letniej historii uczelni na jej czele stanie kobieta. Było to wiadomo jeszcze przed głosowaniem, ponieważ startowały dwie kandydatki, co jest sytuacją bez precedensu w polskich uczelniach technicznych. Zwyciężyła prof. Marta Kosior-Kazberuk, obecna prorektor ds. współpracy międzynarodowej. Z PB związana jest od czasu studiów (kierunek budownictwo, specjalność konstrukcje budowlane i inżynierskie). Jej zainteresowania badawcze dotyczą efektywności ochrony materiałowo-strukturalnej materiałów kapilarno-porowatych, wpływu aktywnych dodatków mineralnych na właściwości betonu oraz zastosowania zbrojenia kompozytowego w konstrukcjach z betonu o podwyższonej trwałości.

Panią rektor będzie też mieć Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W rywalizacji prorektorów prof. Bogumiła Kaniewska, zajmująca się sprawami studenckimi, pokonała różnicą 56 głosów prof. Ryszarda Naskręckiego, kierującego Szkołą Doktorską UAM. Jest literaturoznawczynią, polonistką, tłumaczką. Bada literaturę XX wieku, interesuje się teorią przekładu, a ostatnio także literaturą dla dzieci. W latach 2012–2016 była dziekanem Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej, który za jej kadencji otrzymał kategorię A+. Nadzorowała – w ramach udziału w konsorcjum EPICUR – przygotowanie wniosku, który zaowocował przyznaniem UAM statusu Uniwersytetu Europejskiego.

Bój o fotel rektora Politechniki Warszawskiej wygrał prof. Krzysztof Zaremba, dziekan Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych, który stosunkiem głosów 71:44 pokonał prof. Władysława Wiczorka, dziekana Wydziału Chemicznego PW. Jego zainteresowania badawcze dotyczą elektroniki jądrowej, głównie konstrukcji detektorów promieniowania i systemów pomiarowych stosowanych w radiacji. Jest zatrudniony w Instytucie Radio-

elektroniki i Technik Multimedialnych. Był członkiem zespołu przygotowującego wniosek o przyznanie Politechnice Warszawskiej statusu uczelni badawczej.

W trzech przypadkach do wyłonienia zwycięzcy potrzebne były dwie tury, w wyniku których prof. Stanisław Głuszek został rektorem Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, prof. Jarosław Bosy stanie na czele Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, a prof. Andrzej Bednarczyk pokieruje Akademią Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie.

Po raz pierwszy gronostaje rektorskie założą także profesorowie: Hanna Kostrzewska (Akademia Muzyczna w Poznaniu), ks. Ryszard Czekalski (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego), Marek Adamski (Uniwersytet Technologiczno-Przyrodniczy w Bydgoszczy), Ryszard Minkiewicz (Akademia Muzyczna w Gdańsku), Krzysztof Szoszkiewicz (Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu), Wojciech Strzyżewski (Uniwersytet Zielonogórski), Błażej Ostojka Lniski (Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie), ks. Mirosław Kalinowski (Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II w Lublinie), Piotr Borek (Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie), Wojciech Załuska (Uniwersytet Medyczny w Lublinie), Bartosz Moilk (Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie), Arkadiusz Wójs (Politechnika Wrocławska), Wojciech Pukocz (Akademia Sztuk Pięknych we Wrocławiu), Radosław Dobrowolski (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie), Michał Jerzy Zasada (Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie) i Celina Olszak (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach), a także dr hab. Mirosław Minkina, prof. UPH (Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach), dr hab. Grzegorz Hańderek, prof. ASP (Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach), dr hab. inż. Sylwester Tabor, prof. UR (Uniwersytet Rolniczy im. Hugona Kołłątaja w Krakowie), dr hab. Jerzy Przyborowski, prof. UWM (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie), dr hab. Małgorzata Jarmołowicz (Akademia Sztuki w Szczecinie), dr hab. inż. Jacek Nowakowski, prof. ATH (Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku Białej), dr hab. Stanisław Mazur, prof. UEK (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie), dr hab. Artur Zimny, prof. PWSZ (PWSZ w Koninie), dr hab. Zbigniew Barabasz (Karpacka Państwowa Uczelnia w Krośnie), dr n. med. Wioletta Palczewska (Karkonoska Państwowa Szkoła Wyższa w Jeleniej Górze), dr inż. Mateusz Kaczmarski (Uczelnia Państwowa im. Jana Grodka w Sanoku), dr Janusz Poła (PWSZ w Lesznie), dr inż. Grzegorz Koc (PUZ w Cichanowie).

W PWSZ w Tarnowie w ciągu kilku dni odbyły się wybory uzupełniające na dokończenie tej i na następną, już pełną, kadencję. W obu zwyciężyła dr hab. Małgorzata Kołpa, prof. PWSZ.

W Państwowej Szkole Wyższej im. Papieża Jana Pawła II w Białej Podlaskiej wygrał prof. Jerzy Nitychoruk, urzędujący już od czerwca ub.r. (po śmierci prof. Józefa Bergiera).



For. Adrian Wykrota

Na najwyższe stanowisko w Uniwersytecie Szczecińskim wraca z kolei prof. Waldemar Tarczyński, który już zarządzał uczelnią w latach 2005–2012.

O reelekcję z powodzeniem ubiegali się profesorowie: Anna Wypych-Gawrońska (Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie), Klaudiusz Baran (Uniwersytet

Muzyczny Fryderyka Chopina), Robert Ciborowski (Uniwersytet w Białymostku), Wojciech Malajkat (Akademia Teatralna im. A. Zelwerowicza w Warszawie), dr hab. inż. Mariusz Cygnar, prof. PWSZ (PWSZ w Nowym Sączu), dr hab. n. med. Andrzej Wojtyła, prof. PWSZ (PWSZ w Kaliszu), dr Katarzyna Rusak (PWSZ w Głogowie).

MK

Spotkanie w pół drogi

Prof. Marcin Pałys, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawia rezultaty najnowszych zmian w strukturze uczelni i prezentuje najważniejsze jej założenia.

Gdy w czerwcu ubiegłego roku uchwalaliśmy nowy statut Uniwersytetu, podkreślałem, że dokument powinien dawać nam większą elastyczność i ułatwiać np. zmiany w strukturze uniwersytetu. Zgodnie z przyjętym dokumentem, łączenie, dzielenie czy przekształcanie jednostek uniwersyteckich może się odbywać z inicjatywą oddolnej.

Nowe wydziały na UW

Wkrótce po uchwaleniu statutu, wpłynęły do mnie dwa wnioski o wydzielenie instytutów z wydziałów. Jeden z nich został przygotowany przez grupę naukowców z Instytutu Historii z Wydziału Historycznego. Drugi zgłosili przedstawiciele Instytutu Filozofii z Wydziału Filozofii i Socjologii. Później pojawił się podobny wniosek także z Instytutu Archeologii, który wraz z instytutami: Etnologii i Antropologii Kulturowej, Historii, Historii Sztuki i Muzykologii funkcjonuje w ramach Wydziału Historycznego.

Powołałem komisję, która przedyskutowała te pomysły i doszła do wniosku, że utworzenie Wydziału Filozofii to rozsądna propozycja. W ten sposób naturalne stało się też powołanie Wydziału Socjologii. Podobnie komisja zarekomendowała utworzenie w miejsce dotychczasowego Wydziału Historycznego trzech jednostek: Wydziału Historii, Wydziału Archeologii oraz Wydziału Nauk o Kulturze i Sztuce.

W kwietniu tego roku zmiany pozytywnie zaopiniował senat i od września dwa dotychczasowe wydziały zostaną zastąpione pięcioma nowymi. Oznacza to, że na UW będą odtąd funkcjonowały 24 wydziały zamiast obecnych 21.

Pracownicy wydziałów, opowiadający się za zmianami strukturalnymi, zwracali uwagę głównie na wielodyscyplinarny lub – w przypadku WFIS – wielod dziedzinowy charakter wydziałów, co ich zdaniem miało nie sprzyjać rozwojowi poszczególnych dyscyplin.

Wysunięto też argument organizacyjny. W wyniku dyskusji o statucie, senatorowie UW postanowili, że w kolejnych latach w tym gremium nie będą zasiadali przedstawiciele dyscyplin, lecz jednostek uniwersyteckich. W przypadku wydziałów prowadzących kilka dyscyplin oznaczałoby to, że tylko jedna z nich reprezentowałaby całą jednostkę. Problem ten był szczególnie podkreślany na Wydziale Historycznym.

Duże zróżnicowanie

Struktura uniwersytetu nie pokrywa się z podziałem na dyscypliny. Mamy wydziały jedno- i wielodyscyplinarne. Kształcenie i badania w nowych jednostkach – z wyjątkiem Wydziału Nauk o Kulturze i Sztuce – dotyczyć będzie pojedynczej dyscypliny.

Niektóre dyscypliny prowadzone są na kilku wydziałach UW. Na przykład literaturoznawstwo i językoznawstwo reprezentowane są na wydziałach: Lingwistyki Stosowanej, Neofilologii, Polonistyki i Orientalistycznym. Więcej niż jedna dyscyplina prowadzona jest też w innych jednostkach. Na Wydziale Fizyki mamy i fizykę, i astronomię; na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki – matematykę i informatykę. Takich przykładów jest więcej. Uważam, że dostosowanie struktury uczelni do dyscyplin może mieć negatywny wpływ na rozwój badań i kształcenia interdyscyplinarnego, które jest dziś szczególnie cenne.

Uniwersytet Warszawski jest wewnątrznie bardzo zróżnicowany także pod względem wielkości poszczególnych wydziałów. Obecny Wydział Nauk Historycznych jest jednym z największych. Nowy Wydział Historii nadal będzie liczny – będzie skupiał ponad 80 nauczycieli akademickich, a Wydział Archeologii – nawet ponad 100. Wydział Nauk o Kulturze i Sztuce będzie należał do tych mniejszych.

Współpraca jako fundament struktury

Jestem zwolennikiem takiej struktury uniwersytetu, która nie zamyka badaczy i studentów w izolowanych dyscyplinach czy wydziałach. Jednym z priorytetów powinno być elastyczne podejście zarówno do prowadzenia badań, jak i kształcenia; umożliwienie zindywidualizowania ścieżek i programów nauczania, a także realizacji badań między- oraz interdyscyplinarnych.

Uważam za konieczne podejmowanie współpracy przez poszczególne jednostki i uwzględnienie znaczenia ich wzajemnych oddziaływań. Może się to odbywać w obrębie wydziałów, szkół czy platform do realizacji przedsięwzięć dydaktycznych i badawczych. Niezależnie od sposobu realizacji tego celu ważne jest, by uniwersytet nie czuł się federacją wydziałów, patrzących w przyszłość przez pryzmat swojej jednostki. Struktura uczelni powinna skłaniać do myślenia o wspólnych celach i dążeniach.

Kampania wyborcza pokazała, że jest wiele różnych poglądów na strukturę uczelni. Nasz statut stanowi wynik dyskusji z udziałem wszystkich członków społeczności Uniwersytetu Warszawskiego. Doprowadziło to do pewnego kompromisu: zwolennicy uelastycznienia struktury uczelni spotkali się mniej więcej w połowie drogi z tymi, którym zależało na zachowaniu jej dotychczasowego schematu organizacyjnego.

Notował Piotr Kieraciński



Uniwersytecki rekord

Subwencja i jej wykorzystanie w 2019 roku

Rok 2019 był pierwszym, w którym przyznawane wcześniej dotacje MNiSW (dotacja na zadania związane z kształceniem studentów studiów stacjonarnych, uczestników stacjonarnych studiów doktoranckich i kadr naukowych oraz utrzymaniem uczelni, oraz odrębna dotacja na finansowanie działalności statutowej – utrzymanie potencjału badawczego) zostały zastąpione przez subwencję łączącą środki finansowe na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz potencjału badawczego. Zamiast dwóch odrębnych algorytmów określających wysokość środków na kształcenie oraz na badania naukowe, ministerstwo zdecydowało o wykorzystaniu w 2019 r. jednego, nowego algorytmu, który uwzględni najważniejsze elementy obu wcześniejszych. Konstrukcja tego algorytmu została zamieszczona w *Rozporządzeniu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 13 grudnia 2018 r. w sprawie sposobu podziału środków finansowych na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz potencjału badawczego znajdujących się w dyspozycji ministra właściwego do spraw szkolnictwa wyższego i nauki oraz na zadania związane z utrzymaniem powietrznych statków szkolnych i specjalistycznych ośrodków szkoleniowych kadr powietrznych* (Dz.U. Poz. 2508).

To, w jaki sposób przyznane danej uczelni środki finansowe zostały podzielone na część zasilającą finansowanie działalności dydaktycznej oraz rozwój potencjału badawczego, zależało od decyzji jej rektora. W jego gestii leżało także określenie zasad rozdysponowania tych środków pomiędzy jednostki uczelni i zespoły badawcze.

Niżej scharakteryzowano główne wnioski z analizy wykorzystania subwencji przez 19 klasycznych uniwersytetów w Polsce. Analizy ekonomicznej podejmuje się corocznie Uniwersytecka Komisja Finansowa, działająca przy Konferencji Rektorów Uniwersytetów Publicznych (KRUP). W skrócie podano także główne prawidłowości, odnoszące się do kosztów i wyników finansowych tej grupy uczelni.

Warto przypomnieć, że dwie najważniejsze sfery działalności uczelni – dydaktyczna i badawcza – są, oprócz dotacji ministerialnej, finansowane także z innych źródeł. Pierwsza ze środków pozyskiwanych przez uczelnię z odpłatnych form kształcenia (m.in. studia niestacjonarne, podyplomowe oraz prowadzone w językach obcych), a druga z grantów badawczych – przede wszystkim NCN, NCBR, oraz z funduszy otrzymanych na finansowanie współpracy naukowej z zagranicą. Biorąc pod uwagę cele reformy szkolnictwa wyższego, w szczególności dążenie do podwyższenia jakości i rangi badań naukowych, warto najpierw przeanalizować, jakimi środkami na działalność badawczą dysponowały uniwersytety, niezależnie od środków wydzielonych z subwencji. W drugiej kolejności przedstawiona będzie syntetyczna ocena wielkości środków przeznaczonych na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego.

Pieniądze na badania

Przeciętna wielkość środków pozyskanych przez uniwersytet na finansowanie projektów badawczych i badawczo-rozwojowych wynosiła:

- z Narodowego Centrum Nauki – **22 908 tys. zł;**
- z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju – **3 285 tys. zł;**
- środki na finansowanie współpracy naukowej z zagranicą – **12 686 tys. zł** (w tym przeciętnie 10 612 tys. zł stanowiły zagraniczne środki finansowe niepodlegające zwrotowi).

Uwagę zwraca bardzo duże zróżnicowanie wielkości kwot z wymienionych wyżej źródeł wśród analizowanych uczelni. Jedynie dwie spośród dziewiętnastu uczelni zdobyły środki w wysoko-

ści ponad 100 mln zł każda: Uniwersytet Jagielloński – 215 915 tys. zł, Uniwersytet Warszawski – 185 775 tys. zł. Suma tych środków w dwóch czołowych uniwersytetach była wyższa od tego, co łącznie otrzymało pozostałych 17 uniwersytetów.

Po kilkadziesiąt milionów złotych zdołało pozyskać sześć uniwersytetów: UAM w Poznaniu – 64 970 tys. zł, Uniwersytet Wrocławski – 49 701 tys. zł, Uniwersytet Gdański – 45 939 tys. zł, UMK w Toruniu – 33 438 tys. zł, Uniwersytet Łódzki – 25 750 tys. zł, UKSW w Warszawie – 21 429 tys. zł.

Kolejnych 11 uniwersytetów dysponowało kwotami kilku lub kilkunastu milionów złotych, przy czym w gronie tym były dwie uczelnie, w których środki te były szczególnie małe, bo wynosiły jedynie po ok. 2 mln zł.

W stosunku do roku 2018 wielkość funduszy na prowadzenie projektów badawczych z wymienionych wyżej trzech źródeł była w 2019 r. wyższa o blisko 25%, przy czym najmniej wzrosła wartość środków z NCN, bo zaledwie o 0,5%.

Dodatkowo każda z uczelni wyodrębniła z otrzymanej subwencji część środków na rozwój potencjału badawczego, czyli na realizację badań naukowych, w tym na badania prowadzone przez młodych naukowców. Przeciętnie na te cele uniwersytety przeznaczyły 21% subwencji, co w wartościach absolutnych daje kwotę 67 461,3 tys. zł. Oznacza to, że nadal podstawowym źródłem finansowania badań naukowych w największych polskich uniwersytetach pozostają środki ministerialne, a nie granty badawcze. Łączne środki pozyskane z NCN i NCBR nie stanowiły nawet połowy kwot, które uczelnie przeznaczyły na badania z otrzymanej w 2019 r. subwencji.

Środki na dydaktykę

W podziale subwencji z 2019 roku uniwersytety przeznaczyły średnio prawie 80% jej wartości na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego. Jest to odpowiednik dawnej dotacji na kształcenie studentów i doktorantów studiów stacjonarnych oraz na utrzymanie uczelni. Tylko dwa uniwersytety, KUL oraz UKSW, wykorzystwały na ten cel mniej niż połowę całości dotacji. Z drugiej strony, aż osiem uczelni (spośród dziewiętnastu) przeznaczyło na potencjał dydaktyczny ponad 90% dotacji; najwięcej (99%) Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy.

Liczba studentów studiów stacjonarnych zmniejszyła się w 2019 roku o ok. 3,2 tys. osób, co w liczbach względnych oznacza spadek w stosunku do roku poprzedniego o 1,1%. Od roku 2014 liczba studentów studiów stacjonarnych zmniejszyła się w badanej grupie uniwersytetów o 15%.

W ubiegłym roku każdy z dziewiętnastu uniwersytetów rozpoczął kształcenie doktorantów w nowopowstałych szkołach doktorskich. Zróżnicowana była liczba doktorantów w poszczególnych uniwersytetach: od kilku lub kilkunastu doktorantów (w uniwersytetach w Opolu, Bydgoszczy, Zielonej Górze i UKSW) do kilkuset w Uniwersytecie Jagiellońskim (261) oraz Uniwersytecie Warszawskim (322).

Rok 2019, mimo spadku o prawie 3% liczby studentów niestacjonarnych, był pierwszym w długim przedziale czasu rokiem, w którym zanotowano wyraźny wzrost przychodów uczelni z opłat za usługi edukacyjne (o 10,4%). Średnia opłata na 1 studiującego niestacjonarnie wzrosła o 5,1% (rok wcześniej był to wzrost o 7,2%) i wynosiła 3 703 zł, przy czym najwyższa była w UMK w Toruniu (5 253 zł), a najniższa w Uniwersytecie w Białymstoku (1 902 zł).

Systematycznie maleją wpływy z prowadzenia studiów podyplomowych z racji malejącego zainteresowania tą formą edukacji. Przeciętny uniwersytet miał w 2019 r. niewiele ponad 800 studentów studiów podyplomowych, podczas gdy pięć lat wcześniej było to prawie 1 300 studentów.

Opłaty za świadczone usługi edukacyjne, głównie na studiach niestacjonarnych, podyplomowych, kursach i szkoleniach, stanowią przeciętnie 8,8% wartości przyznanej subwencji. Zróżnicowanie uczelni pod tym względem jest nieduże (udział ten waha się od 4,3% do 13,4%).

Koszty – wzrost płac

Koszty ogółem analizowanych uniwersytetów wzrosły w 2019 r. o 8,0% w stosunku do roku poprzedniego (rok wcześniej analogiczny wzrost wyniósł 9,0%). Podstawową pozycję kosztów stanowią w uniwersytetach wynagrodzenia. Udział wynagrodzeń wraz ze składkami ubezpieczeniowymi stanowi ok. 71% kosztów podstawowej działalności operacyjnej uniwersytetów.

Przeciętne roczne wynagrodzenie brutto w analizowanych uczelniach wyniosło w ubiegłym roku 77 854 zł i było wyższe od przeciętnego wynagrodzenia rocznego w 2018 roku o 13,2%. W wartościach bezwzględnych oznacza to wzrost przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia brutto z 5 730 zł w roku 2018 do 6 488 zł w roku 2019 (czyli o 758 zł w skali miesiąca). Jest to najwyższa dynamika rocznego wzrostu nominalnych płac w badanej grupie uczelni w ciągu ostatnich sześciu lat. Najbardziej wzrosły w 2019 r. płace w Uniwersytecie Wrocławskim (o 23%), a najmniej w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu (o 7%).

Wysokość wynagrodzeń jest w pewnym stopniu zdeterminowana strukturą zatrudnienia. Nauczyciele akademicy stanowią przeciętnie 56% ogółu zatrudnionych.

W roku 2019 w uniwersytetach publicznych nastąpił wzrost kosztów działalności dydaktycznej o 4,3% (w roku 2018 analogiczny

wzrost wyniósł 0,6%). Średni koszt przypadający na jednego studenta wzniósł się z 15 153 zł w roku 2018 do 16 162 zł w roku 2019, tj. o 6,7%.

pozytywnym zjawiskiem jest znaczący wzrost nakładów na rzeczowe aktywa trwałe – w skali roku aż o 116,4%. Po dramatycznym zmniejszeniu tych nakładów w 2016 roku o 71% i niewielkich wzrostach przez kolejne dwa lata, obecny ich poziom zbliża się do poziomu z roku 2014. Duży wzrost zaobserwowano także w wartości zakupów rzeczowych środków trwałych (o 78%). Przeciętnie uniwersytety przeznaczyły na zakupy środków trwałych w 2019 roku kwotę 21 433 tys. zł. Mimo że są to duże środki, to wciąż znacznie mniejsze niż w latach 2014 i 2015, gdy uczelnie korzystały ze wsparcia programów europejskich poprzedniej perspektywy finansowej.

Wyniki finansowe

W 2019 roku sumaryczny wynik finansowy uniwersytetów był dodatni i wyniósł 585 646,9 tys. zł, co w porównaniu z rokiem 2018 (134 895,0 tys. zł) oznacza ponad czterokrotny wzrost. Rok 2019 jest jedynym w ciągu ostatnich sześciu lat, w którym wszystkie analizowane uniwersytety osiągnęły wynik dodatni (żaden nie odnotował straty). Rok wcześniej stratę wykazały cztery uczelnie. Najwyższy dodatni wynik finansowy w 2019 r., wynoszący 138 679,6 tys. zł, zanotował Uniwersytet Jagielloński w Krakowie.

Wszystkie uniwersytety wykazały w ubiegłym roku wynik dodatni na działalności operacyjnej.

Sytuację finansową największych polskich uniwersytetów w 2019 roku można określić jako dobrą. Środowisko akademickie pozytywnie ocenia zastąpienie dotacji subwencją i pozostawienie rektorom znacznej swobody w zasadach jej podziału i wydatkowania.

Mirosław Szreder,
Uniwersytet Gdański, członek UKF

WYNIK FINANSOWY UNIwersYTETÓw KLAsYCZNYCH

w tysiącach złotych z jednym znakiem po przecinku

SIEDZIBA I NAZWA UNIwersYTETU	2014	2015	2016	2017	2018	2019
Białystok – Uniwersytet w Białymstoku	800,4	8 854,8	1 454,1	-1 967,4	68,2	1 599,9
Bydgoszcz – Uniwersytet Kazimierza Wielkiego	-3 159,4	-606,8	3 678,0	131,0	-6 838,5	12 038,8
Gdańsk – Uniwersytet Gdański	294,6	5 718,4	2 238,8	19 417,2	-13 277,4	19 706,3
Katowice – Uniwersytet Śląski	2 136,0	3 907,7	-567,9	206,5	3 073,0	42 427,0
Kielce – Uniwersytet Jana Kochanowskiego	-2 163,4	7 144,5	5 269,3	3 445,1	327,4	14 809,1
Kraków – Uniwersytet Jagielloński	14 526,8	22 754,7	27 426,7	29 494,9	30 890,3	138 679,6
Lublin – Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II	5 279,1	6 193,1	11 160,1	560,3	1 403,2	9 717,9
Lublin – Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej	-2 029,6	308,2	4 627,8	25 852,6	2 279,4	18 566,0
Łódź – Uniwersytet Łódzki	28 491,8	10 419,6	11 689,5	26 735,5	4 003,5	26 222,6
Olsztyn – Uniwersytet Warmińsko-Mazurski	6 800,9	30 085,3	30 632,0	22 610,8	21 031,6	36 433,7
Opole – Uniwersytet Opolski	4 049,6	3 501,1	4 115,4	25,1	-4 942,5	7 519,8
Poznań – Uniwersytet im. Adama Mickiewicza	3 830,0	11 394,8	17 230,5	28 002,4	24 431,3	45 578,4
Rzeszów – Uniwersytet Rzeszowski	177,1	1 615,5	-584,6	-792,2	2 830,7	3 703,3
Szczecin – Uniwersytet Szczeciński	3 106,2	705,3	2 976,7	3 172,5	2 042,8	4 028,7
Toruń – Uniwersytet Mikołaja Kopernika	912,4	34 473,7	12 023,4	10 005,3	11 901,1	65 931,7
Warszawa – Uniwersytet Warszawski	19 667,8	24 789,1	19 216,5	27 575,4	48 585,0	93 912,2
Warszawa – Uniwersytet Kard. S. Wyszyńskiego	4 636,9	4 486,6	2 463,1	891,0	-1 307,7	4 186,9
Wrocław – Uniwersytet Wrocławski	15 659,1	22 911,2	11 424,4	5 212,9	1 938,1	18 622,6
Zielona Góra – Uniwersytet Zielonogórski	9 083,3	986,0	3 156,1	3 630,8	6 455,5	21 962,4
RAZEM UNIwersYTETY	112 099,6	199 642,8	169 629,9	204 209,7	134 895,0	585 646,9

Mamy już 11 uniwersytetów europejskich

Pięć kolejnych polskich uczelni znalazło się w gronie beneficjentów konkursu „European Universities” organizowanego przez Komisję Europejską. Jedną z nich pełni rolę koordynatora swojego konsorcjum.

Uniwersytety europejskie to rodzaj ponadnarodowego sojuszu instytucji szkolnictwa wyższego. Łączy je długoterminowa strategia w obszarze kształcenia, promocja europejskich wartości oraz wzmacnianie europejskiej tożsamości. Ich powstanie ma na celu zwiększenie mobilności studentów, kadry akademickiej i środowiska naukowego, a także wspieranie jakości, integracji i konkurencyjności europejskiego szkolnictwa wyższego. Sama idea to pomysł prezydenta Francji Emmanuela Macrona, który w 2017 roku zaproponował utworzenie sieci uniwersytetów ze wspólnymi programami studiów, dyplomami i prowadzącymi zaawansowane badania naukowe.

Przed rokiem powołano pierwszych 17 uniwersytetów europejskich, zrzeszających ponad 100 instytucji szkolnictwa wyższego. Wśród nich znalazło się 5 polskich: Uniwersytet Jagielloński (UNA Europa), Uniwersytet Warszawski (4EU+), Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (EPICUR), Uniwersytet Gdański („European University of the Seas”) oraz Uniwersytet Opolski (FORTHM). W czerwcu tego roku pełnoprawnym członkiem konsorcjum YUFE, które również było beneficjentem konkursu, został Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, pełniący dotąd rolę jedynie partnera stowarzyszonego.

Do tej szóstki dołączyło właśnie kolejnych pięć polskich uczelni, w większości technicznych, wyłonionych w drugiej edycji konkursu. Wyniki konkursu ogłoszono 9 lipca.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje **Politechnika Poznańska**, która jest pierwszym polskim liderem zwycięskiego konsorcjum. W sojuszu EUNICE (European University for Customised Education)

działa wraz z uniwersytetami: w Kantabrii (Hiszpania), Katanii (Włochy), Mons (Belgia), Vaasa (Finlandia), Brandenburskim Uniwersytetem Technicznym w Cottbus (Niemcy) oraz Politechniką Hauts-de-France w Valenciennes (Francja). Studiuje w nich ponad 100 tys. żaków.

WSPÓLNY KAMPUS

Prof. dr hab. inż. Teofil Jesionowski,
rektor-elekt Politechniki Poznańskiej,
koordynator projektu EUNICE:



Jestem zadowolony, a nawet dumny z tego, że Politechnika Poznańska znalazła się w tym elitarnym gronie i otrzymała dofinansowanie Komisji Europejskiej w programie Uniwersytetów Europejskich. Jesteśmy liderem konsorcjum European University for Customised Education, skupiającego siedem uczelni z Niemiec, Francji, Belgii, Hiszpanii, Włoch, Finlandii i Polski. Skład EUNICE nie jest przypadkowy. Łączy nas wspólna wizja i strategia rozwoju na najbliższe lata. Chcemy m.in. stworzyć wspólny europejski kampus, na którym studenci będą mogli, w ścisłej współpracy z przemysłem, studiować na nowych kierunkach kształcenia, skrojonych na miarę potrzeb i wyzwań, przed jakimi stoimy dziś i przed jakimi staną niebawem kolejne pokolenia młodych ludzi. Naszym celem jest także wzmocnienie atrakcyjności i konkurencyjności uczelni europejskich w skali światowej.

Łączy nas wspólna wizja i strategia rozwoju na najbliższe lata. Chcemy m.in. stworzyć wspólny europejski kampus, na którym studenci będą mogli, w ścisłej współpracy z przemysłem, studiować na nowych kierunkach kształcenia, skrojonych na miarę potrzeb i wyzwań, przed jakimi stoimy dziś i przed jakimi staną niebawem kolejne pokolenia młodych ludzi. Naszym celem jest także wzmocnienie atrakcyjności i konkurencyjności uczelni europejskich w skali światowej.



3.12.2019 Spotkanie przedstawicieli EUNICE w siedzibie lidera projektu – Politechnice Poznańskiej. Na spotkaniu zdefiniowane zostały wspólne cele projektu, określono podział zadań i dalszy terminarz.

Znacznie więcej, bo około 245 tys. osób, kształci się w uczelniach skupionych w sieci ENHANCE (European Universities of Technology Alliance), której koordynatorem jest Politechnika w Berlinie, a współpartnerami: **Politechnika Warszawska**, Uniwersytet Techniczny Chalmersa w Göteborgu (Szwecja), Norweski Uniwersytet Naukowo-Techniczny w Trondheim (Norwegia) oraz politechniki w Mediolanie, Walencji i Akwizgranie.

Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie wchodzi w skład konsorcjum UNIVERSEH (European Space University of Earth and Humanity) wraz z Uniwersytetem w Tuluzie (Francja – lider), Uniwersytetem Heinricha Heinego w Düsseldorfie (Niemcy), Uniwersytetem Technicznym w Luleå (Szwecja) i Uniwersytetem Luksemburskim. Kształci się w nich ponad 170 tys. studentów.

Politechnika Śląska należy do EURECA-PRO (The European University Alliance on Responsible Consumption and Production) obok: Uniwersytetu w Leoben (Austria – lider), Uniwersytetu Nauk Stosowanych w Mittweida (Niemcy), Akademii Górniczej we Freibergu (Niemcy), Politechniki Kreteńskiej (Grecja), a także uniwersytetów w León (Hiszpania) i Petroszanach (Rumunia). Łącznie na tych siedmiu uczelniach kształci się ponad 50 tys. studentów.

Jedynym uniwersytetem wśród polskich laureatów drugiej edycji konkursu jest **Uniwersytet Śląski**, który współtworzy alians T4E (Transform4Europe – T4E: The European University for Knowledge Entrepreneurs) z Uniwersytetem Kraju Saary w Saarbrücken (Niemcy – lider), Uniwersytetem w Alicante (Hiszpania), Uniwersytetem Witolda Wielkiego w Kownie (Litwa), Uniwersytetem w Tryście (Włochy), Uniwersytetem Sofijskim im. św. Klemensa z Ochrydy (Bułgaria) i Estońską Akademią Sztuk Pięknych w Tallinie. Liczba studiujących w uczelniach T4E przekracza 110 tys.

Już po raz drugi w ubieganiu się o status Uniwersytetu Europejskiego nie powiodło się Uniwersytetowi Wrocławskiemu (partner w konsorcjum InklusU) i Uniwersytetowi Łódzkiemu (TruMotion Alliance). Pierwszy raz, również bezskutecznie, startowały Politechnika Gdańska (CURE) i Politechnika Białostocka (UNIVERS).

Do tegorocznego konkursu zgłosiły się 62 konsorcja (o 8 więcej niż przed rokiem). Spośród nich wyłoniono 24 sieci, zrzeszające w sumie ponad 165 instytucji szkolnictwa wyższego z 26 państw. Każdy sojusz otrzyma 3-letni grant finansowany z programów: Erasmus+ (maks. 5 mln euro) i Horyzont 2020 (maks. 2 mln euro). Ze środków skorzystają m.in. wspólne grupy badawcze, ośrodki transferu technologii, biblioteki. Celem będzie też zwiększenie mobilności pracowników i studentów. Ci ostatni w ramach jednego toku studiów będą mogli skorzystać z oferty współkonsorcjantów.

– Pandemia COVID-19 pokazała, że głębsza współpraca ponad granicami, dyscyplinami i kulturami jest jedynym sposobem na wyjście z kryzysu i na budowanie odporności. Uniwersytety europejskie są kluczowym elementem budulcowym obszaru edukacji dla starożytności – powiedziała podczas ogłaszania wyników konkursu Mariya Gabriel, komisarz ds. innowacji, badań, kultury, edukacji i młodzieży.

O prawdziwości jej słów przekonują dotychczasowe efekty współpracy między uniwersytetami. Ponad stu studentów uczelni skupionych w UNA Europa (m.in. UJ) pracowało w kwietniu nad rozwiązaniami odpowiadającymi na pandemię koronawirusa. Stworzyli m.in. platformę ONE-TO-ONE, która umożliwia artystom zarobek w czasie kryzysu, a odbiorcom zapewnia interaktywną rozrywkę w zaciszu ich domów. Powstał też prototyp aplikacji („Kup Pan Mleko!”), który ma służyć wymianie informacji pomiędzy dużymi producentami i przetwórcami a organizacjami pozarządowymi, szpitalami, innymi odbiorcami. Jedna strona umieszcza szczegółowe informacje o nadmiarze danego produktu, jego ilości i ceny, a druga kupuje lub umieszcza w bazie swoje zapotrzebowanie na konkretny produkt. Z kolei pomysł aplikacji SPOT (Safe & Personalized Organization of Travel) odpowiada na potrzeby turystów. Zakłada bezpieczne, samodzielne podróżowanie pod opieką zdalnego przewodnika, z którym kontakt odbywa się drogą telefoniczną bądź przez aplikację.

W sumie w dwóch dotychczasowych konkursach „European Universities” wyłoniono 41 uniwersytetów europejskich. Na ich wsparcie z budżetu UE przeznaczono 287 milionów euro.

Mariusz Karwowski

Prof. Jerzy Lis, rektor-elekt AGH:

To dla nas nadzwyczajne wyróżnienie. Będziemy wspólnie z partnerami z Europy tworzyć sieć uniwersytetów kosmicznych. Rozwijanie dyscyplin wykraczających poza nasz ziemski glob to kierunek rozwoju najlepszych uczelni na świecie. Jestem ogromnie dumny i zaszczycony tym zwycięstwem. Dodatkowo to dla nas motywacja, aby Akademia mogła pozostawić swój wkład w rozwój dyscypliny przyszłości, jaką jest kosmos i jego lepsze poznanie. Zaczynamy drugie stulecie działalności AGH z ambitnymi planami rozwijania zaawansowanych technologii sektora kosmicznego.

Prof. Jan Szmidt, rektor PW:

Udział w konsorcjum ENHANCE jest dla Politechniki Warszawskiej szansą na współpracę z uczelniami partnerskimi w zakresie innowacyjnych metod kształcenia, wspólnego rozwiązywania problemów naukowych i technologicznych oraz realizację projektów w obszarze umiędzynarodowienia uczelni. Ważnym elementem strategii konsorcjum jest nacisk na kształtowanie umiejętności krytycznego myślenia, a także wykorzystywanie wiedzy i nowoczesnych technologii z myślą o korzyściach, jakie mogą one przynieść społeczeństwu. Planowane działania w ramach konsorcjum pozostają w ścisłym związku z planem realizacji projektu „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza”.

Prof. Arkadiusz Mężyk, rektor PŚI:

Wzrost umiędzynarodowienia jest jednym z głównych celów strategii rozwoju Politechniki Śląskiej na lata 2016-2024. Sukces w konkursie Uniwersytetów Europejskich potwierdza, że nauka jest niezwykle istotnym elementem potencjału naszego regionu. Nasza obecność w konsorcjum EURECA-PRO jest konsekwencją bardzo wyłożonej pracy na arenie międzynarodowej w ostatnich kilku latach. Wykorzystaliśmy nasz kapitał ludzki i doświadczenie. Tym sukcesem potwierdzamy dojrzałość i partnerską postawę w budowaniu międzynarodowej sieci kontaktów i kooperacji.

Prof. Małgorzata Myśliwiec, zastępcza dyrektora Instytutu Nauk Politycznych UŚ, współpracująca przy przygotowaniu projektu:

W konsorcjum T4E łączy nas dążenie do transformacji stylu pracy naukowej oraz sposobu myślenia o prowadzeniu badań naukowych i dydaktyce. To ma z kolei prowadzić do umacniania współpracy uczelni z otoczeniem, regionem, samorządami. Chcielibyśmy, aby wyniki badań przyczyniały się do stopniowego przekształcania tego otoczenia. Chcemy zmierzyć się wspólnie z takimi wyzwaniami, jak skutki zmian klimatycznych, migracje ludności czy depopulacja. W moim przekonaniu europejskie uniwersytety powinny odgrywać kluczową rolę w takich dyskursach.

Ożywienie na placach budowy

Badania nad sztuczną inteligencją, innowacyjnym modelowaniem 3D, automatyzacją procesów w przemyśle czy nanotechnologią będą prowadzić studenci i naukowcy **Politechniki Świętokrzyskiej** w otwartym 30 czerwca Centrum Naukowo-Wdrożeniowym Inteligentnych Specjalizacji Regionu Świętokrzyskiego. W hali zlokalizowanej na terenie uczelnianego kampusu znajdzie się 12 nowoczesnych laboratoriów, działających na potrzeby zrównoważonego rozwoju energetycznego, budownictwa zasobooszczędnego, sektora metalowo-odlewniczego i turystyki prozdrowotnej. Powstanie obiektu otwiera możliwości wykonywania badań technicznych i technologicznych, przygotowania prototypów, ich testowania oraz wdrażania nowych rozwiązań we współpracy z przemysłem. Dwa z planowanych laboratoriów: Zaawansowanych Nanotechnologii i Nanomateriałów oraz Prototypowania i Eksploatacji Technologii i Instalacji Odnawialnych Źródeł Energii już działają. Pozostałe czekają na uruchomienie. Wszystkie zostaną wyposażone w najnowocześniejszą aparaturę. Już zakupiono m.in. wtryskarkę z dwoma układami plastyfikującymi, pozwalającą na przetwórstwo silikonu i termoplastów. Politechnika Świętokrzyska jako jedyna w Polsce posiada na wyposażeniu tego typu urządzenie, za pomocą którego wytwarzane będą m.in. implanty medyczne. Zakupiono też miernik mikroklimatu oraz manekin termiczny – jeden z czterech w kraju.

Wśród priorytetowych zagadnień, którymi zajmą się naukowcy, jest poszukiwanie ekologicznych i efektywnych metod pozyskiwania energii oraz testowanie odnawialnych źródeł energii w technologiach niskoemisyjnych. W jednym z laboratoriów rozwijana będzie technologia spieniania asfaltu, dzięki której nawierzchnia dróg ma być bardziej odporna na zniszczenia.

– Nasze laboratoria będą kompatybilne z kompleksem badawczym Głównego Urzędu Miar, w powstanie którego również jesteśmy zaangażowani. Dołączając do tego Uniwersytet Jana Kochanowskiego, stworzymy w Kielcach silny ośrodek badawczy – zapowiada prof. Wiesław Trąmpczyński, rektor PŚK.

Realizacja projektu pochłonie ponad 75 mln zł, z czego ok. 67 mln zł pochodzi z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Świętokrzyskiego na lata 2014–2020.

Pod koniec czerwca wmurowano kamień węgielny pod nowy budynek **Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie**. Obiekt będzie pełnić funkcje dydaktyczne dla Wydziału Fizyki i Informatyki Stosowanej. Pięcikonkondygnacyjny gmach o kubaturze ponad 21 tys.

m³ i powierzchni użytkowej ok. 4 tys. m² powstaje na uczelnianym kampusie przy ul. Reymonta 19. Znajdą się w nim m.in. pomieszczenia dydaktyczne i laboratoryjne oraz sale wykładowe i seminaryjne. W ten sposób wszystkie grupy badawcze pracujące w WFIS, rozproszone obecnie po całym kampusie uczelni, zostaną skupione w jednym miejscu.

Ponadto pozyskanie dodatkowej przestrzeni pozwoli na rozwój specjalistycznych pracowni studenckich, m.in. Nowoczesnych Materiałów i Technologii, Komputeryzacji Pomiarów oraz Fizyki Fazy Skondensowanej. Dzięki nowym laboratoriom studenci będą mogli kształcić praktyczne, interdyscyplinarne umiejętności na kierunkach, takich jak: fizyka techniczna, fizyka medyczna, informatyka stosowana, inżynieria materiałowa, inżynieria biomedyczna czy bionanotechnologia. W planach jest też wykorzystanie infrastruktury wydziału do organizowania cyklicznych akcji popularyzujących nauki fizyczne wśród dzieci, uczniów szkół podstawowych i średnich oraz uczestników Uniwersytetu Otwartego AGH.

Wydział Fizyki i Informatyki Stosowanej posiada status jednostki flagowej polskiej nauki (Krajowy Naukowy Ośrodek Wiodący) oraz najwyższą kategorię poziomu naukowego A+. Nowoczesny obiekt umożliwi stworzenie wydziałowi bazy dla rozwoju biofizyki, zarówno jako kierunku badawczego, jak i kierunku studiów na wydziale, który uzyskał prawa do nadawania habilitacji w tej dziedzinie.

Całkowita wartość inwestycji realizowanej przez Mostostal SA to 44,6 mln zł. Dofinansowania dla pierwszego etapu budowy w wysokości ponad 5 mln zł udzieliło Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Budynek ma być oddany do użytkowania wiosną przyszłego roku.

O nowy budynek dydaktyczny powiększy się też wkrótce infrastruktura **Państwowej Wyższej Szkoły Techniczno-Ekonomicznej w Jarosławiu**. Kształcić się w nim będą głównie studenci kierunku automatyka i elektronika praktyczna. Czterokonkondygnacyjny obiekt o powierzchni ponad 2,5 tys. m² stanie w uczelnianym kampusie przy ul. Czarnieckiego i swoją bryłą ma wpisywać się w lokalną zabudowę. Będzie dostosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych, a także wyposażony w klimatyzację, system zarządzania BSM oraz instalację fotowoltaiczną.

Na parterze znajdzie się Centrum Obsługi Studenta, w którym żacy skorzystają z pomocy w kwestiach związanych z procesem kształcenia: od rekrutacji po praktyki i staże. Na pierwszym piętrze powstanie laboratorium automatyki pojazdowej, do którego – dzięki



Politechnika Świętokrzyska



PWSTE Jarosław

odpowiedniej architekturze budynku – bez problemu będzie można wjechać samochodem. Stanowiska zostaną wyposażone w sprzęt do diagnostyki pojazdów, a także wielkogabarytowe urządzenia do automatyki, np. obrabiarkę. W zlokalizowanym tuż obok laboratorium elektroniki studenci będą zdobywali wiedzę praktyczną z zakresu elementów elektroniki, elektrotechniki oraz aparatury elektronicznej. Pojawi się także studenckie laboratorium badawczo-rozwojowe, na wzór tego, które funkcjonuje dziś w Instytucie Inżynierii Technicznej PWSTE, ale znacznie większe i bardziej nowoczesne. Do dyspozycji studentów oddane zostanie stanowisko serwisowania urządzeń elektronicznych, stacja lutownicza, niezbędny sprzęt kontrolno-pomiarowy, stanowisko prototypowania. Co ciekawe, możliwy będzie także zdalny dostęp do wybranych zasobów laboratorium. Kamera „obserwująca” dane stanowisko pozwoli studentom online, z własnego laptopa, śledzić efekty działania danego programu czy konfiguracji.

W kolejnym laboratorium, dotyczącym automatyki przemysłowej i budynkowej, żacy będą pracowali z najnowszym sprzętem wykorzystywanym w liniach produkcyjnych w zakładach i fabrykach oraz systemami zarządzania budynkiem. W nowym obiekcie nie zabraknie także laboratorium elektrotechniki i metrologii oraz laboratorium fizyki. Wykłady lub seminaria odbywać się będą w nowoczesnej sali dydaktycznej. Część z pomieszczeń zajmie uczelniane archiwum.

Szacunkowy koszt budowy nowego obiektu PWSTE to około 15,5 mln zł. Obecnie na dwóch rocznikach automatyki i elektroniki praktycznej studiuje około 40 osób. To studia inżynierskie, które trwają 3,5 roku.

W blisko 70% zaawansowane są prace przy Akademickim Centrum Pomocy Psychologicznej **Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy**. Rozbudowa obiektów Instytutu Psychologii UKW przy ul. Staffa pozwoli na poszerzenie oferty usług psychologicznych, a także doskonalenie dotychczasowych oraz tworzenie nowych rozwiązań diagnostycznych i terapeutycznych, zarówno w postaci tradycyjnych autorskich programów i narzędzi pomocy psychologicznej, jak i urządzeń oraz aplikacji wykorzystujących nowoczesne technologie ICT. Poprawią się też warunki funkcjonowania Centrum Komunikacji Klinicznej, które dzięki temu będzie mogło rozszerzyć swoją ofertę. W obiekcie działać będzie również Centrum Telemedycyny.

Budynek powstaje w ramach projektu „Medycyna a zdrowie człowieka. Kujawsko-pomorski interdyscyplinarny program dia-



Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy

gnozy spersonalizowanej i opieki zdrowotnej”, realizowanego przez konsorcjum UKW i Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. Celem jest zwiększenie urynkwienia działalności badawczo-naukowej obu uczelni w obszarze nauk biomedycznych, nauk o żywności i żywieniu oraz nauk farmaceutycznych. Oprócz budowy nowego gmachu projekt zakłada wyposażenie w aparaturę siedmiu laboratoriów działających w UMK, m.in. Pracownię Metod Chromatograficznych i Spektrometrii Mas na Wydziale Chemii, Laboratorium Fotoniki Biomedycznej na Wydziale Nauk o Zdrowiu oraz Pracownię Metabolomiki na Wydziale Farmaceutycznym. Pozwoli to na wdrożenie nowoczesnych technologii w analityce i diagnostyce medycznej, zwiększenie oddziaływań terapeutycznych, m.in. za pomocą neurorehabilitacji i terapii różnych form chronicznego bólu, a w konsekwencji polepszenie dobrostanu mieszkańców i zwiększenie wydajności ich pracy.

Całkowita wartość projektu przekracza 36 mln zł, z czego dofinansowanie z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego przekracza 27,8 mln zł.

MK



Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie



Wmurowanie aktu erekcyjnego pod nowy budynek WFIIŚ AGH, od lewej: prof. Janusz Wolny, dziekan WFIIŚ oraz prof. Tadeusz Słomka, rektor AGH.

W trosce o uniwersytet

Dziewiąta kadencja Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich przypadła na lata 2016–2020. Już od pierwszego posiedzenia w Krakowie, w październiku 2016 roku, KRUP zaczął się mierzyć z największym wyzwaniem lat 2016–2019 w szkolnictwie wyższym – wprowadzeniem przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Działalność KRUP, ogniskowała się wokół zagadnień związanych z jej tworzeniem, a w późniejszym okresie – wdrażaniem. W trakcie obecnej kadencji odbyło się dziewięć posiedzeń plenarnych, w których uczestniczyli przedstawiciele MNiSW: minister nauki i szkolnictwa wyższego dr Jarosław Gowin, wiceministrowie prof. Aleksander Bobko i Piotr Müller oraz dyrektor generalna MNiSW (obecnie podsekretarz stanu) dr Anna Budzowska, którzy relacjonowali najważniejsze kwestie związane z pracami nad nową ustawą. Celem usprawnienia działań KRUP wprowadzone zostały regularne, przeważnie co dwa miesiące, spotkania w trybie telekonferencji przewodniczącego prof. Wojciecha Nowaka, rektora UJ, wiceprzewodniczących: prof. Stanisława Michałowskiego, rektora UMCS, i prof. Edwarda Włodarczyka z Uniwersytetu Szczecińskiego oraz sekretarza KRUP, prof. Piotra Laidlera z UJ. Ten tryb stosowano na długo zanim prowadzenie konferencji w trybie zdalnym stało się koniecznością ze względu na pandemię Covid-19.

Konstytucja dla Nauki

KRUP, skupiająca rektorów 20 klasycznych polskich uniwersytetów, niemal na wszystkich posiedzeniach zajmowała się sprawami związanymi z kolejnymi etapami procesu tworzenia nowego prawa, a więc przygotowaniem, uchwalaniem, wdrażaniem i dostosowywaniem go do realiów życia akademickiego. Na drugim posiedzeniu w marcu 2017 r. prof. Marek Górski, prorektor ds. nauki Uniwersytetu Szczecińskiego, zaproszony w charakterze eksperta w zakresie prac nad nową ustawą, przedstawił zasadnicze założenia, na których miała się oprzeć nowa ustawa oraz wszelkie, zauważone już na tym początkowym etapie, wątpliwości, niejasności, a także uwagi i sugestie, jakie rektorzy uniwersytetów powinni wziąć pod uwagę, zamierzając aktywnie uczestniczyć w tworzeniu nowego prawa. Dyskutowano o roli klasycznych uniwersytetów w systemie szkolnictwa wyższego oraz kwestii tzw. uniwersytetów regionalnych, jaka pojawiła się w związku z niepokojami o niewystarczające finansowanie mniejszych uniwersytetów, odgrywających w swoich regionach istotną rolę kulturotwórczą. Ujawniły się istotne rozbieżności w poglądach na te sprawy oraz obawy o utratę spójności stanowiska uniwersytetów w związku z powstaniem tzw. Porozumienia Zielonogórskiego. Dyskusja pozwoliła na osiągnięcie jednolitego stanowiska uczelni członkowskich, co miało ogromne znaczenie dla dalszego efektywnego działania KRUP, jednoczącego wszystkie polskie uniwersytety klasyczne.

Zapoznanie rektorów uczelni członkowskich KRUP z założeniami, a także planem działań nad opracowaniem ustawy pozwoliło im na podjęcie właściwych decyzji organizacyjnych odnośnie do przygotowywania środowisk akademickich uniwersytetów do zupełnie nowych warunków funkcjonowania. Szczegółowe zadania zostały powierzone przez konferencję rektorów jej najważniejszemu zespołowi specjalistycznym, a mianowicie: Uniwersyteckiej Komisji Nauki, kierowanej przez prof. Stanisława Kistryna, prorektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, nowo powołanej Uniwersyteckiej Komisji Kształcenia, kierowanej przez prof. Annę Machnikowską, prorektora Uniwersytetu Gdańskiego oraz Uniwersyteckiej Komisji Finansów, pracującej pod kierunkiem prof. Mirosława Gornowicza, prorektora Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

W szczególności UKN wiele czasu poświęciła propozycjom założeń do Ustawy 2.0 – Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce. W wyniku

tych prac i dyskusji zgłoszono do tekstu ustawy szereg komentarzy, zastrzeżeń i obaw. Członkowie UKN uczestniczyli we wszystkich konferencjach Narodowego Kongresu Nauki, zabierając głos w sprawach najistotniejszych dla uniwersytetów klasycznych, jak np.: struktura uczelni a badania naukowe, statuty w świetle nowej ustawy, tworzenie szkół doktorskich (struktura, regulamin, zasady rekrutacji i oceny śródkresowej doktorantów).

Prace UKK także koncentrowały się na konsultacjach założeń nowego prawa, a następnie na wypracowaniu rozwiązań sprzyjających jego efektywnemu wdrożeniu. Komisja, za pośrednictwem lub po akceptacji KRUP, przedstawiła kilkakrotnie swoje stanowisko MNiSW, podkreślając celowość zwiększenia autonomii uczelni w obszarze kształcenia, co łączyło się z potrzebą uproszczenia i odformalizowania wielu elementów aktywności dydaktycznej uczelni, a także z modyfikacją organizacji systemu kształcenia w celu wzmocnienia jego bezpośrednich związków z badaniami naukowymi, co sprzyja interdyscyplinarności i umiędzynarodowieniu obu aktywności.

UKF z kolei zajmowała się monitorowaniem i opiniowaniem finansowych rozwiązań zawartych najpierw w założeniach do projektu Ustawy 2.0., a następnie w jej finalnym projekcie. W tej sprawie Komisja na kilku posiedzeniach przyjęła stanowiska, które za pośrednictwem KRUP zostały skierowane do MNiSW. We współpracy z UKN dyskutowano nad funkcjonowaniem systemu finansowania badań naukowych w Polsce. W efekcie członkowie UKN zgłosili szereg postulatów i propozycji, które przyczyniły się do korzystnych, dla naukowców i uniwersytetów adaptacji programów grantowych.

Materiały wypracowywane przez każdą z komisji stanowiły podstawę podejmowanych przez Konferencję uchwał (<http://www.krup.edu.pl>). Wypracowane stanowiska były prezentowane przez przewodniczącego KRUP, prof. Wojciecha Nowaka, na kolejnych posiedzeniach Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, a także przekazywane do MNiSW. Niestety, głos środowiska uniwersyteckiego, spełniającego niezwykle istotną rolę społeczną i kulturotwórczą, nie zawsze był uwzględniany czy brany pod uwagę przez ustawodawców.

KRUP poprzez prace swych komisji pochylił się nad najbardziej dyskusyjnymi zmianami wprowadzanymi w życie szkół wyższych w wyniku wdrażania Ustawy 2.0. Członkowie UKN szczególnie aktywnie komentowali nowe zasady ewaluacji dyscyplin naukowych. W obecności zapraszanych na posiedzenia przedstawicieli najpierw KEJN, a potem KEN prezentowano postulaty o konieczności stabilizacji reguł ewaluacji, zgłoszono również słowa krytyki do nowych list wydawnictw zaproponowanych przez ministerstwo. Podczas pierwszego w historii KRUP wspólnego posiedzenia UKN i UKK omówiono zasady funkcjonowania szkół doktorskich na klasycznych uniwersytetach w Polsce. Jednym z ważnych tematów, który przewijał się przez obrady UKF i KRUP po uchwaleniu Konstytucji dla Nauki był udział uczelni w przygotowaniu projektu rozporządzenia MNiSW w sprawie sposobu podziału subwencji. W tej sprawie komisja na różnych etapach procedowania rozporządzenia przyjęła trzykrotnie stanowisko, które – podobnie jak poprzednie – za pośrednictwem przewodniczącego KRUP trafiły na obrady KRASP i do ministerstwa. Swój istotny udział w dostosowaniu użytkowanych przez uczelnie wyższe systemów informatycznych do wymogów nowej ustawy, w tym przede wszystkim Uniwersyteckiego Systemu Obsługi Studentów (USOS; m.in. podstawowe narzędzie do przekazywania danych z uczelni do systemu POLon), miało powołane przez KRUP w 2001 r., jako wspólna jednostka uniwersytetów, Międzyuniwersyteckie Centrum Informatyzacji (MUCI), którego

dyrektorem jest prof. Marek Kręglewski z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Wszystkie wprowadzone w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce zmiany mają poważne konsekwencje dla funkcjonowania uczelni, w szczególności dotyczy to autonomii organizacyjnej, która pozwoliła uczelniom na dostosowanie struktur do własnych koncepcji. Rezultatem jest różnicowanie struktur organizacyjnych, także wśród uniwersytetów. Oprócz autonomii organizacyjnej istotną jest autonomia finansowa, przejawiająca się przede wszystkim w większej swobodzie wydatkowania przekazywanych z budżetu MNiSW środków finansowych przeznaczonych na realizację zadań uczelni w formie subwencji. Niestety w niewielkim stopniu zmiany wprowadzone przez Ustawę 2.0 dotyczyły wzmocnienia finansowego systemu szkolnictwa wyższego i nauki, co było jednym z głównych postulatów dotyczących reformy, traktowanym jako bez mała warunek sine qua non jej powodzenia. Wpływają na taką ocenę przede wszystkim zauważalne problemy w wyraźnym zwiększaniu nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe oraz nie do końca jasne i precyzyjnie ustalone szczegółowe zasady przeprowadzania ewaluacji. Jej wynik ma dla uczelni podstawowe znaczenie ze względu na konsekwencje oceny dla finansów uczelni, uprawnień do nadawania stopni naukowych, samodzielności w kształtowaniu programów studiów. Brak jasności założeń i zasad przeprowadzenia procesu ewaluacji skutkuje wątpliwościami, czy jej wyniki będą w sposób prawidłowy odzwierciedlać rzeczywistą jakość badań naukowych i potencjał naukowy poszczególnych dyscyplin.

Jubileusze

W obecnej kadencji mieliśmy także okazję świętować jubileusz 30-lecia założenia KRUP, najstarszej organizacji zrzeszającej rektorów polskich uczelni. Z tej okazji, dokładnie w 30 rocznicę pierwszego posiedzenia KRUP, na Uniwersytecie Łódzkim zostało zorganizowane specjalne, jubileuszowe posiedzenie KRUP. Przewodniczący wystosował specjalne zaproszenie do wszystkich swoich poprzedników na tym stanowisku. Podczas panelu dyskusyjnego profesorowie Michał Seweryński i Marian Harasimiuk podzielili się swoimi wspomnieniami i przemyśleniami na temat roli KRUP w systemie szkolnictwa wyższego w Polsce. W uznaniu zasług dla polskiego szkolnictwa wyższego przewodniczący KRUP wręczył znakomitym gościom okolicznościowe medale oraz dyplomy. Prace nad książką o 30 latach działalności zrzeszenia rektorów uniwersytetów polskich dobiegają końca. Jeszcze w tym roku monografia powinna zostać wydana przez Wydawnictwo UJ.

Rektorzy uczelni członkowskich mieli także okazję wspólnie świętować jubileusze: w 2018 r. 100-lecie założenia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w 2019 r. 10-lecie podniesienia Papieskiej Aka-

demii Teologicznej im. Jana Pawła II do rangi Uniwersytetu Papieskiego oraz 100-lecie powstania Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z powodu epidemii koronawirusa odwołane zostały uroczystości jubileuszu 50-lecia założenia Uniwersytetu Gdańskiego.

Pandemia COVID-19

W początkowych miesiącach 2020 roku Europa, a potem cały świat stanęły w obliczu epidemii koronawirusa SRS-Cov-2, rozprzestrzenionego w błyskawicznym tempie i ze śmiertelnymi konsekwencjami z Chin. W związku z wprowadzeniem stanu epidemicznego etc. UKK koordynowała niektóre procesy inicjujące upowszechnienie kształcenia na odległość, brała także udział w konsultacjach dotyczących zmian w przepisach, które uwzględniając nowe ograniczenia, umożliwiają korzystanie z rozwiązań alternatywnych, począwszy od upowszechnienia formy elektronicznej dla obiegu dokumentów w procesie rekrutacji na studia oraz dyplomowania. Ponadto UKK KRUP wystąpiła do ministra nauki i szkolnictwa wyższego w sprawie udzielenia dodatkowego, materialnego wsparcia dla studentów i doktorantów, a także dla uczelni, które samodzielnie w okresie marzec – maj 2020 r. podjęły takie działania, by ograniczyć po stronie studentów i doktorantów negatywne następstwa finansowe spowodowane epidemią wirusa COVID-19.

W związku z utrzymaniem się stanu epidemii Prezydium KRUP zdecydowało o zorganizowaniu po raz pierwszy w ponad 30-letniej historii posiedzenia w trybie zdalnym, które odbyło się 6 maja 2020 r. przy pełnej frekwencji uczestników reprezentujących wszystkie uczelnie członkowskie KRUP. Dyskutowano o aktualnej sytuacji uczelni w związku z pandemią Covid-19. Przewodniczący, który z ramienia KRUP jest członkiem Zespołu Kryzysowego dla Szkolnictwa Wyższego, powołanego jeszcze przez ówczesnego ministra dr. Jarosława Gowina, przedstawił stanowisko Zespołu i rekomendacje odnośnie do sposobu funkcjonowania uczelni w tym szczególnie trudnym dla uczelni czasie (zajęcia on-line, egzaminowanie, studenci zagraniczni, prowadzenie badań, zagadnienie wiarygodności testów identyfikujących zakażenie wirusem oraz przejście choroby, problem rekrutacji etc., problem funkcjonowania uczelni w zmienionych warunkach w I semestrze roku akademickiego 2020/2021). Szczególnie ostatnie z zagadnień wzbudziło duże zainteresowanie uczestników. W dyskusji analizowano, jak należy się w tej nowej sytuacji przygotować do nowego roku akademickiego, gdyż za to przecież odpowiadamy i pragniemy się z naszych obowiązków wobec społeczeństwa oraz naszych studentów i pracowników jak najlepiej wywiązać. Ale to już są wyzwania, jakie czekają KRUP w kolejnej, dziesiątej kadencji w latach 2020-2024.

Opracowanie: Piotr Laidler i Katarzyna Frankowicz

Jubileuszowe posiedzenie KRUP na Uniwersytecie Łódzkim, 22 marca 2019 r.



Na rzecz odpowiedzialnej działalności wydawniczej

Dr Magdalena Bemke-Świtlik, redaktor zarządzający „Journal of Sustainable Mining”, czasopisma wydawanego przez Główny Instytut Górnictwa i Elsevier, która skutecznie wprowadziła tytuł do międzynarodowego obiegu – do bazy Scopus – co przyczyniło się do wzrostu wskaźników jego cytowań, przedstawia inicjatywę na rzecz zwiększenia transparentności polityk redakcji czasopism naukowych (PREP – Platform for Responsible Editorial Policies).

Odpowiedzialne redagowanie i wydawanie czasopisma obejmuje wiele czynności: dbałość o wysoką jakość publikowanych treści, przestrzeganie zasad etyki, terminową realizację harmonogramu wydawniczego, udostępnianie rzetelnej i wiarygodnej informacji o czasopiśmie itd. Uprawianie nauki w paradygmacie „publikuj albo gniń” powoduje, że czas oczekiwania na publikację i sposób oceny manuskryptów stosowany przez redakcję czasopisma to jedno z najważniejszych kryteriów wpływających na wybór konkretnego periodyku przez potencjalnego autora. Informacje te uzyskuje on najczęściej od innych naukowców z danego obszaru badań (pozytywne lub negatywne doświadczenia osób z najbliższego otoczenia, ewentualnie wpisy na blogach) lub za pośrednictwem strony internetowej czasopisma. Zasięg oddziaływania strony internetowej jest nieporównywalnie większy od „poczty pantoflowej”. Jasno opisana procedura recenzowania ułatwia też współpracę z ekspertami zapraszanymi do oceny manuskryptów przyjętych przez redakcję. Zamieszczanie na stronie internetowej periodyku dokładnej informacji o stosowanej procedurze recenzowania, pozwalała na odróżnienie czasopisma rzetelnego od nierzetelnego lub nieuczciwego (tzw. drapieżnika). Zgodnie z najnowszą definicją, drapieżne czasopisma i wydawcy charakteryzują się m.in. brakiem przejrzystości, fałszywymi lub wprowadzającymi w błąd informacjami, odstępstwem od najlepszych praktyk redakcyjnych (Grudniewicz, A., Moher, D., Cobey, K.D. 2019. *Predatory Journals*. „Nature”, 576, 210–212. DOI:10.1038/d41586-019-03759-y). Rynek polskich czasopism naukowych boryka się z problemem publicznego udostępniania informacji o stosowanych procedurach recenzowania. W 2019 r. zdecydowana mniejszość (30%) redakcji polskich czasopism naukowych opublikowała na swoich stronach internetowych procedurę recenzowania, a zaledwie 18,1% zamieściło informację o stosowanym programie służącym do wykrywania ewentualnego plagiatu (Kulczycki, E., Korytkowski, P. 2020. *Standardy wydawnicze polskich czasopism naukowych w latach 2017–2019*. DOI:10.6084/m9.figshare.11734350). Pomocna w doskonaleniu procedur recenzowania może być nowa inicjatywa naukowców z Holandii (Horbach, S.P.J.M., Hepkema, W.M., Halfman, W. 2020. *The Platform for Responsible Editorial Policies: An initiative to foster editorial transparency in scholarly publishing*. „Learned Publishing”, 1–5. DOI:10.1002/leap.1312), której wynikiem jest platforma internetowa PREP (Platform for Responsible Editorial Policies), udostępniona szerszej publiczności w marcu 2020 roku (www.responsiblejournals.org).

PREP to platforma, która powstała w odpowiedzi na Deklarację Lejdeńską (<https://www.ru.nl/science/isis/research/transparency->

-declaration/), ogłoszoną w ramach warsztatów dla wydawców, redaktorów czasopism, bibliotekarzy, badaczy związanych z zagadnieniami publikowania naukowego i reprezentantów stowarzyszeń branżowych, który odbył się w lipcu 2018 roku na Uniwersytecie w Lejdzie. Deklaracja ta jest m.in. wezwaniem do podawania na stronach internetowych czasopism przejrzystych procedur recenzowania. Najważniejsze funkcje platformy PREP to: informowanie o różnorodnych formach procedur recenzowania, udostępnianie danych do badań nad procedurami redakcyjnymi i procesem recenzji, doradzanie redaktorom i wydawcom czasopism w zakresie potencjalnych obszarów doskonalenia stosowanej procedury recenzowania.

Twórcy PREP zamieścili na stronie informacje dotyczące procedury recenzowania uwzględniające cztery obszary. Są to: (1) etap recenzji i selekcja, (2) otwartość procesu recenzji, (3) specjalizacja procesu recenzji, (4) technologiczne wsparcie procesu recenzji. Każdy z nich został opisany w literaturze przedmiotu i na tej podstawie przygotowano katalog zalet i wad możliwych rozwiązań. Część ta może być przydatna nie tylko dla początkujących redaktorów, ale również dla doświadczonych fachowców, którzy chcą być na bieżąco

z nowinkami światowego rynku czasopism naukowych. Aktualizowany na bieżąco wykaz literatury w zakresie procedury recenzowania i krytyczne omówienie różnorodnych jej form, mogą zaoszczędzić czas potrzebny na wyszukiwanie odpowiednich publikacji.

Istotną częścią platformy PREP jest baza czasopism. W bazie PREP można znaleźć te czasopisma, które zostały zweryfikowane przez jej twórców na podstawie ankiety wypełnianej przez redaktorów czasopism. Czasopisma w bazie można wyszukiwać po tytule, ISSN i nazwie wydawcy lub przeglądać alfabetyczny wykaz tytułów. Wykaz ten można pobrać w formacie .xls. Obecnie w bazie PREP znajdują się 404 tytuły czasopism (stan na 22 czerwca 2020 roku). Przydatność tej bazy będzie rosła wraz ze zwiększaniem się liczby uwzględnionych w niej czasopism, ale będzie też uwarunkowana zakresem jej aktualizacji, która zależy od inicjatywy redaktorów i wydawców czasopism. Dane zgromadzone w PREP mogą służyć nie tylko do celów naukowych, ale również mogą być przydatne dla redaktorów i wydawców czasopism. Statystyki udostępniane na podstawie zawartości bazy pozwalają na zorientowanie się w rozwiązaniach stosowanych przez redakcje czasopism, np. zaledwie 1% czasopism ze wszystkich ujętych w bazie PREP stosuje otwarty model recenzji, czyli publikację raportów przygotowanych przez recenzentów.

Twórcy platformy zachęcają redaktorów czasopism do udostępniania informacji o stosowanej procedurze recenzowania przez



wypełnienie kwestionariusza online, który składa się z 12 pytań. Kwestionariusz odnosi się zarówno do stanu bieżącego, jak i do ewentualnych zmian wprowadzanych przez redakcję w ostatnich 20 latach (od 2000 r.). Po uzupełnieniu ankiety twórcy bazy PREP weryfikują dane, ze szczególnym uwzględnieniem eliminacji czasopism drapieżnych. Wszelkie wątpliwości są wyjaśniane bezpośrednio z przedstawicielem czasopisma, który wypełnił formularz. Po pomyślnym zakończeniu weryfikacji czasopismo jest dodawane do bazy PREP. Wartością dodaną jest bezpłatna informacja zwrotna dla redaktorów, która dotyczy obszarów doskonalenia stosowanej procedury recenzowania i propozycji alternatywnych sposobów organizacji procesu recenzji.

W bazie PREP nie zostało dotychczas ujęte żadne polskie czasopismo. Uwzględnienie polskich czasopism w bazie PREP z pewnością może przyczynić się do zwiększenia dostępności informacji o stosowanej procedurze recenzowania i podniesienia jej jakości, a także do zwiększenia widoczności polskich czasopism w Internecie. Z inicjatywy PREP mogą szczególnie skorzystać redakcje tych periodyków, które przygotowują się do zgłoszenia swoich czasopism do multidyscyplinarnych, międzynarodowych baz danych Scopus lub Web of Science Core Collection, ponieważ jednym z kryteriów oceny czasopism aplikujących o indeksację w tych bazach jest obecność łatwo dostępnego i przejrzystego oświadczenia redakcji o wdrożonej procedurze recenzowania.

Kobiety na politechnikach

Udział kobiet wśród studentów kierunków związanych z nowymi technologiami i informatyką systematycznie się zwiększa – wynika z cyklicznego raportu *Kobiety na politechnikach*. Jak podkreśla jego autorka, Anna Knapińska z Laboratorium Baz Danych i Analityki Biznesowej Ośrodka Przetwarzania Informacji – PIB, to pierwsze opracowanie, które przedstawia sektor szkolnictwa wyższego z perspektywy Konstytucji dla Nauki obowiązującej od października 2018 roku.

Wśród blisko 1,2 mln studiujących w Polsce w ubiegłym roku ponad połowę (57%) stanowią kobiety. Przeważają na uczelniach pedagogicznych (75%), medycznych (73%), artystycznych (68%), uniwersytetach (66%), uczelniach teologicznych (61%), zawodowych (61%), rolniczych/przyrodniczych (59%), ekonomicznych (52%) i AWF-ach (52%). Na politechnikach, podobnie jak w uczelniach wojskowych, stanowią 36%. Ale nie oznacza to wcale, że wszystkie garną się do flagowych kierunków tam oferowanych. Jak zauważa autorka raportu, chętniej decydują się bowiem na niezwiązane z technologiami. Najpopularniejszym jest kosmetologia (99% studiujących to kobiety), a zaraz za nią: pedagogika, edukacja prozrojowa i architektura wnętrz. Dla porównania: kierunek samochody i bezpieczeństwo w transporcie drogowym studiuje 5 kobiet na 110 mężczyzn.

Z przedstawionych danych wynika jednak, że można już mówić o systematycznym wzroście zainteresowania studiami nowo technologicznymi. Określenie to obejmuje kierunki, w których głównym celem kształcenia jest wytwarzanie technologii, ale także te oparte na zaawansowanej analizie danych, znajdującej zastosowanie np. w rozwoju sztucznej inteligencji. Jeszcze w 2014 roku co siódma kształcąca się na nich osoba była kobietą, a w ub.r. już co szósta. Przy czym na politechnikach odsetek ten wzrósł o 3 punkty procentowe, zaś w niepublicznych szkołach wyższych o 4 p.p. Nowe technologie niestraszne są studentkom Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu, gdzie ponad 1/4 ogółu stanowią właśnie kobiety. Zbliżony wynik osiągnęły uczelnie publiczne: Akademia Górniczo-Hutnicza (21%), Politechnika Łódzka (20%) i Politechnika Gdańska (19%). Feminizacji opierają się Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej, Uniwersytet Techniczno-Humanistyczny w Radomiu i Politechnika Rzeszowska (po 5%).

Kobiety upodobały sobie zwłaszcza inżynierię biomedyczną. Dla przykładu, na Politechnice Krakowskiej ich dominacja jest miazdząca – stanowią aż 84% ogółu studentów tego kierunku. Jak podpowiada Anna Knapińska, może to mieć związek z tym, że oprócz umiejętności technicznych kluczowa jest tu także wiedza medyczna i biologiczna, a to właśnie w tych obszarach płeć piękna przeważa zarówno wśród studentów, jak i pracowników naukowych. Topowy „żeński” kieru-

nek to również media kreatywne. Wybiera go 34% pań studiujących na niepublicznych uczelniach technicznych.

Autorka raportu zwraca też uwagę na kierunki IT, na których udział kobiet wzrósł z 13 do 15%. W ciągu ostatnich pięciu lat ten trend najbardziej zauważalny był na uczelniach technicznych, gdzie odsetek skoczył z 11 do 15% (na uniwersytetach wynosi 20%). Jedyńą uczelnią, na której na kierunkach informatycznych spotkać można więcej kobiet niż mężczyzn, jest Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (63%). Druga w tym zestawieniu jest Górnośląska Wyższa Szkoła Przedsiębiorczości w Chorzowie (47%), a trzecia – Szkoła Główna Handlowa (43%).

Najpopularniejszy kierunek IT, czyli informatyka, nauczany jest obecnie na 113 uczelniach. W Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Bielsku-Białej kobiety stanowią 22% studentów tego kierunku. Blisko tego wyniku były w roku akademickim 2018/2019: Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Uniwersytet Jagielloński oraz Akademia Morska w Szczecinie (po 19%).

Specjalny rozdział poświęcono w raporcie dziesięciu uczelniom badawczym wyłonionym w konkursie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W roku akademickim 2018/2019 studiowało na nich około 136 tys. kobiet (przy 105 tys. mężczyzn). Ta proporcja załamuje się, jeśli uwzględnimy wyłącznie kierunki nowo technologiczne. Na nich odsetek kobiet spada do poziomu 19%. Ale to i tak lepiej niż jeszcze 6 lat temu, gdy było 16%. W rankingu najpopularniejszych dominuje inżynieria biomedyczna, którą w ofercie mają Uniwersytet Mikołaja Kopernika (80% udział kobiet), Politechnika Gdańska (66%), Politechnika Śląska, Politechnika Warszawska i AGH (po 65%). Z kolei najwyższy udział studentek na kierunkach informatycznych ma zarządzanie informacją na UJ. Autorka raportu dodaje, że to właśnie na UJ obserwuje się od 2014 roku największy postęp w zwiększaniu udziału kobiet wśród studentów zarówno kierunków nowo technologicznych (z 20 do 32%), jak i informatycznych (z 16 do 30%).

Jak się okazuje, studentki osiągają też większą skuteczność w nauce. O ile we wszystkich uczelniach technicznych wśród rozpoczynających naukę w roku akademickim 2018/2019 stanowiły 42% ogółu studentów, to już w gronie absolwentów w 2019 roku jest ich prawie połowa – 48%. Na kierunkach nowo technologicznych udział ten wynosi jednak zaledwie 19%, a na informatycznych – ledwie o 1 punkt procentowy mniej. Poczieszeniem jest fakt, że i tu obserwowane są tendencje zwykłe.

Raport *Kobiety na politechnikach 2020* powstał w ramach organizowanej przez Fundację Edukacyjną „Perspektywy” akcji „Dziewczyny na politechniki”, w której OPI-PIB pełni rolę partnera.

MK

Kultura studencka (jeszcze) nie zginęła

– Nasza patronka mówiła, że nie ma nic piękniejszego od nauki. Dodam od siebie: od nauki i kultury studenckiej – w ten sposób prof. Urszula Bobryk, prorektor UMCS i kierownik artystyczny uczelnianego Chóru Akademickiego, rozpoczęła seminarium inauguracyjne Ogólnopolskie Forum Kultury Studenckiej.

W blisko dwugodzinnej dyskusji online stawiano diagnozy, mówiono o problemach, nie brakowało też pomysłów na przyszłość.

– Jeśli ktoś uważa, że kultury studenckiej już nie ma, że zanikła, to jest w grubym błędzie – przekonywał Michał Szandufła, dyr. programowy Centrum Kultury i Kształcenia Ustawicznego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. I wymieniał: dwa chóry, Klub Buda (jeden z najstarszych w Krakowie), Klub Akademicki Arka, Zespół Sygnalistów Myśliwskich „Hagard”, Studencki Zespół Góralski „Skalni”, a do tego grupy teatralne, kabaretowe, poetyckie... Na jego uczelni nie brakuje form, w których żacy mogą spełniać się w najbardziej twórczym okresie swojego życia.

Podobnie swoje instytucje prezentowali animatorzy z uniwersytetów: w Białymstoku, Gdańskiego, Opolskiego, Przyrodniczego w Poznaniu, Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach, Szczecińskiego, Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz politechnik: Częstochowskiej, Łódzkiej, Wrocławskiej i Śląskiej.

Wszyscy jednomyślnie zgodzili się co do tego, że kultura studencka w minionych dekadach przeszła radykalną metamorfozę. Zdaniem prof. Agnieszki Kolasy-Nowak z Katedry Socjologii Zmiany Społecznej UMCS ma to związek z umasowieniem studiów, nieustanną próbą pogodzenia walorów artystycznych z działalnością komercyjną i w związku z tym poszukiwaniem przez uczelniane placówki kulturalne swojej nowej tożsamości.

Maurycy Męczekalski, dyrektor Akademickiego Centrum Kultury i Sztuki UMK „Od Nowa” (będącego kontynuatorem tradycji legendarnego klubu o tej samej nazwie), podzielił się obserwacją, że o ile jeszcze pół wieku temu młodzi ludzie czynnie brali udział w życiu artystycznym, o tyle teraz przeszli w większości na pozycję odbiorców. – Oczywiście, jest grupa, która udziela się, tworzy, kreuje, ale reszta przeważnie pozostaje bierna. Dlatego działamy głównie jako insty-

tucja impresaryjna. Choć nadal z misją, rozumianą jako pokazanie, czym jest jazz, muzyka klasyczna, teatr alternatywny. Nie działamy tylko po to, by przypadkować się współczesnym gustom.

ACKiS organizuje w sumie osiem festiwali rocznie, w tym tak znane jak Toruń Blues Meeting czy Jazz Od Nowa Festival. Podczas Spotkań Teatralnych „Klamra” występują zespoły wywodzące się z tradycji kultury studenckiej, choć dziś już całkiem profesjonalne (np. Teatr 8 Dnia, Teatr Provisorium).

Mówiąc o zmianach, Tadeusz Goc, kierownik Uczelnianego Ośrodka Kultury z UPH, podkreślił konieczność dostosowania działalności do tego, co dzieje się wokół. – Większość studentów dzieli swój czas między wykłady i pracę. Zachęcenie ich do aktywności kulturalnej jest jeszcze trudniejsze niż kiedyś, gdy skupieni byli tylko na nauce. Jest to widoczne zwłaszcza w małych ośrodkach, takich jak nasz.

Internetowa debata pokazała jednak, że niezależnie od wielkości uczelni, w jakich działają, instytucje kulturalne łączą problemy, z którymi muszą się mierzyć.

– Jesteśmy zawieszani między resortami. W rozumieniu Ministerstwa Kultury i Sztuki nie jesteśmy instytucją kultury, tylko jednostką uniwersytecką, z kolei w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, co poniekąd zrozumiałe, kultura jest traktowana marginalnie – zauważył dyr. Męczekalski.

– Nie możemy jako uniwersytet być beneficjentem wielu konkursów, które dotyczą działalności kulturalnej. Musimy współpracować z różnego rodzaju stowarzyszeniami, nawet wtedy, gdy to my jesteśmy autorami inicjatywy. Sami nie możemy się jednak ubiegać o pieniądze – dodała Ewa Kokoszko, kierownik Zespołu Pieśni i Tańca UWM „Kortowo”. Wysłała więc z propozycją wypracowania wspólnego stanowiska, które zwróciłoby uwagę na środowisko tworzące kulturę studencką, pokazałoby jego jedność, a w perspektywie mogłoby pomóc w dążeniu do uregulowania kwestii finansowych.

Biorący udział w dyskusji mówili też o innych celach, jakie dzięki Forum można osiągnąć.

– Możemy się podpatrywać, inspirować, wymieniać doświadczeniami, a także naszymi zespołami. Bardzo łatwo dotrzeć do tych największych, ale w naszych ośrodkach są też małe, autorskie, z udzia-



Fot. Maciej Lachowicz

Forum Kultury Studenckiej

Akademickie Centrum Kultury UMCS Chatka Żaka rozpoczęło realizację projektu mającego na celu ożywienie kultury studenckiej poprzez określenie potrzeb studentów i warunków niezbędnych do rozwoju ich aktywności twórczej, opracowanie wytycznych dla ogólnopolskich programów wspierających rozwój kultury studenckiej i akademickich centrów kultury oraz stworzenie portalu internetowego sieciującego te jednostki. – Chcemy, aby w efekcie budowanej przez nas współpracy powstały rekomendacje, stanowiące podstawę do wsparcia i dalszego rozwoju kultury studenckiej w Polsce – mówi dr Izabela Pastuszko, zastępca dyrektora ACK, pomysłodawczyni i koordynatorka projektu.

Pierwszym zadaniem była analiza stanu kultury studenckiej. Wspólnie z Narodowym Centrum Kultury zrealizowano ogólnopolskie badanie na temat działań studentów w obszarze kultury. Wzięły w nim udział 1633 osoby. Prace sfinansowano z grantu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Za 150 tys. zł

przeprowadzono pogłębione wywiady, badania ankietowe, przeanalizowano videoblogi w serwisie YouTube. Większość studentów wykazuje chęć czynnego uczestnictwa w kulturze. Obecnie ma miejsce sieciowanie akademickich centrów kultury z całej Polski. Wyniki badań zostaną zaprezentowane w październiku 2020 r. na UMCS.

Kluczową częścią projektu będzie planowane na jesień 2021 r. Ogólnopolskie Forum Kultury Studenckiej w ACK UMCS Chatka Żaka. Organizację imprezy umożliwi dofinansowanie z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach programu Społeczna Odpowiedzialność Nauki w wysokości 350 tys. zł. Wnioski z tego spotkania w formie rekomendacji trafią do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Inicjatywa ma docelowo być działaniem cyklicznym, stale monitorującym kierunki rozwoju kultury studenckiej w Polsce.

(r)

tem tylko studentów, działające niekiedy tylko dwa, trzy lata. Fajnie byłoby je pokazać poza uczelniami – sugerowała Ewa Kokoszko.

Nawiązując do tego pomysłu, Łukasz Ptaszek ze Strefy Kultury Studenckiej Politechniki Wrocławskiej zwrócił uwagę na specyfikę szkół wyższych o profilu technicznym. – U nas na przykład jest duża dysproporcja między agendami kulturalnymi a kołami naukowymi. Mamy możliwości techniczne, realizatorów dźwięku, programistów, inżynierów, którzy projektują np. lasery, ale niekiedy brakuje po prostu kontentu artystycznego. Zaproponował więc, by w ramach Forum odbywał się transfer inicjatyw. Zamiast rozmawiać o wdrażaniu rozwiązań systemowych wypracowanych w jednym ośrodku, a z racji odmiennego otoczenia instytucjonalno-społecznego niekoniecznie sprawdzających się gdzie indziej, można by skupić się na ofercie kulturalnej, wychodząc z nią poza lokalną scenę i prezentując szerszemu niż dotąd gronu odbiorców.

– W tak dużych miastach jak Wrocław, w których występuje nad-reprezentacja projektów kulturalnych, tym studenckim trudno jest przebić się poza uczelniane mury i zamkniętą wspólnotę akademicką. Możliwość dotarcia do nowych widzów byłaby z pewnością prorozwojowym zastrzykiem dla twórców – przekonywał.

Prowadząca spotkanie Izabela Pastuszko, dyr. programowa ACK UMCS „Chatka Żaka” i pomysłodawczyni Forum, odpowiadała, że temu właśnie celowi będzie służyła tworzona właśnie specjalna platforma. – Chcemy pokazać studentów w poszczególnych ośrodkach, tak by nie oglądali jedynie samych siebie, ale też żeby mogli ich zobaczyć inni.

Kolejnym pomysłem, zgłoszonym przez Szymona Wolffa ze Studenckiego Centrum Kultury Uniwersytetu Opolskiego, jest coroczna gala, organizowana za każdym razem w innym mieście. Podczas niej nagradzane byłyby najciekawsze przedsięwzięcia ze wszystkich uczestniczących w Forum ośrodków. Dzięki temu podczas jednego wieczoru decydenci, czy to ministerialni, czy samorządowi, mogliby zobaczyć, jak wiele wartościowych projektów realizowanych jest w akademickich ośrodkach kultury.

Pierwsze tego typu spotkanie zaplanowano na jesień przyszłego roku w Lublinie.

(karma)



Fot. Jacek Mirosław

Kultura studencka w praktyce i w prawie

W maju Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego zajęła się kulturą studencką. Obok prezentujemy poświęcony temu zagadnieniu tekst prof. Lecha Śliwonika dostarczony uczestnikom debaty oraz wypowiedź prof. Ryszarda Koziółka, która jest próbą przywołania tego, co mówił podczas obrad RG.

W czerwcu Rada przedstawiła uchwałę poświęconą kulturze studenckiej. Czytamy w niej, że mimo starań środowiska akademickiego i wielu funkcjonujących w uczelniach zespołach artystycznych „sytuacja nie jest zadawalająca (...) można wręcz mówić o regresie w trzech obszarach: infrastruktury, finansów oraz wsparcia organizacyjnego, jak też o dotkliwym deficycie przestrzeni do obcowania studentów z kulturą”. Słabnącą rolę kultury w budowaniu kreatywności i kompetencji społecznych studentów, „przyszłych elit polskiego społeczeństwa”, Rada upatruje m.in. w ograniczeniu mecenatu państwa, komercjalizacji wszelkiej studenckiej aktywności, pojawieniu się kultury masowej oraz ogromnym wzroście liczby studiujących. Marginalizacja kultury jako części procesu kształcenia akademickiego skutkuje „wymiernymi stratami w obszarze polityki kulturalnej państwa, gdyż istotnie osłabia kulturotwórczą rolę absolwentów polskich szkół wyższych”.

Zdaniem Rady odpowiedzialność za kiepską kondycję kultury studenckiej ponoszą interesariusze uczelni, czyli sami ich pracownicy i studenci, ale także m.in. „instytucje regulacyjne”. Autorzy dokumentu widzą potrzebę podjęcia szybkich i skoordynowanych „działań rządu, władz uczelni oraz samorządów studenckich zmierzających do zmiany tego stanu rzeczy”.

W uchwale czytamy, że „oczekiwany kształt kultury studenckiej (...) nie będzie tożsamy ze znanym nam z przeszłości zjawiskiem, ale (...) powinien zachować (...) jej istotę i główne wartości”. A do tego potrzebny jest mecenat państwa w postaci „celowych programów Ministra właściwego do spraw kultury i dziedzictwa narodo-

wego oraz Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego”, skierowanych do uczelni. Mają one wesprzeć odbudowę przyjaznego klimatu dla kultury studenckiej i bezpośrednio dofinansować aktywność artystyczną studentów, która „jest ważnym, choć dziś w dużym stopniu zaniedbanym, elementem kształcenia na poziomie wyższym”.

Rada uznała nie tylko, że „dbałość o stan kultury studenckiej jest (...) obowiązkiem każdej szkoły wyższej”, ale także zaproponowała, aby „dać temu wyraz (...) w prawie o szkolnictwie wyższym”, podobnie, jak „ma to miejsce w odniesieniu do kultury fizycznej”. Stosowne zapisy zaproponował prof. Lech Śliwonik. Proponuje on, aby obecny art. 11, ust. 1 PSWN, dotyczący zadań uczelni, uzupełnić o zapis, że należy do nich także „upowszechnianie i rozwijanie kultury, stwarzanie studentom warunków do udziału w jej tworzeniu”. Zdaniem autora pomysłu chodzi o „nadanie kulturze właściwej rangi w życiu polskich uczelni oraz zapewnienie studentom wszystkich szkół wyższych możliwości udziału w tworzeniu kultury. W istocie chodzi o przywrócenie w prawie o szkolnictwie wyższym miejsca należnego kulturze”. Śliwonik przypomina, że „Takie miejsce miała ona we wcześniejszych ustawach z lat 1958, 1982, nawet (choć tu już doszło do osłabienia pozycji) 1990. Zmarginalizowania dokonano w ustawie z 2005 roku”, a podobne rozwiązanie utrzymano w ustawie PSWN z 2018 roku. Autor propozycji przypomina, że „rozwijanie i pielęgnowanie kultury narodowej” zostało po raz pierwszy zapisane wśród zadań szkół wyższych w ustawie z 1958 r., powtórzone w ustawach z 1982 i 1990 r. W roku 2005 zapis ten został osłabiony uzupełnieniem, że chodzi m.in. o „gromadzenie i udostępnianie zbiorów bibliotecznych i informacyjnych”. Podobną konstrukcję zastosowano w PSWN z 2018 r.

(rat)

Fotografie: ACK UMCS Chatka Żaka



Kultura studencka czym była, jak funkcjonowała

Narodziła się w latach politycznej „odwilży” i polskiego Października (1954–1956), jej intensywny, wszechstronny rozwój trwał do końca lat 70., a jej wpływy były żywe w następnych dziesięcioleciach. Była zjawiskiem wyjątkowym w dziejach Polski, nie mającym precedensu i kontynuacji. Wyjątkowym również w ówczesnej kulturze europejskiej. Za główne cechy tego zjawiska uznać trzeba kreatywność i otwartość. Kreatywność to oryginalność, poszukiwanie własnego języka wypowiedzi w sztuce oraz szeroko rozumianej aktywności społeczno-kulturalnej. Otwartość to czerpanie z wielu źródeł, zarówno z tradycji kultury ojczystej, jak i ze światowych dokonań, odkryć, prób i eksperymentów. Najsilniejszą jej manifestacją był teatr. Wielką moc miały także muzyka („okres katakumbowy” polskiego jazzu), piosenka (festiwal w Krakowie od 1962) i plastyka, a z drugiej strony chóry oraz zespoły pieśni i tańca. Równie ważne i płodne były nurt życia klubowego, obejmującego twórczość, edukację kulturalną młodego pokolenia, czynne uczestnictwo.

Warto przypomnieć kilka faktów. Pierwsze piętnastoletie – w trudnych przecież warunkach – to działalność 143 studenckich teatrów, prawie 80 zespołów jazzowych, 50 kabaretów, 40 chórów (światowa sława Chóru Politechniki Szczecińskiej Jana Szyrockiego). Odbywało się ponad 80 festiwali, w tym co 5 lat „reprezentacyjny” całonocny Festiwal Kultury Studentów, a co roku Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej FAMA (od 1966). Pracowały 62 kluby studenckie (środowiskowe, utrzymywane przez Rady Okręgowe ZSP oraz uczelniane), niektóre (warszawska Stodoła, gdański Żak, wrocławski Pałacyk) nazwać można kombinatami kultury. Były studenckie galerie, wydawnictwa, radiowęzły. Istnym fenomenem były studenckie czasopisma, poczynając od „Po prostu” (likwidacja – listopad 1957); w latach 1956–57 powstawały w niemal każdym ośrodku akademickim: „Kontrasty” Wybrzeże, „Wyboje” Poznań, „Poglądy” Wrocław, „Zebra” Kraków; miały też charakter ogólnopolski: „Od Nowa”, „Student”, „itd.”.

Rysem szczególnym kultury studenckiej było przekraczanie granic pokoleniowych i środowiskowych. Udział nie kończył się z uzyskaniem dyplomu uczelni, trwał przez następne lata, często dziesięciolecia. Rodziła się jako studencka, stała się kulturą młodej polskiej inteligencji (za symboliczny znak można uznać pojawienie się w „Po prostu” we wrześniu 1955 podtytułu „Pismo studentów i młodej inteligencji”, tym tropem poszły inne pisma studenckie). Jedyne raz w naszej historii swoje postawy wobec rzeczywistości, swoją aktywność społeczną i zawodową, swoje plany i marzenia wyrażała ona przez udział w aktach kreacji artystycznej i szeroko rozumianej aktywności kulturalnej.

Proces zamierania studenckiej kultury zaczął się ze stanem wojennym, finał osiągnął po transformacji ustrojowej, ale ślady oddziaływania można odnaleźć jeszcze w kolejnych dekadach, głównie w sferze postaw („mnie nie jest wszystko jedno” – Teatr STS), także za sprawą trwania i wpływu na młode pokolenie nadal działających zespołów artystycznych oraz dzieł twórców ukształtowanych w tamtych pokoleniach.

Kultura studencka funkcjonowała dzięki mecenatowi państwa. Podstawą istnienia była dotacja przyznawana z budżetu ministra ds. szkolnictwa wyższego, przekazywana Zrzeszeniu Studentów Polskich (utworzone w 1950 roku), reprezentatywnej i w zasadzie jedynej do 1980 roku organizacji skupiającej młodzież studiującą. W budżecie

uwzględniano najważniejsze segmenty działalności Zrzeszenia: nauka, kultura, turystyka i wypoczynek, sport. Rada Naczelna ZSP uchwała własną dokonywała rozdziału dotacji na rady okręgowe, kolejnym ogniwem były rady uczelniane, a także kluby, stałe przedsięwzięcia (festiwal). Środki „celowe” przekazywały Ministerstwo Kultury i Sztuki, Główny Komitet Kultury Fizycznej. Komórki Zrzeszenia, przede wszystkim kluby, prowadziły działalność dochodową, organizując środowiskowe i otwarte imprezy kulturalne, prowadząc działalność wydawniczą. Środki finansowe były pozyskiwane także od władz lokalnych (miasto, województwo), od przedsiębiorstw przemysłowych. ZSP zatrudniało własny aparat etatowych pracowników, większość zadań wykonywano społecznie, w różnych formach organizacyjnych (komisje, zespoły, kluby).

W 1973 roku zapadła decyzja o utworzeniu Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, w jej skład weszły: Związek Socjalistycznej młodzieży Polskiej, Związek Młodzieży Wiejskiej, Koła Młodzieży Wojskowej oraz ZSP, ale jako Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Młodzież akademicka odczuła to jako pozbawienie stowarzyszenia tożsamości. Realne skutki decyzji ujawniły się w 1975 roku, co widzieć trzeba w kontekście narodzin jawnej opozycji (KOR). Nakazanego upolitycznienia studenckiej organizacji nie zaakceptowała duża część twórców studenckiej kultury – odmawiano współpracy z kierownictwem SZSP, powoływano do życia alternatywne struktury (Rada Programowa Młodego Teatru 1976, Unia Teatrów Alternatywnych 1981). Zapowiedzią głębszych zmian była fala ruchów solidarnościowych. Powstanie Niezależnego Zrzeszenia Studentów (1980, oficjalna rejestracja 1981) zniosło monopol SZSP, ale na pozytywne skutki tego faktu zabrakło czasu. W stanie wojennym (1982) obie organizacje zostały rozwiązane.

Czy jest uzasadnione ustanawianie zjawiska „kultura studencka” i ulokowanie go w konkretnym, zamkniętym czasie? Zawsze jakaś część studentów uczestniczyła w życiu kulturalnym społeczeństwa, głównie jako odbiorcy, niekiedy jako twórcy. W opisywanym tu okresie studenci – jedyny raz w historii – tworzyli własną kulturę. To daje podstawę do wyodrębnienia.

Lech Śliwonik



Kultura trudnej przyjemności

Prof. Ryszard Koziołek, prorektor (i rektor elekt) Uniwersytetu Śląskiego, zastanawia się, jaką formułę ma mieć dzisiaj kultura studencka i jak realizują ją uczelnie.

Na Uniwersytecie Śląskim instytucje kultury studenckiej związane są z kształceniem, które bezpośrednio dotyczy: Wydziałem Artystycznym i Szkołą Filmową. Mamy swoje radio, telewizję, istnieją dwa chóry, zespół folklorystyczny; organizujemy festiwale, w tym międzynarodowy festiwal folklorystyczny. Mamy zatem sporo zinstytucjonalizowanych form kultury.

Oprócz tego jest to, co studenci robią poza tymi formalnymi ramami, do czego my zostaliśmy przyzwyczajeni w trakcie swoich studiów przed wielu laty. Posługiwanie się starym modelem kultury studenckiej – pamiętamy choćby z FAMY, modelem który wykreował wielkie nazwiska jak Grechuta, Demarczyk, czy „zjawiska”, jak Teatr Ósmego Dnia – nie ma dziś sensu, bo to zjawisko jest nie do powtórzenia i nie ma co za nim tęsknić. Ono było charakterystyczne dla pewnego okresu, gdy stanowiło alternatywę wobec kultury oficjalnej. Ta energia, którą emanowała wówczas kultura studencka, była związana z tym, że uczelnie były strefami większej wolności słowa, możliwości rozwijania swoich zdolności i koncepcji artystycznych w przestrzeni chronionej – tak bym nazwał ówczesny uniwersytet. Cenzura miała na uczelni mniejszy dostęp.

Demokracja umożliwiła młodym realizację siebie w różnych formach, które dawniej nie istniały bądź były reglamentowane przez władzę. Mamy Voice of Poland itp. Imprezy, gdzie młodzi mogą szukać uznania dla swoich talentów. Na czym dzisiaj ma polegać rola uczelni w tworzeniu miejsca, które ma sprzyjać kulturze studenckiej. Moim zdaniem to jest przede wszystkim sprzyjanie kulturze trudnej przyjemności, czyli zjawiskom awangardowym, które stawiają odbiorcy duże wymagania, nie są łatwe do skomercjalizowania. Studenci, którzy mają wysokie ambicje artystyczne i trudniej im znaleźć zainteresowanie, mecenat poza uniwersytetem, powinni móc znaleźć go na swojej uczelni. Także ministerstwo powinno dawać pieniądze na taką działalność, a może nawet animować takie inicjatywy, lub wspierać uczelnie, by promowały taką kulturę wymagającą. Zanim student zmierzy się z rynkiem kultury, z walką o przetrwanie, znalezienie pieniędzy na realizację swoich wizji artystycznych, miejsce na to powinien znaleźć w uczelni; ona ma mu umożliwić realizację swoich pomysłów artystycznych, wymagających, awangardowych. Powinna stwo-

rzyć odpowiednią przestrzeń. Przyszłość kultury studenckiej widziałbym na uczelniach, które sprzyjają kulturze trudnej przyjemności.

Studenci na pewno nie są, tak jak w moim pokoleniu, zainteresowani taką kulturą, nie ma w nich snobizmu poszukiwania i prezentowania rzeczy trudnych, nieoczywistej sztuki. W moim pokoleniu snobowaliśmy się na trudność. Im coś było trudniejsze do zrozumienia, ambitniejsze, tym bardziej pociągało, inspirowało – czasami miało to nieco komiczny charakter, ale generalnie sprzyjało zainteresowaniu bardziej wymagającymi formami kultury. Dzisiaj widzę tego mniej, a wynika to z kolosalnego wpływu mediów na świadomość twórczą potencjalnych czy rzeczywistych artystów studenckich. Są oni kuszeni przez wiele podmiotów możliwością sprzedaży efektów ich działalności. Na pewno jednak w każdej uczelni jest pewne grono ludzi ambitnych, poszukujących, którzy nie chcą iść na lep łatwej popularności czy pieniądza, którzy interesują się sztuką nie ze względu na jej komercyjny potencjał, ale też których potencjalne grono odbiorców jest niewielkie. Właśnie na uczelni mogliby eksperymentować, budować pierwszą publiczność, zanim wypłyną na szersze wody, jak twórcy sztuki ambitnej.

Kabaret Mumio pochodzi z Uniwersytetu Śląskiego. Swoją debiut miał w budynku filologii polskiej. Byłem na ich pierwszym programie w małej kawiarence przy placu Sejmu Śląskiego. To, co zaproponowali, było tak odlotowe, niepodobne do tego, co widzieliśmy wcześniej w kabarecie, że zwracało uwagę. Od tego skromnego występu w budynku uniwersyteckim zaczął się ich triumfalny pochód przez PAKĘ i inne przeglądy, które nadały im status gwiazdy. Mumio uważam za jedną z ostatnich erupcji kultury studenckiej, którą animowała PAKA.

Może właśnie teraz mamy przesilenie modelu uczelni, która ma jedynie realizować granty i publikować punktowane prace, kształcić kadry dla rynku pracy, specjalistów bez szerszych zainteresowań i horyzontów. Rośnie zapotrzebowanie na uniwersytet, który bada i kształci, ale jednocześnie jest instytucją i formą życia społecznego.

Notował Piotr Kieraciński

Fotografie: ACK UMCS Chatka Żaka



Komórki macierzyste: możliwości, nadzieje i ograniczenia

Prof. Józef Dulak, kierownik Zakładu Biotechnologii Medycznej Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, zastępca przewodniczącego Komitetu Biotechnologii PAN, pisze o ograniczeniach terapii komórkami macierzystymi i nadziejach z nimi związanych. Przypomina też stanowiska towarzystw naukowych zajmujących się terapiami komórkowymi.

Od ponad 20 lat rozbudzone są nadzieje związane ze stosowaniem komórek macierzystych. Komórek, mających zdolność do regeneracji uszkodzonych narządów, tak postrzeganych przez laików i tak definiowanych przez specjalistów. Komórek w powszechnym rozumieniu traktowanych jednak także jako panaceum na wiele nieuleczalnych dotychczas chorób. Znane są rzeczywiście skuteczne zastosowania komórek macierzystych w terapii chorób krwi, w leczeniu ciężkich uszkodzeń skóry oraz uszkodzeń rogówki. Istnieje szansa na opracowanie terapii kolejnych chorób dzięki intensywnie rozwijającej się wiedzy na temat właściwości, możliwości i ograniczeń różnych typów komórek macierzystych. Oczekiwania pacjentów oraz ich bliskich są w pełni zrozumiałe, podobnie jak chęci naukowców i lekarzy, by kosztowne badania przynosiły także efekty w postaci nowych, skutecznych sposobów leczenia, zwłaszcza niezwykle ciężkich chorób, dotykających dzieci.

Efektom tak rozbudzonych nadziei są jednak także sytuacje, które wywołują niepokój badaczy i lekarzy zajmujących się komórkami macierzystymi. Komórki macierzyste są bowiem różne i mają różny potencjał (Dulak J., *Komórki macierzyste: zastosowania, perspektywy, nieporozumienia*, „Nauka”, 1/2020; 990-123). W szczególności ograniczony jest potencjał regeneracyjny komórek macierzystych znajdujących się w ukształtowanym już organizmie (tzw. dorosłych lub inaczej tkankowych komórek macierzystych). Komórki krwiotwórcze znajdujące się w szpiku kostnym oraz krwi pępowinowej mogą regenerować krew i stąd ich skuteczne zastosowanie w chorobach krwi, ale ich sugerowana zdolność regeneracji innych tkanek, takich jak serce czy układ nerwowy, nie znalazła potwierdzenia w badaniach klinicznych. Podobnie w świetle obecnej wiedzy nie znajdują uzasadnienia znacznie wykraczające poza kontrolowane badania kliniczne szerokie zastosowania tych komórek, a także komórek określanymi jako macierzyste, a izolowanych z innych tkanek (np. tłuszczu, sznura pępowinowego), zastosowania do leczenia niezwykle różnych, mających odmienne podłoże chorób.

Na problemy związane z pojawianiem się licznych prywatnych klinik proponujących niepotwierdzone terapie, a także na zagrożenia wynikające ze stosowania zbyt łagodnych kryteriów dopuszczania terapii eksperymentalnych na pacjentach zwracają od lat uwagę odpowiedzialne organizacje naukowe. W roku 2016 ukazały się wytyczne International Society for Stem Cell Research (ISSCR) przestrzegające przed tego rodzaju ofertami (<http://www.isscr.org/docs/default-source/all-isscr-guidelines/guidelines-2016/isscr-guidelines-for-stem-cell-research-and-clinical-translation067119731dfff6d8bb37c7ff0000940c19.pdf?sfvrsn=4>).

W następnych latach wielokrotnie na brak skuteczności komórek pobieranych z różnych narządów i stosowanych do leczenia wad wrodzonych, dziedzicznych i nabytych chorób neurologicznych, chorób mięśni, oczu, skóry i innych zwracali uwagę badacze związani z Food

and Drug Administration, amerykańską agencją rejestrującą leki. ISSCR ponowiło swoje zastrzeżenia w czerwcu ub. roku, a we wrześniu ub. roku jego prezes, prof. Deepak Srivastava, prezydent Gladstone Institute w San Francisco, w zdecydowanych słowach przestrzegając przed stosowaniem jednego rodzaju komórek na wiele rodzajów chorób (<https://www.searchnew-world.com/search/search2.html?partid=sn-schbng&p=Don%27t+believe+everything+you+hear+about+stem+cells&subid=446>).



28 kwietnia b.r. jednoznacznie stanowisko przedstawił Komitet ds. Terapii Zaawansowanych Europejskiej Agencji Leków (Committee for Advanced Therapies European Medicines Agency). Tłumaczenie tego oświadczenia ukazało się na stronie Głównego Inspektora Farmaceutycznego (<https://www.gov.pl/web/gif/ostrezenie-ema-pred-stosowaniem-niepotwierdzonych-terapii-komorkowych>). Czytamy tam m.in.: „Z uwagi na ogromny wzrost liczby terapii komórkowych reklamowanych jako leki stosowane w leczeniu wielu poważnych

schorzeń, w tym nowotworów, chorób sercowo-naczyniowych, autyzmu, porażenia mózgowego, dystrofii mięśniowej i utraty wzroku, CAT ostrzega przed stosowaniem niepotwierdzonych terapii. Terapie takie mogą być nieskuteczne, zwiększać ryzyko poważnych działań niepożądanych, w tym infekcji, niepożądanych reakcji immunologicznych, powstawania nowotworów, utraty wzroku, krwotoków mózgowych, a nawet prowadzić do śmierci”.

3 czerwca b.r. ukazał się natomiast obszerny raport przygotowany przez europejskie akademie nauk i akademie medyczne, zrzeszone w European Academies Science Advisory Council (EASAC), którego członkiem jest także Polska Akademia Nauk. Informacje o tym raporcie, w tym jego pełne polskie tłumaczenie znajdują się na stronie PAN (<https://informacje.pan.pl/index.php/informacje/materialy-dla-prasy/3026-akademie-nauk-ostrezgaja-pred-cudownymi-terapiami-komorkami-macierzystymi>). W komunikacie prasowym EASAC przygotowanym w związku z publikacją raportu czytamy: „nadziei pokładanej w nowoczesnej medycynie zagrażają «cudowne» leki i szybkie ścieżki ich zatwierdzenia”. Raport EASAC zwraca uwagę na „narastający problem nieuregulowanych usług i produktów medycznych oferowanych przez prywatne kliniki”, a także „nadmierne rozluźnienia kryteriów zatwierdzenia terapii do stosowania na pacjentach”. Autorzy raportu mówią o „wywieraniu presji na ciała regulacyjne, aby przyspieszyły procedury autoryzacji dla terapii komórkowych i genowych, co z kolei skutkuje zwiększonym ryzykiem dla pacjentów”.

Także w Polsce od lat toczy się dyskusja na ten temat. Przed komplikacjami wynikającymi ze stosowania terapii komórkowych przestrzegało Polskie Towarzystwo Okulistyczne oraz Komitet Biotechnologii PAN. Polska Akademia Nauk planuje zorganizowanie 25 listopada 2020 r. konferencji naukowej poświęconej terapiom komórkowym i medycynie regeneracyjnej.

Rozmowa z prof. **Janem Szmidtem**, rektorem Politechniki Warszawskiej, przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich

Powinniśmy tę reformę przeprowadzić już dawno

Ustawa poszła w dobrą stronę, jest naszym sukcesem. Na ile uczelnie potrafią wykorzystać możliwości, które ona daje w zakresie kształtowania własnej struktury, kształcenia, badań, to już ich sprawa.

W ostatniej kadencji KRASP zaszły w tej organizacji zmiany – odeszły publiczne uczelnie zawodowe. Jak to wpływa na relacje z tą częścią akademii i jakie ma znaczenie dla KRASP?

Konferencja Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych została wpisana do ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce jako, powiedziałbym, równoległa do KRASP. Dlatego uczelnie te przestały być naszymi członkami. Nie oznacza to jednak, że zakończyliśmy współpracę. Przedstawiciele tych uczelni są zapraszani na nasze posiedzenia, a kilka z nich zdecydowało się płacić składki członkowskie i pozostało w KRASP w charakterze uczelni stowarzyszonych.

Jednak pojawił się pewnego rodzaju konflikt między uczelniami akademickimi i zawodowymi. Wyrażał się on np. w odmowie zgody na zatrudnienie wykładowców, pracowników uczelni akademickich, w uczelniach zawodowych.

To się zdarza. Polityka KRASP była jednak zawsze jednoznaczna. Publiczne uczelnie zawodowe są tak samo potrzebne jak uniwersytety, spełniają ogromną rolę kulturotwórczą w swoich regionach. Są tam cenione i dobrze traktowane, i w porozumieniu z władzami lokalnymi powinny funkcjonować. Wiem, że wiele uczelni akademickich ma podpisane umowy partnerskie z publicznymi uczelniami zawodowymi i wspiera je w różny sposób, także poprzez zgodę dla wykładowców na zatrudnianie w regionalnych uczelniach zawodowych. A co do konkurencji: każdy rektor chce mieć pracowników, którzy będą w pełni zaangażowani w działalność jego uczelni. Może w tym sensie – czasu pracy – te uczelnie stanowią jakąś konkurencję dla uniwersytetów. Bo jeśli w innym sensie, merytorycznym, to raczej źle świadczy o uniwersytetach, a nie o uczelniach zawodowych. Na pewno wielu studentów z małych miejscowości kształci się tylko dzięki temu, że ma w pobliżu uczelnię zawodową. Może potem, na studia drugiego stopnia, a nawet na doktorat, przyjadą oni na uniwersytet do ośrodka akademickiego, ale to oznacza, że uczelnie zawodowe przygotowują dla nas studentów drugiego stopnia, a to dobrze.

Jednak zawodowe coraz częściej chcą uzyskiwać uprawnienia do kształcenia na drugim stopniu, a nawet status akademicki.

Jeśli spełnią wymogi, to czemu nie. System jest otwarty. Każda uczelnia, która spełni wysokie standardy merytoryczne, może uzyskać status akademicki.

Zachodzą też konsolidacje zawodówek, np. w Sandomierzu z Uniwersytetem Jana Kochanowskiego w Kielcach, która nie budziła kontrowersji. Konsolidacja medycznej uczelni zawodowej w Opolu z Uniwersytetem Opolskim odbyła się jednak w bólach i atmosferze skandalu.

Tak to już jest, że to, co nowe, rodzi się w bólach. Nikt nie gwarantuje, że będzie łatwo, ale konsolidacje są wspierane, również finansowo, przez ministerstwo. Tu partnerem resortu jest Rada Główna, a KRASP tylko o tyle, że ma swoich reprezentantów w Radzie. Ogromny wpływ na losy lokalnych uczelni, w tym na konsolidacje, mają miejscowi politycy i samorządowcy. Ponieważ tworzymy jeden system szkolnictwa wyższego, musimy pilnować, żeby różne zdarzenia w obszarze naszej działalności były wolne od wpływów i motywacji innych niż merytoryczne.

Czy jednak te konsolidacje i starania o status akademicki uczelni zawodowych nie są wstępem do końca odmienności tego sektora szkolnictwa wyższego?

Nie wiem. Może tak być, ale byłoby źle, gdyby zniknęły z regionów publiczne wyższe szkoły zawodowe. Od tego jest ministerstwo i RG, by zachować odrębność tej grupy uczelni.

Do KRASP wchodzi coraz więcej uczelni niepublicznych, które uzyskały uprawnienia do nadawania stopni naukowych.

To naturalny proces. Uczelnie niepubliczne zaczęły odgrywać w krajobrazie naszego szkolnictwa wyższego bardzo ważną rolę. Mam na myśli te, które reprezentują naprawdę wysoką jakość swojej działalności. Jako uczelnie publiczne nie możemy tego faktu lekceważyć czy pomijać. To są nasi partnerzy w systemie szkolnictwa wyższego, którzy zapewniają jego różnorod-

ność, budują konkurencję. Także przez pryzmat jakości tych najlepszych szkół niepublicznych postrzegany jest na świecie nasz system szkolnictwa wyższego. Chcę podkreślić, że pandemia dotknęła wszystkich, uczelnie publiczne też, ale szczególnie dotknęła uczelnie niepubliczne. Jesteśmy w kontakcie z Federacją uczelni niepublicznych. Chcemy poczekać na rezultaty naboru na pierwszy rok. Może się okazać, że pandemia spowoduje krach finansowy tych szkół, w tym pierwszego uniwersytetu niepublicznego, a to byłoby bardzo niekorzystne z punktu widzenia systemu szkolnictwa wyższego. To byłoby zmarnowanie ogromnej wartości, która została zbudowana przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Nie możemy do tego dopuścić. Skoro nie możemy działać bezpośrednio, to musimy inspirować ministerstwo i rząd, aby zwróciły uwagę na to niebezpieczeństwo. Chcemy bronić tego sektora szkolnictwa wyższego, bo stanowi on ważny element naszego pejzażu akademickiego. Zapewne będą w nim zachodzić duże zmiany, w tym konsolidacje i przejęcia. Dopóki jednak są chętni do studiowania na tych uczelniach, dopóty są one potrzebne.

Przejdźmy do najważniejszej części działalności KRASP w tej kadencji, czyli reformy szkolnictwa wyższego.

Robiliśmy też wiele innych rzeczy...

Na przykład?

Opracowaliśmy i podpisaliśmy petycję do władz Unii Europejskiej na tematy związane z wolnością akademicką, wolnością nauczania i badań naukowych, bo zaczęło to w niektórych krajach źle wyglądać. Kolejną rzeczą, którą zajmowaliśmy się intensywnie, były wydarzenia, jakie miały miejsce w naszych uczelniach, a nie powinny. Musimy zachowywać pewne normy zachowań, formy, dobre praktyki akademickie. Nie wszyscy pracownicy, a nawet przedstawiciele władz uczelni zachowywali się zgodnie z kanonem akademickim. Zajmowaliśmy w takich sytuacjach stanowisko. Także w sprawach ważnych dla państwa, dotyczących sądów, Trybunału Konstytucyjnego czy wyborów w czasie pandemii, bo takie było zapotrzebowanie naszego środowiska. Ostatnie miesiące to intensywna praca wraz z MNiSW dotycząca funkcjonowania uczelni w dobie pandemii.

Wróćmy jednak do reformy, która zmieniła pejzaż naszego szkolnictwa wyższego.

To prawda. Zmieniła wszystko: duża autonomia, zmiana kompetencji organów uczelni, inne niż dotychczas organy ustawowe, w tym jeden nowy – rada uczelni, choć przecież można powoływać własne, dodatkowe organy. Nie ma już ustawowych jednostek podstawowych. Każda uczelnia może sama określać swoją strukturę. Kształcenie doktorantów zmieniło się fundamentalnie: dziś to nie są studia trzeciego stopnia według systemu bolońskiego, ale kształcenie elity naukowej wyposażonej w kompetencje i narzędzia do samodzielnej pracy badawczej.

Szkoły doktorskie muszą być wielodyscyplinowe. Habilitacja nie jest już wymogiem awansu naukowego. Uczelnia jest ewaluowana w dyscyplinach, a nie przez jednostki. Ustawa pozo- stawia wiele obszarów nie regulowanych, delegując je do rozstrzygnięć statutowych samym uczelniom.

Jak pan, jako rektor jednej z największych i najlepszych polskich uczelni oraz jako szef KRASP, skomentuje te zmiany, ich sens, celowość?

Wyszliśmy z reformy z tarczą. Powinniśmy tego typu zmiany przeprowadzić już dawno. Nie udało się to w pełni, nie potrafiliśmy wielu nowości zaakceptować, musimy się jeszcze z nimi oswoić, przywyknąć do nich, do nowego, bardziej odpowiedzialnego sposobu myślenia o uczelni. Teraz więcej zależy od nas samych. W końcowej fazie tworzenia ustawy bardzo wiele do powiedzenia miały różne gremia pozauczelniane: związki zawodowe, samorządy, politycy. Pojawiły się w związku z tym zapisy, które nie były proponowane przez nasze ministerstwo i środowiska akademickie, a dotyczące np. zatrudniania sędziów i profesorów tytularnych na stanowiska profesora. Trudno nam je zaakceptować, gdyż są sprzeczne z zasadą autonomii uczelni. Nie możemy jednak przez pryzmat tych zdarzeń oceniać całej ustawy. Ona poszła w dobrą stronę, jest naszym sukcesem. Na ile uczelnie potrafią wykorzystać możliwości, które ona daje w zakresie kształtowania własnej struktury, kształcenia, badań, to już ich sprawa.

Czy za tą ustawą poszło odpowiednie finansowanie?

Przyznam szczerze, że przy wydatkach, które rząd zaplanował w 2015 roku i latach następnych, byłem sceptyczny co do tego, czy w ogóle można myśleć o jakichkolwiek zwiększonych nakładach na naukę. A jednak! Uczciwie mówiąc, one są wyższe. Nasze ministerstwo okazało się na tyle silne, żeby te wzrosty nakładów przeforsować w rządzie. Dotacja wzrasta z roku na rok; nie tak, jak chcieliśmy, bo tak zwaną „drabinkę” politycy wyrzucili z ustawy. Pojawiły się inicjatywy doskonałości – Regionalna i Uczelnie Badawcze, a z nimi kolejne środki w postaci obligacji. Najpierw uznaliśmy to za coś dziwnego, ale damy sobie z tym radę. Pojawiły się – też w postaci obligacji – środki inwestycyjne. Może nie takie, jak byśmy chcieli, ale są. Ostatnie wyniki finansowe uczelni pokazały, że praktycznie wszystkie publiczne w Polsce były na plusie, czyli dostały potrzebne pieniądze i dobrze nimi gospodarowały. Takiej sytuacji nie mieliśmy już dawno. Wciąż jednak, choć rosnące, są to środki dwukrotnie za niskie w porównaniu z rozwiniętymi krajami.

Czy uczelnie sensownie wykorzystały zmianę z dotacji na subwencję?

Każda uczelnia jest autonomiczna, ma swój rozsądek i wydaje pieniądze na to, co uzna za najważniejsze w danej



Prof. dr hab. inż. **Jan Szmidi** (ur. w 1952 r.) jest specjalistą z zakresu mikroelektroniki oraz technologii cienkich warstw. Jego badania dotyczą głównie technik plazmowych na potrzeby wytwarzania cienkich warstw dielektrycznych i półprzewodnikowych oraz wykorzystywania plazmy w processingu struktur i przyrządów półprzewodnikowych. Specjalizuje się też w zagadnieniach wytwarzania i charakteryzacji struktur i przyrządów półprzewodnikowych z udziałem szerokopasmowych półprzewodników, tj. diamentu, GaN, SiC i grafenu. W dorobku naukowym ma m.in. 4 monografie i ponad 400 innych prac naukowych. Jest współautorem lub autorem 12 zgłoszeń patentowych oraz ponad 50 raportów z projektów badawczych. Pracuje w Instytucie Mikroelektroniki i Optoelektroniki na Politechnice Warszawskiej. Był dziekanem Wydziału Elektroniki i Techniki Informatycznych, a od 2012 roku pełni funkcję rektora Politechniki Warszawskiej. Od 2016 przewodniczy Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Był współorganizatorem NSZZ „Solidarność” na Politechnice Warszawskiej.

chwili i potrzebne w perspektywie własnego rozwoju. Problem z subwencją jest taki, że przez wiele lat nauczono nas, że wolno tylko to, co wolno. Wciąż mamy kontrole, które wytykają nam różne rzeczy, w tym sposoby wydatkowania środków. Zatem chcielibyśmy czasem wiedzieć, jak możemy wydawać pieniądze z subwencji, zamiast korzystać z wolności, którą ona nam daje. Wciąż wolimy zapytać, chcemy jasnych wskazówek. Z czasem ukształtują się dobre praktyki związane z wykorzystaniem subwencji. Na pewno był to bardzo dobry ruch.

Mówiliśmy już o zagrożeniu, jakie pandemia niesie dla uczelni niepublicznych. A co z publicznymi? Czy zmiana sposobu funkcjonowania się utrwali, czy jest tylko zjawiskiem chwilowym?

Pandemia niesie ze sobą dodatkowe koszty. Po pierwsze utracone korzyści – bo przecież utrzymujemy majątek, który normalnie nam służy i za którego użytkowanie ktoś nam płaci. Teraz na przykład nie ma konferencji, akademiki są puste, badania idą w wolniejszym tempie. Zdalne konferencje wcale nie ułatwiają, a w większości przypadków wręcz utrudniają porozumiewanie się. Kłopotów jest wiele. Drugie źródło kosztów i strat to szereg wymogów epidemiologicznych: dezynfekcje, wyłączenie pewnych elementów uczelni. Straty wahają się od kilkudziesięciu tysięcy do kilku milionów złotych w różnych uczelniach przez te kilka pandemicznych miesięcy. Są też skutki merytoryczne. Kształcenie zdalne nie zastąpi bezpośrednich relacji studentów z wykładowcami. Studia to nie tylko sztywna wiedza, informacje i procedury, ale także formacja intelektualna. Tej się zdalnie nie zdobędzie. Owszem, niektórym może się podobać obecna sytuacja i stosowane rozwiązania, bo np. nie muszą przychodzić co dzień do pracy, ale nie ma to nic wspólnego z prawdziwą działalnością uczelni. Tzw. MOOC, kursy on-line organizowane od lat np. przez największe uniwersytety amerykańskie, wykazują bardzo niską efektywność. Nie ma możliwości zastąpienia normalnych zajęć zajęciami zdalnymi. To rozwiązanie czasowe, a na pewno nie docelowe. Natomiast powinniśmy w maksymalnym stopniu wykorzystywać to tam, gdzie to możliwe. Jednak po wykładach on-line musimy zrealizować zajęcia projektowe, seminaria i tak dalej. Kształcenie uniwersyteckie to nie jest szkoła. Tu nie każemy nauczyć się czegoś na pamięć. Tu się uczymy samodzielnego myślenia, krytycyzmu, zdobywamy umiejętności do pracy i aktywności własnej. Kształcimy przyszłą elitę. Najlepsze uczelnie na świecie wiedzą, że tego nie da się zrobić zdalnie. Być może jeszcze semestr czy rok będziemy korzystać z metod zdalnego nauczania czy też hybrydowych, tj. oprócz zdalnych wykładów, będą realizowane rzeczywiste zajęcia w laboratoriach i pracowniach. Na pewno w tej chwili nie możemy przyjąć z powrotem do akademików tysięcy studentów, bo gdy pojawi się jeden zarażony student, wkrótce cały akademik stanie w płomieniach epidemii. Kształcenie na odległość ma pewne zalety. Ono wiele nas nauczyło. Poznaliśmy technologie i narzędzia, o których nie mieliśmy pojęcia. Ogromna część kadry ma powyżej 50 lat, jest spoza dziedzin technicznych i te narzędzia były jej obce. Teraz umie je stosować, „zaprzyjaźniła” się z nimi. Może wykorzystacie je w przyszłości do różnych celów. Nie tylko kształcimy zdalnie, ale prowadzimy egzaminy, nadajemy stopnie naukowe, prowadzimy wybory organów uczelni. To są nowe narzędzia, których nauczyliśmy się używać. Musimy wykorzystać dla przyszłości to, co wydaje się obecnie ogromnym obciążeniem i kłopotem. I zapewne tak zrobimy.

Czy wyodrębnienie uczelni badawczych nie wprowadziło trwałego podziału w szkolnictwie wyższym?

Nie. Każda uczelnia się rozwija. Uczelnie z mniejszych miast mają znacznie większe możliwości pozyskiwania środków regionalnych niż uniwersytety z dużych ośrodków i to może być

ich atutem. Uczelnie badawcze, które podejść serio do swojej misji, będą nadawały rytm rozwojowi szkolnictwa wyższego, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby zmobilizowane uczelnie spoza tej grupy uzyskały w przyszłości ten status, wypychając z tego grona te, które nie dość poważnie potraktowały swoją misję lub po prostu nie dały rady. Nie słyszałem, aby ktoś w Anglii protestował przeciwko Cambridge czy Oxfordowi, także przeciwko specjalnemu finansowaniu. Te uczelnie przydają prestiżowi całemu systemowi brytyjskiego szkolnictwa wyższego, nadają mu charakter i ciągną je w górę. To przez ich przyzmat jest ono widziane na świecie. Chciałbym, aby nasze uczelnie badawcze w ten sam sposób oddziaływały na nasze szkolnictwo i jego odbiór w świecie.

Wciąż jest kłopot z ewaluacją...

Tak. W tej chwili nawet trudno się na ten temat wypowiadać. Był projekt, żeby pominąć w ocenie lata 2017-18 i ewaluować tylko ostatnie trzy lata, gdyż ewaluacja została z powodu pandemii przesunięta o rok, ale zdaje się, że upadł. A jak będzie wyglądała, trudno mi dziś ocenić.

Jak by pan podsumował te cztery dość wyjątkowe lata pracy KRASP?

To był faktycznie trudny czas. I nie chodzi mi tylko o to, co się w tym czasie wydarzało w Polsce i na świecie, ale także z powodu dużego oporu części naszego środowiska przeciwko reformie nauki i szkół wyższych. To nieprawda, że akademicy w całości byli w stanie zgodzić się na zmiany i zaakceptować reformę. Niemniej jednak większość ją poparła, podjęła trud jej wdrożenia dla dobra nie tylko środowiska, ale i kraju. To, jaki ona przybrała ostatecznie kształt, jest dalekie od ideału, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby korzystać z naszych doświadczeń we wdrażaniu nowych rozwiązań i poprawiać to, co zostało źle zaplanowane lub przyniosło skutki, których nie przewidzieliśmy.

Co czeka KRASP w kolejnej kadencji?

Naszym zadaniem jest dbanie o interesy nauki i szkół wyższych, o pielęgnowanie i rozwijanie dobrych praktyk środowiska akademickiego, ale także o interesy kraju. Mam nadzieję, że rektorzy kolejnej kadencji będą kontynuowali naszą działalność, poprawiali niedociągnięcia reformy i dbali o uczelnie w duchu poszanowania wartości akademickich, twardo stawiali sprawy dobrych obyczajów. Że będą pamiętali, że jesteśmy elitą, która ma duże znaczenie dla państwa i narodu. Nadal musimy zabiegać o wyższe finansowanie szkół wyższych. Powinno ono w Polsce wzrosnąć dwukrotnie, bo daleko nam wciąż do poziomu europejskiego. Trzeba dopilnować sposobu ewaluacji, wydania odpowiedniej jakości aktów prawnych, rozporządzeń dotyczących tej ważnej sfery, aby umożliwiły dalszy rozwój uczelni i instytucji.

Co by pan poradził swojemu następcy na stanowisku rektora Politechniki Warszawskiej oraz przewodniczącemu KARSP?

Rektorowi poradziłbym, żeby współpracował ze wszystkimi ludźmi i środowiskami uczelni i nie dopuścił do tego, aby w Politechnice Warszawskiej istniały różne ośrodki władzy. Uczelnia jest jedna i musi jednolicie realizować swoją misję kształcenia młodzieży, rozwoju kadry i badań naukowych. Szefowi KARSP poradziłbym: spotykaj się z ludźmi, rozmawiaj, słuchaj, dobrać sobie do współpracy takie prezydium, które dobrze będzie doradzać i podejmie aktywnie obowiązki, jakie się pojawiają. Występuj we wszystkich sprawach, które rektorzy uznają za ważne dla szkolnictwa wyższego i Polski.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Rozmowa z prof. **Zygmuntem Litwińczukiem**, rektorem Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie

Przewartościowanie uniwersytetu

Gospodarstwa pełnią ważną rolę w działalności uniwersytetu. To tam kształcimy praktycznie studentów wielu kierunków. Są one też miejscem wielu badań naukowych, zwłaszcza pilotażowych. Trudno sobie wyobrazić działalność tego typu uczelni bez zaplecza w postaci gospodarstw i stacji doświadczalnych.

Gdy kandydował pan na rektora Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, miał pan określoną diagnozę stanu uczelni i program jej rozwoju. Proszę przypomnieć.

Trzeba sięgnąć do przeszłości. W latach 1990-96 jako czterdziestoletni pracownik byłem dziekanem Wydziału Zootechnicznego i w 1996 r. namawiano mnie do kandydowania na rektora. Wybory wtedy przegrałem: na pięciu kandydatów zająłem trzecie miejsce. Po sześciu latach, w 2002 roku, znów startowałem – wszedłem do drugiej tury i przegrałem. Uznałem wtedy, że moja chęć włączenia się w zarządzanie uczelnią nie znajduje poparcia, a w związku z tym, że ta moja misja jest skończona. Zagłębiłem się w badania naukowe, napisałem kilka książek, zrealizowałem kilka projektów badawczych. W 2016 r. urzędujący wówczas rektor kończył drugą kadencję. Gdy Senat uchwalił ordynację wyborczą, jedna z gazet lubelskich przytoczyła siedem nazwisk potencjalnych kandydatów, nie było wśród nich mojego nazwiska. Wówczas jeszcze nie myślałem o rektorstwie. O ile zabiegałem o tę funkcję w latach 90., o tyle w 2016 początkowo nie. Byłem wtedy członkiem Centralnej Komisji i wiceprzewodniczącym Komitetu Nauk Zootechnicznych PAN. Miałem co robić.

Ale o sprawach uczelni wypowiadał się pan publicznie choćby na łamach „Aktualności UPL”.

W naszych „Aktualnościach” przedstawiałem czasami swoje opinie, zwłaszcza na temat nauki, badań. Były one zwykle krytyczne w stosunku do uczelnianej praktyki. Jeśli niegdyś mieliśmy około 11 tys. studentów, a w roku 2016 około 9 tys., to nie miało sensu utrzymywanie stanu zatrudnienia i sprzedawanie majątku uczelni, aby ludziom płacić pensje. Byliśmy chyba jedyną szkołą wyższą, która wciąż funkcjonowała na starych systemach zarządzania i finansowania. Nie było przełożenia finansowania na jednostki naukowe. To, ile jednostka wydawała, nie miało ścisłego związku z tym, ile faktycznie dołożyła do budżetu uczelni. Swoim opiniom dawałem wyraz publicznie także na Senacie. Zaproponowano mi wówczas kandydowanie i zgodziłem się.

To teraz proszę opowiedzieć o pana pomysły na reformę uczelni.

Mieliśmy przerost zatrudnienia kadry nauczycielskiej w stosunku do liczby studentów, przerosty zatrudnienia w administracji i duże rozdrobnienie jednostek. Trudno było tym

zarządzać. Po wygraniu wyborów i objęciu funkcji zacząłem od pewnego przewartościowania. Moje opinie były środowisku znane, bo jak pan zauważył, wcześniej wypowiadałem je publicznie. Dla nikogo nie było więc zaskoczeniem to, co robiłem, w jakim kierunku reformowałem uczelnię. Dotychczasowy system zarządzania nie sprawdził się. Dobrze, że mamy gospodarstwa doświadczalne, majątek, z którego można dokładać do bieżącej działalności. Ale taka forma i kierunek działania nie miały przyszłości. Bodaj ostatnim rokiem, w którym uczelnia wydawała tyle, ile pozyskiwała, był rok 2012. Potem przyszły lata trudne, gdy „przejadaliśmy” majątek, na szczęście nie do końca. Dopiero w roku 2018, czyli po dwóch latach mojego działania, udało się nam zamknąć finanse uniwersytetu na plusie. W roku 2019 wypracowaliśmy ponad 16 milionów zysku.

Mówił mi pan niegdyś o likwidacji wielu jednostek.

Tak. Mieliśmy nadmierne rozproszenie potencjału. W wyniku restrukturyzacji, likwidacji i konsolidacji różnych jednostek, jest ich teraz o 25% mniej niż dwa lata temu.

Zlikwidował pan 18 jednostek?

Tak. Także zatrudnienie zmniejszyło się o ponad 200 osób, przy czym połowa to obsługa i administracja, a połowa to pracownicy naukowcy. Nie wyrzucałem jednak ludzi na bruk. Po prostu nie otwierałem nowych etatów, gdy pracownicy kończyli pracę – odchodzili na emeryturę czy przechodzili do innych instytucji.

Czy dobre wyniki kategoryzacyjne przełożyły się pozytywnie na finansowanie uczelni?

Tak, subwencja jest trochę większa niż kilka lat temu: w 2017 r. dotacje z budżetu państwa wynosiły niecałe 116 mln złotych, a w 2020 subwencja wyniosła ponad 136 mln.

Na co zostały przeznaczone te środki?

Początkowo na zrównoważenie budżetu uczelni, a w ostatnich dwóch latach także na podwyżki płac.

Proszę powiedzieć, jak wyglądały podwyżki w UPL?

Ponieważ wszędzie ograniczyliśmy liczbę stanowisk, to każda grupa przyjęła większe zobowiązania, zatem każda



Prof. **Zygmunt Litwińczuk** (ur. w 1950 r.) jest zootechnikiem. Specjalizuje się w hodowli i użytkowaniu bydła, hodowli zwierząt i ocenie surowców zwierzęcych. Jest autorem lub współautorem około 400 prac naukowych. Doktorował się na Akademii Rolniczej w Lublinie, a habilitował na Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Profesurę uzyskał w wieku 40 lat. Wykładał też na Akademii Podlaskiej, potem Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym w Siedlcach. W lubelskiej uczelni pełnił funkcję dziekana Wydziału Zootechnicznego; kierował też Katedrą Hodowli Bydła, a później Hodowli i Ochrony Zasobów Genetycznych Bydła. Od 2016 r. jest rektorem Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Był członkiem Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów oraz Komitetu Nauk Zootechnicznych PAN. Należy do Lubelskiego Towarzystwa Naukowego i Polskiego Towarzystwa Technologów Żywności. Był prezesem Polskiego Towarzystwa Zootechnicznego. Otrzymał doktoraty honorowe: Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach (2008), Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie (2013), Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu (2016), a ostatnio najwyższą godność akademicką przyznał mu Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie.

dostała podwyżkę. Średnia płaca w ostatnich dwóch lat wzrosła o ponad 10%.

W ostatnich latach zbudowaliście dwa nowe wielkie obiekty na ulicy Głębokiej. Jak te inwestycje mają się do Centralnego Laboratorium Aparaturowego na Felinie i w ogóle do zaplecza uniwersytetu?

Powołanie Centralnego Laboratorium Aparaturowego to była dobra myśl, ale realizacja nam trochę nie wyszła. Po pierwsze, to było daleko od centrum uczelni, które mamy w okolicach ulic Akademickiej i Głębokiej. Po drugie, działało ono w wynajętych pomieszczeniach, a czynsz kosztował nas pół miliona złotych rocznie. Likwidacja CLA była jedną z tych decyzji, która racjonalizowała wydawanie środków. Fakt, że funkcjonowało ono w wynajętych pomieszczeniach, ułatwił nam likwidację tej jednostki. Pierwszego lutego 2019 roku powołałem Centralne Laboratorium Badawcze, które mieści się na ulicy Głębokiej w naszym własnym obiekcie.

Musiał pan sprzedawać majątek, żeby poprawić kondycję finansową UPL?

Nie sprzedałem nic. Mamy jednak za Instytutem Agrofizyki PAN jedną działkę z budynkiem, która leży zupełnie poza naszymi kampusami. Należałoby ją sprzedać, żeby pozbyć się obiektu, który trudno włączyć w system zarządzania uczelnią.

Zatem będziecie mieć wszystkie obiekty w dwóch zwartych kampusach: w Miasteczku Akademickim i na Felinie?

Nie. Mamy też budynki na ul. Leszczyńskiego. Tam jest nasz najstarszy obiekt, związany z początkami uniwersytetu. Dzisiaj mieści się tam instytut i dwie katedry z Wydziału Agrobiotechnologii, czyli naszego dawnego Wydziału Rolniczego. Teoretycznie byłoby dobrze przenieść je na kampus, ale pracownicy mają sentyment do tego miejsca. Ja też mam sentyment do historii uczelni. Niemniej, dwa obiekty, jeden na Felinie, a drugi na Leszczyńskiego, po Wydziale Ogrodnictwa, który przenosi się w znacznej części na Felin, oddajemy na wynajem. Mamy wreszcie Wydział Nauk o Żywności i Biotechnologii na ul. Skromnej. Zatem infrastruktura jest wciąż w jakimś sensie rozproszona, choć zrobiliśmy trochę, by ją skonsolidować. Wydział Ogrodnictwa cieszy się teraz mniejszym zainteresowaniem, a co za tym idzie – spada dotacja na tę jednostkę. Jednak przynajmniej milion z obligacji, które dostaliśmy z MNiSW, przeznaczymy właśnie na remont i doposażenie szklarni tego wydziału na Felinie.

Słabe strony uczelni?

Słabą stroną było zarządzanie nauką. W 2017 r. przekształciliśmy dotychczasowy Dział Nauki, wyodrębniając dwa zespoły: ds. projektów i programów oraz ds. badań naukowych. Dzięki temu liczba złożonych projektów podwoiła się. Aktualnie reali-

zujemy 76 projektów o wartości 85 mln złotych, czyli największą liczbę i kwotę w historii uczelni. Dziś to chyba już nie jest słaba strona. Pozostaje jeszcze umiędzynarodowienie, w którym jesteśmy na końcu wśród lubelskich uczelni. Ale też podejmujemy działania, aby zmienić tę sytuację.

Mocne strony?

Podkreśliłbym silne związki z regionem i zbilansowany budżet. Otworzyliśmy kilka nowych kierunków, które cieszą się zainteresowaniem młodzieży, np. biokosmetologia, pielęgnacja zwierząt i animaloterapia, biobezpieczeństwo i zarządzanie kryzysowe. Jako jedyni w Polsce – można powiedzieć, że to nasza specjalność – mamy kierunek hipologia i jeździectwo. On nabiera teraz przyspieszenia. Z obligacji budujemy na Felinie nowy ośrodek badawczo-dydaktyczny związany z tym obszarem badań i kształcenia. Będzie on otwarty także dla mieszkańców miasta, szczególnie w zakresie hipoterapii i jeździectwa – będą tam m.in. trzy kryte ujeżdżalnie. Otrzymaliśmy, jako jedna z dwóch uczelni rolniczych, grant z Regionalnej Inicjatywy Doskonałości dotyczący opracowania alternatywnych systemów produkcji i pakowania żywności, które zapewniają zachowanie związków bioaktywnych ważnych w profilaktyce chorób cywilizacyjnych.

Dziwi mnie, że nie wspomina pan o banku genów zwierząt hodowlanych.

Rzeczywiście, w naszych gospodarstwach i stacjach doświadczalnych utrzymujemy stada zachowawcze rodzimych ras zwierząt. To jest jeden z charakterystycznych dla nas, obok hipologii i jeździectwa, kierunków badań czy szerzej – działań, bo chodzi nie tylko o badania, ale o zachowanie i ochronę bioróżnorodności, w tym wypadku o zachowanie rodzimych ras zwierząt. Mamy bydło białogrzbięte, konika polskiego, kuca felińskiego, owce uhruskie i świniarki, świnię puławską, kurę zielononózkę, kurę polwar, lisa pastelowego. Nosimy się z zamiarem utworzenia Regionalnego Centrum Hodowli Rodzimych Ras Zwierząt w gospodarstwie doświadczalnym w Uhrusku.

To zapewne kosztowna działalność, która nie przynosi zysków. Czy jest ona w jakiś specjalny sposób finansowana?

Rasy rodzime są wspierane ze środków Unii Europejskiej. Na przykład do jednej krowy rasy białogrzbiętej jest dotacja w wysokości ok. 1600 złotych rocznie. Natomiast na badania składamy wnioski o granty. Typowy bank genów prowadzi Instytut Zootechniki w Krakowie. Oni gromadzą tkanki, materiał biologiczny, a nie żywe zwierzęta. My utrzymujemy zwierzęta w stadach zachowawczych.

To są wystarczające środki?

Nie, ale pozwalają nam utrzymać stada. Dopiero w połączeniu z grantami, daje to możliwość prowadzenia na tych rasach zwierząt

badani i publikowania wyników w dobrych czasopiśmie. To właśnie, a nie sama hodowla zachowawcza, jest nam potrzebne do ewaluacji.

Jak nowy podział dyscyplin rolniczych wpłynął na taką uczelnię jak UPL?

Trudne wydawało się połączenie rolnictwa z ogrodnictwem. Generalnie w środowisku było to przyjęte sceptycznie, natomiast w przypadku naszej uczelni, gdy w ostatnich latach ogrodnictwo wykazuje słabsze tempo rozwoju, pozyskuje mniej środków finansowych i nie cieszy się tak dużym jak dawniej zainteresowaniem studentów, to jest po prostu ratunek. Może się to przyczynić do tego, że ogrodnictwo przetrwa i będzie się rozwijać. Pozostałe dyscypliny w zasadzie się nie zmieniły. Dużym zaskoczeniem było przeniesienie inżynierii rolniczej do dziedziny nauk inżynieryjno-technicznych.

W ilu dyscyplinach prowadzą badania pracownicy UPL?

Mamy siedem dyscyplin, które będą poddane ocenie. Do dziedziny nauk rolniczych należą: rolnictwo i ogrodnictwo, weterynaria, zootechnika i rybactwo, technologia żywności i żywienia. Dziedzinę nauk inżynieryjno-technicznych reprezentują inżynieria mechaniczna oraz inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka. Dziedzinę nauk ścisłych i przyrodniczych – nauki biologiczne. Najmniejszą liczebnie dyscypliną jest ekonomia i finanse, ale nie poddamy jej ewaluacji, ponieważ reprezentuje ją mniej niż wymagane przepisami dwunastu badaczy.

A jak się mają tradycyjne dyscypliny rolnicze?

Każdego roku przyjmujemy na rolnictwo i zootechnikę po około 30 osób, na ogrodnictwo około 20 osób. Nie jest to tak dużo jak dawniej, ale możemy te kierunki prowadzić. Dużym zainteresowaniem cieszą się weterynaria i technologia żywności. Nie możemy pozostać tylko na tych tradycyjnych kierunkach i dyscyplinach, gdyż wtedy musielibyśmy zrobić ogromne cięcia kadrowe. Uczelnia przeszła zatem głęboką restrukturyzację, a może nawet zmianę oblicza. Powstała w 1955 roku jako Wyższa Szkoła Rolnicza z trzema wydziałami: rolnym, weterynaryjnym i zootechnicznym. W 1970 r. do tych trzech doszły Wydział Ogrodnictwa i Wydział Techniki Rolniczej. W 1972 r. uczelnia stała się Akademią Rolniczą. Do tych pięciu wydziałów doszedł w 2005 r. Wydział Nauk o Żywności i Biotechnologii. W 2008 r. nastąpiła ostatnia zmiana: uzyskaliśmy status Uniwersytetu Przyrodniczego. W 2019 r., gdy uzyskaliśmy prawo doktoryzowania w naukach biologicznych, powołaliśmy Wydział Biologii Środowiskowej, który jest zwieńczeniem i potwierdzeniem naszego statusu uniwersytetu przyrodniczego. Na tym wydziale kształcimy w zakresie biologii, biologii sądowej, ochrony środowiska, biobezpieczeństwa, biokosmetologii. W dalszym ciągu zastanawiamy się nad połączeniem Wydziału Agrobiotechnologii z Wydziałem Ogrodnictwa, bo oba pracują w jednej dyscyplinie. Zostawiłem tę decyzję swojemu następcy.

Jacy są kandydaci na studia w UPL, czy to są dzieci rolników lub osoby, które chcą pracować w rolnictwie i jego otoczeniu?

Mamy głównie kandydatów spoza Lublina. Na tradycyjne kierunki rolnicze z całą pewnością najczęściej są to dzieci rolników i hodowców. Przychodzą do nas z określonymi oczekiwaniami; wiedzą, czego chcą się nauczyć, aby zdobyć kwalifikacje do przejęcia i rozwinięcia gospodarstw swoich rodziców. Natomiast na kierunki związane z otoczeniem rolniczym i produkcją żywności, życiem w terenach wiejskich, przychodzi sporo młodzieży z niedużych miast powiatowych, funkcjonujących w otoczeniu rolniczym. Motyw kształcenia rolniczego wciąż jest wyraźnie widoczny w naszej działalności.

Macie studentów spoza regionu?

Tak, na unikatowych kierunkach studiów mamy studentów nawet z zachodniopomorskiego, np. na hipologii i jeździectwie.

Wspomniał pan, że na razie umiędzynarodowienie UPL wygląda słabo na tle innych lubelskich uczelni.

Rzeczywiście dotychczas za mało robiliśmy w tym kierunku. Zmieniamy to. W ramach reformy administracji uczelni powołałem Centrum Nauki z nowym kierownictwem oraz Dział Promocji. Wszystko zależy od ludzi. Oczywiście jest pewna grupa pracowników zasiedziałych, którzy z niepokojem spoglądają na zmiany. Musimy zatem oprzeć się na tych, którzy chcą z entuzjazmem podejmować nowe zadania. W 2017 roku ustanowiłem nagrody naukowe za publikację w czasopiśmie o najwyższym IF, za publikację o najwyższej cytowalności i nagrodę za badania, których wyniki zostały wykorzystane w praktyce rolniczej. W każdej z 7 dyscyplin corocznie 10 procent najbardziej aktywnych badaczy dostaje dodatek proжекościowy.

Co z majątkiem UPL – myślę o zakładach doświadczalnych?

Mamy w tej chwili cztery gospodarstwa doświadczalne, z tym że jedno – w Bezku koło Chełma – jest wydzierżawione. Razem to jest około półtora tysiąca hektarów. W Czesławicach koło Nałęczowa utrzymujemy świnie puławską. Bydło białogrzbięte oraz owce Uhruskie i świnie są w Uhrusku. Na Felinie trzymamy kuca felińskiego, kurę zielononózkę i polbar.

Czy te gospodarstwa są obciążeniem, czy przynoszą dochody?

Do niedawna przynosiły straty. Zrobiliśmy daleko idącą restrukturyzację naszych gospodarstw i w 2018 r. po raz pierwszy wyszły one na plus. Gospodarstwa pełnią ważną rolę w działalności uniwersytetu. To tam kształcimy praktycznie studentów wielu kierunków. Są one też miejscem wielu badań naukowych, zwłaszcza pilotażowych. Trudno sobie wyobrazić działalność tego typu uczelni bez zaplecza w postaci gospodarstw i stacji doświadczalnych.

Czy naukowcy, którzy pracują w tradycyjnych dyscyplinach rolniczych, są praktykami, czy teoretykami?

Mieszkam w Tomaszowicach, mam dwadzieścia kur, dwa koguty, pięć perliczek, trzy koty, dwa psy. Wcześniej miałem też kozy. Teraz nie mogę trzymać większego inwentarza, bo nie miałby kto się nim zajmować. Kozy trzeba doić. Ponieważ pochodzę ze wsi, nadoiłem się w życiu krów. Wielu naukowców prowadzi działalność praktyczną. Weterynarze świadczą usługi w uniwersyteckiej klinice. Pracownicy Katedry Hodowli Koni uczą jeździectwa, prowadzą hipoterapię. Niektórzy pracownicy Wydziału ogrodnictwa mają własne szkółki i sady.

Prowadzicie kierunki praktyczne czy ogólnoakademickie?

Większość to kierunki akademickie. Ustawa nakazuje prowadzić na kierunkach praktycznych praktyki w bardzo szerokim wymiarze – 6 miesięcy – co jest dość trudne do realizacji nawet w tak rozwiniętym rolniczo regionie jak Lubelszczyzna. Skąd znaleźć miejsce na tyle miesięcy praktyk? Trudno skierować studenta do gospodarstwa, a potem kontrolować, co on tam robi. Sytuację ratują nasze własne gospodarstwa. W naukach technicznych jest zapewne łatwiej.

Czy pan widzi możliwości potrzebę konsolidacji uczelni lubelskich?

Potrzeba jest, ale to daleka przyszłość. Dziś może to być kłopotliwe. Co innego związek uczelni, który pozwala zachować członkom daleko idącą odrębność. Ale przecież wywodzimy się z UMCS. Mamy kampus w tym samym miejscu.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Robert Boyle i początki nauki laboratoryjnej

Tylko eksperymenty przeprowadzane w laboratorium mogły być podstawą do ustalania nowych faktów naukowych. Cechą konstytutywną jego myślenia było przekonanie o możliwości „wytwarzania wiedzy poprzez działanie”. Włączył w obszar nauki akademickiej wiedzę praktyczną, której wartość była deprecjonowana przez jemu współczesnych.

Obserwując doniesienia ze świata nauk przyrodniczych, nie mamy wątpliwości, że współczesne badania naukowe prowadzone są przede wszystkim w laboratorium. Fakt ten ogłosił Ian Hacking w artykule pt. *The Self-Vindication of the Laboratory Sciences* (1992). Badacz ten dostrzega nie tylko specyfikę współczesnej laboratoryjnej praktyki badawczej, ale również stwierdza, że nie wszystkie nauki określane dotychczas jako eksperymentalne są zarazem naukami laboratoryjnymi. Te drugie badają objekty i fenomeny, które nie występowały w świecie przyrody, dopóki ludzie ich nie wykreowali w laboratorium. Przykładem może być już dziś wszechobecny polichlorek winylu czy też zabarwione kolonie bakterii lub genetycznie zmodyfikowane nasiono. Hacking dodaje, że w laboratoriach możemy badać zjawiska w izolacji od czynników, które wpływają na nie w warunkach pozalaboratoryjnych. W efekcie możemy zjawiska te lepiej kontrolować, dzięki czemu wzrasta nasza wiedza o nich.

Kiedy pytamy o genezę wydarzenia, szukając w dziejach postaci, która uczestniczyła w jego narodzinach, będąc akuzerem, pojawia się wątpliwość: czy we właściwym miejscu sytuujemy interesujący nas moment narodzin? Tak też jest w przypadku początków nauki laboratoryjnej. Nietrudno dostrzec ogromną przepaść pomiędzy współczesnymi, sterylnymi i wypełnionymi zaawansowaną aparaturą laboratoriami, a pracowniami nowożytnych badaczy lub, w skrajnym przypadku, warsztatami alchemicznych mistrzów. Można nabrać przekonania, że pomiędzy tymi światami wytworzyła się ogromna przepaść. W rzeczywistości nie ma sensu porównywać współczesnego laboratorium z mitycznymi pracowniami alchemików. Jednak nie oznacza to, że nic nie łączy tych oddalonych w czasie i przestrzeni miejsc. Pomostem pomiędzy przeszłością a teraźniejszością nauki laboratoryjnej jest postawa epistemologiczna wykrystalizowana dzięki intelektualnej i badawczej działalności Roberta Boyle'a (1627-1691).

Mechanicystyczne ujęcie materii

Robert Boyle był za życia „człowiekiem instytucją”. Cieszył się powszechnym uznaniem wśród siedemnastowiecznych filo-

zofów naturalnych. W gronie jego współpracowników znalazły się między innymi takie postacie jak Robert Hook i John Locke. Intensywnie korespondował z Izaakiem Newtonem, z którym dyskutował wartość doświadczeń przeprowadzanych przez alchemików. W 1663 roku wraz z Alexandrem Bruce'em, Johnem Wilkinsem i Christopherem Wrenem założył skupiające do dziś najwybitniejszych naukowców Królewskie Towarzystwo w Londynie dla Rozszerzania Wiedzy o Przyrodzie (The Royal Society). W 1661 roku opublikował rozprawę pt. *The Sceptical Chymist*, która – podobnie jak *Principia* Newtona dla fizyki – uważana jest za symboliczny początek nowożytnej chemii. W *The Sceptical Chymist* Boyle prezentuje polemikę pomiędzy trzema różnymi obrazami świata przyrody: filozofią przyrody Arystotelesa, witalistyczną filozofią przyrody Paracelsusa i podejściem mechanicystyczno-korpuskularystycznym. Rozprawa ma postać dialogu (co oczywiście jest nawiązaniem do tradycji platońskiej), w którym biorą udział trzy osoby: Themistius – zwolennik Arystotelesowskiej teorii żywołów, Philoponus – spagiryk, wyznawca witalistycznej koncepcji Paracelsusa, i Carneades – który prezentuje poglądy autora rozprawy. Głównym celem dialogu było wykazanie, że akceptowane koncepcje czterech żywołów i Paracelsusa w świetle przeprowadzanych prac laboratoryjnych muszą być odrzucone i zastąpione mechanicystycznym ujęciem materii.

Duchowy wymiar alchemii

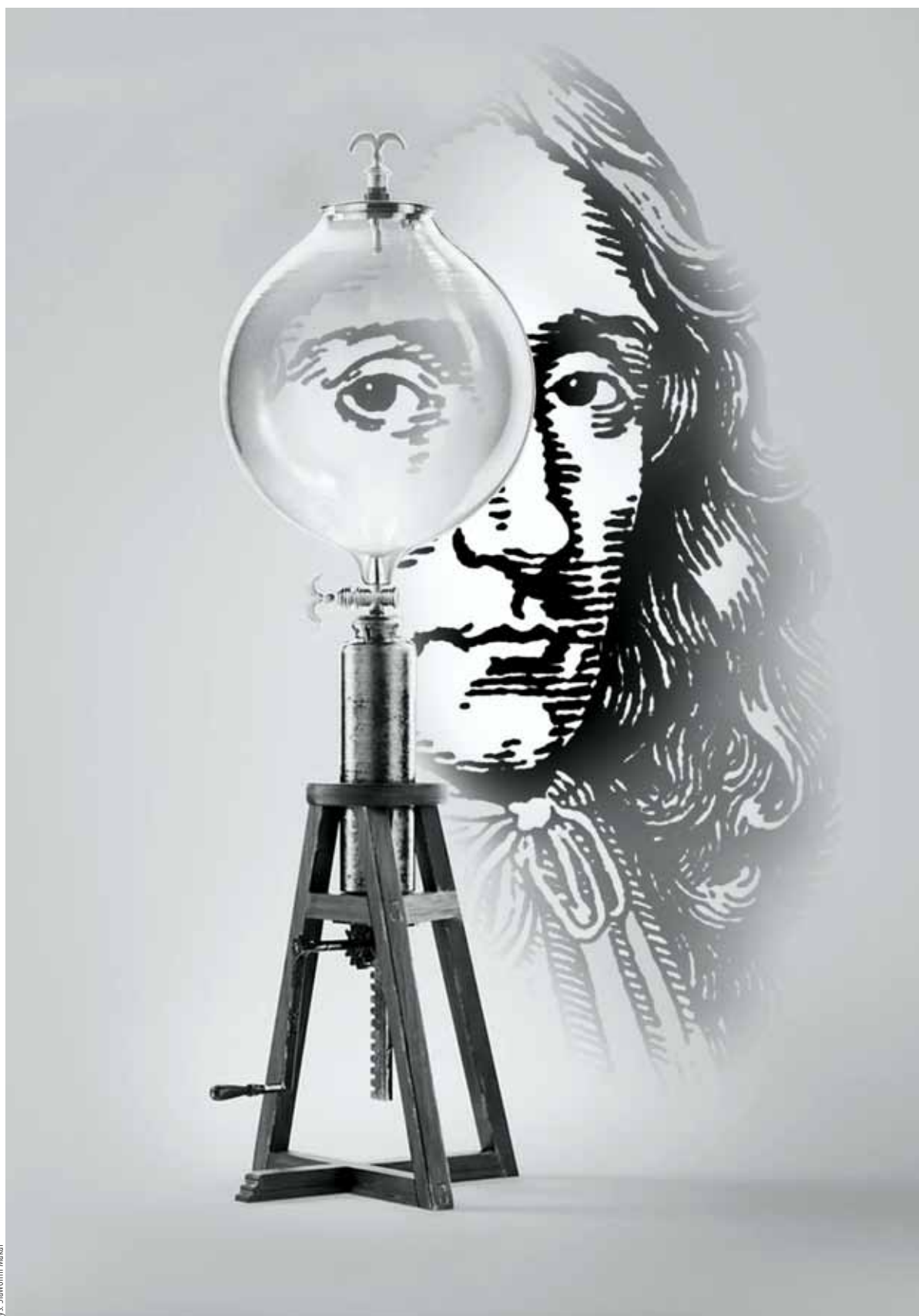
W powyższym kontekście należy powiedzieć kilka słów o stosunku Roberta Boyle'a do tradycji alchemicznej. Pod wpływem „pozytywistycznej historiografii” długo pokutowało przekonanie, że dla Boyle'a alchemia była pseudonauką. Oczywiście krytykował on praktyki alchemiczne, ale nie odrzucał całkowicie ich wartości. Dla przykładu, Michael Hunter – jeden z najwybitniejszych badaczy dorobku intelektualnego Boyle'a i autor najnowszego opracowania jego traktatów – stawia tezę, że Boyle'a interesował duchowy wymiar alchemii.

Hunter w artykule z 1990 pt. *Magic and Moralism in the Thought of Robert Boyle* przekonuje, że idąc za *The Sceptical Chymist*, należy uznać, że Boyle negował wartość alchemii prak-

tycznej, ale również wykorzystał elementy myślenia alchemików w swoich rozważaniach teologicznych. Również tym tropem podąża Jana Wojcik w książce pt. *Robert Boyle and the Limits of Reason*. Stwierdza w niej, że Boyle był przekonany, iż wiedza chemiczna, filozofia naturalna, tradycja alchemiczna i myśl teologiczna stanowią odróżnialne, ale ściśle połączone gałęzie

pnia ludzkiej wiedzy. Z kolei mocną tezę stawia L.T. More, który w artykule pt. *Robert Boyle as An Alchemist* dowodzi, że Boyle prowadził badania nad zagadnieniem transmutacji metali nieszlachetnych w złoto.

Wydaje się, że Boyle poświęcał swoją uwagę dociekaniom alchemików. Wykorzystał wiele pojęć i procedur alchemicznych



Bys. Sławomir Makal

na potrzeby własnej praktyki i na rzecz uzasadnienia doniosłości korpuskularnej teorii materii. Dokonał tego, unikając konieczności wyrażania się w ezoteryczno-mistycznym języku alchemii. Intrygującą kwestią jest jego stosunek do idei transmutacji. Analiza dat wydania kolejnych rozpraw Boyle'a pokazuje, że problematyka alchemiczna była obecna w jego rozważaniach przez cały okres kariery naukowej. W latach 1650–55 intensywnie pracował nad szeregiem procedur alchemicznych, między innymi opierając się na traktatach Basila Valentine'a, van Helmonta i Paracelsusa. Prowadził systematyczną korespondencję z amerykańskim alchemikiem George'em Starkeyem. Od 1661 roku, w którym publikuje *The Sceptical Chymist*, rozpoczyna się okres krytyczny. W latach 1670–1689 Boyle „odkrywa alchemię na nowo”. Publikuje w 1670 roku rozprawę *Dialogue on Transmutation*, a w 1678 roku traktat *Of a Degradation of Gold*.

Prawo Boyle'a-Mariotta

Pytając o wkład Boyle'a w rozwój nowożytnego przyrodoznawstwa, należy wskazać dwie role, które przyjął: przyrodznawcy i filozofa. W czasach, w których żył, połączenie tych dwóch profesji było oczywiste.

Boyle przyrodznawca pozostawił po sobie ogromną ilość sprawozdań z wykonanych prac doświadczalnych. Do najślawniejszych należą badania z wykorzystaniem pompy próżniowej, które w większości ogłosił w rozprawie *Spring of the Air* (1660). W ich wyniku sformułowano prawo nazwane z czasem prawem Boyle'a-Mariotta. Położył podwaliny pod nowożytną chemię, prowadząc szeroko zakrojone badania z zakresu analizy chemicznej. Przypisuje mu się również sformułowanie pierwszej nowożytnej definicji pierwiastka. Pompa Boyle'a stworzyła jego „legendę”. W swoim czasie była nowatorskim, niezwykle precyzyjnie wykonanym i najdroższym narzędziem do przeprowadzania eksperymentów. Jak twierdzą znawcy, przez długi czas nikt nie był w stanie wykonać podobnego urządzenia. Boyle nie ukrywał swojego wynalazku. W celu propagowania wiedzy przyrodniczej organizował pokazy, podczas których przeprowadzał eksperymenty z wykorzystaniem pompy. Urządzenie to, obok teleskopu Newtona czy mikroskopu, jest symbolem nowożytnego paradygmatu poznania naukowego, który stanowi splot racjonalnego rozumowania, przekonania o primacie metody eksperymentalnej i zaawansowanej techniki.

Należy podkreślić, że naukowa droga życia Boyle'a to pokonywanie kolejnych przeszkód epistemologicznych utrwalonych przez tradycję filozoficzną. Wyniki jego laboratoryjnych badań doprowadziły do upowszechnienia fundamentalnych dla rodzącej się chemii przekonań między innymi: o złożoności i jednorodności związków chemicznych, a także o tym, że właściwości makroskopowe substancji chemicznych ulegają zmianie wraz z przekształceniem układu korpuskuł tworzących jej strukturę. Argumentował, że to struktura związku chemicznego przesądza o właściwościach makroskopowych danej substancji, a z obserwacji jej właściwości makroskopowych można wywieść wiedzę o oddziaływaniach mechanicznych zachodzących pomiędzy tworzącymi ją korpuskułami.

Doskonalsze niż w naturze

Boyle'owska myśl filozoficzna przeplatała się z jego dociekaniem w zakresie przyrodoznawstwa. Podobnie jak inni, luminarze nowożytnej nauki Izaak Newton ściśle wiązał badania nad światem przyrody z rozważaniami filozoficznymi, a także teologicznymi. W tym duchu rodził się scjentystyczny światopogląd o panteistycznych inklinacjach, który wiarą w naturalizm zastąpił magiczny sposób patrzenia na świat przyrody. Odrzucił jeden z dogmatów Arystotelesowskiej tradycji filozoficznej,

twierdząc, że wytwarzane w jego laboratorium substancje są identyczne jak ich naturalnie występujące odpowiedniki. Podniósł rangę sztuki ludzkiego, któremu dotychczasowa filozofia przypisywała tylko możliwość niedoskonałego naśladowania natury. W ten sposób utworzył drogę do zrealizowania przez człowieka „prometejskiej ambicji” tworzenia doskonalszych wytworów niż te, które są dziełem natury. Tylko eksperymenty przeprowadzane w laboratorium mogły być podstawą do ustalania nowych faktów naukowych. Cechą konstytutywną jego myślenia było przekonanie o możliwości „wytwarzania wiedzy poprzez działanie”. Włączył w obszar nauki akademickiej wiedzę praktyczną, której wartość była deprecjonowana przez jemu współczesnych. Podkreślał wartość poznawczą wiedzy rzemieślników, kupców, medyków, akuserek i gospodyń domowych. Z podobnym zainteresowaniem czerpał z wiedzy rdzennych mieszkańców brytyjskich kolonii: Indian, Chińczyków, Hindusów. Krytykował tradycję alchemiczną, ale doceniał wartość technik stosowanych w warsztatach alchemików. Herbert Butterfield w dziele pt. *Rodowód współczesnej nauki 1300–1800* stwierdza jednoznacznie, że Boyle był zarówno chemikiem-praktykiem, jak i filozofem przyrody.

Robert Boyle był prekursorem laboratoryjnego stylu badawczego i zapoczątkował proces standaryzacji badań laboratoryjnych. Uświadomił społeczności naukowej, że naukowiec musi kierować się ściśle określonym zbiorem reguł, a centralną w nim rolę odgrywała zasada intersubiektywnej sprawdzalności, która pełni ją również współcześnie. Nauki laboratoryjne mają przede wszystkim pojęty charakter, w którym twórcze działanie człowieka realizuje się w sztuce eksperymentowania. W tej aktywności z jednej strony maestria badacza – również rozumiana jako jego manualne umiejętności – łączy się z wiedzą teoretyczną. Z drugiej zaś złożoność instrumentarium badawczego w jego materialnym wymiarze scala się z subtelnością wykorzystywanych w laboratorium procedur postępowania badawczego. Tą złożonością pracy w laboratorium dostrzegał Boyle i określił swoisty aksjologiczny wyznacznik laboratoryjnego stylu badań. W pierwszej kolejności są to decydujące o specyfice badawczej nauki laboratoryjnej: skrupulatność, precyzja, systematyczność i ostrożność. Jednakże nie mniej ważne są wartości, które stały się fundamentem nowożytnego paradygmatu poznania naukowego: krytycyzm, obiektywizm, pluralizm metodologiczny i naturalizm metodologiczny. Pod wpływem, między innymi, działalności Boyle'a wartości te upowszechniły się wśród kolejnych pokoleń badaczy. W ten sposób uruchomiony został proces samodoskonalenia się instrumentarium i praktyki badawczej nauki laboratoryjnej, który wyewoluował z wczesnej siedemnastowiecznej działalności laboratoryjnej do praktyki współczesnych nauk laboratoryjnych.

Można zapytać, kim był Robert Boyle? Historycy nauki ze skłonnością do „fizykalistycznego redukcjonizmu” stwierdzą, że oczywiście był fizykiem. Jednak jest to pogląd dalece nieadekwatny. Śledząc intelektualny dorobek Boyle'a, widzimy, że był człowiekiem o szerokich horyzontach i zainteresowaniach. W jego dociekaniach przeplatają się badania przyrodznawcze z dociekaniem filozoficznymi i teologicznymi. W mojej ocenie Boyle był „człowiekiem swojej epoki”, filozofem przyrody, dla którego świat przyrody nie był domeną działania irracjonalnych sił, demonów i tajemniczych zjawisk. Rzeczywistość była dla Boyle'a dynamiczną strukturą, którą można poznać za pomocą rozumu i zmysłów, ale przede wszystkim za sprawą eksperymentów przeprowadzanych w laboratorium naginać ją, aby czynić świat przyrody przyjaznym dla człowieka.

Dr hab. Radosław Kazibut, prof. UAM, Zakład Filozofii Nauki i Techniki, Wydział Filozoficzny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Łukasz Afeltowicz

Antropologia infrastruktury nauki

Pod koniec lat siedemdziesiątych kilku badaczy społecznych wykorzystało znaną z antropologii społecznej metodę obserwacji uczestniczącej w celu lepszego zrozumienia tego, co dzieje się w laboratoriach przyrodniczych. Podejście antropologiczne okazało się przynosić na tyle interesujące rezultaty, że w podobny sposób zaczęto analizować inne miejsca aktywności naukowej. Stąd mowa o etnografii laboratorium lub o antropologii nauki.

Termin „infrastruktura” zrobił zawrotną karierę w drugiej połowie XX wieku. To pocziwe słowo wywodzące się z języka francuskiego początkowo oznaczało prace inżynierskie poprzedzające kładzenie torów kolejowych. Z czasem termin zaadaptowało NATO, a infrastrukturą zaczęto określać nie tylko nasypy, tunele i mosty kolejowe, ale także same tory, nastawnie i stacje oraz wszelkie inne elementy sieci komunikacyjno-transportowych umożliwiające przerzut wojsk i sprzętu. Termin zaadaptowały również ONZ i inne organizacje międzynarodowe mające zajmować się po wojnie odbudową i rozwojem. Dziś trudno wyobrazić sobie kontekst, w którym termin „infrastruktura” nie znajduje zastosowania. Biorąc pod uwagę rozmaite użycia terminu, infrastrukturę można zdefiniować jako czynniki, które wymagane są, aby jakieś urządzenie, praktyka społeczna lub instytucja działały poprawnie. W takim sensie można mówić o infrastrukturze energetycznej, telekomunikacyjnej, ale także o infrastrukturze zdrowia publicznego lub o infrastrukturze demokracji. Gdy mowa o infrastrukturze nauki w pierwszej kolejności na myśl przychodzą zestawy eksperymentalne, urządzenia pomiarowe i pomieszczenia lub całe budynki dostosowane do potrzeb pracy z nimi (chodzić może o odpowiednią wentylację, ekranowanie promieniowania, odpowiednie zasilanie etc.). Jest to jednak ujęcie zdecydowanie za wąskie.

Infrastruktura to nie tylko rzeczy, ale także działania rozmaitych ludzi i instytucji. Rozwój państw wymaga nie tylko infrastruktury materialnej w postaci zapór, autostrad czy portów, ale również infrastruktury niematerialnej, na którą składają się „kapitały” ludzkie, społeczny i kulturowy. A przynajmniej przekonali się o tym instytucje międzynarodowe starające się wspomagać rozwój krajów tak zwanego trzeciego świata, kredytuując budowę zapór, fabryk, dróg i innych wielkich struktur: bez ludzi i instytucji tego typu obiekty szybko stawały się białymi słoniami. Podobnie jest z badaniami. Nie podnieśliśmy innowacyjności gospodarki, budując parki naukowo-techno-

logiczne: te muszą być jakoś wpięte w gospodarkę i społeczeństwo. Możemy też wyposażyć uniwersytety w świetne laboratoria, ale bez badaczy i w szczególności bez pomysłu jakie nowatorskie doświadczenia można na tym sprzęcie wykonać, urządzenia te równie dobrze można pozostawić w pudłach i na paletach.

Gdy jednak piszemy o infrastrukturze dla nauki, nie mamy na myśli pracy naukowców. Ogromna część pracy umożliwiającej działalność laboratoryjną kończy się zanim jeszcze naukowcy przystąpią do obmyślenia publikowalnych doświadczeń. Laboratoria muszą zostać zaopatrzone w gazy, odczynniki i próbki. Urządzenia muszą zostać zamówione, przewiezione i zamontowane, a niekiedy też zmodyfikowane. Konieczna jest też ich kalibracja. Czynności te mogą wydawać się banalne, ale od tych technikaliów zależy, czy badania będą miały jakikolwiek sens. Jeśli w połowie projektu zmieni się oprogramowanie, odczynniki lub maszynę, wyniki mogą przestać być porównywalne. W większych ośrodkach, gdzie jest wyraźny podział pracy na techniczną i badawczą, praca taka jest sporadycznie dostrzegana, a jeszcze rzadziej doceniana. Im lepiej technicy wykonują swoje zadania, tym rzadziej się o nich myśli. W ten sposób praca przy infrastrukturze (odróżniana od pracy na infrastrukturze) staje się przejrzysta. Przejrzysta, ale nie niewidzialna. Bo gdy eksperyment się nie powiedzie, nie uda się powtórzyć jakiejś procedury, prototyp nie zadziała, to jedną z rzeczy, która zostanie poddana gruntownej rewizji, będzie infrastruktura właśnie.

Jak kultury pierwotne

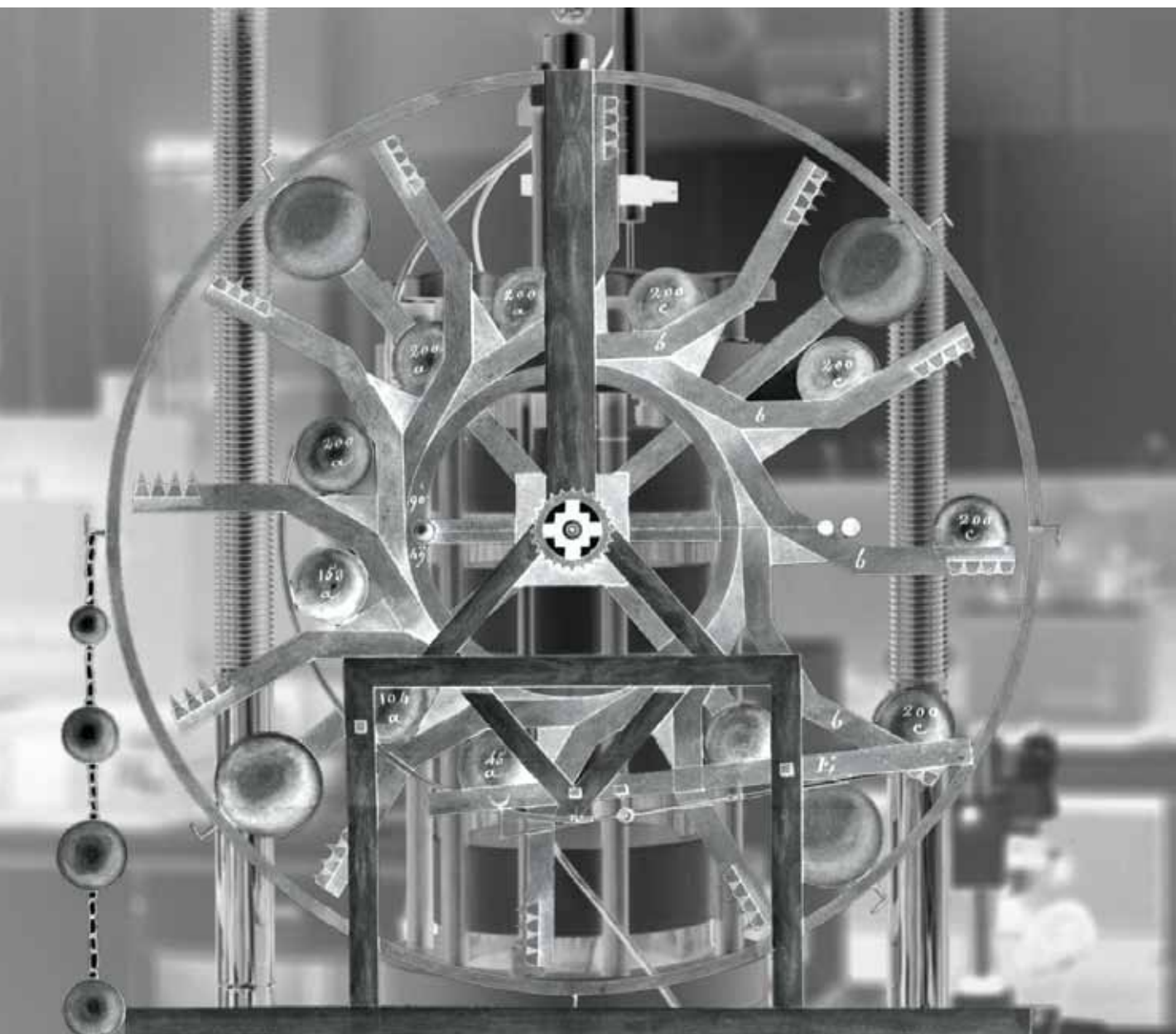
Infrastruktura wykracza jednak daleko poza ramy pojedynczej pracowni badawczej. Jest ona tym, co zapewnia porównywalność i replikowalność wyników uzyskanych przez różne zespoły i jest decydująca w procesie transmisji wiedzy i danych. Tak przynajmniej przekonują nas przedstawiciele antropologii

technonauki, jednego z ważniejszych obszarów nurtu science and technology studies.

Na pierwszy rzut oka termin „antropologia technonauki” wygląda jak zbitka pojęciowa. Pierwszy człon nazwy tego podejścia odnosi się nie tyle do przedmiotu, co do metody. Pod koniec lat siedemdziesiątych kilku badaczy społecznych wykorzystało znaną z antropologii społecznej metodę obserwacji uczestniczącej w celu lepszego zrozumienia tego, co dzieje się w laboratoriach przyrodniczych. Badacze społeczni potraktowali przyrodznawców tak samo, jak wcześniej klasyczni antropolodzy zwykli traktować przedstawicieli kultur pierwotnych: zamiast przyjmować opisy aktywności oferowane przez badanych, przyjrzeni się bliżej temu, co ci faktycznie robią. Podejście antropologiczne okazało się przynosić na tyle interesujące rezultaty, że w podobny sposób zaczęto analizować inne miejsca aktywności naukowej. Stąd mowa o etnografii laboratorium lub o antropologii nauki. Z kolei terminem „technonauka” posługujemy się, by zwrócić uwagę na to, że w praktyce nie ma możliwości ścisłego odgraniczenia prac naukowych od wdrożeń. Ponadto istnieje ścisły związek nauki z rynkiem i przemysłem: nauka generuje innowacje napędzające przemysły i rynki; wiele przemysłów dostarcza nauce materiałów i podzespołów

umożliwiających prace naukowe; rynki są kluczowe w procesie unifikacji i standaryzacji procesów przemysłowych i dyfuzji innowacji. W kontekście relacji nauka-przemysł warto zwrócić uwagę na elementarną obserwację antropologów: w laboratoriach przyrodniczych nie bada się Natury, tylko przetworzone lub wytworzone artefakty. Jak pokazała to Karin Knorr Cetina w książce *Epistemic Cultures*, dotyczy to w równym stopniu laboratoriów biologii molekularnej, co CERN. Woda jest destylowana, cząsteczki i związki chemiczne syntetyzowane, myszy modyfikowane genetycznie, odczynniki i substraty reakcji przemysłowo produkowane. Znaczną część tych rzeczy dostarczają wyspecjalizowane przedsiębiorstwa, które są jednocześnie gwarantem standaryzacji.

Antropolodzy poświęcili sporo uwagi infrastrukturze technonauki. Jak zauważa Bruno Latour, fakty naukowe i technologiczne są jak pociągi: nie działają bez torów. Funkcjonują w określonych strukturach tak jak lokomotywa. Struktury można łączyć i rozprzeszczać, ale poza nimi nie mamy gwarancji, że dana rzecz zadziała. Nie można jechać lokomotywą po polu. Zarejestrowanie pewnych zjawisk wymaga powołania do istnienia sieci instrumentów i praktyk. Najlepszym tego przykładem jest zmiana klimatyczna. Wbrew temu, co może się wydawać, nie



Rys. Sławomir Makal

wystarczy spojrzeć za okno, by stwierdzić, że zmienia się klimat. Pogoda to nie klimat. Infrastruktura niezbędna do stwierdzenia, czy i jak zmienia się klimat, wymagała dziesiątek lat, co opisał Paul Edwards w książce *A Vast Machine*. Ale infrastruktura konieczna jest do pomiaru zjawisk, których badanie ma dużo dłuższą historię niż nauka o klimacie. Elektromagnetyzm, grawitacja i inne zjawiska fizyczne są uniwersalne, ale możemy je badać i sensownie się o nich wypowiadać dopiero wtedy, gdy dysponujemy odpowiednimi, skalibrowanymi i powszechnie stosowanymi instrumentami.

Transfer wiedzy milczącej

Dyscypliną fundamentalną dla kalibracji aparatury jest metrologia. Zajmuje się ona problematyką pomiarów i jednostek miar. Jednym z jej zadań jest standaryzacja miar: chodzi o to, by metr, sekunda, wolt i inne jednostki oznaczały to samo na całym świecie. Korzenie metrologii sięgają roku 1795, kiedy stworzono system metryczny, ale jej faktyczny rozwój nastąpił dopiero w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku. W tamtym okresie na poligonach amerykańskich wiele testowanych technologii nie działało z powodu niewystarczającej standaryzacji miar w fabrykach produkujących poszczególne komponenty. Zaczęto szkolić wojskowych i cywilnych metrologów, mających miarom nadać stabilność i niezmiennosc. Ale chodziło nie tylko o kapitał ludzki. Potrzebne były nowe instytucje. W przypadku rozkalibrowania urzędów konieczne było przewiezienie przez wykwalifikowanego kuriera wzorca jednostki z centrum metrologicznego do laboratorium. Była to operacja skomplikowana, wymagająca ścisłego trzymania się procedur i trwała niekiedy kilka tygodni. Dziś miary ustala się na podstawie przeprowadzanych w laboratoriach standardowych eksperymentów mających na celu „odzyskanie” jednostki.

Podstawowe wyzwanie, z jakim mierzą się naukowcy i inżynierowie, wiąże się z tym, że z jednej strony fakty, dane, maszyny, próbki muszą być przenoszone z miejsca na miejsce i między kontekstami, a z drugiej strony nie powinny ulegać zmianom. Aby replikować jakieś doświadczenie lub prototyp, nie wystarczy wysłać schemat i opis procedury: najczęściej konieczny jest transfer wiedzy milczącej, a niekiedy podzespołów i próbek. Transfer danych z kolei ma sens tylko i wyłącznie wtedy, gdy są one zapisywane i odczytywane przez osoby o podobnym wykształceniu według tego samego schematu. To wszystko są rzeczy uzależnione od infrastruktury w szerokim, antropologicznym znaczeniu.

Infrastruktura odgrywa rolę nawet w klasyfikowaniu obserwowanych zjawisk. Zwracali na to uwagę Susan Leigh Star i Geoffrey Bowker. Najlepiej zademonstrować to na przykładzie epidemiologicznym. Aby móc diagnozować jakąś chorobę i stwierdzić, że mamy do czynienia z epidemią, musimy wpiąć ustanowić pewne ramy klasyfikacji. Najlepiej ilustruje to przykład pierwszej pandemii, czyli epidemii świńskiej grypy. Dziś kojarzymy ją głównie z kontrowersjami politycznymi wokół zakupu leków przeciwwirusowych oraz z zarzutami pod adresem WHO o to, że podniosła fałszywy alarm. Ale czy był on rzeczywiście fałszywy? Trudno stwierdzić, gdyż zabrakło infrastruktury umożliwiającej ustalenie, ilu tak naprawdę ludzi zachorowało i ilu zmarło w wyniku grypy H1N1 lub jej powikłań. Wiemy o 18 449 laboratoryjnie potwierdzonych przypadkach zgonów. Ale według szacunków – bo na nie musimy się zdać – faktyczna liczba zgonów była kilkunastokrotnie większa. Szacuje się, że na świecie umarło od 151 700 do 575 400 osób z powodu świńskiej grypy. Dla porównania na sezonową grypę rocznie umiera od 250 do 600 tysięcy osób. Leczą – ponownie – są to wartości szacunkowe. Nie wiemy, ile osób zabijają grypy, gdyż nie ma standaryzacji: w różnych krajach, regionach, a nawet

w różnych szpitalach ten sam przypadek może zostać różnie zaklasyfikowany. Być może po epidemii COVID-19 to się zmieni.

Niedorozwinięta infrastruktura

Jeszcze z jednego ważnego powodu nie znamy liczby ofiar grypy. Przyjmuje się, że większość ofiar grypy H1N1 to mieszkańcy krajów rozwijających się. Zresztą dotyczy to wszystkich chorób zakaźnych. Tymczasem infrastruktura umożliwiająca monitorowanie chorób zakaźnych w tych krajach jest na zupełnie innym poziomie niż w krajach rozwiniętych. Braki kadrowe oraz braki w sprzęcie laboratoryjnym sprawiają, że lekarze w wielu obszarach naszej planety są zmuszeni diagnozować choroby w zupełnie innym trybie, niż ma to miejsce w Europie i Stanach Zjednoczonych. Przykładowo, przez wiele lat, gdy w krajach rozwiniętych diagnozę AIDS opierano na pozytywnym wyniku dwukrotnego laboratoryjnego testu krwi na obecność wirusa HIV, w Afryce lekarze zdani byli na wywiad kliniczny. Według definicji z Bangui z 1985 roku do zdiagnozowania AIDS wystarczało stwierdzenie co najmniej dwóch z trzech głównych objawów (gorączka trwająca ponad miesiąc, chroniczna biegunka, utrata co najmniej 10 procent wagi) i jednego objawu dodatkowego (między innymi stały suchy kaszel trwający dłużej niż miesiąc, zagrzybienie jamy ustnej i przełyku, opryszczka, ogólne powiększenie węzłów chłonnych). Taka procedura musiała skutkować wieloma błędnymi diagnozami. Zmiana tej sytuacji wymagała opracowania nowych technologii i strategii testów. Gwałtowny skok liczby testów w Afryce południowej nastąpił dopiero w latach 2008-2014. Jednak fakt, że dopiero w 2017 roku uzyskaliśmy testowalność na poziomie 75%, nie oznacza, że wcześniej nie można było mówić o globalnej epidemii HIV/AIDS. To, że infrastruktura w krajach rozwijających się jest niedorozwinięta, nie powstrzyma przecież lekarzy przed próbami diagnozowania i leczenia ludzi. Muszą radzić sobie w takich warunkach, w jakich przyszło im funkcjonować. Nie dotyczy to wyłącznie chorób zakaźnych. Warto odwołać się tu do studium przypadku anemii autorstwa Annet Marie Mol i Johna Law.

Ludzie chorujący na anemię żyją zarówno w krajach rozwiniętych, jak rozwijających się. Diagnozowanie anemii w Europie zakłada przeprowadzanie testów laboratoryjnych. Sieć laboratoriów dość gęsto oplata Europę. Jednak znaczne obszary Afryki pozbawione są (czy może były w momencie prowadzenia badań) tego typu infrastruktury. Jest kilka powodów, które utrudniają lub czasami uniemożliwiają stworzenie pracowni badawczej w sercu Afryki. W przypadku rozległych obszarów tego kontynentu brak podstawowych warstw technologicznych umożliwiających zbudowanie laboratoriów. Nie ma odpowiednich dróg i lotnisk, przez co nie można przewieźć w wyznaczone miejsce niezbędnych urządzeń. Wyboista droga to zbyt wielkie wyzwanie dla ekspansji laboratoriów medycznych. Brak sieci dróg oznacza, że lekarze i badacze muszą pracować na przestarzałym sprzęcie lub w ogóle bez niego się obejść. Problemem może być energia elektryczna. Nawet jeśli uda nam się ustanowić i zasilić pracownię polową, pozostaje problem personelu. Jeśli rozwiąże się wszystkie problemy, pozostaje presja czasu. O ile europejski lekarz może skupić się na pacjencie, o tyle w warunkach afrykańskiego szpitala polowego medyk dysponuje zaledwie kilkoma minutami. W podobnym stopniu jest obciążone pracą samo laboratorium. Kolejnym wyzwaniem obok personelu, maszyn, infrastruktury i czasu jest klimat. Znaczenie ma wreszcie stabilność polityczna obszaru, na którym ma powstać szpital polowy wraz z laboratorium. Dlatego lekarze utrzymują, że w przypadku medycyny tropikalnej każdy element laboratorium i organizacji jego funkcjonowania stanowi poważny problem.

Powyższy przykład ilustruje bardzo istotną kwestię: infrastruktura dla nauki wykorzystuje infrastrukturę nowoczesności (badacze społeczni przez nowoczesność rozumieją nie okres historyczny, lecz pewną formę organizacji życia społecznego zakładającą wysoki poziom racjonalizacji). Może wydać się to banalne, ale Ludwik Pasteur miałby poważne problemy z opracowaniem szczepionki przeciw węglikowi, gdyby nie poziom rozwojowy ówczesnej Francji. Gdyby nie centralne biuro statystyczne zbierające dane od weterynarzy z całego kraju nikt nawet nie wiedziałby, że panuje epidemia węglika. Gdyby nie wsparcie hodowców nie mógłby przeprowadzić publicznej demonstracji. Gdyby nie dobrej jakości drogi miałby problem z przewiezieniem próbek z farm do swojego paryskiego laboratorium. To wszystko jest dla nas przejrzyste. Im infrastruktura lepiej działa, tym mniej o niej myślimy.

Naukowa kooperacja a ukryta praca

Na koniec warto wspomnieć o jeszcze jednej roli infrastruktury w kontekście badań naukowych. Ta odgrywa także rolę w stymulowaniu naukowej kreatywności. Istnieje szereg badań pokazujących, że naukowcy, którzy mają rozbudowane sieci współpracy lub pracują w duetach, uzyskują lepsze wyniki poznawcze. Ale – ponownie – współpraca nie jest czymś, co po prostu dzieje się samo. Ogromny wysiłek jest wkładany przez architektów i menedżerów w to, by naukowcy wchodzili ze sobą w interakcje. Oczywistym miejscem, gdzie naukowcy się spotykają, są konferencje, ale nie wolno zapominać o tym, że forma architektoniczna kampusów też może stymulować lub blokować współpracę. Nie chodzi tu nawet o zapewnienie naukowcom sal seminarijnych. Jak pokazują badania, naukę uprawia się także na korytarzach, lobby czy choćby w windach. Ale niekiedy pracę trzeba wykonywać zdalnie, czy to w związku z potrzebą „społecznego” dystansowania, czy w związku z presją czasu. Świetnym przykładem, że jest to możliwe, okazała się epidemia SARS z 2003. Gdy zaczęły pojawiać się doniesienia z chińskiej prowincji Guangdong o nowej, nieznanym chorobie układu oddechowego, jedenaście laboratoriów rozsianych po całym świecie podjęło próbę zidentyfikowania czynnika zakaź-

nego. Organizowano codzienne telekonferencje, podczas których prezentowano wyniki testów, wymieniano się zdjęciami, analizami, raportami i próbkami. Już w pierwszych dniach wyeliminowano szereg potencjalnych przyczyn. Naukowcy z Hongkongu wyizolowali wirusa, który przypuszczalnie wywoływał SARS. W tym samym czasie amerykańskie CDC niezależnie wyizolowało własnego kandydata – drobnoustroj należący do grupy koronawirusów. W ciągu następnego tygodnia inne laboratoria potwierdziły obecność tego samego koronawirusa w próbkach pobranych od chorych. Zaczęto sekwencjonować genom wirusa. Na początku kwietnia holenderscy badacze stworzyli model zwierzęcy SARS. Badany koronawirus wydawał się spełniać wszystkie postulaty Kocha, co pozwoliło uznać go za dużą dawkę prawdopodobieństwa za przyczynę SARS. Od momentu rozpoczęcia badań do ich zakończenia minął niespełna miesiąc. Jest to spektakularny przykład tego, co może dać współpraca naukowców. Ale nie stało się to samo z siebie. Proces był koordynowany i moderowany przez WHO, przy czym organizacja ta nie miała zwierzchnictwa nad placówkami. To naukowcy rozwiązali problem, ale warunki do tego stworzyła im WHO. Bez tej organizacji moglibyśmy nie zdawać sobie sprawy, że jakiś problem domaga się rozwiązania. WHO jest również jedną z najważniejszych organizacji, kluczowych dla budowania infrastruktury umożliwiającej monitorowanie epidemii.

Artykuł powstał w ramach realizacji grantu w Narodowym Programie Rozwoju Humanistyki 2016-2020, moduł 2a. Rozwój, nr 0248/NPRH4/H2a/83/2016.

Dr hab. Łukasz Afeltowicz, prof. AGH, badacz społeczny, Wydział Humanistyczny AGH w Krakowie. Zajmuje się społecznymi studiami nad nauką i technologią oraz socjologią środowiskową.

Autor dziękuje za uwagi Jackowi Gądeckiemu, z którym wspólnie prowadzą prace nad koncepcją antropologii infrastruktury.

W artykule wykorzystano też wątki z dwóch książek autora: „Laboratoria w działaniu” (2011) oraz „Modele, artefakt, kolektywy” (2012).

Nowi profesorowie

4 marca 2020 Prezydent RP Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Albin Głowacki** (UŁ), **Jacek Kabaciński** (IAiE PAN), **Piotr Kulicki** (KUL), **Iwona Loewe** (UŚ), **Jolanta Nocoń** (UO), **Przemysław Waingertner** (UŁ)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Michał Basista** (IPPT PAN Warszawa), **Dariusz Boroński** (UTP Bydgoszcz), **Tomasz Ciach** (PW), **Gerard Cybulski** (PW), **Ludomira Granicka** (IBiB PAN), **Krzysztof Labus** (PŚ), **Paweł Licznar** (PW), **Artur Maciąg** (PŚk), **Arkadiusz Moskal** (PW)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Anil Agrawal** (UMWr), **Marta Anczewska** (IPiN Warszawa), **Beata Begier-Kraśnińska** (UMP), **Iwona Beń-Skowronek** (UML), **Renata Chałas** (UML), **Arkadiusz Derkacz** (UMWr), **Dorota Drożdż** (UJ), **Maria Gańczak** (PUM), **Jerzy Gosk** (UMWr), **Elżbieta Grochans** (PUM), **Izabela Gutowska** (PUM), **Tomasz Jakimowicz** (WUM), **Ilona Kaczmarczyk-Sedlak** (SUM), **Marcin Kołaczkowski** (UJ), **Katarzyna Korybalska** (UMP), **Jolanta Kostrzewa-Janicka** (WUM), **Przemysław Kunert** (WUM), **Jacek Kurzepa** (UML), **Magdalena Lange** (GUM), **Maciej Łuczak** (AWF Poznań), **Tomasz Mandat** (CO-IMSC), **Henryk Mazurek** (IGiCP, O/

Rabka Zdrój), **Bożena Muszyńska** (UJ), **Bartłomiej Noszczyk** (CMKP), **Jan Pietruski** (GUM), **Marek Postuła** (WUM), **Marek Rusin** (CO-IMSC), **Piotr Skarżyński** (WUM), **Anna Starzyńska** (GUM), **Marta Struga** (WUM), **Ewelina Szczepanek-Parulska** (UMP), **Kamil Torres** (UML), **Ewa Ziemann** (AWFiS), **Dorota Zyśko** (UMWr)

NAUKI ROLNICZE: **Barbara Biesiada-Drzazga** (UPH Siedlce), **Jarosław Kaba** (SGGW), **Arkadiusz Kosmala** (IGR PAN), **Miroslaw Mleczek** (UPP), **Izabela Szczerbal** (UPP)

NAUKI SPOŁECZNE: **Paweł Churski** (UAM), **Robert Grzeszczak** (UW), **Mieczysław Morawski** (UEWr), **Tomasz Nieborak** (UAM), **Agnieszka Sopińska** (SGH), **Mariusz Załucki** (KAAFM), **Jolanta Zielińska** (UPed)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Tadeusz Andruniów** (PW), **Bogdan Banecki** (UG), **Anna Dołęga** (PG), **Evgeny Galuskin** (UŚ), **Agnieszka Iwan** (AWL Wr), **Monika Janczarek** (UMCS), **Bogdan Jaroszewicz** (UW), **Mohamed Kalaji** (SGGW), **Beata Kolesińska** (PŁ), **Jerzy Nakielski** (UŚ), **Mariusz Pełechaty** (UAM), **Sławomir Rams** (UJ)

SZTUKA: **Jacek Dominiczak** (ASP Gdańsk), **Piotr Karczewski** (ASP Łódź), **Małgorzata Skotnicka** (AMuz Gdańsk)

Krzysztof Tarkowski

Ian Hacking i gra w naukę

Filozofowie ze szkoły stanfordzkiej odeszli od gabinetowej, wyidealizowanej rekonstrukcji historycznego przebiegu rozwoju nauki na rzecz szczegółowych badań dziejących się tu i teraz praktyk laboratoryjnych.

Ian Hacking (ur. 1936) jest kanadyjskim filozofem, który przez ostatnie pięćdziesiąt lat swoimi pracami starał się zmieniać sposób postrzegania i uprawiania filozofii nauki. Na licznych przykładach ukazywał złożoność obustronnych relacji między ludźmi a nauką. Wystarczy chociażby wspomnieć, że był pierwszym angielskojęzycznym badaczem, który objął na stałe katedrę w College de France, a jego książka *Taming of Chance* została uznana za jedną ze stu najważniejszych książek non-fiction XX wieku napisanych po angielsku.

Szkoła stanfordzka

Przez większą część XX wieku status dogmatu miało przekonanie, że wszystkie nauki stanowią jedno wielkie i dające się zunifikować przedsięwzięcie poznawcze ludzkości. Wyrazem tego była m.in. dziewiętnastotomowa Międzynarodowa Encyklopedia Jedności Nauki, której ostatnia część ukazała się w roku 1969. Filozofowie bezkrytycznie zakładali, że nauka to monolityczny gmach wiedzy, a ich zadanie polega na wykazaniu, jak technicznie wygląda możliwość zredukowania do siebie poszczególnych dziedzin. Miały temu służyć tzw. prawa pomocowe, mające umożliwić sprowadzenie biologii do chemii, a chemii do dziedziny wzorcowej, czyli fizyki. Nie brakowało jednak filozofów idących jeszcze dalej w swoich założeniach, zgodnie z którymi takiej redukcji miały się poddać również psychologia i nauki społeczne.

Pierwsze głosy sprzeciwu wobec tej tendencji pojawiły się dopiero na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Na Uniwersytecie Stanforda pracowało wówczas kilku filozofów, których zaczęto nazywać stanfordzką szkołą filozofii nauki, czasami żartobliwie również mafią niejedności nauki. Formacja ta wpisała się do historii filozofii nauki nie tyle tym, że brała udział w bieżących sporach, ile tym, że podkopywała leżące u ich podstaw przekonanie, programowo sprzeciwiając się milczącemu założeniu o możliwości unifikacji nauki. Najważniejszymi członkami szkoły byli: „ojciec chrzestny” Patrick Suppes, nieco młodszy od niego Nancy Cartwright i Ian Hacking oraz przedstawiciele jeszcze młodszego pokolenia John Dupré i Peter Galison. Grupa ta miała charakter nieformalny, dlatego jednoznaczne określenie kto do niej przynależał, a kto nie oraz jakie dokładnie jej członkowie podzielali poglądy, wzbudza pewne kontrowersje. Dla przykładu, Hacking z perspektywy czasu postrzega swoją przynależność do szkoły raczej sceptycznie, mimo że to właśnie on jako pierwszy zaczął być szerzej utożsamiany z tą formacją.

Sprzeciw wobec projektu unifikacji był rezultatem zmiany w sposobie uprawiania refleksji nad nauką. Filozofowie ze szkoły stanfordzkiej odeszli od gabinetowej, wyidealizowanej rekonstrukcji historycznego przebiegu rozwoju nauki na rzecz szczegółowych badań dziejących się tu i teraz praktyk laboratoryjnych. Wyłaniający się z tych badań obraz nauki był daleki od postulowanej dotychczas jedności i przypominał raczej różnorodny zbiór nauk posługujących się równie różnorodnymi metodami. Chociaż działalność szkoły stanfordzkiej polegała w znacznej mierze na krytyce zastanego paradygmatu filozofii nauki, to niektórzy jej członkowie bardziej niż inni starali się raczej rozwijać nowe sposoby wykorzystywania narzędzi filozoficznych do krytycznej refleksji nad nauką.

Ian Hacking i nowy eksperymentalizm

Hacking od najmłodszych lat był nieśmiały, w szkole średniej doczekał się nawet z tego powodu przydomku. Zmieniło się to jednak, gdy opublikował pierwszą książkę *Logic of Statistical Inference* (1965), która spotkała się z uznaniem specjalistów. Stanowiło to przełomowe doświadczenie w jego życiu. Wielokrotnie potem powtarzał, że jednym ze źródeł jego sukcesów było nabranie przekonania, że jeśli tylko włoży się odpowiednio dużo wysiłku w przygotowanie do rozmowy, można swobodnie podejść do najlepszych uczonych z dowolnych dziedzin, a na pewno część z nich z przyjemnością opowie i pokaże ci, czym się zajmuje.

Ta nabyta przez Hackinga śmiałość pomagała mu przełamywać liczne międziedziedzinowe bariery. Filozofia nauki leżała poza obszarem jego zainteresowań naukowych, aż do momentu rozpoczęcia pracy na Uniwersytecie Stanforda, co miało miejsce dokładnie czterdzieści pięć lat temu. Pewnego dnia Hacking po prostu postanowił udać się do laboratorium fizyki eksperymentalnej imienia Williama Hansena. Wdawał się tam w długie dyskusje z fizykami oraz obserwował, na czym polega i jak wygląda ich codzienna praca. Zetknięcie się z rzeczywistą praktyką laboratoryjną sprawiło, że Hacking raz na zawsze zerwał z typowymi dla filozofów fotelowymi rozważaniami o nauce. Zainspirowany wizytami w laboratorium, napisał wkrótce, wraz z zaprzyjaźnionym fizykiem Francisem Everittem, długi artykuł zatytułowany *Co jest pierwsze, eksperyment czy teoria?* Podważyli oni w nim powszechne przekonanie, że nauka polega na wymyślaniu i proponowaniu nowych teorii, które potem należy już tylko eksperymentalnie zweryfikować. Zgodnie z tym przekonaniem naukowiec to przede wszystkim teoretyk, który wysiłkiem swojego intelektu stara się przenik-

nać zasady rządzące światem. Był to obraz do tego stopnia bezdyskusyjny, że gdy Hacking i Everitt próbowali opublikować swój artykuł, zderzali się nieustannie ze strony różnych czasopism z odmownym pytaniem: A kogo w ogóle obchodzą eksperymenty? Artykuł ostatecznie nie został opublikowany. Refleksja nad nauką była wówczas niepodzielnie zdominowana przez teocentryzm.

Trzeba jednak dodać, że obsesja na punkcie teorii nie była domeną wyłącznie filozofów nauki. Również w opinii powszechnej nauka była, i nadal jest, postrzegana przez pryzmat wielkich teorii (grawitacji, ewolucji, względności). Nie inaczej wygląda to wśród samych naukowców. W 1999 r. stu najlepszych fizyków jako naukowiec wszech czasów wskazało Einsteina, który do pracy potrzebował przysłowiowych kartek, ołówka i kosza na śmieci.

W książce *Representing and Intervening* (1983) Hacking zarysował filozoficzny kontekst nurtu nazwanego potem nowym eksperymentalizmem. Punktem wyjścia była dla niego krytyka tzw. obserwacyjnej teorii wiedzy (ang. *spectator theory of knowledge*). Zdaniem Hackinga koncepcja ta zdominowała niemal całkowicie filozofię zachodnią. Zgodnie z tą myślą nauka sprowadza się do myślenia, tworzenia teorii i reprezentowania nimi świata. Obserwacyjna teoria wiedzy pomija zupełnie fakt, że ludzie nie tylko obserwują, ale także działają, wchodzą w interakcje ze światem i innymi ludźmi. Tak samo jest w nauce, która w przeważającej większości polega na działaniu, eksperymentowaniu i ingerowaniu w otaczający nas świat.

Hacking we wspomnianej książce zwrócił uwagę nie tylko na to, że eksperymentalny wymiar nauki był do tej pory przez filozofów niemal całkowicie zaniedbany, ale przede wszystkim, że eksperymenty „żyją swoim własnym życiem”, niezależnym od teorii naukowych. Zerwał on z wieloma powszechnymi przekonaniem dotyczącymi roli eksperymentów. Wbrew powszechnej opinii bywa bowiem tak, że najpierw dokonuje się pewnych doświadczeń, a jeśli ich wyniki są zaskakujące, powstaje potrzeba sformułowania wyjaśniających je teorii. Czasami naukowcy przez wiele lat posługują się pewnymi rozwiązaniami praktycznymi, których teoretyczne zasady działania nie zostały jeszcze skonceptualizowane. Bywa też tak, że wyniki eksperymentów są pewniejsze i trwalsze, niż ulegające zmianom teorie. Dlatego też konkretność praktyki laboratoryjnej stała się dla Hackinga punktem wyjścia dla krytyki antyrealizmu w nauce.

Realizm?

Zwracając uwagę na wymiar eksperymentalny nauki, Hacking starał się odmienić dominujący dotychczas sposób jej postrzegania. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że zmiana sposobu postrzegania nauki jest zadaniem trudnym, które wymaga nie tyle wysiłku, ile sprytu. Potrzebował pretekstu, którym mógłbym zdobyć zainteresowanie filozofów. Pretekstem tym stał się spór o realizm w nauce.

Zdaniem Hackinga przyjęcie obserwacyjnej teorii wiedzy prowadzi nieuchronnie do nierozstrzygalnego problemu filozoficznego. Zgodnie z tą teorią nasze poznanie polega na obserwacji świata i opisywaniu go. Skąd jednak mamy wiedzieć, czy nasze teorie są prawdziwe, czy adekwatnie reprezentują świat? Wątpliwość ta przybiera na sile, gdy zdamy sobie sprawę, że w historii nauki wiele teorii uchodzących za prawdziwe zostało obalone. Kwestia ta stała się motorem napędowym jednego z centralnych sporów filozoficznych, toczonych przez realistów z antyrealistami.

Dla przykładu, w historii nauki możemy znaleźć kilka dobrze sprawdzających się swego czasu teorii odpowiadających na pytanie, dlaczego upuszczane kamienie spadają. I tak

odpowiedź Newtona różniła się w istotny sposób od odpowiedzi Arystotelesa. Jednakże można mieć zasadne zastrzeżenia co do prawdziwości wszystkich wyjaśniających to zjawisko teorii, nie mając jednocześnie wątpliwości, co do samej rzeczywistości możliwości wzięcia kamienia do ręki i upuszczenia go. Stanowisko to nazwane realizmem w stosunku do przedmiotów, w opozycji do realizmu teorii naukowych.

Przykład z kamieniem jest tylko prostą ilustracją. Pytanie, które spędzało sen z powiek filozofów, dotyczyło tego, czy za realne można uznać niektóre mikrocząstki teoretyczne postulowane przez współczesną fizykę. W odpowiedzi na to pytanie Hacking ukuł powiedzenie, które weszło do szerszego filozoficznego obiegu: „jeśli możesz je rozpylić, to znaczy, że są prawdziwe”. Odnosiło się ono do konkretnego eksperymentu polegającego na rozpylaniu spolaryzowanych elektronów. Możliwość manipulo-



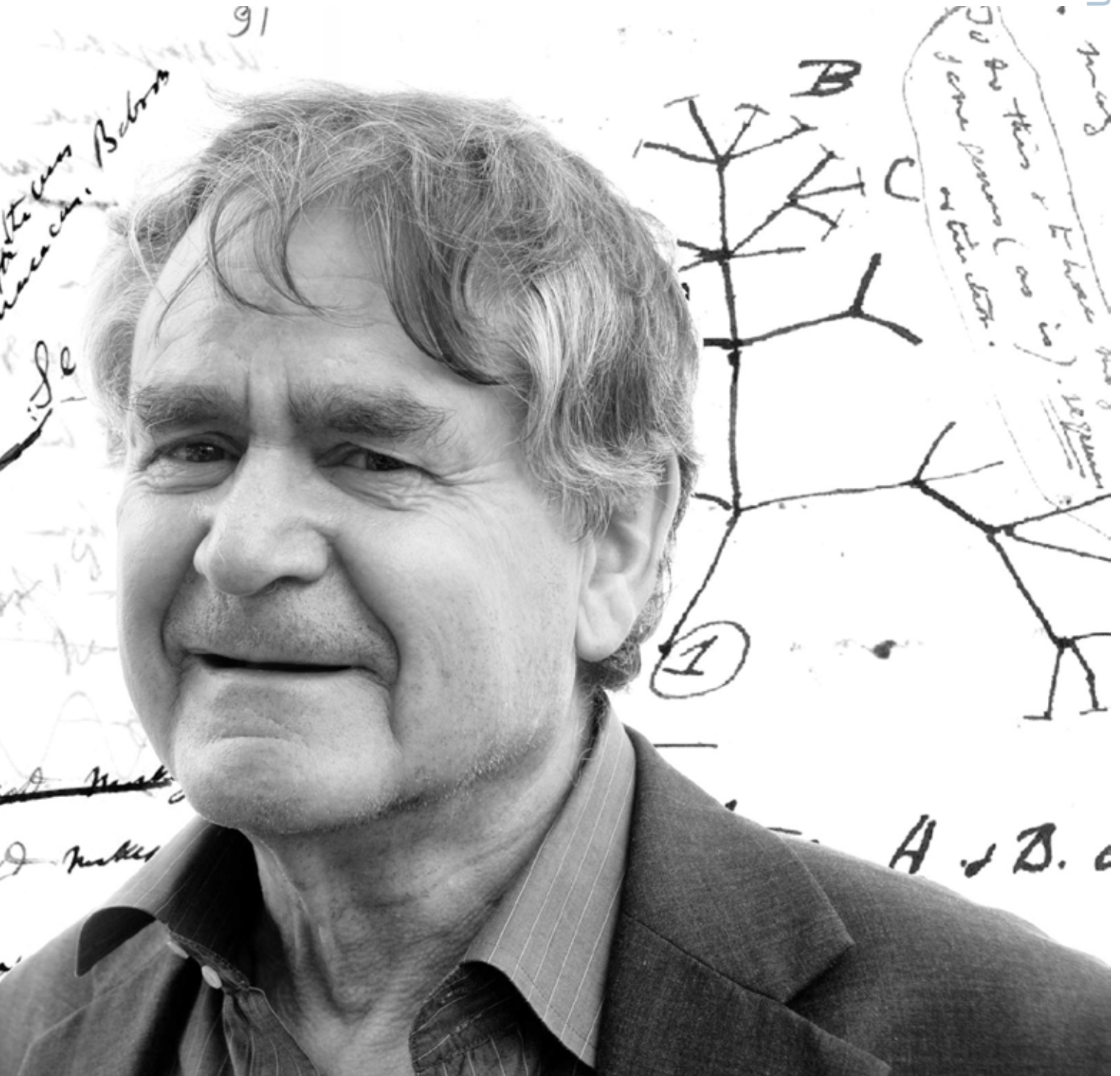
rys. Sławomir Makal

wania jakimś obiektem w celu wywołania jakiegoś efektu była zdaniem Hackinga „najsilniejszym dowodem” na to, że obiekt ten jest prawdziwy. Odpowiedź ta spotkała się ze sporym zainteresowaniem ze strony filozofów nauki. Jednakże prędko została ona sprowadzona przez nich do roli kryterium. Zaczęto debatować, czy manipulowalność X-em jest koniecznym i wystarczającym warunkiem do akceptacji zdania „X istnieje”. Zaczęto też weryfikować to kryterium, analizując różne historyczne przykłady. W ten sposób argument ten prędko wrócił na tory obserwacyjnej teorii wiedzy, z którą Hacking chciał przecież zerwać.

Konsekwentna rezygnacja z obserwacyjnej teorii wiedzy pociąga za sobą istotną zmianę w sposobie postrzegania nauki. Manipulowanie jakimś obiektem nie jest argumentem teoretycznym pozwalającym na wnoszenie o istnieniu, lecz argumentem, który można by nazwać performatywnym, za pomocą któ-

rego chcemy coś komuś zademonstrować. Pokazanie, że można posłużyć się obiektem w celu wywołania jakiegoś efektu, miało sprowadzić stanowisko antyrealistyczne do absurdu. Czy ktoś mógłby na poważnie twierdzić, że hokeista ‘manipulujący’ krążkiem wnioskuje jego istnienie? Celem Hackinga było ostatecznie gestalt switch, zerwanie z obrazem nauki jako księgi, na rzecz nauki jako gry. Zmiana ta ukazała nie tylko inne oblicze nauki, ale przede wszystkim to, że tak jak istnieje wiele różnych nauk, tak samo istnieją różne filozofie nauki, które posługują się różnymi metodami i którym przyświecają różne cele.

Krzysztof Tarkowski – doktorant w Interdyscyplinarnej Szkole Doktorskiej Nauk Społecznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Interesuje się szeroko rozumianym namysłem nad rolą nauki i technologii we współczesnym świecie.



Między teorią a praktyką

W stanowisku nowego eksperymentalizmu zakłada się, że nauka jest rodzajem aktywności badawczej, która polega głównie na rozwiązywaniu problemów powstających podczas eksperymentowania. Właśnie eksperymentowanie, zdaniem Hackinga, jest kluczową procedurą badawczą współczesnych nauk empirycznych.

Nauka i technika należą obecnie do tych dziedzin ludzkiej aktywności, które z jednej strony wywierają ogromny wpływ na sposób życia każdego z nas, z drugiej zaś w bardzo dużym stopniu kształtują nasze myślenie o sobie samym, innych oraz otaczającym nas świecie. Przedstawiając krótką charakterystykę obu dziedzin, zwrócę uwagę na rolę, jaką dziś odgrywają w nich nauki laboratoryjne. Spróbuję pokazać, że analiza tych ostatnich skłania do rewizji powszechnie utrwalonych ujęć nauki i techniki oraz relacji, które między nimi zachodzą.

Tradycyjnie przyjmuje się, że tak jak podstawowym celem nauki jest poznanie, tak podstawowym celem techniki jest działanie. Jak pisze Evandro Agazzi, „nauka ze swej istoty jest poszukiwaniem prawdy, technika natomiast polega na robieniu czegoś użytecznego”. Jedną z konsekwencji wyraźnego oddzielenia nauki od techniki jest przekonanie wyrażone m.in. przez Imre Lakatosa, że „nauka jako taka nie ponosi społecznej odpowiedzialności. To społeczeństwo ponosi odpowiedzialność – odpowiada za zachowanie niezależnej, apolitycznej tradycji naukowej i za to, aby nauka mogła szukać prawdy w sposób określony wyłącznie przez jej wewnętrzne życie”. W takim ujęciu nauka pozostaje aktywnością aksjologicznie neutralną. Dostarcza jedynie narzędzi umożliwiających osiągnięcie konkretnych celów praktycznych. Same narzędzia nie są ani dobre, ani złe. Ocenie aksjologicznej mogą podlegać jedynie realizowane za ich pomocą cele.

Inną konsekwencją wyraźnego oddzielenia nauki od techniki jest powszechnie podtrzymywany zarówno wśród naukowców, jak i inżynierów oraz techników podział na nauki czyste i stosowane. Pierwsze charakteryzują się tym, że ich problematyka nie wywodzi się bezpośrednio z potrzeb praktyki życiowej, w przypadku drugich jest odmiennie – ich problematyka wywodzi się właśnie bezpośrednio z tych potrzeb. Wśród nauk stosowanych wyróżnia się m.in. technikę rozumianą, jak pisze Paul Lowe, jako „usystematyzowane wykorzystywanie reguł nauki czystej oraz wiedzy praktycznej do jednostek i systemów fizycznych”. Na tak zdefiniowaną technikę składa się sześć czynników: 1) zespół reguł i praw naukowych; 2) określona grupa zastosowań; 3) okre-

ślony zestaw wyrobów produkowanych przy użyciu określonych urządzeń; 4) specjalistyczna wiedza wyrażona zbiorem metod wykorzystywanych podczas prac badawczych, pomiarów i praktycznych zastosowań techniki; 5) doświadczenie praktyczne i 6) organizacja wyrażona za pomocą struktury i systemów.

Teoria jednostką procesów badawczych

Podstawową przesłanką przekonania o występowaniu zasadniczych różnic między nauką czystą a techniką jest mocno ugruntowane we współczesnej refleksji nad nauką stanowisko określane mianem teoretycyzmu. Przyjmuje się w nim, że podstawową jednostką strukturalną procesów badawczych jest teoria. Obok teorii wspomina się wprawdzie również o eksperymentach, ale przypisuje się im jedynie rolę pomocniczą. Zwolennicy teoretycyzmu uważają, że głównym celem zmatematyzowanych nauk przyrodniczych jest dążenie do formułowania teorii, które mają charakter spójnych pojęciowo i metodologicznie zbiorów twierdzeń. Wiedzieć to tyle, co myśleć, a zwłaszcza myśleć kategoriami wyrażanymi za pomocą zdań. Wiedza tak ujęta, tj. w sposób propozycjonalny, ma dostarczać abstrakcyjnych twierdzeń, które zgodnie z formułą „najpierw teoria, potem praktyka” tworzą podstawę do formułowania reguł skutecznego działania praktycznego. Istotnym ograniczeniem takiego podejścia jest pominięcie wiedzy proceduralnej.

Zawężenie zakresu wiedzy nauk przyrodniczych do wiedzy o charakterze propozycjonalnym prowadzi do akceptacji aplikacyjnego modelu wiedzy teoretycznej. Wytwory techniki traktowane są w tym modelu jako jednostronny proces aplikacji wiedzy uzyskanej w ramach nauk czystych. Punktem wyjścia są badania podstawowe z obszaru tych nauk, w trakcie których zostaje wytworzona wiedza teoretyczna wyrażona w postaci ogólnych praw i teorii. Wiedzę tę próbuje się następnie zastosować. W tym celu miejsce nauki zajmuje technika, w efekcie czego powstają różnego rodzaju artefakty. Kolejnym etapem są prace badawczo-rozwojowe, w których dąży się do podniesienia wydajności artefaktu. U podstaw tego typu roz-

mowania leży właśnie milcząco zakładany model innowacji technologicznej jako aplikacji wiedzy.

Analizując historię nauki i techniki, z pewnością można wskazać przypadki, które uzasadniają opinię o trafnym zastosowaniu aplikacyjnego modelu wiedzy naukowej. Od końca siedemnastego wieku postęp techniczny stawał się konsekwentną rozwoju wiedzy teoretycznej i jej zastosowań. Bez teorii nie byłoby bardzo wielu wytworów techniki: statków kosmicznych, elektrowni jądrowych, komputerów czy telefonów komórkowych. Model aplikacyjny nie jest jednak wolny od krytyki. Pojawia się ona szczególnie wtedy, gdy naukę rozpatrujemy nie tyle ze względu na formułowane w niej teorie, ile ze względu na przeprowadzane w niej eksperymenty. Ten drugi sposób podejścia do nauki, który jest wprost nawiązaniem do prac Franciszka Bacona i Roberta Boyle'a, proponują przedstawiciele nowego eksperymentalizmu. Szczególnie wyraźnie zostaje on wyrażony w stanowisku przedstawionym przez Iana Hackinga.

Laboratoryjna praktyka badawcza

W stanowisku nowego eksperymentalizmu zakłada się, że nauka jest rodzajem aktywności badawczej, która polega głównie na rozwiązywaniu problemów powstających podczas eksperymentowania. Właśnie eksperymentowanie, zdaniem Hackinga, jest kluczową wśród procedur badawczych współczesnych nauk empirycznych. Nowi eksperymentalisci przekonują, że koncentrując się na działalności teoretycznej, tradycyjna filozofia nauki kreśliła zbyt jednostronny obraz aktywności badawczej. Hacking działalność teoretyczną wiąże z podejmowaniem licznych prób reprezentowania świata, eksperymentowanie łączy natomiast z interweniowaniem w świat. Eksperymentowanie ma odpowiedzieć na pytanie, jak zachowa się przyroda we wcześniej niebadanej sytuacji. Dokonuje się w nim manipulacji składnikami świata w celu poznania jego tajemnic. „Eksperymentować to tyle, pisze Hacking, co kreować, oczyszczać i stabilizować zjawiska”. Eksperymentatorzy wytwarzają zjawiska dzięki swojej pomysłowości oraz konstruowaniu rozmaitych urządzeń. Zjawiska takie są „kamieniami probierczymi fizyki, kluczami do natury”.

Procesami kreowania nowych zjawisk zajmują się nauki laboratoryjne. Nauki te charakteryzują się, pisze Hacking, konstruowaniem określonego rodzaju aparatury przystosowanej do ingerowania w „czysty, przedludzki stan” przyrody po to, by izolować, oczyszczać istniejące zjawiska i tworzyć nowe. Rezultatem takich ingerencji jest dążenie do wywoływania zmian w świecie i coraz dokładniejsza kontrola zjawisk, które są wynikiem tych zmian.

Składniki laboratoryjnej praktyki badawczej, wśród których występują różnego rodzaju teorie, rzeczy i znaki, są ze sobą bardzo ściśle powiązane i wzajemnie się warunkują. W trakcie prac eksperymentalnych mogą też zmieniać swój charakter. Dotyczy to także założeń teoretycznych. Założenia te tak mocno przepłatają się ze wszystkimi pozostałymi składnikami laboratoryjnej praktyki badawczej, że tradycyjnego podziału na teoretyczną i stosowaną stronę nauki nie da się w sposób prosty i jednoznaczny podtrzymać. Sytuację tę wyraźnie pokazują na przykład operacje związane z modelowaniem używanej w laboratorium aparatury badawczej. Polegają one na ustaleniu na podstawie przyjętych założeń teoretycznych zarówno przebiegu działania tej aparatury, jak i określeniu jej współoddziaływania w stosunku do obiektów, z którymi i na których pracują eksperymentatorzy.

Możliwość modyfikacji i wzajemnego dostosowywania się wszystkich elementów prac eksperymentalnych wpływa na stabilność nauk laboratoryjnych. Działający w ramach tych

nauk badacze zmierzają do wytworzenia samouzasadniającej się struktury, w obrębie której świat i nasza wiedza naukowa o nim wzajemnie się determinują. W rozwiniętych naukach laboratoryjnych założenia teoretyczne i wykorzystywana aparatura wzajemnie się uzasadniają w procesie interpretacji danych. Składniki praktyki laboratoryjnej tworzą swego rodzaju symbiozę ludzi, naukowej organizacji i przyrody. Konstytuują to, co Hacking nazywa „stylem nauk laboratoryjnych”. W ramach tego stylu nauka jest interpretowana nie tyle jako wiedza, ile jako praktyka.

Technika przed nauką

Choć charakterystyka nauk laboratoryjnych przedstawiona przez nowych eksperymentalistów często jest krytkowana, głównie za zwrot antyteoretyczny, to pokazuje ona, jak bardzo mocno złożone są relacje między teoretycznymi i technologicznymi składnikami laboratoryjnej praktyki badawczej. Ścisłą zależność między tymi dwoma rodzajami składników można uznać za ważną przesłankę tezy, iż zestawiając dziś naukę laboratoryjną z techniką, powinniśmy raczej mówić o sprzężeniu zwrotnym obu tych dziedzin niż o aplikacyjnym modelu wiedzy teoretycznej.

Wielu przedstawicieli studiów nad nauką i techniką wyraża opinię, że historię nauki zmieniają dziś nie tyle rewolucje naukowe, ile rewolucje technologiczne. We współczesnym świecie, twierdzi Andrew Pickering, postęp technologiczny wyprzedza postęp naukowy, praktyka wyprzedza teorię. Wskazując na ścisłą zależność współczesnej nauki od wyszukanych i bardzo specjalistycznych przyrządów technicznych, Valentine Dusek twierdzi, iż należy uznać, „że technika ma pierwszeństwo przed nauką i pełni wobec niej rolę kierowniczą. Taki pogląd stanowi przeciwieństwo koncepcji techniki jako nauki stosowanej, w której to nauka ma pierwszeństwo przed techniką i nią kieruje”.

W kontekście tezy o pierwszeństwie techniki wobec nauki na osobną uwagę zasługuje wyrażony przez Martina Heideggera w latach trzydziestych dwudziestego wieku pogląd, że w technice nie ma nic technicznego. Technika nie tyle jest, pisze Heidegger, środkiem do osiągnięcia stawianych sobie przez człowieka celów, jak na ogół się zakłada, ile samym celem. Technika jest sposobem odkrywania. Na tym polega jej istota – odkrywa to, co samo nie jest dane. Odkrywanie jest zależne od człowieka, ale nie tylko od niego samego. Człowiek jest bowiem składnikiem pewnego szerszego „ze-stawu”. Najważniejszym elementem tego „ze-stawu” jest, według Heideggera, nowożytnie przyrodoznawstwo, które jako czysta teoria ustawia przyrodę tak, by się przedstawiała jako z góry określony układ sił. Nowożytna fizyka jako teoria przyrody toruje najpierw drogę nie technice, lecz istocie nowoczesnej techniki. Fizyka ta jest zwiastunem „ze-stawu”. Istota nowoczesnej techniki skrywa się na długo przed tym, kiedy wynaleziono silniki, wdrożono elektrotechnikę czy uruchomiono technikę atomową.

Kiedy analizujemy zależności między nauką a techniką, na pewno nie możemy pomijać wielości ujęć obu dziedzin. Formułując tezę o sprzężeniu zwrotnym między nimi, powinniśmy brać pod uwagę głównie laboratoryjną praktykę badawczą, w ramach której łączy się aktywność badawczą uczonych z działalnością inżynierów i techników w laboratoriach w celu realizacji wartości użytkowych. Ta praktyka badawcza nie odnosi się jednak na pewno do wiedzy naukowej w ogóle. Cały czas jest w niej obecne dążenie do tego, by pozostawała ona systemem twierdzeń teoretycznych o świecie. Przykładem mogą być astronomia, geologia czy fizyka teoretyczna.



Fot. Stefan Ciechan

Podkreślając wartość poznawczą polegającą na niuansowaniu charakteru współczesnej wiedzy naukowej, można jednak utrzymać przekonanie, że bardzo duża część tej wiedzy jest wytwarzana z myślą o jej praktycznych zastosowaniach. Uzasadniona zatem jest teza, że to laboratoryjna praktyka badawcza w dużym stopniu decyduje obecnie o specyfice wielu współczesnych nauk przyrodniczych. Od drugiej połowy dwudziestego wieku tradycyjna nauka akademicka, która skupiała się na badaniach podstawowych, zaczęła stopniowo się przekształcać, jak pisze John Ziman, w naukę postakademicką. Ta druga, łącząc ze sobą elementy nauki akademickiej i przemysłowej, kwestionuje tradycyjne rozróżnienie na naukę i technikę. Laboratoria akademickie nie różnią się w zasadzie od laboratoriów, które funkcjonują w zakładzie przemysłowym. Jedne i drugie stają się miejscem, w którym zająć się ze sobą wymiar materialny, poznawczy oraz społeczny. Powiązanie tych trzech wymiarów staje się w dużym stopniu podstawą praktycznych sukcesów i osiągnięć dziedziny określanej mianem technonauki. Wiedza, będąca przedmiotem zainteresowania technonauki, ma nie tyle charakter wiedzy poznawczej, ile charakter umiejętności wyrażanych w formie wiedzy praktycznej. Pytając o jej swoistość, odwołujemy się zatem nie tyle do kryterium prawdy i fałszu, ile do kryterium stabilnej kontroli procesów wytwarzanych podczas laboratoryjnej praktyki badawczej.

Ekspansja technonauki

Technonauka jest konsekwencją nasilającego się od kilku ostatnich dekad rozwoju nauki i techniki, który dokonuje się głównie w obszarze nano-, bio- i infotechnologii oraz dyscyplin z zakresu fizyki, chemii i biologii. Rozważania nad fenomenem technonauki ujawniają wyraźne zająć się poszczególnych dyscyplin i dziedzin nauki oraz aktywności inżyniersko-technicznej. Rozważania te wskazują również na proces zbliżania się do siebie nauk przyrodniczych i humanistycznych. Owo zbliżanie następuje w wyniku procesu konwergencji, który przebiega równolegle w obydwu dziedzinach, czyli polega zarówno na upodabnianiu się przyrodnozawstwa do humanistyki, jak i humanistyki do przyrodnozawstwa.

W książce *Science in the Private Interest*, która zawiera analizy procesów badawczych nauk biomedycznych w USA, Sheldon Krinsky dostarcza mocnych argumentów na rzecz ekspansji technonauki. Autor pisze o narastającej potrzebie zmiany pojęcia „uniwersytetu”. Proponuje, by mówić o nim raczej jako o „kompleksie akademicko-przemysłowym” niż miejscu gry o prawdę. To nowe pojęcie jest potrzebne, ponieważ pozwala opisać społeczne relacje, jakie coraz częściej występują między instytucjami komercyjnymi a zakładami naukowymi.

Badania, które przedstawia Krinsky, świadczą o coraz większej komercjalizacji wielu dyscyplin technonauki. Szczególnie wyraźnym przykładem tej sytuacji jest biotechnologia. Przeprowadzane w jej ramach eksperymenty ilustrują, jak bardzo mocno nauka splata się z przemysłem. Spłot ten umożliwia sformułowanie nie tylko przesłanek uzasadniających tezę o sprzężeniu zwrotnym między nauką a techniką, on umożliwia także sformułowanie przesłanek uzasadniających tezę, że obie dziedziny stają się coraz bardziej zależne od tego, co znajduje się poza ich granicami. Wysiłki zmierzające na przykład do ulepszenia człowieka, tj. konstruowanie organów zastępujących organy uszkodzone, czy produkcja nowych leków lub większej ilości żywności, to problemy o charakterze kulturowym, społecznym oraz politycznym nie mniej niż poznawczym i technicznym.

Analiza laboratoryjnej praktyki badawczej pokazuje zatem, że w jej skład wchodzi zarówno czynniki, które wywodzą się z obszaru nauki i techniki (technonauki), jak i te, które swoje źródło mają poza tym obszarem. Przed współczesnym laboratorium stawiane są bowiem nie tylko cele poznawcze, lecz także, jeśli nie przede wszystkim, szeroko rozumiane cele praktyczne. Te ostatnie wyznaczają dziś w dużym stopniu sposób ujęcia tego, co Stefan Amsterdamski nazwał „ideałem wiedzy naukowej”. Ten ideał jest dziś bardzo mocno związany z globalizacją, która dąży w swoich działaniach do optymalizacji celów praktycznych. Takie dążenie, jak pisał już Franciszek Bacon, nie jest dla nauki niczym nowym. W dobie globalizacji jego skala jest jednak zdecydowanie większa niż w przeszłości.

Nie tyle odkrywa świat, ile weń ingeruje

Osadzenie ideału wiedzy naukowej w obszarze działań zmierzających do optymalizacji celów praktycznych rzuca nowe światło na jednoznacznie brzmiące stanowisko Lakatos, o którym już wcześniej wspominałem, że nauka jako taka nie ponosi społecznej odpowiedzialności. W kontekście nauk laboratoryjnych wypowiedź ta budzi poważne wątpliwości. Nauki laboratoryjne, mając na celu coraz większą kontrolę zjawisk świata przyrody, dążą nie tylko do ich poznania, lecz także do ich zmiany lub nawet kreacji. Moc oddziaływania uzyskiwanych w laboratorium wytworów sprawia, że rozpoznanie skutków tego oddziaływania staje się, jak pisze Hans Jonas, drugą stroną obowiązku naszej wiedzy oraz istotną częścią analizy związanej z koniecznością samokontroli ideału naukowo-technologicznej potęgi. Zgodnie z nim podstawowym zadaniem badawczych uczonych jest dziś dostarczanie takiej wiedzy, która prowadzi do ekonomicznego i przemysłowego rozwoju społeczeństwa.

O zagrożeniach związanych z kierunkami tego rozwoju świadczyć mogą m.in. wytwory uzyskiwane podczas laboratoryjnych praktyk badawczych z zakresu nauk chemicznych. Roald Hofmann, laureat Nagrody Nobla z chemii, w książce *The Same and The Not Same* pyta wprost: czy chemicy interesują się przedmiotami swoich badań ze względów czysto poznawczych, czy też o wyborze tych przedmiotów rozstrzygają inspiracje innego rodzaju? Czy chemia wywołuje pożądane czy niepożądane skutki społeczne? Czy ocena tych skutków jest subiektywna, czy też obiektywna? Pytania Hofmanna stają się szczególnie ważne wtedy, gdy pamiętamy o dwuznacznych dokonaniach innego noblisty, też wybitnego chemika, Fritza Habera, który uważał, że „nauka w czasie pokoju należy do całego świata, a w czasie wojny musi służyć państwu”.

Podsumowując filozoficzną refleksję nad nauką i techniką, warto zwrócić uwagę na zmiany, które w sposobach ujęcia obu dziedzin spowodowały nauki laboratoryjne. Nauki te pokazały, zgodnie z ewolucją ideału wiedzy naukowej, że tradycyjne utożsamianie nauki z poznaniem i techniki z działaniem nie wytrzymuje dziś krytyki w odniesieniu do wielu obszarów prac badawczych. W laboratorium nauka i technika są ze sobą bardzo ściśle związane. Wzajemnie się przenikają. Występuje między nimi sprzężenie zwrotne. W dobie globalizacji tworzą coraz bardziej intensywnie rozwijającą się technonaukę, która nie tyle odkrywa świat, ile weń ingeruje po to, by go zmieniać i osiągać określonego rodzaju cele praktyczne. Stąd też uzasadniony staje się postulat, by w stosunku do wytworów technonauki stosować kryteria oceny uwzględniające ich społeczną odpowiedzialność za skutki, które wywołują.

Dr hab. Marek Sikora, prof. PWR, filozof, zawodowo interesuje się epistemologią, filozofią nauki, socjologią wiedzy naukowej i filozofią współczesną. Pracuje w Studium Nauk Humanistycznych i Społecznych Politechniki Wrocławskiej.

Ingarden

Cechą rozpoznawczą Ingardena jest to, że jest on prekursorem i głównym przedstawicielem fenomenologii w Polsce. Fenomenologia pierwszej połowy XX wieku była skuteczną przeciwwagą dla coraz bardziej rozprzestrzeniającego się neopozytywizmu.

Sejm ustanowił rok 2020 rokiem upamiętniającym dzieł i osób lub wydarzeń; osób patronów jest sześć, w tym co najmniej (bo można by tu zaliczyć też Jana Pawła II) dwóch filozofów: Józefa Marię Bocheńskiego i Romana Ingardena. Ta uchwała pokazuje siłę polskiej filozofii. Ciekawe, swoją drogą, która z tych dwóch postaci jest dzisiaj łatwiej rozpoznawalna dla Polaków...

Przypomnimy sylwetkę Ingardena, dorzucając nieco szczegółów o czasach świetności polskiej filozofii międzywojennej i powojennej. W potocznym patrzeniu na polską filozofię dominuje pogląd, że największe jej osiągnięcia można przypisać szkole lwowsko-warszawskiej. Choć rzeczywistość odnosiła ona wielkie sukcesy i ukształtowała pewien standard rzetelności filozoficznej, to jednak nie wyczerpywała całego spektrum polskiej filozofii I połowy XX wieku. Wystarczy wspomnieć światowej sławy historyka filozofii i wychowawcę Wincentego Lutosławskiego, filozofa dziejów Feliksa Konecznego, silny neotomizm polski czy też Witkacego. No i obok szkoły lwowsko-warszawskiej wyrósł też Roman Ingarden.

Życiorys filozofa akademickiego

Roman Witold Ingarden urodził się 5 lutego 1893 w Krakowie. Studiował filozofię wraz z matematyką i fizyką we Lwowie,

„W 2020 roku przypada pięćdziesiąta rocznica śmierci Romana Ingardena – jednego z najwybitniejszych polskich filozofów. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, w uznaniu wielkich zasług uczonego, postanawia oddać Mu hołd. (...) Roman Ingarden pozostawił po sobie imponujący dorobek, w skład którego wchodzi książki, artykuły, przekłady i archiwum rękopisów, o szerokim zakresie tematycznym: od filozofii literatury przez estetykę i teorię poznania po ontologię. Choć punktem wyjścia jego prac była fenomenologia, z czasem wypracował własny, oryginalny styl myślenia oraz terminologię wzbogacającą polski język filozofii. Na szczególne podkreślenie zasługuje Jego bezkompromisowość intelektualna. (...) Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, w przekonaniu o wyjątkowości dzieła i postawy filozofa, ustanawia rok 2020 Rokiem Romana Ingardena” (Uchwała Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 13 czerwca 2019 r. w sprawie ustanowienia roku 2020 Rokiem Romana Ingardena).

skąd za radą Kazimierza Twardowskiego wyjechał do Getyngi, gdzie studiował filozofię (przede wszystkim u Edmunda Husserla) oraz psychologię i matematykę, jak również w Wiedniu i Fryburgu Badeńskim. 16 stycznia 1918 obronił rozprawę doktorską pt. *Intuition und Intellekt bei Henri Bergson*, której promotorem był Husserl. Po obronie wrócił do Polski i przez lata (aż do 1928 roku) pracował jako nauczyciel gimnazjalny w Lublinie, Warszawie, Toruniu oraz Lwowie. W 1924 uzyskał habilitację na podstawie rozprawy *Essentiale Fragen (O pytaniach esencjalnych)*, czyli pytaniach związanych z poznaniem istoty przedmiotu. Dla filozofii, szczególnie ontologii, są to pytania zasadnicze, decydujące o kierunku potencjalnych odpowiedzi, pytania takie jak: Co to jest?, Co to jest x?, Czym jest x? Od 1925 zaczął wykładać na Uniwersytecie we Lwowie jako docent prywatny. Wówczas była to zwyczajna praktyka, że nawet po habilitacji trzeba było czekać na zatrudnienie na uniwersytecie. Dzięki tej praktyce mieliśmy świetnych wykładowców w gimnazjach (z filozofów np. A. Tarski, Z. Zawirski). Mimo pozytywnego głosowania na początku roku 1930 r. przez Radę Wydziału Humanistycznego UJK wniosku o przyznanie katedry Ingarden czekał aż do końca 1933 roku.

Drugą II wojnę światową spędził we Lwowie. Wykładał historię literatury niemieckiej i teorię literatury (Lwowski Uniwersytet Państwowy im. I. Franki) oraz uczył matematyki (Szkoła Techniczna dla Polaków), uczestniczył też w tajnym nauczaniu uniwersyteckim; wtedy napisał *Spór o istnienie świata*. Po wojnie znalazł się w Krakowie, gdzie aż do przejścia na emeryturę w 1963 wykładał na UJ (z przerwą w latach 1950-57 spowodowaną wydaniem przez komunistów zakazem wykładania filozofii; czas ten poświęcił na tłumaczenie m.in. Kantowskiej *Krytyki czystego rozumu* dla Biblioteki Klasyków Filozofii). Po przejściu na emeryturę był aktywny filozoficznie (np. świetne wykłady w Oslo z fenomenologii Husserla) aż do śmierci pięćdziesiąt lat temu, czyli 14 czerwca 1970 r. Tyle życiorys, typowy dla filozofa akademickiego, o ile w I połowie XX coś mogło być typowe.

Powrót do rzeczy samych

Cechą rozpoznawczą Ingardena jest to, że jest prekursorem i głównym przedstawicielem fenomenologii w Polsce. Studiował wszak u Husserla, Reinacha, znał Heideggera, Edytę Stein, Hedwiga Conrad-Martius, Maksa Schellera i całe grono fenomenologów getyńskich. Fenomenologia pierwszej połowy XX

wieku była skuteczną przeciwwagą dla coraz bardziej rozprzestrzeniającego się neopozytywizmu.

Jako metoda fenomenologia była sposobem filozofowania według hasła Husserla „Zurück zu den Sachen Selbst!” (z powrotem do rzeczy samych). „Przecz z pustymi analizami słów! Musimy wysłuchać samych rzeczy. Z powrotem do doświadczenia, do naocznego ujmowania, które jako jedyne mogą nadać naszym słowom sens i rozumne uzasadnienie” – pisał Husserl w *Filozofii jako nauce ścisłej*. Model filozofowania zapoczątkowany i konsekwentnie podtrzymywany przez Husserla do końca jego dni musiał być ogromnie nośny, wystarczy popatrzyć na przytoczone wyżej nazwiska. Prowadził też w całym różnych kierunkach: Ingardena ku realizmowi, podczas gdy Husserla ku idealizmowi transcendentalnemu. Ten zwrot dokonany w *Ideach* Ingardena tak opisuje: „I wtedy ogarnęło członków seminarium pewne zdziwienie. Nie było to to, czegośmy oczekiwali. Nagle czytamy takie zdania jak (...): »Jeśli skreślimy czystą świadomość, to skreślimy świat!« — »Jeśli nie ma czystej świadomości, to nie ma i świata!« Husserl uczył nas przez wiele lat: Z powrotem do rzeczy, do konkretnego, nie zaś do abstrakcji, teorii itd. Do konkretnego — to było wybawienie. Zamiast tego otrzymujemy w *Ideach* obszernie analizy świadomości, transcendentnego spostrzeżenia zewnętrznego, rozważania dotyczące tego, co jest a co nie jest efektywnym składnikiem świadomości; i natrafiamy na wymaganie, aby przed przejściem do analizy tego, co wiemy o samych »rzeczach«, przeprowadzić »redukcję fenomenologiczną« — i aby dochodzić do »rzeczy« okrężną drogą, poprzez analizę świadomości. Przeszedłszy przez te wszystkie analizy dochodzi on tam do wniosku: jeśli nie ma świadomości i nie ma czystego Ja — to nie ma również świata. Świat jest korelatem skomplikowanej mnogości subiektywnych operacji owego Ja; zaś spełniające je Ja — to nie ja, Ingarden, ja, realny człowiek w realnym świecie, lecz czyste Ja, Ja filozofujące. Trzeba jakoś nie brać pod uwagę »mnie« jako człowieka” (*Wstęp do fenomenologii Husserla*).

Niejako odpowiedzią na ten idealizm jest realizm Ingardena, do którego dochodzi on w wyniku analiz przeprowadzonych w *Sporze o istnienie świata* (dwa pierwsze zasadnicze tomy wyszły w latach 1947-48). Spór o istnienie świata, czyli spór o specjalny charakter tego istnienia i o związki egzystencjalne świata ze świadomością, przez T. Czeżowskiego został scharakteryzowany jako „spór, którego racją jest pytanie, czy świat realny istnieje jako *ens per se*, jako byt przez siebie, tj. niezależnie od tego, czy jest dany w czyimkolwiek doświadczeniu, czy też istnieje jako *ens ab alio*, jako byt ze względu na coś innego, a takim

jest (...) istnienie dane w spostrzeżeniu, a więc od niego jakoś zależne” (T. Czeżowski, *Zagadnienie istnienia świata w świetle przemian metodologicznych*, 1951). Oczywiście dla niefilozofa samo pytanie jest dziwne, w świetle jednak wskazanego wyżej postawienia spraw przez np. Husserla (ale i wcześniej przez wielu filozofów, choćby Kartezjusza czy niemieckich idealistów początku XIX wieku) zadanie podjęte przez Ingardena i metodycznie doprowadzone do uznania rozwiązania realistycznego, ma podstawowe znaczenie dla filozofii.

Jakie są rezultaty Sporu?

Według Ingardena każdy byt jest określony pod trzema względami: materialnym, formalnym i egzystencjalnym. Wzgląd materialny jest jego jakościowym określeniem (zespół jakości, które np. określają Pawła: kolor oczu, wzrost...), wzglę-



Rys. Sławomir Makal

„Co rozumie się przez fenomenologię pochodzącą od Husserla? Najpierw czysto formalnie: jest to odrębny sposób podejścia do zagadnień filozoficznych, a zarazem odrębna technika językowego przedstawiania wyników, uzyskanych dzięki takiemu podejściu do świata czy też rozważaniu świata. Krótko mówiąc, jest to metoda fenomenologiczna. (...) Można jednak również mówić o fenomenologii w innym znaczeniu: mianowicie jako o zespole twierdzeń, czy systemie teorii, będących wynikiem fenomenologicznego sposobu badania. Tu zaś na pierwszym miejscu znajduje się fenomenologia Husserłowska jako całość dla siebie, która odróżnia się pod wieloma istotnymi względami od fenomenologii Maxa Schelera czy tzw. Monachijczyków (A. Pfändera, M. Geigera, D. v. Hildebranda i in.), czy wreszcie od filozofii Heideggera” (R. Ingarden, *Wstęp do fenomenologii Husserla*).

dem formalnym jest sposób, w jaki owa jakościowa determinacja się przejawia, lub jej funkcja (forma Pawła jest ustanowiona przez to, że Piotr jest podmiotem tych jakości, tzn. że tkwią one w nim, określając go), a w końcu wymiar egzystencjalny jest to sposób istnienia tego bytu (np. to, dzięki czemu jest on bytem zachowującym swą tożsamość mimo upływu czasu, a jednak pochodnym od innych bytów, tzn. od swych rodziców). Główne rezultaty analiz Ingardena przeprowadzonych w ontologii egzystencjalnej (czyli tej części, która dotyczy względu egzystencjalnego) to:

- odróżnienie pomiędzy momentem bytowym a sposobem istnienia; ten pierwszy określony jest przez prosty eksperyment myślowy porównujący lampę istniejącą z nieistniejącą lampą o takich samych własnościach, co istniejąca: „Najpierw ustalmy myślowo własności (...) pewnej nieistniejącej lampy i przeciwstawmy ją lampie dokładnie takiej samej co do wszystkich jej własności (...), ale już istniejącej. (...) co musi się niejako »dołączyć« do owej nieistniejącej lampy, żeby istniała, co odróżnia ją od lampy istniejącej? (...) Otóż ogół tego, co ją w ten sposób od nieistniejącej »lampy« różni, nazywam jej sposobem istnienia” (Ingarden, *Spór...*, s. 86-87). Moment bytowy zaś jest pewnym aspektem czy stroną sposobu istnienia, którą można w nim abstrakcyjnie wyróżnić, ale która nie jest „odłączalna” od samego sposobu istnienia i innych momentów. Rozważamy na przykład sposób istnienia Pawła jako bytu istniejącego w czasie. Ingarden twierdzi, że w takim sposobie istnienia można wyróżnić na przykład moment szczeliny, który sprawia, że Paweł jest bytem aktualnym „nie dłużej” niż chwilę, że jego terażniejszość jest ograniczona do pojedynczego momentu czasu. W *Sporze o istnienie świata* odnajdujemy cztery pary uniwersalnych momentów bytowych: samoistność (autonomia) i niesamoistność (heteronomia), pierwotność i pochodność, samodzielność i niesamodzielność, niezależność i zależność oraz osiem momentów bytowych odnoszących się do istnienia w czasie (trwałość i kruchość, aktualność i nieaktualność, nieszczeliny i szczeliny, ogólność i ujednostkowienie);
- klasyfikacja sposobów istnienia; poprzez połączenie ze sobą tych momentów bytowych oraz eliminację kombinacji, które są sprzeczne, Ingarden identyfikuje ostatecznie piętnaście sposobów istnienia, z których osiem dotyczy przedmiotów istniejących w czasie, w tym byt absolutny (ponadczasowy), byt pozaczasowy (idealny), byt czasowy (realny) w trzech odmianach (przeszłej, terażniejszej i przyszłej), byt czysto intencjonalny.

Wypełnienie miejsc nieokreślonych

Pierwotnie najbardziej chyba oddziałała Ingardena teoria dzieła literackiego (*Das literarische Kunstwerk*, Halle 1931) i ogólnie – estetyka. Jej podstawą jest ontologiczne rozróżnienie fundamentu bytowego dzieła sztuki, dzieła sztuki jako intersubiektywnego przedmiotu czysto intencjonalnego oraz przedmiotu estetycznego. Ponieważ przedmioty czysto intencjonalne stanowią najsłabszą postać bytu, dla swego zaistnienia i utrzymania się w bycie domagają się istnienia przedmiotów o mocniejszym statusie egzystencjalnym: realnych przedmiotów, w których są utrwalone, przeżyć świadomych twórcy, od których są pochodne, obcowania estetycznego odbiorcy, który je utrzymuje w istnieniu. Przedmioty czysto intencjonalne są podmiotami własności jako intencjonalne struktury (jako specjalna odmiana bytów), i są podmiotami swojej zawartości; dlatego Ingarden mówił o ich dwupodmiotowości. Do tego, ponieważ w zawartości dzieł sztuki występują miejsca niedookreślenia, zostały one potraktowane jako schematyczne. Wypełnienie miejsc nieokreślonych jest powodowane przez kontakt odbiorcy z dziełem sztuki; w ten sposób konstytuowany jest przedmiot estetyczny. Prowadzi do wypełnienia miejsc niedookreślonych i ukonstytuowania przedmiotu estetycznego. Konsekwencją tych dystynkcji pojęciowych było odróżnienie wartości artystycznej (dzieła sztuki) od wartości estetycznej (przedmiotu estetycznego) (Z. Majewska, hasło Ingarden w Powszechnej Encyklopedii Filozofii).

Z dzisiejszej perspektywy Ingarden doczekał się ogromnej literatury, w Polsce i na świecie. Szczególnie dotyczy to jego ontologii i estetyki. Ze względu na precyzję wprowadzanych odróżnień wykorzystywany jest w tzw. ontologiach inżynierskich, np. opracowanej na KUL inżynierskiej ontologii przekonana (odróżnienie byt autonomiczny – byt heteronomiczny, procesy i tkwiące w nich przedmioty trwające w czasie).

Na koniec trzeba zarekomendować świetną pracę Cyfrowego Archiwum Romana Ingardena (<http://ingarden.archive.uj.edu.pl/>) prezentującego opracowane „typologicznie i merytorycznie materiały archiwalne dotyczące nieznanych prac naukowych wybitnego polskiego humanisty oraz korespondencji z przedstawicielami kultury i nauki XX wieku z Polski i zagranicą”. Archiwum powstało jako rezultat grantów MNiSW w ramach programu Dialog. Warto dodać, że wszystkie materiały są prezentowane zarówno w polskiej, jak i angielskiej wersji językowej.

Lektura tych listów, kartek pocztowych (większość do Ingardena) daje wyobrażenie o świecie, który w pewnym sensie już przeminął (kto dziś wysła kartki pocztowe?). Mamy tu mnóstwo korespondencji m.in. od Twardowskiego, Ajdukiewicz, Witwickiego („Kochany Panie Romku! (...) Niech Pan te wykłady bierze śmiało, o ile Pan tylko czas ma. Najlepiej niech Pan weźmie pierwszy lepszy »wstęp« jakiegos Kulpego a jak Pan to spróbuje słuchaczkom swoimi słowami powiedzieć, to będzie całkiem oryginalne i koniec. Tem bardziej, kiedy Pan zacznie krytykować jedno i drugie. Tylko niech Pan sobie kaže lepiej zapłacić, a nie głupie 500 mk za godzinę na rok. (...) Nie myślę wcale, żeby brzydka rzeczą było wykladać wstęp do filozofii kiedykolwiek” – radził Witwicki w 1920 roku) czy w końcu od Witkacego, który przyjaźnił się z Ingardenem (np. kilka kartek Witkacego do Ingardena w sprawie tzw. portretu Ingardena w turbanie, z którego to portretu tenże nie był zadowolony).

Dr hab. Marek Lechniak, prof. KUL, Katedra Logiki w Instytucie Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego im. Jana Pawła II

Tomasz Kłusek

Filozofia literatury

Romana Ingardena

Doświadczenie jakości metafizycznych jest warunkiem niezbędnym przekroczenia horyzontalnych ograniczeń ludzkiego bytowania. W życiu codziennym jest to jednak bardzo trudne. Wymiar horyzontalny winien być uzupełniony wymiarem wertykalnym. Niezbędne są sztuka i literatura, gdyż mogą one, przy odpowiednio głębokim ich przeżyciu, doprowadzić do objawienia się jakości metafizycznych.

Roman Ingarden, jako autor monumentalnych prac *O dziele literackim* i *O poznawaniu dzieła literackiego*, zajmuje poczesne miejsce w panteonie światowej estetyki literackiej, a tym samym i w literaturoznawstwie. Oczywiście wysokiej rangi polskiego fenomenologa nie da się ograniczyć do tej w gruncie rzeczy wąskiej specjalizacji, niemniej ze względu na tematykę artykułu, problematyka badań literackich będzie tu wyróżniona. Poza tym, jak wiadomo, nie da się oddzielić rozważań Ingardena dotyczących literatury od jego ustaleń ogólnoestetycznych, aksjologicznych, epistemologicznych i ontologicznych. Do tej sprawy trzeba będzie jeszcze powrócić w dalszej części artykułu.

Poświadczenie wysokiej rangi Ingardena można łatwo odnaleźć na kartach prac wielu autorów, i to nie tylko polskich czy europejskich. W formie przypomnienia można przywołać opinię działającego w Stanach Zjednoczonych filozofa Herberta Spiegelberga. Otóż w głośnie swego czasu pracy *The Phenomenological Movement* z 1960 roku pisał on o Ingardenie jako jednym z najwybitniejszych fenomenologów. W szczególny sposób wyróżnił jednak Spiegelberg dokonania Ingardena w dziedzinie estetyki, stwierdzając m.in., że najbardziej oryginalny był on w fenomenologicznych analizach dzieł sztuki, zwłaszcza pracy *O dziele literackim*, choć równie istotne były Ingardenowskie ustalenia dotyczące muzyki i sztuk plastycznych.

W polskim literaturoznawstwie przez całe dziesięciolecie panowała paradoksalna sytuacja. Wszyscy mniej lub bardziej doceniali ogromną rolę Ingardena w rozwoju tej dziedziny badań, ale brak właściwie było tych, którzy konsekwentnie stosowaliby wskazania Ingardenowskie w praktyce. Najczęściej ograniczano się do referowania koncepcji warstwowej budowy dzieła literackiego i jego schematyczności, teorii quasi-sądów, a także rozróżnienia dzieła sztuki i konkretyzacji. W związku z tym trudno byłoby się dziwić temu, że powtarzanie wkoło kilku ogólników nie prowadziło do żadnych praktycznych konsekwencji. Poza tym w powojennym literaturoznawstwie dominowały tendencje sprzeczne z dążeniami autora *O dziele literackim*, a więc marksistowskie czy – szerzej mówiąc – socjologizujące, dalej: hermeneutyczne, strukturalistyczne i ich różne

późniejsze warianty z postmodernistycznym antropologizmem na czele. W każdym razie wiele czynników wpłynęło na nieobecność ingardenizmu w praktyce badań literaturoznawczych i krytyce literackiej. Co prawda Maria Gołaszewska, uczennica i w pewnej mierze kontynuatorka Ingardena, już w 1963 roku wydała ciekawą pracę *Filozoficzne podstawy krytyki literackiej*, ale jej praktyczne konsekwencje były właściwie żadne. Próbowano w niej na podstawie Ingardenowskiej koncepcji dzieła literackiego stworzyć solidny, teoretyczny fundament dla praktycznej działalności krytycznoliterackiej, ale był to jednak tylko początek. Należałoby dalej rozwijać ustalenia badaczki, a tego nie zrobiono i dzisiaj mało kto wspomina tę niewątpliwie pionierską pracę.

Ingardeniści i ingardenolodzy

Już tylko uwzględniając przypadek Gołaszewskiej i jej książki o krytyce literackiej, widać, że wina za to swoiste niedoceniecie dorobku Ingardena leży nie tyle po stronie reprezentantów innych opcji, co właśnie kontynuatorów i wyznawców polskiego fenomenologa. Marksści uprawiali marksizm, strukturaliści strukturalizm, hermeneutyki hermeneutykę, a... fenomenologowie? Praca Gołaszewskiej, która podjęła pewne wątki z Ingardena i na swój sposób je zmodyfikowała, nie spotkała się z należyтым oddźwiękiem. Wytłumaczenie powojennych perypetii myśli autora *O dziele literackim* można znaleźć w kontrowersyjnej, aczkolwiek ważnej książce Danuty Ulickiej *Ingardenowska filozofia literatury. Konteksty*. Warto przypomnieć uwagi autorki, posiłkując się cytatami trafnie ujmującymi problem.

Ulicka pisze o „ingardenistach” i „ingardenologach”. Pierwsi posługują się w swych badaniach literatury wyrwanymi z kontekstu filozoficznego propozycjami Ingardena, upraszczając i banalizując je w ten sposób. Drudzy starają się co prawda wiernie odtworzyć owe filozoficzne konteksty, ale ich bezkrytyczny stosunek do mistrza bardziej zaciemnia niż rozjaśnia jego poglądy. Trudno nie zgodzić się z następującą opinią Ulickiej: „W postępowaniu ingardenistów najbardziej może krzyw-

dzące w stosunku do koncepcji Ingardena było pozbawienie jej atrakcyjności. Sprowadzona do kilku nienazbyt odkrywczych dla współczesnego literaturoznawcy twierdzeń, straciła ona całą siłę inspiratorską, stając się szacownym, ale martwym zabytkiem. Interesujące i istotne z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy o literaturze przemyślenia filozofa z zakresu np. semantyki albo jego rozważania o czasowej strukturze dzieła na dobrą sprawę nie doczekały się kontynuacji. Wykładnie ingardenistyczne wyjałowiły Ingardena”. Z kolei „ingardenologia” przyczynia się „przede wszystkim do zatarcia swoistości i odrębności koncepcji fenomenologa na tle tego, co pod wpływem dominujących w XX w. kierunków związanych z pozytywistycznym modelem wiedzy za teorię literatury zwykło się uważać. Koncepcja ta należy bowiem nie do teorii, lecz do filozofii literatury. Nie jest w każdym razie po prostu jedną z gałęzi badań literackich, istniejących równoległe z krytyką i historią literatury”.

Parcelowanie prowadzi do banalizacji

Poglądy przedstawione przez Ingardena w takich pracach jak *O dziele literackim*, *O poznawaniu dzieła literackiego*, *Szkice z filozofii literatury*, *Przeżycie – dzieło – wartość* czy rozprawach składających się na trzy tomy *Studiów z estetyki* umożliwiają zrekonstruowanie wieloaspektowej, ale spójnej koncepcji, której nie wyczerpują formuły teorii literatury czy estetyki literackiej. Niezbędne w tym wypadku będzie posłużenie się terminem filozofii literatury. Widać to doskonale na przykładzie problematyki jakości metafizycznych, która przez Ingardena została co prawda tylko zarysowana, niemniej odgrywa w jego koncepcji kluczową rolę. Nie da się w pełni zrozumieć czterech paragrafów z dziesiątego rozdziału *O dziele literackim*, zatytułowanego *Rola przedmiotów przedstawionych w dziele sztuki literackiej i tzw. idea dzieła*, gdzie wprowadzona została

problematyka jakości metafizycznych, bez znajomości choćby *Sporu o istnienie świata*. Wszelkie parcelowanie systemu Ingardena prowadzi do banalizacji jego myśli. I tutaj niewątpliwie rację miała Danuta Ulicka.

Jak jednak należy rozumieć kategorię jakości metafizycznych i w jaki sposób łączą się one z zagadnieniem sztuki, a literatury w szczególności? Aby odpowiedzieć na to pytanie, pragnę podzielić się pewną uwagą natury egzystencjalnej, a następnie przywołać niezwykle trafną refleksję samego Ingardena.

Współczesny człowiek, pochłonięty całkowicie tym, co praktyczne i materialne, zatracza poczucie transcendencji. Nie znajduje jednak w tym uspokojenia. Jego egzystencja jawi mu się jako pozbawiona sensu i wartości. Brak owego poczucia transcendencji wywołuje niepokój, lęk i uczucie pustki. Uświadomienie sobie tej sytuacji uruchamia proces dążenia do przekroczenia własnych ograniczeń. Doświadczenie jakości metafizycznych jest warunkiem niezbędnym przekroczenia horyzontalnych ograniczeń ludzkiego bytowania. W życiu codziennym jest to jednak bardzo trudne. Wymiar horyzontalny winien być uzupełniony wymiarem wertrykalnym. Niezbędne są sztuka i literatura, gdyż mogą one, przy odpowiednio głębokim ich przeżyciu, doprowadzić do objawienia się jakości metafizycznych. Znamienny jest przykład Paula Claudela, który nawrócił się w katedrze Notre-Dame w Paryżu, słuchając gregoriańskich śpiewów.

Ingarden w *O dziele literackim* w następujący sposób przedstawia kontrast między niezwykłością przeżycia jakości metafizycznych a banalnością powszedniości: „W codziennym naszym życiu, nastawionym na drobne praktyczne cele i ich urzeczywistnianie, stosunkowo rzadko zdarzają się sytuacje, w których objawiają się tego rodzaju jakości. Życie nasze płynie – jeżeli tak można powiedzieć – bez sensu, w codziennej

Fot. Stefan Ciechan



szarzyźnie i powszechności, bez względu na to, jak wielkie dzieła udaje się nam realizować w tym mrówczo czynnym i ruchliwym życiu. Aż wreszcie pojawia się dzień – jak dar łaski – w którym z nic nieznaczących i niezauważonych na razie przyczyn, z przyczyn zresztą zazwyczaj ukrytych, rodzi się «zdarzenie», które spowija nas i świat dokoła nas się rozpościerający jakąś przedziwną, nie dającą się opisać atmosferą. Jakąkolwiek mogłaby być jej szczególna jakość, straszliwa czy zachwycająca, aż do zupełnego urzeczenia i zapomnienia o sobie, ona to sprawia, że dane zdarzenie odcina się od powszedniej szarzyzny dni świetnym przepychem barw i staje się punktem szczytowym naszego życia. I nie ma przy tym znaczenia to, czy u jego podłoża leży wstrząs nielitościwie zbrodniczego mordu, czy też duchowa ekstaza w ujednieniu się z Bogiem. Te, od czasu do czasu pojawiające się jakości «metafizyczne» – tak je bowiem pragnę nazywać – są tym, co nadaje życiu naszemu wartość «przeżycia», i tym, za czego tajemniczym, konkretnym objawieniem się w naszym życiu żyje w nas utajona tęsknota, kryjąca się poza wszystkimi naszymi działaniami i czynami».

Sens uprawiania sztuki

Schodząc teraz z poziomu roztrząsań ogólnych, powiedzmy filozoficznych, należałoby znów powrócić w rejony badań natury estetycznej. Ingarden zdecydowanie rozróżniał dzieło sztuki i przedmiot estetyczny. Dzieło sztuki stanowi efekt wiążący proces twórczy, ale niezamykający go jednak ostatecznie. Aby to zamknięcie mogło się dokonać, musi dojść do spotkania dzieła sztuki z jego odbiorcą, perceptorem. Wtedy dokonuje się proces konkretyzacji dzieła sztuki i w tym momencie staje się ono przedmiotem estetycznym. O ile dzieło sztuki można rozpatrywać, posługując się wartościami artystycznymi, to przedmiot estetyczny wymaga wprowadzenia tego, co określa się mianem jakości i wartości estetycznych. Tutaj rodzi się szereg problemów, które wciąż budzą liczne wątpliwości, wywołują polemiki i trudno – jak się zdaje – oczekiwać definitywnego ich rozstrzygnięcia. Przykładowo: czy wartości estetyczne wynikają w jakiejś mierze z wartości artystycznych oraz czy wartości estetyczne nie mają żadnego zakorzenienia w dziele sztuki, a są jedynie owocem procesów odbiorczych? Ingarden rozstrzygał tę kwestię następująco: wartości artystyczne przysługują dziełu sztuki, jakości i wartości estetyczne nadbudowują się niejako na wartościach artystycznych, z kolei jakości metafizyczne na jakościach i wartościach estetycznych. Jakości metafizyczne nie są jednak kreowane, gdyż w ich przypadku mamy do czynienia z ujawnianiem bądź objawianiem „głębszego sensu” życia i bytu. Ingarden stwierdza: „Przy ich ujrzeniu odsłaniają się nam głębie i praźródła bytu, na które zwykle jesteśmy ślepi, i których istnienie w codziennym życiu zaledwie przeczuwamy”.

Prawdziwa sztuka w ujęciu Ingardenowskim jest czymś nader ważnym i poważnym. Literatura, film i teatr, plastyka, ba, muzyka nawet nie są igraszkami mającymi zapełniać czas wolny i dostarczać błahych przyjemności. Zadaniem sztuki jest poniekąd dopełnienie realności. Jak to rozumieć? Ingarden tak odpowiada: „W życiu realnym jednak – jak powiedziałem – sytuacje, w których realizują się jakości metafizyczne, są stosunkowo bardzo rzadkie. Realizacja ich zresztą zazwyczaj zbyt silnie nami wstrząsa, żebyśmy przy ich ujrzeniu potrafili nasycić się w pełni tym wszystkim, co się w nich zawiera. Żyje w nas jednakże tajemna tęsknota za ich realizacją i za ujrzeniem ich w «przeżyciu» – nawet wówczas, gdyby chodziło o coś straszliwego. Gdy jednak nadchodzi moment, w którym stają się rzeczywistością, to ich realizacja lub, ściślej mówiąc, one same w swej realizacji są tak potężne, że porywają nas w swoją

moc i opanowują nas. Nie mamy siły ani czasu, żeby zatopić się w kontemplacji [...] W szczególności sztuka może nam dać jakby w miniaturze i tylko w dalekim odbłasku to, czego nie możemy, ściśle biorąc, osiągnąć w codziennym realnym życiu: spokojną kontemplację jakości metafizycznych”. I w tym tkwi sens uprawiania sztuki.

Wszystko albo nic

Ingarden podkreślał, że ujawnianie jakości metafizycznych stanowi najważniejszą funkcję dzieła literackiego. Rzecz ta udaje się jednak tylko twórcom wybitnym i to w ich największych osiągnięciach. W przypadku literatury późniejszej jest to niemożliwe, ale przecież nie zwalnia to nikogo z obowiązku dążenia do tworzenia arcydzieł. Władysław Stróżewski określał jakości metafizyczne mianem wartości nadestetycznych. Wiesława Tomaszewska postulowała odróżnianie jakości metafizycznych i religijnych, które u Ingardena wszystkie stanowiły jedną kategorię. Wielu kwestionowało potrzebę odróżniania jakości metafizycznych od wartości estetycznych. Np. Henryk Markiewicz uważał, że mieszczą się one w polu semantycznym wzniosłości, a samo określenie tych jakości jako metafizycznych uznał za niefortunne. Przyjmując postpozytywistyczny kontekst światopoglądowy, należałoby zgodzić się z tym ostatnim stanowiskiem. Jednak zniekształca i upraszcza ono koncepcję Ingardena. Jawi się ona jako jeszcze jedna spośród wielu teorii literackich, a nie filozofia literatury, którą należy odczytywać i przyjmować en bloc bądź całkowicie odrzucić. W przeciwnym razie Ingarden, okaleczony i rozparcelowany, staje się mało znaczącą pożywką dla eklektyków wszelkiej maści, hochsztaplerów i symplifikatorów.

Zbliżając się do końca artykułu, warto z jednej strony przypomnieć bardzo pesymistyczne, choć też w dużej mierze uzasadnione, uwagi Rolfa Fiegutha o znikomym zainteresowaniu dorobkiem autora *O dziele literackim* we współczesnym świecie. W rozmowie sprzed kilku lat z Beatą Garlej dosadnie określił on poziom zainteresowania spuścizną Ingardena w dziedzinie badań literaturoznawczych, mówiąc: „ręce opadają”. Z drugiej strony Sejm RP ogłosił rok 2020 Rokiem Romana Ingardena. W ubiegłym roku ukazał się pierwszy tom doskonałej biografii polskiego fenomenologa pióra Radosława Kuliniaka i Mariusza Pandury pt. „Jestem filozofem świata” (*Κόσμον φιλόσοφος εἶμι*). *Roman Witold Ingarden (1893-1970). Część pierwsza: lata 1893-1938*. Stwarza to uzasadnione nadzieje na odwrócenie złych trendów, o których mówił znakomity literaturoznawca i propagator twórczości Ingardena w krajach niemieckojęzycznych. Tym bardziej że kontynuatorzy Ingardenowskiej myśli literaturoznawczej, tacy jak Andrzej Stoff, Andrzej Tyszczyk i Bernadetta Kuczera-Chachulska, doczekali się już grona uczniów. Na szczególne wyróżnienie zasługuje tu Beata Garlej, autorka wielu prac, które dotyczą dokonań badawczych Ingardena odnoszących się do literatury.

W listopadowym numerze „Nowych Książek” z 2002 roku ukazała się interesująca rozmowa Tadeusza Gadacza z profesorem Władysławem Stróżewskim. Na jedno z pytań pada następująca odpowiedź: „Jeśli zaś chodzi o jego estetykę, mój Boże, uważam ją za największe osiągnięcie. Nie ma większej estetyki, ontologii dzieła literackiego, ontologii dzieła sztuki w ogóle. Nie ma głębszej filozofii wartości estetycznych od tej, którą stworzył Ingarden [...]. Uważam, że jest to jeden z największych umysłów, jakie polska wydała. A co do filozofii – podzielam opinię ojca Bocheńskiego, że jest największym polskim filozofem”. Trudno byłoby nie zgodzić się z tą opinią. Celem mojego krótkiego artykułu było oddanie hołdu dokonaniom najwybitniejszego polskiego myśliciela XX wieku, w tym przede wszystkim na polu jego filozofii literatury.

Bocheński

Prowadząc analizę logiczną dyskursu religijnego, główną uwagę poświęcił kwestii uzasadniania, jak to nazywał, podstawowego dogmatu, czyli zdań bazowych doktryny religijnej. Wyróżnił siedem stanowisk, od całkowitego braku uzasadnienia, przez różnego rodzaju teorie przyjmujące uzasadnienie, aż do teorii hipotezy religijnej, za którą sam się opowiadał („wierny buduje na podstawie znanych mu z doświadczenia przesłanek hipotezę wyjaśniającą, która staje się dogmatem podstawowym po spełnieniu się aktu wiary”).

„Mojego dorobku jest tyle, co kot napłakał. To są wszystko rozmaite marności. Dlaczego mój dorobek nie jest większy? Przede wszystkim dlatego, że ja nigdy nie byłem więcej wart. Nie jestem ani Leśniewskim, ani Ingardenem. To zupełnie innej klasy ludzie. Po części usprawiedliwiają mnie warunki. Jeśli chodzi o postawę, to robią ze mnie czasem jakiegoś straszliwego dogmatyka, którym naprawdę nie jestem. Jestem przekonany, że my po omacku w ciemnościach szukamy i tylko od czasu do czasu udaje nam się coś odszyfrować. To jest moja postawa epistemologiczna. Całe życie szukałem. Mnie nigdy nie zadowalało to, co mówią inni i zawsze usiłowałem sam coś znaleźć. Myślę, że rzeczywistość istnieje niezależnie od nas i że przeczenie temu jest chorobliwe. Patologiczny jest też subiektywizm, antropocentryzm. Zdychający krokodyl też może myśleć o sobie, ale dopóki jest, myśli o rzeczywistości”.

Ta niezwykle skromna ocena dorobku życia i opis postawy badawczej pochodzi od Józefa Marii Bocheńskiego (*Między logiką a wiarą*). Rok 2020 Senat poświęcił postaci Ingardena, a także Józefowi Marii Bocheńskiemu (1902-1995), w 25. rocznicę śmierci. Bocheński to na tyle barwna i wszechstronna postać, że trudno do niej przypisać jedną encyklopedyczną kwalifikację. Jeśli powiemy: filozof, logik, badacz doktryny, organizator, przywódca, kapłan, nawet – polityk, to każde określenie oddaje jeden z odcieni osobowości Bocheńskiego. I rzeczywiście, jeśli wziąć sam dorobek filozoficzny Bocheńskiego, nie jest on Ingardenem; jeśli sam dorobek logiczny, nie jest on Leśniewskim; ale jeśli wziąć wszystkie wymienione określenia, to w wypadku Bocheńskiego one się znakomicie dopełniają, i broń Boże, nie wykluczają!

Kto uwalnia się od logiki...

Życie Bocheńskiego naznaczone było wprowadzaniem racjonalności na każdym terenie jego działalności – czy był to obszar posługi jako kapelana wojsk pod Monte Cassino, czy rektora uniwersytetu, czy eksperta szkolącego kadrę zarządczą banku. Poza logiką jest tylko sprzeczność i nonsens, „kto uwalnia się od logiki, bełkotuje” pisał w *Stu zabobonach*. Podstawą tego uracjonalniania życia był jego program filozofowania, w którym filozofia miała być uprawiana jako filozofia analityczna. Co to znaczy? Bocheński sprowadzał ten program do czterech reguł:

- reguła drobnych kroczków, czyli co do metody – analiza; zakłada się złożoność świata, co powoduje, że poznanie świata polega na odpoznananiu jego składników. Stąd w filozofii winniśmy koncentrować się na prowadzeniu drobnych prac, a nie tworzeniu wielkich syntez (bo wielkie syntety to jego zdaniem zrównanie filozofii ze światopoglądem);
- reguła analizy języka, według której odrzuca się istnienie pojęć samych w sobie, a traktuje się je po prostu jako znaczenia słów. Stąd ważny jest jasny sposób wypowiedzania się, w szczególności precyzja w ustalaniu treści pojęć i operowaniu nimi;
- reguła racjonalności, sprowadzająca się do przyjęcia racjonalności świata i, w ślad za nią, racjonalności postępowania; tu gwarantem tej racjonalności jest logika;
- reguła obiektywizmu nakazująca zacząć od rzeczy samych – punktem wyjścia filozofowania ma być założenie przedmiotowego charakteru poznania.

Tak rozumiana filozofia analityczna jest dziedziną niezwykle przydatną dla różnych dyscyplin naukowych i wręcz niezastąpioną. „Współczesny rozwój pomaga filozofom dostrzec, że mogą wyświadczyć innym dyscyplinom przysługę, że ich wyniki mogą być zużytkowane nie tylko przez nich samych, ale również przez innych. W średniowieczu rozprawiano wiele o roli filozofii jako ancillae theologiae. Oburzało się na to wielu nowoczesnych filozofów: Jakże ich dostojna mądrość mogłaby być służebnicą? Ich oburzenie nie byłoby może tak radykalne, gdyby usłyszeli zamiast «służebnica» – nauka pomocnicza, bo też taki jest sens średniowiecznej »ancilla«. Żaden z matematyków nie czuje się tym urażony, że astronom posługuje się jego dyscypliną jako nauką pomocniczą. Dlaczego filozofowie mieliby reagować inaczej?” (Bocheński, *O filozofii analitycznej*).

Bocheński nie ograniczył się do uwag programowych, ale stosował wielokrotnie analizę filozoficzną jako narzędzie, które można stosować w różnych dziedzinach wiedzy. Szczególnie znane i cenne są jego analizy pojęcia autorytetu (*Co to jest autorytet?*), społeczeństwa wolnego czy przedsiębiorstwa przemysłowego. „W bardzo skromnym dorobku, który mam, ile razy próbowałem podjąć jakąś analizę, zawsze wyszło mi coś nowego. Autorytet jest według mnie relacją trójczłonową między tym, kto ma autorytet, tym, dla kogo jest on autorytetem i dziedziną, w której ma autorytet. Zadałem sobie pytanie, co to jest

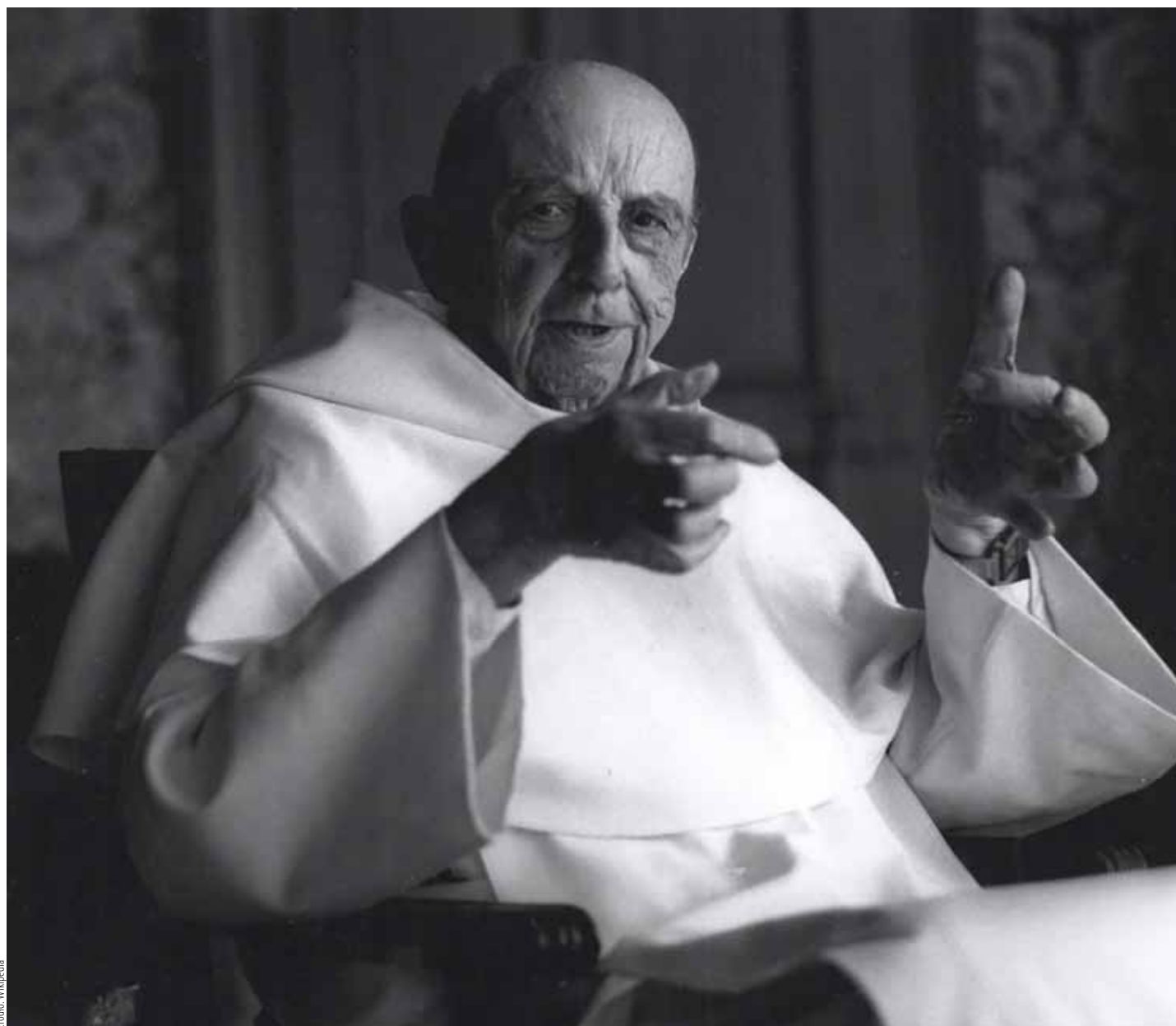
ta dziedzina i okazało się, że są dwa rodzaje dziedzin. Może być nią albo klasa zdań albo klasa dyrektyw, przepisów, przykazań. W pierwszym wypadku nazywam to autorytetem epistemicznym – to jest autorytet rzeczoznawcy (...). W drugim przypadku mówimy o autorytecie deontycznym. Stwierdziłem to na podstawie czystej analizy logicznej. Okazało się, że nikt przede mną tak zdawało się oczywistej rzeczy nie powiedział” (*Między logiką a wiarą*). Na bazie pojęcia autorytetu Bocheński może dalej analizować różne typy społeczeństwa, a wśród nich pojęcie społeczeństwa wolnego. Dziś tego typu analizami zajmuje się ontologia formalna czy tzw. ontologie inżynieryjne, opisujące jakąś dziedzinę przedmiotową w języku formalnym, aby rozróżnić podstawowe typy obiektów i relacje między nimi (celem jest analiza danych przygotowująca do tworzenia baz danych). Bocheńskiego słusznie można nazwać prekursorem takich ontologii.

Tomizm i logika formalna

Kolejnym obszarem, na którym Bocheński okazał się prekursorem, jest logika religii. Bocheński, przed wojną należący do założycieli tzw. koła krakowskiego, czyli grupy logików i filozofów chrześcijańskich, którzy przyjęli pro-

gram „unowocześniania” filozofii chrześcijańskiej (tomizmu) poprzez stosowanie narzędzi logiki formalnej. Głównym osiągnięciem koła przed II wojną światową była Jana Salamuchy formalizacja dowodu *ex motu* na istnienie Boga. Bocheński poszedł (wyłączywszy jego późny artykuł poświęcony logicznej analizie Tomaszowych dróg na istnienie Boga) inną drogą – analizy języka i pojęć, czyli raczej logiki rozumianej w sensie szerszym. *Logika religii* (na bazie wykładów wygłoszonych w New York University w 1963 roku) jest logiką zastosowaną do analizy dyskursu religijnego; materiałem do analizy jest dany nam empirycznie dyskurs religijny, tzn. dyskurs faktycznie prowadzony przez wspólnoty religijne – w tym logika religii nie różni się od np. logiki biologii.

Bocheński podkreślał fakt, że przed nim nie spotykało się badań dyskursów religijnych, w których zwracano by uwagę na cechy interesujące logików. Jak wskazywał, w historii występowały dwa skrajnie opozycyjne stanowiska w sprawie związków logiki z religią; z jednej strony kategoriyczne negowanie istnienia jakichkolwiek związków między logiką a religią (np. Piotr Damiani czy odnoszący się do niego Marcin Luter), z drugiej – tendencja logiczna, według której stosowanie logiki do reli-



Źródło: Wikipedia

gii uważano za naturalne (np. w filozofii chrześcijańskiej XIII–XV wieku).

Bocheński, prowadząc analizę logiczną dyskursu religijnego, główną uwagę poświęcił kwestii uzasadniania, jak to nazywał, podstawowego dogmatu, czyli zdań bazowych doktryny religijnej. Wyróżnił siedem stanowisk, od całkowitego braku uzasadnienia (skok na ośle), przez różnego rodzaju teorie przyjmujące uzasadnienie (pełne – racjonalistyczne lub niepełne – teorie spostrzegania, zaufania), aż do teorii hipotezy religijnej, za którą sam się opowiadał („wierny buduje na podstawie znanych mu z doświadczenia przesłanek hipotezę wyjaśniającą, która staje się dogmatem podstawowym po spełnieniu się aktu wiary”). Warto zauważyć, że późny Bocheński prawdopodobnie pod wpływem analitycznej filozofii religii zmienił tu swoje poglądy, wskazując, że teoria hipotezy religijnej odnosi się raczej do doktryny religijnej wyznawanej przez osobę religijną, podczas gdy zmiana przekonań religijnych poprzedzająca akceptację doktryny ma inny charakter, najczęściej opierając się na zaufaniu względem autorytetu: „dogmat podstawowy głosi, że wszystko, co zawarte jest w credo danej religii, jest prawdziwe. Ale psychologiczna sytuacja wierzącego jest taka, że nie akceptuje on credo z powodu hipotezy religijnej, ale z powodu tego, że ufa Chrystusowi czy Mahometowi”.

Badania filozofii sowieckiej

Innym ważnym obszarem zainteresowań Bocheńskiego była filozofia marksistowska w Związku Radzieckim. Bocheński zasłynął tu jako filozof (analizy doktryny komunistycznej), organizator i ekspert. Na Uniwersytecie we Fryburgu Bocheński powołał w 1957 roku Osteuropa-Institut, w którym prowadzono systematyczne badania naukowe nad filozofią sowiecką. Ich rezultatem było ponad pięćdziesiąt monografii z serii „Sovietica” (od 1959 roku, jeden z tomów to Bocheńskiego *The Dogmatic Principles of Soviet Philosophy* z 1963 roku) oraz ponad 35 roczników kwartalnika „Studies in Soviet Thought” (ukazującego się od 1961 r., a istniejącego do dziś jako „Studies in East European Thought”).

Działalność Bocheńskiego w tej mierze była wprost nieoceniona: był on autorem *Handbuch des Weltkommunismus* (w 1958); jak wskazywało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych RFN w raporcie z 1962 roku, blisko połowa badaczy komunizmu pracowała w instytucie prowadzonym przez Bocheńskiego. Przy czym Bocheński był także czynnym badaczem filozofii sowieckiej oraz odegrał kluczową rolę w dyskusji nad wartościami zachodnimi, łącząc pięć tez, które mogły być użyte jako odpowiedź na ideologię komunistyczną: metoda naukowa (ludzka władza nad determinującą rzeczywistością), humanizm (autonomiczny rozwój indywidualnej jednostki), demokracja społeczna (fundamentalna równość praw), polityka demokratyczna (zapewnienie praworządności) oraz pluralizm ekonomiczny (w opozycji do „ujarzmienia” przez monopol państwowy) (G. Scott-Smith, *Western Anti-Communism and the Interdoc Network Cold War Internationale*).

Bocheński był uznanym przez rządy ekspertem „od komunizmu”: „starałem się tłumaczyć, czym jest komunizm. Dla przykładu, proces partii komunistycznej w Niemczech był kierowany przez dwóch sekretarzy stanu. Obaj byli bardzo czcigodni i porządni, ale żaden z nich nie miał zielonego wyobrażenia o komunizmie. Jeździłem przez szereg miesięcy niemal co tydzień do Karlsruhe i wykladałem im komunizm. Taka jest rola specjalisty naukowca. On sam nie może uprawiać polityki, ale posiada pewną wiedzę i tę wiedzę komunikuje, to jest jego obowiązek” (*Między logiką a wiarą*). Ta działalność Bocheńskiego była przyczyną całkowitego „zamilczenia” jego twórczości w Polsce w czasach komunistycznych, jako jednego z głów-

nych wrogów komunizmu (rzecz ciekawa, że – jak wspominały osoby z nim blisko współpracujące – żadnym funkcjonariuszom tajnych służb komunistycznych nie udało się wnikać do bliższego grona współpracowników Bocheńskiego).

Nazywam to wszystko zabobonem

Nie rozwijam w tym wspomnieniu licznych obszarów działalności Bocheńskiego. Wspomnę tylko jego wkład do historii logiki – książki: *Z historii logiki zdań modalnych, A history of Ancient Logic czy Formale Logik*. Ta ostatnia to monumentalne dzieło prezentujące nie tylko dzieje logiki europejskiej od początku aż do czasów współczesnych, ale i, co rzadkie, wykład logiki indyjskiej. Dziwne, że *Formale Logik* jak dotąd nie doczekała się polskiego przekładu. Inny dorobek obejmuje historię filozofii, etykę, w tym etykę wojskową (*De virtuti militari*) czy bodaj najsłynniejsze *Sto zabobonów* (choć to sprawa dyskusyjna, bo np. jego *Wege zum philosophischen Denken*, w polskim przekładzie *Ku filozoficznemu myśleniu*, była filozoficznym bestsellerem – w języku niemieckim miała ponad milion egzemplarzy nakładu, nadto została przełożona na inne języki, gdzie miała bardzo wiele wydań) – zastosowanie praktycznej racjonalności do zwalczania rozpowszechnionych, szkodliwych półprawd. We wstępie do tej ostatniej książki pisał: „Powie mi ktoś, że używając tej raczej obelżywej nazwy, obrażam czcigodne zasady wytwornej przyzwoitości koleżeńskiej. Bo w świecie filozofów przyjęto obchodzić się elegancko z najgorszymi nawet idiotyzmami. Kiedy jeden mędrak powiada, że świata nie ma, albo że istnieje tylko w jego głowie (...) Otóż ja, proszę mi wybaczyć, nazywam to wszystko zabobonem (...). Stanowczo za daleko poszliśmy w uprzejmości względem zabobonnych mędrków. Wypada raz wreszcie z tym skończyć, odróżnić hipotezę naukową od widzimi się demagoga. (...) Kto zechce zaglądnąć do niniejszego słownika, stwierdzi, że nosi on charakter obrazoburczy (...) Tak jest istotnie. Postępuję w ten sposób dlatego, że jak powiedziałem, filozof jest z powołania obrazoburcą, niszczyicielem przesądów i zabobonów...”.

Życiorys Bocheńskiego tu świadomie pomijamy. Sporo się mówi o Bocheńskim tego roku (wystarczy przypomnieć wyemitowany 10 lutego spektakl Teatru Telewizji *Negocjator* o roli Bocheńskiego jako negocjatora wskazanego przez rząd szwajcarski podczas ataku terrorystycznego na ambasadę PRL w Bernie w 1982 roku czy przy tej okazji napisany przez Filipa Mamchesa felieton *Nie był zgniłkiem* w „Tygodniku TVP”, zawierający krótki życiorys). Bocheński był postacią barwną, wszechstronną (znana jest jego zasada, że co kilka lat człowiek winien studiować, dla higieny umysłu, nową dziedzinę wiedzy, w jego przypadku była to, pod koniec życia, egiptologia), nie wahał się wygłaszać w sposób zdecydowany swoich poglądów (stąd bywał niełatwy w codziennych kontaktach, szczególnie gdy idzie o jego bezkompromisową racjonalność praktyczną), podejmował ciężłe nowe wyzwania (np. w siedemdziesiątym roku życia odbył kurs pilotażu i przez wiele lat był czynnym pilotem). W odpowiedzi na końcowe pytania wywiadu Jana Parysa o Bocheńskiego ocenę swojego życia, ten stwierdził: „Ludzie pytają mnie czasem, czy się trwożę przed zbliżającą się śmiercią. Odpowiadam, że trwogi nie odczuwam, ale myśl o śmierci jest mi nieprzyjemna. Bogu niech będą dzięki, miałem życie ciekawe i przykro będzie się z nim rozstawać. Myślę, że mógłbym każdemu życzyć takiego życia, jakie miałem. (...) Zgodnie z zasadą obowiązującą nie tylko filozofów: aby być szczęśliwym, trzeba działać, pracować, walczyć. Wtedy, niejako marginesowo, człowiek poczuje się szczęśliwy” (*Między logiką a wiarą*). Bocheński do ostatnich chwil swojego życia był wierny tej zasadzie.

Agnieszka Lekka-Kowalik

Należy czytać klasyków, nawet jeżeli się mylą

W sempolu uczestniczyli i studenci, i doktorzy, i uznani profesorowie. Zjeżdżaliśmy się z całej Szwajcarii i Liechtensteinu. Od o. Bocheńskiego uczyliśmy się pracy naukowej niejako przez osmozę. Na seminariach swoje prace przedstawiał on sam lub ktoś z uczestników. I ja miałam ten przywilej.

Ojciec Józef Maria Bocheński to jedna z tych osób, które wpłynęły na moją formację. Poznałam go w 1989 roku dzięki pomocy ks. prof. Andrzeja Bronka, mojego promotora. Studiowałam wówczas w Międzynarodowej Akademii Filozoficznej w Liechtensteinie. Ks. Bronk skontaktował mnie z pracującym w Szwajcarii ks. dr. Dariuszem Gablerem, a ten zabrał mnie na sempol – seminarium polskie organizowane zasadniczo co miesiąc przez o. Józefa Marię Bocheńskiego we Fryburgu. Seminaria te rozpoczęły się w 1979 roku. W posiadanym przez mnie maszynopisie wywiadu Jarosława Kozaka, także uczestnika sempolu, pada pytanie o powody, które skłoniły o. Bocheńskiego do prowadzenia tego seminarium. Warto zacytować odpowiedź: „Gdy jest się profesorem uniwersytetu, to człowiek przyzwyczaja się mieć stale do czynienia z młodymi; później jest się nagle na emeryturze i stara się ten kontakt z młodymi przedłużyć. Poza tym ja jestem takim człowiekiem, że gdy mam zagadnienia, to muszę z kimś dyskutować, by się one we mnie wykrystalizowały. [...] Były zatem różne powody, ale głównym powodem był rodzaj tęsknoty za możliwością pracowania dla Polski”. Patriotyzm był trwałym elementem osobowości o. Bocheńskiego.

Gdy przyszedliśmy po raz pierwszy na seminarium, na mój widok o. Bocheński wstał – nie dlatego, że wszedł ktoś nowy, ale dlatego, że weszła kobieta. Robił to zawsze, a jeśli nie, mówił: „Bardzo panią przepraszam, że nie wstaję, ale nogi mi dziś nie dopisują”. Oto zakonnik, sławny na cały świat profesor, były rektor Uniwersytetu Fryburskiego, trzy razy starszy ode mnie, zwykłej studentki, wstawał, by wyrazić szacunek lub się usprawiedliwić, że nie wstaje. Duży to kontrast z dzisiejszymi zachowaniami i profesorów, i studentów.

W sempolu uczestniczyli i studenci, i doktorzy, i uznani profesorowie. Zjeżdżaliśmy się z całej Szwajcarii i Liechtensteinu. Od o. Bocheńskiego uczyliśmy się pracy naukowej niejako przez osmozę. Na seminariach swoje prace przedstawiał on sam lub ktoś z uczestników. I ja miałam ten przywilej. Przechowuję z pietetyzmem kartkę od o. Bocheńskiego, w której prosi mnie o przedstawienie projektu pracy doktorskiej. Moje badania dotyczyły pojęcia racjonalności, a odwoływałam się w nich

do współczesnych filozofów nauki: Karla Poppera, Thomasa Kuhna i Larry'ego Laudana. Zaproponowałam potraktowanie pojęcia racjonalności analogicznie do pojęcia prawdy, co pozwoliło mi odróżnić „istotę”, kryteria i nośniki racjonalności. Ten pomysł zrodził się podczas intensywnych trzech tygodni pracy i z drżeniem przedstawiłam wyniki rozważań na sempolu. Do dziś brzmi mi w uszach ocena o. Bocheńskiego: „To dobra analityczna robota”. Rozumiał on bowiem analityczność filozofowania szeroko, jako wydzielenie i rozwiązywanie jasno postawionych zagadnień, z argumentacją poddaną rygorom logiczno-metodologicznym. To dlatego mawiał, że takich filozofów analitycznych, jak Arystoteles (zawsze dodawał: „błogosławionej pamięci”) oraz święty Tomasz, to ze świecą szukać. Pozytywna ocena mojego projektu nie raz stawała się źródłem siły, gdy przychodziło zniechęcenie i bezradność wobec materiału. Co prawda moje wystąpienie o. Bocheński podsumował z pewną zadumą: „Ludzie, dobrzy chrześcijanie, kobiety o racjonalności piszą!”. Zwrotem „Ludzie, dobrzy chrześcijanie” o. Bocheński często rozpoczynał swe wypowiedzi, zwłaszcza gdy żartował lub chciał podkreślić swe zdumienie czy zaskoczenie.

Referując swoje rozważania, pokazywał w praktyce, na czym polega owa analityczność filozofowania. I choć kiedy go poznałam, uważał jeszcze, że nie można robić wielkich syntez, później twierdził – choć nie wiem, czy pogląd ten znalazł odzwierciedlenie w jakiegokolwiek jego opublikowanej pracy – że one są możliwe, przynajmniej parcjalne, ale bardzo trudne.

Punkt wyjścia do rozważań

Uczył samodzielności i odwagi myślenia. Na jednym ze spotkań poskarżył się, że deformują mu studentów. Oto idąc przez Uniwersytet Fryburski, spotkał polskiego księdza, który pisał doktorat z teologii o – jak się okazało w trakcie rozmowy – Trójcy Świętej. „Zapytałem, co twierdzi – relacjonował o. Bocheński – a on mi na to, że św. Augustyn to uważał tak, a św. Tomasz tak... Tak jakby sam nie odważył się pomyśleć”. Przekonywał nas, że dzieła filozoficzne są jedynie punktem wyjścia do rozważań, a nie materiałem do „streszczania ze zrozumieniem”. A wobec tego – podkreślał – trzeba dobrze ów punkt wyjścia



Seminarium polskie – sempoł – obok o. Józefa Bocheńskiego Autorka artykułu.

Fot. Arch. prywatne Autorki

dobierać. Na jednym ze spotkań zapytał nas, czy wiemy, ile dzieł znajduje się w Bibliotece Kongresu USA. Nie wiedzieliśmy. Podał liczbę, a następnie oszacował, że dzieło filozoficzne można czytać ze zrozumieniem pięć godzin dziennie, nie więcej niż sześć stron na godzinę, przez sześć dni w tygodniu. Wykonał obliczenia na własnym przykładzie niemal siedemdziesięciu lat studiowania dzieł filozoficznych i okazało się, że to zaledwie ułamek promila tego, co zawiera Biblioteka Kongresu. „Jaki z tego płynie wniosek?” – zapytał. Milczeliśmy. Pamiętam jego słowa: „Należy czytać klasyków. Nawet jeśli Hegel się myli, to są to wielkie błędy”.

Imponował wiedzą. Nieraz prosił kogoś do dopełnienia wypowiedzi osoby referującej. Kiedyś wezwał profesora, by na tablicy zapisał leibnizjańską zasadę tożsamości; gdy tamten nie potrafił, ze zdumieniem zapytał: „Czego was teraz uczą”? Oczywiście po powrocie do domu rzucaliśmy się wszyscy do książek, by uzupełnić wiedzę. Uświadamiał nam też inny parametr pracy naukowej – czas. Kiedyś omawiał temat poświęcony bodaj logikom modalnym i poszukiwał w pamięci nazwisk. Patrzył na nas z nadzieją, że mu pomożemy, ale nikt się nie odezwał. Po chwili sam o. Bocheński przypomniał sobie owe nazwiska, o których chyba nikt z nas nie słyszał, i skomentował sytuację: „Pamiętajcie, pracujcie, póki jesteście młodzi. Ja już zaczynam zapominać”. Miał wtedy 91 lat. Co cztery lata rozpoczął studiowanie jakiejś dziedziny pozafilozoficznej. Kiedy go poznałam, referował wyniki swoich badań z zakresu egiptologii. Doceniał komputer jako narzędzie pracy naukowej. Twierdził, że gdyby wcześniej go wynaleziono, zrobiliby trzy razy więcej.

Byliśmy też świadkami pewnego dramatycznego zwrotu. Powiedział nam (choć nie pomnę, jakiej pracy to dotyczyło), że w jego dowodach formalnych logik i przyjaciel Albert Menne znalazł błędy. To wtedy usłyszeliśmy: „Jeśli po siedemdziesięciu latach uprawiania logiki formalnej robię błąd, to znaczy, że to jest koniec mojej pracy naukowej”. Na wszystkich nas owa pokora wobec własnej kondycji i wobec powagi filozofii zrobiła ogromne wrażenie. W wydanych w roku 1993 *Wspomnieniach* deklaruje natomiast: „Zapełniłem wiele tomów moją pisaniną. Zaprzestanie pisania byłoby rodzajem antycypowanej śmierci. Ja wiem, że jest ona niedaleko – ale nie chciałbym jej przyspieszać. Zdecydowałem się więc na kompromis: będę pisał, ale nie twórczo – napiszę wspomnienia”.

Legendarne poczucie humoru

Referował więc nam wspomnienia, ale też dzielił się z nami innymi „nietwórczymi” pracami, np. o religii w Sienkiewi-

czowskiej *Trylogii* czy o etyce żołnierskiej. Omawialiśmy też pracę *Was ich glaube* (posiadam kserokopię tej pracy z odręcznymi poprawkami Bocheńskiego, datowaną przez niego na 13.09.1993). To w kontekście tej dyskusji szczególnie mocno ujawnił się szacunek o. Bocheńskiego dla każdego uczestnika seminarium, nawet dla najmłodszego i najmniej utytułowanego, który zadaje pytania i wraz z nim chce poszukiwać rozwiązania. Ośmielona już niemal czteroletnią znajomością z o. Bocheńskim, wystąpiłam przeciwko jednemu z twierdzeń i wdaliśmy się w coraz intensywniejszą polemikę. Gdy wyczerpaliśmy przychodzące do głowy „na gorąco” argumenty, o. Bocheński pochwalił mnie za zaangażowanie, a do uczestników powiedział: „Dobrze, że w Kościele katolickim kobiet nie święcą, bo jakby była biskupem, ani chybi pastorałem by mi po głowie przyłożyła”. Zapamiętałam tę żartobliwą uwagę jako wskazówkę co do sposobu dyskusowania. Do serca też wzięłam wprowadzone przez o. Bocheńskiego rozróżnienie na filozofów i filozofastów – ci pierwsi, gdy wykaże im się błąd, potrafią to przyjąć i dobrze wykorzystać, podczas gdy ci drudzy „idą w zaparte”.

O. Bocheński miał legendarne poczucie humoru. Żartował z uczestnikami i z uczestników, ale przede wszystkim z samego siebie. Uczył i nas tego dystansu do siebie i własnej ważności. Często też opowiadał anegdoty o sobie. Ilustrując wieloznaczność terminów modalnych, opowiedział, jak kiedyś pieszo wracał z późnej kolacji i w pewnym momencie zaczął gwałtownie poszukiwać toalety. Nie znalazł, wobec tego przystanął za drzewem w parku. Niespodziewanie pojawił się policjant i – rozpoznając o. Bocheńskiego – zgorszonym tonem powiedział: „Ojciec, nie może Ojciec...”. „Synu – opowiedział – skoro robię, to mogę”.

Jego wielką pasją było latanie samolotem. Kiedy go poznałam, nie latał już, ponieważ nie odnowiono mu licencji (o co miał zresztą pretensje), ale niekiedy zabierał uczestników sempołu do kawiarni na lotnisku. Mawiał, że dopiero siedząc za sterami samolotu i płynąc przez nieograniczoną niczym przestrzeń, naprawdę można się poczuć wolnym. We wspomnieniach napisał: „latając, człowiek przełamuje mocą swojego ducha naturalne granice działalności zapisane w jego istocie psycho-fizycznej. [...] Tak więc sądzę, że radość jaką daje latanie zawdzięczamy poczuciu przezwyciężenia naturalnych granic nałożonych nam przez przyrodę. To jest wolność, ale wolność wyższego rodzaju. Niż owa wolność poruszania się w przestrzeni”.

Lubił też szybką jazdę samochodem, podczas której słuchał – nucąc do wrotu – piosenek wojskowych. Kiedyś drogę na lot-

nisko przebyliśmy przy akompaniamencie *Przybyli ulani, Rozkwitały pąki białych róż i Jak to na wojence ładnie*. Zatrzymany kiedyś przez policję za nadmierną prędkość, zapytał pokornie: „Czyżbym jechał za szybko? „Nie – odpowiedział policjant – Ojciec leciał za nisko”.

W połowie roku 1992 odbyła się konferencja naukowa z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin o. Bocheńskiego. Za chichot historii Bocheński uznał obecność uczonych z byłego Związku Radzieckiego. Oto na spotkanie zorganizowane ku czci bezkompromisowego krytyka komunizmu, założyciela Instytutu Europy Wschodniej, gdzie rozwijano studia sowietologiczne, autora *Handbuch des Weltkommunismus* (1958), przyjeżdżają niedyśjejsi oponenti. A samą konferencję z właściwym sobie humorem uznał za „próbę pogrzebu w nieobecności zwłok”.

Byłem człowiekiem szczęśliwym

Zmarł 8 lutego 1995 we Fryburgu, ale wcześniej napisał szkic mowy pogrzebowej, co wspomina w homilii podczas nabożeństwa pogrzebowego o. Guy Benouelle. I nam mówił o tym – miało to „czasu i wysiłku zaoszczędzić temu biedakowi, któremu to zleca. Mowy pogrzebowe są dla żywych, bo nieboszczyk na to gwizdże”. Powtórzył to w swym autonekrologu (tak określił ten tekst o. Benouelle, przywołując w homilii cytaty, które wywoływały uśmiech uczestników mszy pogrzebowej). Jak się okazało, autonekrolog ten pisał już od 1957 roku: „Te słowa zostały skreślone, aby ci pomóc w zredagowaniu mojego nekrologu. Jest to zadanie nużące i trudne, podczas którego można łatwo zafałszować nie tylko charakter zmarłego, lecz i fakty z Jego kariery. Takie nekrologi nie służą zmarłemu, ponieważ gwizdże on na nie i są mu całkowicie obojętne. Jednakże przyczyniają one pewnego pożytku pozostałym przy życiu, szczególnie grupie, do której zmarły należał”. W tym cytacie ujawnia się coś, co widzieliśmy i czego doświadczyliśmy, obcując z o. Bocheńskim: umiłowanie prawdy oraz wdzięczność i troska o tych, których Bóg postawił na Jego drodze.

Redagowanie obecnego tekstu przywołało falę wspomnień i zapewne rozrósłby się on do rozmiarów przekraczających objętość „Forum Akademickiego”. Tekst ten nie jest pracą naukową, ale świadectwem – i to świadectwem podwójnym. Świadectwem osobistej wielkości o. Bocheńskiego, która promieniowała na uczestników sempołu, oraz świadectwem tego, że realizował on nakreślony przez Tadeusza Czeżowskiego ideał „człowieka uniwersytetu”: twórczej indywidualności wyposażonej w kulturę intelektualną, moralną i estetyczną (T. Czeżowski, *O ideale uniwersytetu*).

Pisząc o sensie życia, o. Bocheński podkreślał, że jest on sprawą indywidualną, i to w trojakim aspekcie. Po pierwsze, chodzi o sens *mojego* życia, życia tej oto osoby, z takimi a takimi zdolnościami i ułomnościami, „wrzuconej” w ten oto czas. Po drugie, chodzi o sens *mojego* życia *dla mnie*, a nie dla innych. Wszak moje życie może przecież być sensowne dla mojego trenera, który liczy, że pobije rekord w biegu przez płotki, czy dla nauczyciela, który ma nadzieję, że wygram centralny etap olimpiady z matematyki, ale nie dla mnie. Po trzecie, sens życia *sama* muszę znaleźć i zachować. Przeświadczenie, że *moje* życie ma *dla mnie* sens – konkluduje o. Bocheński – owocuje *moim* przekonaniem, że warto żyć. Nasze życie ma sens – odpowiada – gdy dążymy do jakiegoś celu: gdy budujemy dom, zdobywamy wiedzę, piszemy książkę i gdy oddajemy się kontemplacji chwili. Odwołuje się tu do własnego doświadczenia: gdy po kąpeli morskiej leży na piasku, zażywa słońca, nie ma myśli o bezsensie życia, bo cieszy się życiem i żyje intensywnie. Przywołuje też przykład Bernharda Riemanna, który zbudował system geome-

trii nieeuklidesowej i przeżył chwile wielkiej radości, kontemplując całość systemu w jego pięknie.

Sam o. Bocheński uważa, że spośród wielu aktywności w jego życiu najważniejsza była filozofia. Pisze: „Brałem moje powołanie i nakaz przełożonych na serio. Wszystko inne było w porównaniu z nimi, to jest z uprawianiem filozofii, marginesowe. Jeden z wybitniejszych myślicieli zakonu, Kajetan de Vio, powiedział kiedyś, że dominikanin, który nie studiuje cztery godziny dziennie, popełnia grzech śmiertelny. Otóż wydaje mi się, że tego grzechu nie jestem winny. Filozofowaniu poświęcałem zwykle więcej niż owe kajetanowe minimum. Najważniejszą bodaj rzeczą, której się nauczyłem w zakonie, jest wyteżona praca naukowa. Jej oddawałem się z rozmachem i, muszę powiedzieć, z niemalą przyjemnością”. Każdy, kto zna bodaj wyrwykowo życie i działalność o. Bocheńskiego, nie ma wątpliwości, że było to życie emanujące sensem, wypełnione wielorakimi celami i chwilami kontemplacji. To dlatego w swym „autonekrologu” napisał: „Trzeba, abys wiedział: byłem człowiekiem szczęśliwym prawie podczas całego mojego życia”. Mam nadzieję, że intelektualny i wychowawczy wpływ o. Bocheńskiego na mnie – a zapewne na innych uczestników sempołu – jest trwały i że pozwoli mi tak pracować i działać, by także w podsumowaniu mojego życia znalazło się zdanie: „Byłem człowiekiem szczęśliwym”.

Dr hab. Agnieszka Lekka-Kowalik, prof. KUL, dyrektor Instytutu Jana Pawła II KUL, Wydział Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II



Źródło: Internetowy Polski Słownik Biograficzny – Instytut Audiodewizyjny

Biografie: ewolucja gatunku i jej skutki

Czy główne obowiązki biografów są kształtowane przez lojalność wobec czytelników i ich prawo do prawdy, czy też prawo to jest w niektórych przypadkach limitowane przez obowiązki wobec tego, kogo biografię się tworzy oraz osób, które w tym procesie czynnie uczestniczą?

Biografie, autobiografie, dzienniki – te typy tekstów, tradycyjnie określane jako literatura faktu, przez lata stanowiły raczej niszę w obiegu książek. O wiele poczytniejsze były formy fikcyjne: różnego typu powieści i opowiadania. Jednak na przestrzeni ostatnich kilku lat trend ten – nie tylko w Polsce – uległ odwróceniu. Literatura niefikcyjna, a zwłaszcza biograficzna, znajduje się na szczycie list sprzedaży topowych księgarń. Popularyzacja gatunku przejawia się jednak nie tylko w większej poczytności, ale i większej demokratyzacji opisywanych przez biografie osób. Coraz częściej nie są to wybitne osobowości, które będą pamiętane przez pokolenia, lecz osoby i owszem, znane, nierzadko zasłużone, ale które najprawdopodobniej nie zapiszą się trwale (a więc: na więcej niż jedno pokolenie) w społecznej świadomości.

Boom biograficzny

Biografie są więc pisane i czytane (a przynajmniej kupowane) coraz częściej. Jednocześnie, zmienia się ich profil: nie mam tu już wyłącznie na myśli przesunięcia zainteresowania z myślicieli, twórców, wybitnych polityków na aktorów, piosenkarzy, piłkarzy, celebrytów, lecz również zmianę perspektywy czasowej. Niegdyś – jeszcze wcale nie tak dawno temu – biografie pisano zazwyczaj wtedy, kiedy życie opisywanej jednostki było w jakimś sensie pełne, albo – co stanowiło równie częstą sytuację – już pośmiertnie. Obecnie biografowane osoby mają często lat trzydzieści lub nieco więcej.

Wraz z postępującą popularyzacją, demokratyzacją i odmłodzeniem biografowanych nastąpiła jeszcze jedna zmiana. Dość długo łatwo było przestrzegać prostego w gruncie rzeczy rozróżnienia na biografie i autobiografie. Ujmując sprawę najprościej: biografia pisana była przez niezależną osobę, badacza lub pisarza, który sam – w odróżnieniu od niepopularnej teraz, ale kiedyś dobrze ugruntowanej tradycji hagiografistyki, przenikającej również pisane na zamówienie apologetyczne biografie – nie miał żadnego interesu w przedstawianiu losów określonej osoby w taki lub inny sposób. Autobiografia wymagała natomiast jedności osoby piszącej i osoby opisywanej: jak wskazywał m.in. Philippe Lejeune, autobiografia była utworem pisany

w pierwszej osobie, prozą, w której podmiot mówiący był tożsamy z podmiotem opisywanym (tożsamość tę wyrażało również konkretne imię i nazwisko autora, identyczne z imieniem i nazwiskiem opisywanej osoby). Teoria Lejeune'a, stworzona raczej, by rozróżnić między autobiografią a innymi typami tekstów autobiograficznych (np. powieścią z wątkami autobiograficznymi, jak *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta), akcentowała również konieczność zawarcia paktu autobiograficznego: specyficznej umowy między autorem, mówiącym prawdę o sobie w swoim imieniu, a czytelnikiem, który ufał, że tenże autor pisze o sobie prawdę.

Przytaczam definicję Lejeune'a oraz akcentuję rozróżnienie na biografie i autobiografie, by pokazać, że to, co jeszcze kilkadziesiąt lat temu wydawało się niedyskutowalne, praktycznie się przedawniło. Albo stało się co najmniej dyskusyjne w przypadku biografii i autobiografii pisanych na zamówienie, często przez ghost-writera lub z bardzo szeroką pomocą redaktora. Wiele poczytnych, celebryckich autobiografii jest w gruncie rzeczy biografiami, sprzedawanymi jednak pod innym szyldem, głównie ze względu na jeszcze wciąż działającą magię tego, co Lejeune określił jako pakt autobiograficzny, a więc większe zaufanie wobec tego, kto mówi w pierwszej osobie i opisuje własne życie.

Rozluźnienie granic między biografią a autobiografią jest jednak tylko jednym z aspektów i zarazem skutków zmian, jakim podlegają te gatunki. Coraz częściej ewoluuje nie tylko przekonanie, że autobiografią musi być tekst pisany w całości przez osobę, której imię i nazwisko znajduje się na okładce, ale i przeświadczenie, że to, co opisane, musi być prawdą. Oznacza to, że coraz częściej badacze zajmujący się biografiami mierzą się z gatunkami hybrydycznymi, z *faction* (słowo to, powstałe z połączenia *fiction* i *fact*, jest używane do opisu tekstów, które umyślnie grają z konwencją biografii, a szerzej – literatury faktu, jak na przykład *Blonde* Carol Oates, fikcjonalizowana biografia Marlin Monroe, czy książki Agaty Tuszyńskiej, zwłaszcza *Naręczona Schulza. Apokryf*). Ewolucja gatunku powoduje więc trwale zmiany w praktyce badawczej, otwierając się na kategorie nieco bardziej miękkie niż dotychczasowe

podziały na fakt i fikcję, biografię i autobiografię itd., jak autentyczność (nie zawsze rozumiana jako pełna zgodność z faktami), uczciwość czy otwartość.

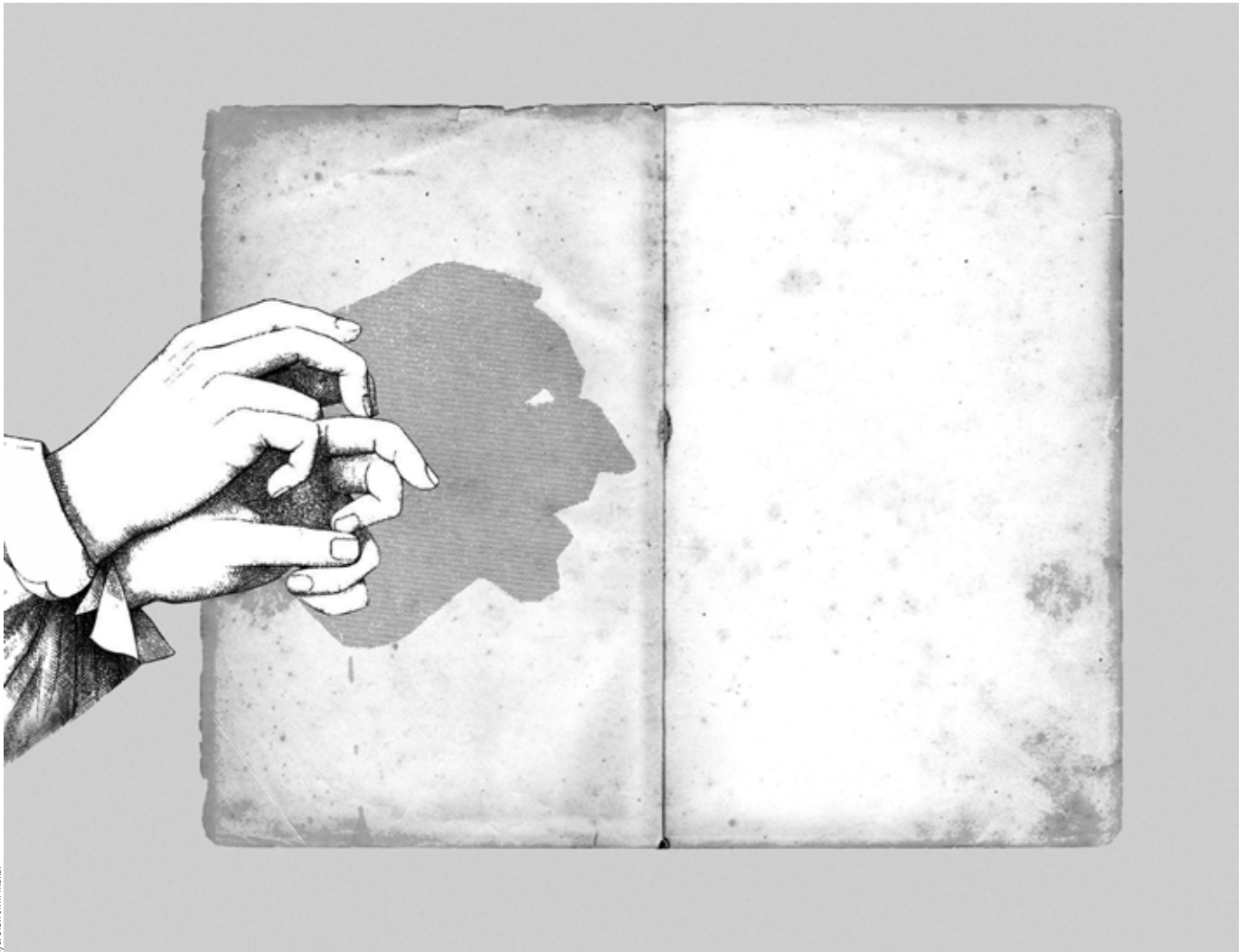
Punkty zapalne

Gdyby chcieć prześledzić najważniejsze – przynajmniej z polskiej perspektywy, bo w przypadku odmiennych literatur sprawa wyglądałaby inaczej – punkty przełomowe w myśleniu o „obowiązkach” biografii i biografów, dałoby się zauważyć przynajmniej trzy sporne zagadnienia. Pierwsze to kwestia prawdy i faktu: czy biograf powinien zawsze, bez względu na cenę, jaką może ponieść zarówno biografowany „obiekt”, jak i jego bliscy, opisywać wszystko, co wyda mu się istotne w życiu interesującej go postaci? Czy czasem koszty nie są za wysokie, zwłaszcza gdyby miały je ponieść osoby niewykłane bezpośrednio w kontrowersyjne wybory charakteryzowanej postaci? Czy główne obowiązki biografów są kształtowane przez lojalność wobec czytelników i ich prawo do prawdy, czy też prawo to jest w niektórych przypadkach limitowane przez obowiązki wobec tego, kogo biografię się tworzy oraz osób, które w tym procesie czynnie uczestniczą? Bo – co jest niby oczywiste, ale o czym się często zapomina – biograf, jeśli chce być elementarnie uczciwy, nigdy nie pisze „z głowy”, a jego źródłami, oprócz archiwów czy listów, są głównie ludzie i ich opowieści oraz wspomnienia. A te opowieści i wspomnienia mogą być użyte na wiele różnych sposobów.

Drużga kwestia dotyczy granic wolności biografów. Gdzie zaczyna się domysł, plotka lub insynuacja? Kiedy można –

na podstawie źródeł – rekonstruować prawdopodobne wersje wydarzeń, a kiedy lepiej się powstrzymać i nie próbować na siłę wypełnić istniejącej luki? Czy spekulowanie na temat intencji biografowanej osoby jest już przekroczeniem tej granicy, czy jeszcze mieści się w szeroko rozumianym prawie pisarza do tworzenia – na podstawie sprawdzonych przesłanek – obrazu psychologicznego bohatera? Czy te granice są ostrzejsze, gdy opisywana osoba jeszcze żyje, a więc potencjalne szkody dotkną większą grupę, czy może powinny być bardziej restrykcyjne, gdy pisze się o zmarłym, który nie będzie się w stanie bronić w formie polemiki albo nawet pozwu cywilnego?

Trzeci problem dotyczy granic wpływu opisywanej osoby oraz sytuacji, w której powstają biografie żyjących i wpływowych postaci. Czy jest możliwe tworzenie biografii mimo wyraźnego sprzeciwu „obiekta” lub niechęci środowiska? Czy da się w takim przypadku – a więc braku współpracy ze strony wielu osób – skonfrontować z wszystkimi niezbędnymi źródłami i wytworzyć w miarę uczciwy obraz? Czy – odwracając tę samą wątpliwość – biografie powinni pisać autorzy silnie związani z postaciami, które opisują, i to zarówno w pozytywny, jak i negatywny sposób? Jak, w przypadku tworzenia biografii przez osobę dobrze zaznajomioną, uniknąć chodzenia na pasku opisywanej postaci? Co zrobić, jeśli dana osoba – a są to przypadki dobrze znane z polskiego podwórka, dotyczące również ceniowanych postaci – nagle wycofa zgodę na biografię, zerwie współpracę albo rozpocznie pracę z innymi pisarzem, decydując się na stworzenie odmiennej publikacji?



Bys. Sławomir Makal

Ciąg powyższych pytań ma za zadanie pokazać najważniejsze punkty problemowe i sporne zarówno w tworzeniu biografii, jak i ich badaniu oraz ocenie. Są to wątpliwości, przed którymi najpierw staje pisarz – bo, jak warto przypomnieć, biografie są przeciwieństwem literatury, a nie bezstronnym, pozbawionym interwencji zapisem faktów, a później każda osoba zajmująca się, mniej lub bardziej profesjonalnie, danym tekstem. Na te pytania, o wydziwisku zarówno etycznym, jak i gatunkowym, trzeba sobie za każdym razem odpowiedzieć od nowa. A przeciwieństwa poza nimi są nie mniej istotne wątpliwości: co z formą biografii? Jak szeroko eksponować postać biografii? Czy biografia ma mieć postać opowieści linearnej, obejmującej całe życie danej postaci, czy zajmować się szczególnie ważnym momentem? Na ile, zwłaszcza w biografiiach twórczych lub intelektualnych, poruszać wątki zdecydowanie osobiste?

Osobna klasa problemów dotyczy fikcjonalizowanych biografii lub autobiografii, grających z konwencją gatunku na co najmniej kilka sposobów. Pierwszym jest tworzenie de facto biografii, fikcjonalizowanej, ale w gruncie rzeczy opartej na solidnej pracy materiałowej, w formie autobiografii (jak *Narzęczona Schulza*, w której Tuszyńska pisze w pierwszej osobie, jako Józefa Szelińska, tytułowa narzęczona Brunona Schulza), drugim: tworzenie biografii pod przykrywką powieści (jak wspomniane już *Blonde*). Jak widać już na pierwszy rzut oka pierwsza strategia opiera się na czymś, co można by określić jako niedostatek: książka, która przypomina autobiografię, wymagającą tożsamości osoby piszącej i opisywanej, jest czymś mniej: opartą na faktach formą fikcjonalizowanej biografii. Druga natomiast operuje nadkładem: coś, co deklaratywnie jest powieścią, spełnia – gdyby wyeliminować drobne zabiegi tekstowe – kryterium faktycznej odpowiedniości, stawiane przed biografiami. Bycie czymś więcej lub bycie czymś mniej, ale wciąż w relacji do biografii, pokazuje na postępujące upływanie granic gatunku. Upływanie, za którym moim zdaniem stoi rosnąca popularność wszystkich form literatury faktu, a zarazem wyraźna preferencja skupienia uwagi na ludziach, nie zaś sprawach lub miejscach, oraz coraz wyraźniejsze kwestionowanie ścisłych podziałów gatunkowych i wreszcie: rosnąca utrata zaufania wobec faktów.

Choć twierdzę, że opisywane przeze mnie pytania i granice stają się coraz bardziej płynne, jednocześnie wypada zauważyć, że biografii – bardziej niż inne formy literackie – mają potencjał kreowania konfliktów i skandali, również dlatego, że stawiane im przez czytelników oraz badaczy wymagania należą do wygórowanych i skomplikowanych. Idealna biografia jest dociekliwa, ale niekoniecznie wścibska, napisana z empatią wobec bohatera, ale bez unizoności, dobrze skonstruowana i literacko wciągająca, ale – zwłaszcza jeśli dotyczy pisarza – niekonkurencyjna z nim. Zapewne z tego powodu większość biografii, kiedy trafia pod ocenę profesjonalistów, w którymś z tych punktów jest albo „zbyt”, albo „nie dość”.

Graniczne pytania

Dobrymi przykładami biografii granicznych i zarazem w pewnym sensie skandalizujących, choć w dość specyficznym tego słowa znaczeniu, mogą być książki poświęcone Ryszardowi Kapuścińskiemu oraz Jerzemu Pilchowi.

Pierwsza z nich wywołała poruszenie szersze niż tylko środowiskowe, z powodu opisanie części mniej znanych faktów, zwłaszcza dotyczących życia uczuciowego reportażysty oraz uwikłania w reżim komunistyczny. Choć zamiary autora, Artura Domośławskiego, były raczej jasne od początku: a więc stworzenie odbrązawiającej, a zarazem nieskandalizującej biografii, to niektóre opisane zdarzenia i wątki stały się źródłem niezgody. Tak było zwłaszcza w przypadkach, w których Domo-

śławski tropił nieścisłości, wyolbrzymienia czy mniej lub dalej idące przeinaczenia w reportażach twórcy *Hebanu*. Co ciekawe, to właśnie wątek, który można by w pewnym uproszczeniu określić „Kapuściński jako nie-az-tak-wiarygodny-reportażysta” był dyskutowany bardziej i szerzej niż polityczne lub erotyczne aspekty biografii (a – tu trzeba oddać Domośławskiemu sprawiedliwość – w książce pojawiają się istotnie nowe fakty). Choć sama wobec części argumentów Domośławskiego pozostaje raczej sceptyczna (teksty Kapuścińskiego są reportażami literackimi, w których spektrum tego, co dopuszczalne, jest szersze, niż sugeruje biograf, skądinąd również reportażysta), to uznaje, że sprowokowanie dyskusji akurat na ten temat wydaje się bardzo dobrym skutkiem. Tym lepszym, że pytania o granice użycia fikcji w reportażu lub eksponowania postaci dziennikarza i pisarza są aktualne nie tylko w odniesieniu do tego gatunku, ale i wobec biografii, w tym i biografii Kapuścińskiego (nierazko przechodzącej od rekonstrukcji faktów do prób wyciągania z nich wniosków idących dalej, niż pozwalają źródła, lub sugerowania określonych motywacji poszczególnych osób – są to z jednej strony techniki zupełnie naturalne w przypadku biografii, z drugiej zaś ich użycie wymaga większej ostrożności, kiedy rozlicza się reportażystę z podobnie stosowanych strategii).

Drugi przywoływany przeze mnie przykład, czyli biografia Jerzego Pilcha autorstwa Katarzyny Kubisiowskiej *Pilch w sensie ścisłym* (2016) wywołała sporą dyskusję, i to jeszcze przed momentem publikacji. Najpierw dlatego, że początkowo biografia powstawała przy aktywnym wsparciu Pilcha (pomoc w kontaktach, komentarze, dostęp do archiwów). Po okresie wsparcia pisarz zdecydował się jednak wycofać i nie autoryzować książki, a nawet w podobnym czasie współtworzyć wywiad rzekę *Zawsze nie ma nigdy. Jerzy Pilch w rozmowach z Ewelina Pietrowiak* (2016). Skandal pogłębiła publikacja *Pilch w sensie ścisłym* – biografia zebrała raczej negatywne recenzje (m.in. Marcina Senddeckiego oraz Dariusza Nowackiego), a kością niezgody było coś, co można by określić jako zbytnią dosłowność (z kolei przez autorkę utożsamianą z wiernością faktom). Przywołuję tę biografię nie po to, by dokonywać jej oceny, ale by pokazać pewne niuansy i konsekwencje bliskich związków biografii z opisywaną postacią. Wydaje się, że o ile Jerzy Pilch był urażony drobiazgowością i dosłownością publikacji, odzierając ją z czaru oraz tajemniczości, a recenzenci brakiem literackiego polotu, to Kubisiowska źle zareagowała na wycofanie twórcy oraz decyzję (dla autorki zdecydowanie – także ze względów prestiżowych i ekonomicznych – niekorzystnej) o publikacji konkurencyjnego wywiadu rzeki. Na te obustronne rozczarowania nałożył się oczywisty konflikt: dążenie pisarza do ukształtowania swojej biografii tak, by wspierała twórczość (choć raczej nie ma tu mowy o utrzymaniu nieskazitelnego wizerunku, bo Pilch nigdy do takiego nie pretendował) oraz dążenie biografii do opisu jak najwierniejszego faktom, nawet za cenę lojalności wobec dobrego znajomego.

Podsumowując, to krótkie omówienie dwóch szeroko dyskutowanych biografii pokazuje, że przytaczane przeze mnie pytania – i zarazem punkty sporne – nie są kwestiami zapalnymi jedynie w teorii. Wraz z postępującym upływnieniem rozmaitych granic wyznaczających to, czym ma być modelowa biografia, pojawia się coraz więcej przestrzeni na eksperymenty i przekroczenia, które, jak sądzę, będą inspirowały nie tylko małe lub większe skandale, ale również: coraz ciekawsze przykłady ewolucji tego bardzo starego, lecz bardzo żywotnego gatunku.

*Dr Justyna Tabaszewska, Instytut Badań Literackich PAN, zajmuje się m.in. literaturą faktu. Autorka książek *Jedna przyroda czy przyrody alternatywne* (2010), *Poetyki pamięci* (2016) oraz *Humanistyka służebna* (w druku).*

Maciej Nowak

Podróże w badaniach nad biografią

Śladami Andrzeja Bobkowskiego po Gwatemali

Staralem się, aby moja podróż śladami Bobkowskiego po Gwatemali przybrała formę instruktywnego doświadczenia, jak nazywa takie eskapady Richard Holmes. To, co wcześniej przeczytane i przyswojone, konfrontowałem z pejzażem, klimatem, architekturą, widokiem. . . Wizji wytworzonej na podstawie lektury przeciwstawiłem wizję lokalną.

Pozostając w obszarze dokumentów, zamykając się w murach archiwów i bibliotek, biograf ryzykuje „papierową” jednostronność. Prowadzi ona do wyjałowienia wyobraźni, zablokowania intuicji, osłabienia zdolności do twórczych asocjacji. Wszystkie te uzdolnienia traktuję całkiem serio jako niezbędne kompetencje badawcze, a nie przypadkowe czy dowolne cechy biografów. Powinien on zatem dbać o podnoszenie ich jakości w równym stopniu, jak o podnoszenie jakości wiedzy czerpanej ze źródeł pisanych.

Biograf odtwarza bowiem życie konkretnej osoby, która zanim sięgnęła po pióro, znalazła się w konkretnym miejscu świata, w określonym momencie historii, w otoczeniu tych a nie innych ludzi, zwierząt i roślin. Utytułowany angielski biograf, Richard Holmes, uważa, że najbardziej wartościową, ale i niebezpieczną bronią biografów jest empatia. Potrzebę udania się w ślady bohaterów biografii nazywa „Footsteps Principle”.

Nigdy nie zostały napisane gwatemalskie *Szkice piórkim*, choć właśnie w Gwatemali został ukończony maszynopis książki o tym tytule. Owszem, pod wulkanami powstał cykl *Z notatek modelarza* i pojedyncze wpisy w osobistym dzienniku, który po wielu latach ukazał się jako *Notatnik 1947-1960*. Lecz Andrzej Bobkowski (1913-1961) nigdy nie zdobył się na napisanie czegoś o tak epickim rozmachu na temat swoich losów w Ameryce Środkowej, jak najsłynniejsze jego dzieło, opowiadające o niecałych czterech latach spędzonych we Francji. A przecież po drugiej stronie Atlantyku spędził aż trzynaście lat z czterdziestu ośmiu, które przeżył. Był to okres najdłuższej trwającej w jego życiu stabilizacji – mieszkania w jednym miejscu, pod tym samym adresem, z tą samą zgrają rozdokazywanych kotów. Zatem, jeśli ktoś nie podejmie specjalnie zorientowanej lektury korespondencji Bobkowskiego z tego okresu, i to raczej nie z Jerzym Giedroyciem, a z matką i innymi członkami rodziny, to o „jego” Gwatemali niewiele się dowie. Obrazy, anegdoty, wiadomości ściekają cienką stróżką z pism powsta-

łych tutaj. I to także powód, aby biograf do kraju położonego między dwoma oceanami się wybrał.

Listopad to najlepsza pora

Pierwsze wrażenie, kiełkujące już na lotnisku w Atlancie, skąd wyruszałem do Gwatemali – grzeczna żywotność moich towarzyszy podróży. Rozmawiających ze sobą bez skrępowania, ale nie wrzeszczących. Witających się ze sobą wylewnie i z humorem, ale taktownie, bez ostentacji. W lipcu 1948 Andrzej i Barbara Bobkowscy przybyli do Gwatemali również drogą lotniczą. Przez ocean podróżowali na pokładzie transatlantyku „Jagiełło”, który kończył rejs w Panamie. Tam przesiedli się do samolotu. W drodze z lotniska La Aurora do hotelu uderzyła mnie ilość i różnorodność środków lokomocji, ich zróżnicowany stan techniczny, a także dynamiczny i „niekonwencjonalny” styl jazdy ich właścicieli. Bobkowski musiał dobrze się w tym czuć, gdy swoim renault dauphin śmigał po takiej Avenida La Reforma. Ponoć coś tam sobie poprawił w silniku, aby zwiększyć jego moc, tak że Barbara, żona pisarza, grzecznie zwracała mu uwagę, czy aby nie jeździ zbyt szybko. Z Fernando Quevedo, członkiem klubu modelarza, który rok po przybyciu założył Bobkowski, oglądamy zdjęcia tuningowanej „delfinki”, przy której pozują obydwoje Bobkowscy. „Samochód miał kolor żółty. I Bob bardzo był z niego dumny – mówi Fernando – choć na dwie sprawy narzekał. Że ma za słabą moc i że jest produkcji francuskiej”. Ostatnia uwaga zaskakująco koreluje z opisywanym przeze mnie w książce *Na łuku elektrycznym*. O *pisanii Andrzeja Bobkowskiego*, odwrócić pisarza od kultury francuskiej i skierowaniu się po opuszczeniu Europy ku kulturze amerykańskiej. Bobkowski wtedy, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, marzył o jakimś wozie z fabryki w Detroit, a nie spod Paryża!

Listopad to jeden z najlepszych momentów na odwiedzenie Gwatemali. Właśnie skończyła się pora deszczowa i minie tro-

chę czasu, gdy zaczną się dokuczliwe upały. Doświadczam więc tego samego wrażenia, które tylokrotnie opisywał Bobkowski – w stolicy położonej 1500 m nad poziomem morza panuje przyjemny chłód albo niemęczące ciepło. Nie przechodzę szoku klimatycznego – dwa dni wcześniej ślizgałem się w Nowym Jorku po zamrażniętych kałużach – choć wystarczy zjechać około siedemdziesięciu kilometrów w kierunku Pacyfiku, aby trafić w wilgotny tropik. I właśnie tam następnego dnia zabiera mnie Fernando, abym mógł zobaczyć, jak dzisiaj wygląda klub modelarzy lotniczych, który założył Bob. Tak go tu ciągle nazywają. Spotykam najmłodszego z braci Quevedo, Rodrigo, który również poznał założyciela klubu, choć niewiele ma do powiedzenia – w chwili śmierci pisarza był jeszcze dzieckiem. Inni członkowie, a jest ich naprawdę sporo, albo coś tam o „Bobkosy” słyszeli, albo nic, ale życzliwie słuchają mojej gawędy. Przechadzam się między ich stanowiskami. A Fernando powtarza: „To jest właśnie dziedzictwo Boba. Tego nas nauczył”. Modelarstwo lotnicze nadal jest tu sportem dla zamożnych białych mężczyzn. Ich maszyny wyglądają naprawdę profesjonalnie, podobnie jak cały osprzęt, dziś naszpikowany elektroniką. Niektórzy oblatują modele o napędzie odrzutowym! Na zawody wyskakują na Florydę i dalej. Kogo na to stać? Lekarzy, prawników, przedsiębiorców... Teren klubu jest ogrodzony i strzeżony przez mieszkającego na miejscu strażnika z rodziną.

Na przeszkodzie stoją wulkany

Gdy przyjrzymy się fotografiom Bobkowskiego z jego modelarzami, zauważymy brak na nich Indian i Metysów. No właśnie, czy zauważymy? Dopiero po paru wycieczkach w różne strony kraju uderza mnie różnicowanie etniczne Gwatemali. Fakt, wcześniej zrobiłem sobie mały kurs jej historii i kultury. Wiem, na co zwracać uwagę. Inaczej teraz czytam akt zgonu Bobkowskiego, wystawiony przez Hospital Americano, w którym zauważam rubrykę Grupo Etnico, zaznaczono w niej – ladino. No tak, dochodzi do mnie, Bobkowsky nawiązywali tu kontakty wyłącznie z obcokrajowcami i Gwatemalczykami ze sfery wyższej, czyli z ladinos. Rodzina Quevedo należy rów-

nie do ladinos. W powstałej tutaj prozie autora *Punktu równowagi* znajdziemy wyłącznie bohaterów z tej grupy etnicznej.

Tego rodzaju dystynkcje są elementem gwatemalskiej codzienności. Mój przewodnik po Antigua, niezwykle kompetentny sympatyczny młody człowiek, wtrąca przy okazji jakiegoś tematu, że jest mestizo. I dorzuca krótkie wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Dziwnie się z tym czuję, bo z tyłu głowy wibruje mi myśl o wstrętnych słowach na temat „tubylców” (Indian i „mieszkańców”), które znaleźć można w listach Bobkowskiego z Gwatemali. Po jego śmierci w czerwcu 1961 roku Barbara jeszcze przez wiele lat korzystała z usług „jednego indianina” (pisownia oryginalna), a następnie jego syna, którzy w soboty sprząтали jej mieszkanie i szorowali podłogi.

Bobkowsky, zapracowani i przez kilka lat – jak określał to Andrzej – „mocno ściśnięci z forszą”, początkowo jeździli tylko do paru miejscowości. Samemu mierząc się z odległościami i systemem dróg, rozumiałem, że w zasadzie wybierali się do tych położonych stosunkowo najbliżej, tam gdzie najłatwiej dotrzeć. Gwatemala nie jest krajem rozległym i odległości w linii prostej są niewielkie. Tyle tylko, że prostych dróg na przeważającej powierzchni kraju nie daje się tu wytyczyć. Na przeszkodzie stoją wulkany. Są najbardziej rozpoznawalnym elementem krajobrazu, liczy się je w dziesiątki, wiele z nich to tak zwane wulkany czynne, sporo dwutysięczników, najwyższy ma ponad cztery tysiące metrów. Podczas oswojania się z tym krajobrazem Bobkowsky snuli interesujące rozważania na temat plastycznych aspektów takiego stanu rzeczy.

Andrzej na początku pobytu w Gwatemali zorganizował swoim modelarzom wyprawę na koronę nieczynnego wulkanu Agua (3766 m). Opisał tę eskapadę w liście do matki. Mnie zaproponowano wejście na zbocze czynnego wulkanu Pacaya. Ostrożnie stawiając nogi po zastygłej niedawno lawie, obserwowałem inne „samowary”, w tym groźnie pykającego Fuego. W jego cieniu przez wiele lat prowadzili swe rozległe gospodarstwo przyjaciele Bobkowskich, małżeństwo Róży i Władysława Władudków. Na terenie ich finki spotykali się gwatemalscy Kosmopolacy, od czasu do czasu w gronie gości z innych części świata.



Plac targowy w Chichicastenango, widok na Kościół św. Tomasza

Śladami Małego księcia

Agua góruje nad miastem, które Bobkowscy najchętniej odwiedzali, zapewne z powodu niewielkiego oddalenia od stolicy, ale również z uwagi na jego dawność. Kolonialna architektura Antigua, pierwszej stolicy Gwatemali, zniszczonej w 1773 roku przez trzęsienie ziemi, kojarząca się dzisiaj z rycinami Piranesiego, musiała poruszać w Bobkowskich ich europejską strunę i może trochę koła ukrywaną tęsknotę za Starym Kontynentem. Po wizycie w tym wabiącym melancholijnym pięknym miejscu w ten sposób wyjaśniam ich liczne wypadki tutaj i serię powstałych tu fotografii. Na większości z nich za tło służą ruiny jakichś sakralnych budynków. Właśnie w Antigua, przy kościele La Merced, w całości ocalałym z kataklizmu, osadził Bobkowski finał swego opowiadania *Spadek*. W jednym z pomieszczeń przylegających do kościelnych krużganków zobaczyłem spełniającą ważną funkcję w tym tekście platformę, używaną w okresie słynnych wielkotygodniowych procesji. Na jej szczycie umieszcza się figurę Chrystusa, a całość dźwiga grupa pięćdziesięciu mężczyzn. W opowiadaniu dołącza do nich Karl Niemann i pragnie iść „aż do La Merced, aż do końca”.

Piękno krajobrazu, przybliżane korespondentom poprzez porównanie z jeziorami alpejskimi i pamięć o Antoine Saint-Exupérym, przyciągało Bobkowskich nad Jezioro Atitlán. Cenili twórczość pisarza-lotnika, którego samolot rozbił się w Gwatemali w 1938 roku. Wiedzieli o tym epizodzie w jego życiu. Ponoć właśnie nad brzegiem Atitlán zaczął on szkicować jeden z rozdziałów *Małego księcia*, a bryła wzgórze Cerro de Oro posłużyła mu za wzór do rysunku słonia z węzłem boa, ilustrującego tę część książki. Chcę przez to powiedzieć, że krocząc po śladach Bobkowskiego w Gwatemali, uświadomiłem sobie tkwiący w jego wyborach motyw europejski. A przecież właśnie tu przed Europą, czy od niej, uciekł i w wielu pisanych tekstach deklarował stan euforycznego zadowolenia z podjęcia tej decyzji.

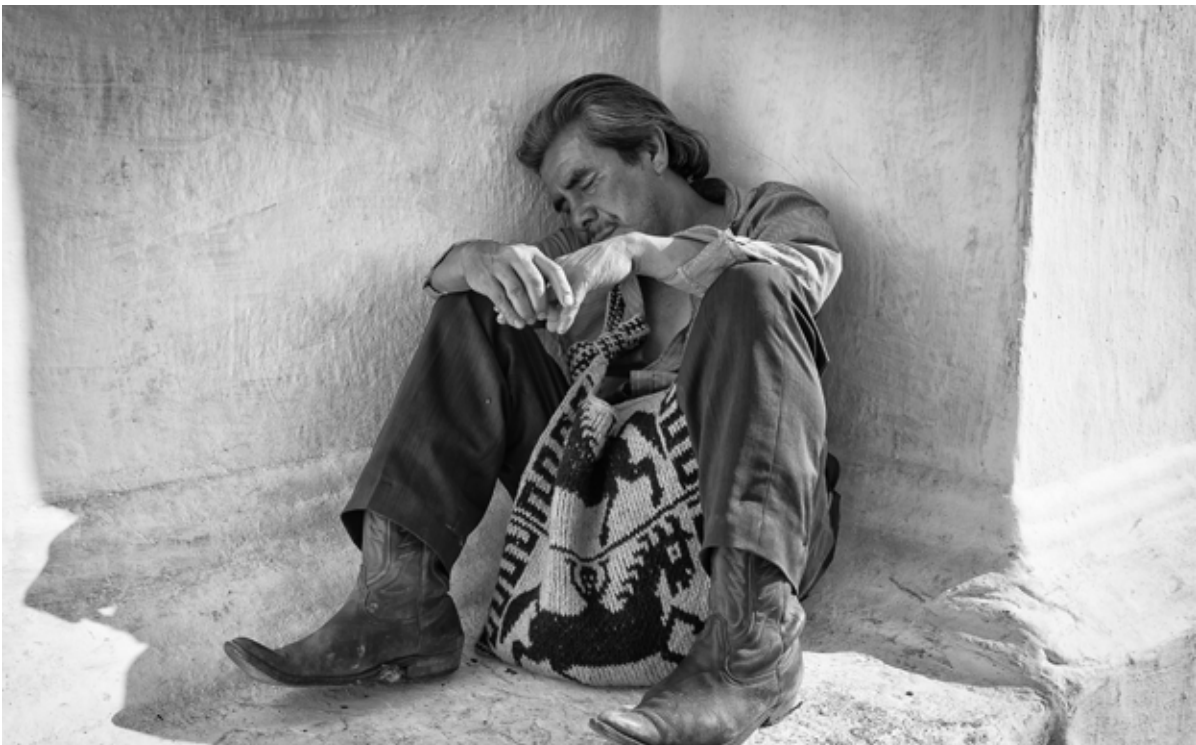
Czarny piasek

Bobkowscy wyraźnie lubili fotografować się nad wodą, na plaży, w sytuacjach odpoczynkowych. Trochę takich zdjęć

powstało jeszcze w Polsce, wiele we Francji, sporo w Gwatemali. Te datują się raczej na ostatni okres życia Andrzeja. Wszystkie – pomijam robione u Władków i wiejskiej posiadłości Quevedo – które udało się zlokalizować, wykonano nad Pacyfikiem. W jaki sposób ustalić miejsce, na fotografii pstrykniętej na plaży, gdy za fotografowanym widać jedynie wodę, najbardziej niezmienny z ziemskich krajobrazów? Po kolorze piasku – jest czarny! Na wszystkich barwnych zdjęciach (Bobkowski korzystał z systemu Kodaka) widać powulkaniczny czekoladowy piach. Jego sypkość skojarzyła się pisarzowi z kondycją współczesnego człowieka. Stała się impulsem do napisania jedynej jego sztuki teatralnej, zatytułowanej, a jakże, *Czarny piasek*.

W kolejną wyprawę udaliśmy się więc tropem dramatu Bobkowskiego. Autor osadził jego akcję w topografii Iztapa, miasteczka położonego nad wpadającą do Pacyfiku rzeką Maria Linda. Już dawno zniknął stąd symbol zachłannej żarłocności tropikalnej przyrody, który oczarował Bobkowskiego. Chodzi o parowóz z całym składem, unieruchomiony tu na początku XX w. przez powódź, która zmyła nasyp wraz z torami. Wokół wyrosła mała osada. Parowóz i wagony z wyrastającymi z nich palmami tkwił tu jeszcze na początku lat pięćdziesiątych, wtedy zobaczył go Bobkowski. Odtąd obraz pozostawał w jego głowie. Aż po latach trafił na karty *Czarnego piasku*, jednak z informacją, że tą cywilizacyjną osobliwość już rozebrano. Dałem więc sobie spokój z jej szukaniem.

Stanęliśmy na moście nad Rio Maria Linda, a ja próbowałem sobie wyobrazić, gdzie mógł stać bar-sklep Hermana Rosenberga, gdzie fabryka taniny Jana Węglewskiego... Oczywiście miejsce uległo daleko idącej transformacji, ale rozmieszczenie w przestrzeni, czyli że sklep „nad brzegiem rzeki wpadającej poniżej do morza”, a fabryka nad Pacyfikiem po prawej od mostu, się zgadzało. I jeszcze fragment z mojego dziennika podróży z tego dnia: „21/11/2019 Jesteśmy nad Pacyfikiem. Gorąco, około 35 stp. Myśl o Bobie. On lubił ciepło, nawet gorąco, wszędzie marzył, w Paryżu nabawił się reumatyzmu. Stąd jego miłość do Gwatemali, do klimatu, do ludzi, do przyrody. No i element niepo-



Indianin we wnętrzu kościoła w Chichicastenango

rządka, swobody, anarchii w życiu społecznym, w zachowaniach Gwatemalczyków, musiał mu się podobać”.

Pominięte, niezauważone

Zupełnie inny klimat niż w Antigua i nad Atitlán panuje w Chichicastenango, z jego słynnym placem targowym, rozciągniętym między kościołem św. Tomasza a kaplicą Męki Pańskiej (Capilla del Calvario). Bobkowscy zabierali tu swoich znajomych. Chichi, jak się tu mówi, leży w górskim regionie Quiché, zamieszkałym przez Indian, i wizyta w tym miejscu daje okazję do zobaczenia „etnicznej” strony Gwatemali. Do osobliwości tego miejsca należą sprawowane przez liczne bractwa religijne nabożeństwa, którym towarzyszy palenie dużej ilości świec i aromatycznego kadzidła. Wierzenia z epoki Majów mieszają się z chrześcijaństwem. Świece o różnych kształtach stawia się na niskich platformach pośrodku kościoła św. Tomasza. Bobkowski sfotografował jedną z takich ceremonii, które swój prolog mają na stromych schodach wiodących do kościoła. Natomiast przed kaplicą Męki Pańskiej na niskim postumencie pali się rodzaj intensywnie dymiącego kadzidła – copal. Barbarę Bobkowską mogły tutaj zainteresować wyroby rękodzieła, tkane ręcznie kolorowe materiały, wyroby ceramiczne, fantastyczne maski. Lecz czy tę wychowaną na modernizmie lat trzydziestych plastyczkę mogły skusić prace prostych Indian? Na fotografiach wnętrza domu Bobkowskich dostrzegam akwarelę Józefa Czapskiego i rysunki Barbary, nad łóżkiem kadr z Jezusem z *Ostatniej wieczerzy* Leonarda da Vinci. Wizyta w tym mieście nie pomogła mi w zrozumieniu tego, co Bobkowski napisał, ale uświadomiła zakres tego, co w jego tekstach uznają za pominięte, niezauważone, obok czego przeszedł obojętnie. Bo Chichicastenango, z całym jego bogactwem i osobliwością – prawdopodobnie właśnie dlatego – nie weszło na karty żadnego utworu pisarza. Zbyt mocno jest ono „tutejsze”, aby uznać je za scenę dla dramatu uniwersalnego, a dramat lokalny go nie interesował.

Nic mi nie wiadomo o wyprawach Bobkowskich w inne miejsca zróżnicowanej geograficznie i kulturowo Gwate-

mali. Nie znalazłem śladów na białym piasku, czyli informacji o wyprawach nad atlantycki czy karaibski brzeg tego kraju. Niemniej fakt, iż zamieszkuje go czarnoskóry lud Garifuna, wyjaśnił mi pojawienie się w dramacie Bobkowskiego ciemnoskórego bohatera. Potencjalny zięć polskiego Żyda rasisty mógł się wziąć właśnie z malowniczego Livingstone nad Morzem Karaibskim. Czy Bobkowskich nie pociągała tamta część kraju? Czy wyprawa tam była zbyt kosztowna? Czy też odkładali ją na później? A może wystarczył im obraz tamtego regionu, jaki zostawił Aldous Huxley w wydanej u nas w roku 1938 książce *Nad Zatoką Meksykańską* (Wydawnictwo J. Przeworskiego). Brak zainteresowania bądź rozsądna obawa przed niebezpieczeństwem ze strony ludzi i przyrody sprawiły, że Bobkowscy nie wybrali się również w rejon El Petén, obfitujący w najświetniejsze zabytki Majów.

Starałem się, aby moja podróż śladami Bobkowskiego po Gwatemali przybrała formę instruktywnego doświadczenia, jak nazywa takie eskapady Richard Holmes. To, co wcześniej przeczytane i przyswojone, konfrontowałem z pejzażem, klimatem, architekturą, widokiem... Wizji wytworzonej na podstawie lektury przeciwstawiłem wizję lokalną.

Zapewne powstało wiele cennych biografii, których autorzy nie ruszyli się z miejsca, poprzestali na zgromadzeniu materiałów w segregatorach albo na twardych dyskach. Być może istnieją tacy bohaterowie biografii, wobec których ten tryb postępowania dobrze się sprawdza. Nie wiem, wybrałem inną drogę, wiodącą poprzez archiwa nad huczącą Pacyfik.

Dr hab. Maciej Nowak, adiunkt w Ośrodku Badań nad Literaturą Religijną KUL, historyk literatury, edytor, krytyk. Autor monografii Na huk elektrycznym. O pisaniu Andrzeja Bobkowskiego, Warszawa 2014. Opracował i wydał pierwszy odczytany z rękopisu dziennik Bobkowskiego (Notatnik 1947-1960, Łomianki 2013). Autor studiów poświęconych dziennikom polskich pisarzy. Obecnie przygotowuje biografię Andrzeja Bobkowskiego.

Wszystkie fotografie wykonał autor tekstu w listopadzie 2019 roku.



Gwatemalskie wulkany, na pierwszym planie Agua, za nim dymiący Fuego

Anita Całek

„Czuły narrator” biografii w poszukiwaniu sensu życia

Biografia pozostaje od starożytności niezmiennie popularna, niezależnie od funkcji, jakie przyszło jej pełnić w kulturze. Paradoksalna z natury opowieść o cudzym życiu, którego się nie przeżyło, a próbuje się zrozumieć i opisać, wytwarza efekt spotkania z twórcą poza czasem i przestrzenią, w rzeczywistości wykreowanej kulturowo.

Biografia jest gatunkiem niezwykłym: łączy w sobie wiele sprzeczności, będąc niezmiennym i trwałym obrazem dynamicznego, podlegającego nieustannym fluktuacjom biegu życia. Jako opowieść najbardziej osobista, znana każdemu wyłącznie z subiektywnej i autobiograficznej perspektywy, przekształcona zostaje w historię publicznie dostępną, a jej właściwym narratorem staje się postronny obserwator, często niebędący nawet świadkiem wydarzeń, zwłaszcza gdy mowa o biografii faktograficznej i charakterystycznej dla niej figurze „narratora obiektywnego”.

Na jej ciągłą atrakcyjność, na którą wskazuje zarówno aktywność wydawnicza, jak i badawcza, zdają się nie mieć wpływu ani kryzysy paradygmatów badawczych, ani dyskusje wokół kategorii prawdy historycznej, statusu dokumentów czy narracji historiograficznej. Wbrew diagnozom stwierdzającym koniec historii czy kryzys wielkich narracji czytelnicy wciąż poszukują opowieści przedstawiających „życie i dzieła” wybitnych twórców, polityków i innych postaci historycznych. Coraz częściej bohaterami biografii stają się też grupy społeczne lub przeciętni ich reprezentanci, którym przyszło żyć w „ciekawych” czasach. Takie podmiotowe, zakorzenione w doświadczeniu spojrzenie na rzeczywistość przyciąga uwagę, gdyż daje dostęp do wyjątkowego, a równocześnie wiarygodnego dla czytelnika obrazu przeszłości. Na kontekstualizację i historyzację biografii wskazują Stanley Fish czy François Dosse oraz rodzimi badacze, tacy jak Ewa Domańska czy Kaja Kaźmierska.

Z czego jednak wynika to niesłabnące zainteresowanie historią cudzego życia opowiadaną w biograficznej narracji z detalami często wywołującymi zastrzeżenia natury etycznej, związanymi na przykład z wykorzystywaniem korespondencji czy dokumentów osobistych obejmujących chociażby kwestie tak delikatne jak zdrowie, związki uczuciowe formalne i niefor-

malne czy stan finansów? Wydaje się, że warto wyjść poza pesymistyczne diagnozy wskazujące na potrzebę wchodzenia w intymność Innego, gdyż funkcję tę realizuje dziś szereg mediów (tradycyjnych i internetowych) i w tej perspektywie biografia traci swą atrakcyjność. Gdy jednak pozostawi się te kwestie na uboczu, na pierwszy plan wysuwa się potrzeba sensu życia, o której w swoich badaniach pisała już w 1933 roku prekursora psychologii rozwojowej Charlotte Bühler.

Biografia w perspektywie sensu życia

Nieprzypadkowo o potrzebie i woli sensu życia w przełomowy sposób pisało dwoje przedstawicieli tego samego Uniwersytetu Wiedeńskiego, chociaż ich badania prowadzone były w różnym czasie. W latach trzydziestych XX wieku czyniła to Bühler, która już w wieku 36 lat uzyskała profesurę w wiedeńskim ośrodku akademickim. Za jej najważniejsze dzieło do dziś uznaje się monografię *Bieg życia ludzkiego*, która powstała w 1933 roku jako wynik niezwykłych jak na swe czasy badań biograficznych w dużym zespole interdyscyplinarnym.

Bühler sformułowała nowatorskie założenie, iż podstawowe pytanie, jakie należy zadać w badaniach biograficznych, dotyczy tego, „czego ostatecznie ludzie w życiu pragną, w jaki sposób aż po kres formułowane są ich cele, a także w jaki sposób żyją dla czegoś i po coś”. Było to zatem pytanie o sens życia, który na potrzeby tej teorii autorka określiła jako „przeznaczenie”. Rozumiała jednak pod tym pojęciem autonomiczny i wolny wybór człowieka, który sam „przeznacza siebie do czegoś”, a nie ślepy los czy przypadek. Podobnie o potrzebie sensu życia jako podstawowym dążeniu człowieka pisał również – już z perspektywy własnych doświadczeń obozowych podczas drugiej wojny światowej – inny profesor Uniwersytetu Wiedeńskiego, Viktor E. Frankl, neurolog i psychiatra, twórca logoterapii oraz badacz

tak zwanej nerwicy noogennej, wynikającej z braku poczucia sensu życia. Odkrył on, że warunkiem zdrowia psychicznego jest nie tyle homeostaza, ile napięcie pomiędzy tym, kim człowiek jest, a tym, kim być powinien. W 1950 roku sformułował *Dziesięć tez na temat osoby*, w których wskazywał na przystępną naturę człowieka jako dążącego do wartości i przenikniętego wolą sensu. To właśnie nadrzędny sens życia – jako kategoria pozwalająca jednostce wykrócić poza ograniczony czas i przestrzeń własnej biografii – sprawia, że „ludzkie istnienie jest zawsze istnieniem zorientowanym na sens”.

Biografia jest zatem narracją nakierowaną na odkrycie sensu konkretnej historii życia: opowiada o tym, w jaki sposób człowiek stał się tym, kim był, i jak sens swej egzystencji realizował. Jej kulturowa rola polegałaby zatem na formowaniu określonego i dość ogólnego paradygmatu sensownego i wartościowego życia, którego bieg prowadzi jednostkę do zapisania się na kartach dziejów, do realizacji czegoś, co pozostawi trwałą ślad w rzeczywistości, przekraczający naturalne ograniczenia biologicznej egzystencji. Może być i przeciwnie: gdy przedstawia historię życia zbrodniarza, odsłania przed czytelnikiem – na zasadzie przestrogi przed końcową tragedią – wewnętrzne i zewnętrzne uwarunkowania egzystencji, która doprowadziła bohatera do upadku.

Szczególny charakter narracji biograficznej wynika z subiektywności i niepowtarzalności czyjegoś życia, które równolegle opisywane jest z obiektywnej i w ograniczony sposób zaangażowanej perspektywy badacza. Czyni on przedmiotem swych analiz historię życia Innego, a tym samym nieustannie balansuje pomiędzy ujęciem bohatera biografii w kategorii „obektu” a obowiązkiem uwzględniania jego podmiotowości. Równocześnie sytuacja ta ujawnia głębokie, istniejące w świadomości człowieka pragnienie, by jego bieg życia stał się przedmiotem refleksji, która odsłoni ukryty sens egzystencji, jej wewnętrzny porządek.

Pragnienie to w swojej mowie noblowskiej, wygłoszonej 7 grudnia 2019 roku, przywołała Olga Tokarczuk, stwierdzając, iż: „Życie tworzą wydarzenia, ale dopiero wtedy, gdy potrafimy je zinterpretować, próbować zrozumieć i nadać im sens”. Według pisarki do samej natury opowieści należy jej skupienie wokół znaczeń i nadawanie sensu tysiącom przypadkowych bodźców. Opowieść porządkuje w czasie mnogość informacji, a następnie tworzy między nimi powiązania stanowiące przeszłość, teraźniejszość i przyszłość podmiotu. Opowieść pozwala wyjść „poza niekomunikatywne więzienie naszego «ja»”, odsłania szerszą perspektywę i wzajemne zależności pomiędzy pozornie odległymi zdarzeniami.

Cechą opowieści, która skrywa w sobie ów potencjał nadawania rzeczywistości sensu, jest figura narratora, którego Tokarczuk określiła jako „czwartoosobowego” i „czulego”. Byłby to narrator, który – sięgając znowu po słowa samej pisarki – „potrafi zawrzeć w sobie zarówno perspektywę każdej postaci, jak i umiejętność wykraczania poza horyzont każdej z nich, który widzi więcej i szerzej, który jest w stanie zignorować czas”. Mówiąc te słowa, noblistka nie ma na myśli biografii, ale jestem przekonana, że to właśnie ten gatunek najbardziej potrzebowałby owego „czulego narratora”. Świadczy o tym dalszy opis, w którym zaproponowana figura narracyjna określona zostaje jako punkt i perspektywa, z której widzi się wszystko: „Widzieć wszystko to znać ostateczny fakt wzajemnego powiązania rzeczy istniejących w całość, nawet jeżeli te związki nie są jeszcze przez nas poznane. [...] Należałoby więc uczciwie opowiadać tak, żeby uruchomić w umyśle czytelnika zmysł całości, zdolność scalania fragmentów w jeden wzór, odkrywania w drobnych zdarzeń całych konstelacji. Snuć historię, żeby było jasne, iż wszyscy i wszystko zanurzone jest w jednym wspólnym wyobra-

żeniu, które za każdym obrotem planety pieczołowicie produkujemy w naszych umysłach”. Taka właśnie powinna być modelowa biografia.

Biografia jako rzeczywistość wykreowana kulturowo

Długo jako oczywiste traktowano założenia, że naukowy bądź faktograficzny sposób rekonstruowania biografii wymaga problematykę jej narratora, kreowanego na medium „przezroczyste”, nieujawniające swej obecności ani na poziomie języka, ani (tym bardziej) metanarracji. Teza ta – dziedzictwo strukturalistycznego paradygmatu teoretycznoliterackiego – na długo ukształtowała mit „obiektywnego narratora biograficznego”, którego opowieść stanowi wyłącznie spoiwo między wydarzeniami, dokumentami, kontekstem i interpretacją dzieł, co umożliwiałoby uzyskanie „czysto dokumentalnej” biografii.

Obecnie narrator traktowany jest jako dysponent reguł rekonstruowania biografii, tekstowy „gospodarz biografii” (a pojęcie to jest świadomym nawiązaniem do kategorii „gospodarza poematu”, zaproponowanej przez Kazimierza Wykę w interpretacji *Pana Tadeusza*). Jego „neutralność” jest pozorna, gdyż nadal stanowi tekstowe odzwierciedlenie przekonań i postaw autora biografii, który przyjmuje określoną perspektywę badawczą, selekcjonuje fakty i świadectwa czy też omawia mniej lub bardziej obszernie określone wydarzenia. Zatem narrator biografii jednocześnie ujawnia autora i ukrywa go pod postacią wykreowanej figury narracyjnej, co jednocześnie przybliży ten gatunek do literatury i wskazuje na element kreacyjny oraz autoprezentacyjny narracji biograficznej. Władze biografii i kreacyjne działania w jego relacji do twórcy nie dają się rozdzielić, gdyż nie ma takiego „punktu narracyjnego”, który gwarantowałby badaczowi chłodny, obiektywny ogląd. Jest on zawsze zaangażowany w tekst, wchodzi weń całą swoją osobą, wnosząc to, kim jest, co wie, co reprezentuje, co myśli o bohaterze biografii i jego epoce. Pisanie biografii jest bowiem, jak o tym pisze Martine Boyer-Weinmann, relacją między piszącym a opisywanym, która ma swój aspekt etyczny, estetyczny i epistemologiczny, do czego jeszcze powrócę.

Plastyczność biograficznej narracji, jej osadzenie w historycznym kontekście i określonych warunkach społecznych wynikają z naturalnej właściwości gatunkowej tej opowieści o życiu, która za pomocą fazowej struktury naśladuje wpływający czas, a równocześnie porządkuje według chronologicznego porządku tematy typowe dla historii życia (np. wpływ osób znaczących, ważne decyzje życiowe, relacje z innymi, samowiedza i proces autokreacji czy umiejętność przechodzenia przez życiowe kryzysy i niepowodzenia). Jest to zarazem opowieść polifoniczna i wielowymiarowa; polifoniczna, gdyż wprowadza w ramy narracji wiodącej teksty cudze (świadectwa, korespondencję, dokumenty, relacje innych), a wielowymiarowa, bo ukształtowana przez obecność kolejnych, coraz głębiej zanurzonych poziomów: od tych kształtujących samą wypowiedź narratora (takich jak gatunek biograficzny czy model narracji), poprzez poziom założeń teoretycznych i metodologicznych (porządkujących kwestie związane z takimi obszarami, jak dziedzina aktywności twórcy, kontekst historyczno-społeczny oraz metody analizy danych biograficznych), aż do leżących u podstaw koncepcji antropologicznych i psychologicznych, które wpływają na sposób rekonstruowania biegu życia.

W ten sposób pisana biografia, będąc reprezentacją, która wytwarza za pomocą środków literackich symboliczne miejsce przecięcia się linii czasu czytelnika i bohatera biografii, pozwala odbiorcy doświadczenie „narracyjnego ekwiwalentu” relacji interpersonalnej. Aby było to możliwe, reprezentacja ta musi być zakorzeniona w faktach oraz świadectwach. Wrazem przeniesienia się w przeszłość i „spotkania” bohatera bio-

„Czuły narrator” i relacja biograficzna

W procesie pisania biografii powstaje więź łącząca narratorkę i bohatera, nazwana przez Boyer-Weinmann relacją biograficzną; ma ona charakter osobowy, a nie podmiotowo-przedmiotowy. Przekracza ona czas i miejsce, sytuując się w przestrzeni symbolicznej, regulowana jest paktem biograficznym, na mocy którego biograf zyskuje szczególne prawa: tworzy autorski obraz biegu życia, ale zobowiązuje się do poszukiwania w nim i rekonstruowania prawdy (nawet ograniczonej, kontekstualnej i podatnej na korekty). Elementem tego paktu jest pośredniczenie przez biografę w procesie społecznego wytwarzania określonego wyobrażenia twórcy, jego dziejów życia i dorobku, na podstawie którego ustanawiana jest jego pozycja w „panteonie historii”. Dlatego modelowego biografę – poza naukową rzetelnością i podążaniem ku prawdzie – powinien charakteryzować szacunek dla jedynej i niepowtarzalnego „ja” bohatera biografii jako podmiotu własnego istnienia i działania. Podmiotowość człowieka gwarantuje jego tożsamość, sięga do samych podstaw bytowania, ukazuje go w całym bogactwie istnienia. Biografia bez tej perspektywy, skupiona na zewnętrznych faktach i zdarzeniach, zniekształca tworzoną reprezentację w sposób systematyczny i nieodwracalny.

Biograf musi się zatem podzielić symboliczną władzą nad tworzoną przez siebie narracją, a czyni to, dopuszczając do głosu postać, którą opisuje. Oddanie głosu bohaterowi nie zasa- dza się jednak na prostym wykorzystaniu w narracji fragmentów dokumentów autobiograficznych (korespondencji, dzienników czy pamiętników), ale idzie o wiele głębiej: polega na świadomym usunięciu w cień prymatu narracji obiektywizującej i uprzedmiotawiającej na rzecz równoprawnego potraktowania wypowiedzi bohatera biografii. Jego historia życia nie może się przecież składać wyłącznie z faktów, gdyż to, co najbardziej pasjonuje czytelników biografii wynika z jej osobowego, subiektywnego charakteru, z udostępnienia szerszej publiczności wewnętrznego, podmiotowego świata twórcy oraz jego postrzegania rzeczywistości. Przedmiotowy opis tego „doświadczenia siebie” nigdy nie jest w stanie zastąpić podmio-

towej narracji autorskiej, która stanowi jedną ze szczególnych cech gatunkowych biografii, zawsze sytuowanej blisko narracji autobiograficznej. W biografii współobecność głosu bohatera, traktowanego jako równoważny w stosunku do głosu narratorki, wynika zatem ze specyfiki opowieści o życiu, którego niezbywalnym elementem jest świat wewnętrznych przeżyć i doświadczeń podmiotu.

Biografia ma obrazować całokształt biegu życia zanurzony w realiach historyczno-społecznych i wykreowanej czasoprzestrzeni „oddającej sprawiedliwość” i twórcy, i świata, w którym przyszło mu bytować (jak o tym pisał Frank Ankersmit). Nie może w niej zatem brakować żadnego z trzech elementów: pierwszym jest rekonstrukcja biograficzna pisana z perspektywy zewnętrznej, w której główna rola przypada biografowi analizującemu fakty, świadectwa, dokumenty i źródła, aby na tej podstawie zbudować przekonującą całość, która pozwoli czytelnikowi zanurzyć się w świat, którego już nie ma. Drugi element stanowi dorobek bohatera biografii w kontekście jego własnej aktywności twórczej i sposobów jej przeżywania. Trzecim elementem jest wymiar podmiotowy, którego centrum stanowi korespondencja twórcy: szeroko cytowana, nieokrawana ze „zbędnych” elementów i nieocenzurowana; rolę narratorki biograficznego jest jej pogłębiona interpretacja oraz pełne zrozumienie współmyślenie z bohaterem. To wewnętrzne dialogowanie między narratorką a bohaterem biografii wytwarza w czytelniku poczucie, iż może naprawdę spotkać daną postać w przestrzeni wykreowanej kulturowo i tak rzeczywistej, jak to tylko możliwe w literaturze.

„Czuły narrator” byłby zatem figurą modelową dla biografii, narratorką marzeń każdego, którego życie stało się przedmiotem badań oraz tematem opowieści o poszukiwaniu życia, które mimo swego końca ma sens i pozostawia w historii trwałe, niezatarte upływek czasu ślad.

Dr Anita Catek, literaturoznawczyni i komparatystka, autorka książek „Biografia naukowa: od koncepcji do narracji” (2013) i „Nowa teoria listu” (2019), pracuje w Katedrze Komparatystyki Literackiej Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Czworo polskich naukowców znalazło się w gronie sygnatariuszy listu otwartego wzywającego do utworzenia europejskiej fundacji humanitarnej, której celem byłoby zapobieganie i przeciwdziałanie kryzysom środowiskowym i zdrowotnym.

List opublikowano na stronie prestiżowego czasopisma „Nature”. Jego inicjatorem jest wybitny francuski uczyony, prof. Francis-Andre Wollman, dyrektor naukowy w Instytucie Biologii Fizyczno-Chemicznej Francuskiego Narodowego Centrum Badań Naukowych (CNRS) w Paryżu. Sygnatariusze reprezentujący szeroki wachlarz dziedzin apelują o utworzenie europejskiej fundacji humanitarnej działającej na wzór tej założonej dwie dekady temu przez Billa i Melinę Gatesów. Sojusz naukowców z filantropami miałby pomóc w zapobieganiu i przeciwdziałaniu kryzysom środowiskowym i zdrowotnym.

„Kryzys związany z epidemią COVID-19 jasno pokazał, że w obliczu katastrofy systemy administracji publicznej poszczególnych krajów często nie są w stanie adekwatnie i szybko odpowiedzieć w skali Europy na pojawiające się zapotrzebowanie na pomoc humanitarną, medyczną czy badawczą” – przekonują auto-

Naukowcy apelują

rzy, wśród których znajdują się także laureaci Nagrody Nobla oraz przedstawiciele czołowych europejskich uniwersytetów.

Dalej piszą, że skoro obecna pandemia ma być tylko preludeum do przyszłych wydarzeń związanych ze zmianami klimatu oraz środowiska naturalnego, kluczowe wydaje się stworzenie elastycznego i efektywnego systemu pozwalającego na międzynarodową pomoc najbardziej potrzebującym. „Zjednoczenie wysiłków europejskich darczyńców pod egidą jednej fundacji pozwoli zmienić świat w obliczu kryzysu” – nie mają wątpliwości autorzy listu i szacują, że kapitał założycielski takiej fundacji, by mogła ona na sprostać powyższym wyzwaniom, powinien wynieść minimum 20 miliardów euro.

List podpisało 75 europejskich naukowców z 15 państw, w tym m.in. prof. Józef Dulak, prof. Jan Potempa oraz prof. Krzysztof Pyrc (wszyscy z Uniwersytetu Jagiellońskiego), a także prof. Ewa Łojkowska (Uniwersytet Gdański).

MK

O tym, jak w mikroświatach pojedynczych ludzi odbija się obraz minionych epok, z prof. **Andrzejem Romanowskim**, redaktorem naczelnym Polskiego Słownika Biograficznego, rozmawia Aneta Zawadzka.

Partytura ludzkich losów

Historię opowiedzieć można na wiele różnych sposobów. Kiedy rozpisze się ją na głosy jednostek, wyraźniej słychać poszczególne frazy.

Monumentalne dzieło ukazujące historię Polski przez pryzmat losów wybitnych jednostek, których działania wywarły wpływ na kształt Rzeczypospolitej, tak w skrócie opisać można Polski Słownik Biograficzny. Jakimi kryteriami kierował się jego założyciel, a potem kolejni sukcesorzy tradycji, przy dokonywaniu wyboru konkretnych postaci?

Twórca słownika, krakowski historyk Władysław Konopczyński, zakładał, że łamy wydawnictwa powinny wypełniać biogramy osób znaczących, których życie i aktywność uznać można za ważne z punktu widzenia polskich dziejów. W planowanych kolejno tomach miały się więc znaleźć najwybitniejsze postacie z życia państwowego, politycznego, społecznego i kulturalnego, działające przede wszystkim na niwie ogólnopolskiej. W czasach powojennych, już za kadencji Emanuela Rostworowskiego na stanowisku redaktora naczelnego PSB, nastąpiło rozszerzenie pierwotnie przyjętych kryteriów. Wynikało to w pewnym stopniu z żalu, że istnieją postaci pomijane czy marginalizowane przez wiele innych opracowań, które tylko PSB może ocalić od zapomnienia. Dzięki tym nowym kryteriom możemy dziś pełnymi garściami czerpać wiedzę na temat osób, o których czasem się mówi, że są bohaterami drugiego planu.

W galerii postaci przewijających się przez poszczególne tomy znaleźli się przedstawiciele wielu różnych profesji. Aż chciałoby się powiedzieć: kogóż tutaj nie ma.

Wymienianie wszystkich zawodów, które wykonywali nasi bohaterowie, zajęłoby chyba kilka godzin. Kiedy obejmowałem funkcję redaktora naczelnego PSB, pisaliśmy o rodzinie cyrkowców, o Cyrku Braci Staniewskich. Może to wydawać się nieco egzotyczne, bo zawód ten nie cieszy się specjalnym uznaniem, ale sama jego obecność wiele mówi o klimacie danego okresu historycznego. Jesteśmy w słowniku otwarci na wszelkie przejawy ludzkiej bytności w świecie, nawet jeśli byłby to świat rodzinnych legend i mitów. To dlatego Popiel i Piast mają u nas swoje biogramy. Nie znaczący to oczywiście, że nasi autorzy, mediewiści,

traktują te postacie jako historyczne. Chodziło o to, by wyluskać z legendarnego przekazu to, co jest hipotezą naukową.

Powstanie konkretnego biogramu to żmudna praca, w którą zaangażowanych jest wiele osób. Czy może pan przybliżyć nieco kulisy tworzenia poszczególnych biogramów?

Wszystko ma swój początek w konkretnej literze. Gdy już wiemy, jakim zakresem alfabetycznym mamy się zająć, niech to będzie np. przedział od Te do Ti, bo w takich mikroobszarach na poszczególnych etapach pracy się poruszamy, sekretarz redakcji zwołuje tzw. zebranie rozdzielcze. Na podstawie opracowanej wcześniej i wydanej przed kilu laty *Listy haseł T-V* redaktorzy poszczególnych działów tworzą listy z danej dyscypliny wraz z proponowanymi przez nich autorami. Ten wykaz bohaterów oraz proponowanych autorów staje na zebraniu rozdzielczym i tam wspólnie podejmujemy decyzje, które postaci zakwalifikować, a które odrzucić, oraz jakiego uczonego prosić o napisanie biogramu danej osoby. Zawsze zamawiamy biogramy u najwybitniejszych fachowców z danej dziedziny, a do tej pory współpracowało z nami już około czterech tysięcy autorów.

Co robią państwo w sytuacji, a zakładam, że przez lata działalności pewnie nie raz miała ona miejsce, kiedy z jakichś powodów autor nie ukończył pisania biogramu?

Wtedy mamy dramat. W takiej sytuacji redaktor odpowiedzialny za dany dział musi sam przejąć obowiązki autora i samodzielnie napisać biogram.

Czy można powiedzieć, że wszystkie biogramy są w jakimś stopniu do siebie podobne?

Tylko w zakresie formalnym, mówię tu o przyjętych zasadach językowych i merytorycznych. Poza tym każdy biogram to zupełnie inna historia. Trudno bowiem sobie wyobrazić, że konkretna postać, której można by i cały tom poświęcić, będzie miała identyczny biogram, jak ktoś, kto nie odegrał aż tak wielkiej roli, a przy tym nie istnieją obszerne źródła na jego temat.



Bywają jednak i takie sytuacje, że po otrzymaniu od autora gotowego biogramu redaktor decyduje, by go nie publikować, postać bowiem okazuje się zbyt miałka.

Pewnie zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że wszelkiego rodzaju opracowania biograficzne powinny być pisane według określonego klucza językowego. Chodziłoby o wyeliminowanie w ten sposób subiektywnych opinii autorów haseł, a skupienie na faktach i zawartości merytorycznej. Jak wyglądają te kwestie w PSB?

Od początku istnienia słownika obowiązuje zasada, której trzymają się kolejne ekipy redakcyjne. Jest to reguła Konopczyńskiego: Słownik „nie wysławia, ani zniesławia”. PSB jest jej wierny aż do bólu. Natomiast dopuszczamy – i nawet prosimy o to autorów – by cytowali oceny pojawiające się w literaturze przedmiotu. Gdy są to oceny rozbieżne – tym nawet lepiej. Ale nie jest bez znaczenia, czy dany twórca, np. pisarz lub rzeźbiarz, był prekursorem, czy epigonem. To ukazuje rangę postaci. Sam autor, ani tym bardziej redaktor, ocen jednak nie formułuje.

Przez kolejne tomy PSB przewinęło się do tej pory wiele postaci. Czy zdarzyły się panu naciski z zewnątrz, że dobrze by było, by jakaś osoba znalazła się na łamach słownika?

Nigdy nic takiego się nie wydarzyło. Przynajmniej w czasie mojej pracy w słowniku. Wynika to może po części z tego, że słownik jest bezkompromisowy w prezentowaniu historii naszego kraju. Nigdy nie zamazywaliśmy ani nie recenzowaliśmy poszczególnych postaci, dlatego u nas, obok np. świętego Stanisława Kostki, jest biogram przywódcy Goralenvolk w czasach okupacji hitlerowskiej, typowego zdrajcy, Wacława Krzeptowskiego. Kiedyś, co prawda, usłyszałem od kogoś, że w PSB jest zbyt wielu komunistów, ale zarzut to był tak absurdalny, że powiedziałem: przeciwnie, mamy ich za mało – ani Bieruta, ani Gomułki, ani Gierka czy Jaruzelskiego. A wynika to z prostego faktu: wszyscy oni zmarli albo wtedy, gdy dana litera już się ukazała, albo po roku 2000. Natomiast chętnie przyjmujemy wszelkie propozycje powstania nowych biogra-

mów padające ze strony specjalistów z różnych dziedzin, hobbystów, badaczy dziejów swej rodziny itd. Ale oczywiście to nie są już żadne naciski, lecz propozycje, które życzliwie rozpatrujemy, i o które prosimy.

W kontekście zamieszczanych biogramów rok 2000 jest kluczowy. Czy może pan powiedzieć dlaczego?

Naczelną zasadą PSB była zawsze publikacja życiorysów pełnych, czyli od narodzin do śmierci. Zdarza się więc, że w momencie wydania tomu zawierającego określoną literę dana osoba jeszcze żyje, więc nie może znaleźć się w słowniku, na przykład: Władysław Anders, Józef Beck, Maria Dąbrowska, Witold Gombrowicz, Józef Haller, Zbigniew Herbert... A z drugiej strony Jan Paweł II, Czesław Miłosz, Stanisław Stomma, Wisława Szymborska – ci z kolei zmarli po roku 2000. Bo rok 2000 stanowi cezurę przyjętą po to, by przyspieszyć ukończenie PSB. Słownik publikuje więc wyłącznie biogramy osób zmarłych do 31 grudnia 2000 włącznie. Mam świadomość niedoskonałości zastosowanych rozwiązań, dlatego od lat staram się o uruchomienie dwóch kolejnych serii słownika. Pierwsza uwzględniałaby publikację biogramów ludzi zmarłych już po ukazaniu się danej litery, biogramów niedopuszczonych do druku z powodu warunków cenzuralnych w Polsce powojennej lub z jakichś powodów pominiętych, druga natomiast – ludzi nieżyjących od 1 stycznia 2001. W przypadku pierwszym znalazłoby się miejsce dla np. arcybiskupa gnieźnieńskiego Janisława, który koronował Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego, w drugim – dla osób zmarłych w minionym dwudziestolecu. Niestety w tej chwili nie ma mowy o zainicjowaniu jakichkolwiek prac nad nowymi seriami. Nad słownikiem zebrały się czarne chmury. Borykamy się z olbrzymimi trudnościami finansowymi, stanęliśmy przed koniecznością cięć etatowych, zabrano nam poczucie stabilizacji, bezpieczeństwa. Bardzo bym chciał, by Słownik spokojnie, swoim rytmem, doszedł do hasła na literę „Ż”.

Twórca PSB, Władysław Konopczyński, zakładał wydanie dwudziestu tomów. Z perspektywy czasu można ocenić, że były to plany, głównie z uwagi na wielkość materiału, niemożliwe do zrealizowania. Jak wygląda stan PSB dziś?

Do tej pory ukazały się 52 tomy. Każdy liczył zazwyczaj 640 stron, ale zdarzały się też tomy grubsze. Daje to łącznie ok. 33 tys. stron i 28 tys. biogramów ułożonych w porządku alfabetycznym. Obecnie opracowujemy literę „T”, ale już teraz wiemy, że litera „W” będzie kolosalnym przedsięwzięciem.

W grudniu 2014 roku zaczęła działać internetowa wersja PSB. Jak scharakteryzowałby pan ten rodzaj dywersyfikacji?

Wersja internetowa jest lustrzanym odbiciem klasycznej. To są po prostu te same biogramy, które po okresie karencji są umieszczane w Internecie wraz ze sprostowaniami i uzupełnieniami, które tu zostają przeniesione z ukazujących się po każdym tomie errat. Wszystko więc, co do przecinka, jest identyczne z treścią opublikowaną w wersji papierowej. Różnica polega tylko na tym, że nasz partner, Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny (FINA), może dodawać do naszych zapisów różnego rodzaju materiały, czy to ikonograficzne, czy fonograficzne. Z załem muszę stwierdzić, że współpraca, która początkowo układała się znakomicie, w ostatnim czasie właściwie nie istnieje.

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że PSB to coś więcej niż tylko wydawnictwo. Czy zgodzi się pan z tak postawioną tezą?

Polski Słownik Biograficzny to jedyne dzieło, które wychodzi niemalże bez przerwy od 10 stycznia 1935 roku, kiedy uka-

zał się pierwszy zeszyt. Na lata okupacji hitlerowskiej i okres stalinowski przypadają dwie jedyne pauzy w działalności słownika. Początkowo jego wydawcą była Polska Akademia Umiejętności w Krakowie, od 1958 r. jest to Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk. PSB to rodzaj publikacji prezentującej najwyższy poziom naukowy. Od początku jego istnienia współpracę podejmowali wybitni specjaliści z bardzo wielu dziedzin. Pisali dla nas fachowcy nie tylko z dziedzin humanistycznych, ale także matematycy czy historycy przemysłu. Słownik jest kopalnią dodatkowych informacji, szczególnie jeśli idzie o ustalenie różnego rodzaju koligacji rodzinnych. Jak za nicią Ariadny można z jednego biogramu przejść do miejsc do tej pory nieodkrytych, nie gubiąc się w labiryncie licznych postaci. Słownikiem można się bawić, można układać z jego pomocą wszelkie możliwe kombinacje, a także tworzyć nowe połączenia czy różne zbiory, np. ludzi związanych z danym miastem albo malarzy

danego czasu. Kiedyś nieżyjący już prof. Janusz Tazbir, wieloletni przewodniczący naszej Rady Naukowej, powiedział, że na podstawie słownika można napisać nieskończoną ilość prac magisterskich, doktoratów czy habilitacji. Stanowi on bowiem doskonały materiał wyjściowy do szeregu prac z różnych dyscyplin. Dzięki słownikowi możemy odbyć podróz w czasie i przestrzeni, wędrując szerokim traktem naszej historii, docierając aż po Dniepr, gdzie dawniej rozciągała się Rzeczpospolita. W każdym biogramie, niczym w kropli wody, odbija się historia Polski danego okresu z charakterystycznymi elementami kultury, literatury, sztuki czy malarstwa. Słownik jest, można powiedzieć, muzyką polskości, wyspiewaną przez chór złożony z wielu głosów. Najbardziej byłoby mi żal, gdyby ta melodia miała się urwać w pół taktu.

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Matematyka, zarazki i życie

Wiem, wielu chciałoby już nie słuchać o COVID-19, wirusach, epidemiach i pandemiach, a tu jeszcze recenzja nowej książki. Można by powiedzieć, że wydawnictwo wstrzeliło się idealnie w intelektualny klimat ostatnich miesięcy i pomogło wyjaśnić czym zajmują się epidemiolodzy. Autor omawianej książki, Adam Kucharski, jest profesorem nadzwyczajnym w London School of Hygiene and Tropical Medicine, pracującym nad epidemiami na świecie. Zajmował się głośnymi problemami związanymi z wirusami ebola czy zika, zatem nadaje niejako z pierwszej linii frontu epidemicznej walki. I co chyba najciekawsze, jasno wskazuje, że do zrozumienia powstania i przebiegu epidemii potrzeba nie tylko lekarzy, ale także naukowców wielu innych specjalności: matematyków (sam się tym zresztą para), wirusologów, zoologów, ekologów, a nawet psychologów i ekonomistów.

Żeby doszło do epidemii, potrzebna jest choroba, to oczywiste, warto jednak zrozumieć, iż to dopiero początek. Chorób są wszak rzesze całe, ale tylko niewiele z nich ma charakter epidemiczny. Które bakterie, riketsje, wirusy mają taki charakter, a które nie? Jak dochodzi do powstania i zakończenia epidemii? Czy naprawdę możemy zaradzić transmisji chorób? Jak wygląda wieloletni i sezonowy przebieg epidemii? A jak transfer poziomy i pionowy chorób? Czy można wyłącznie obserwować postępy pandemii, wyciągać wnioski i myśleć, że może kiedyś w odległej przyszłości będziemy mądrzejsi? Odpowiedzi wcale nie są proste, zwłaszcza jeśli zdamy sobie sprawę, że bardzo trudno – przede wszystkim z przyczyn etycznych – testować epidemie eksperymentalnie. Bo niby kogo zarażać i jak sprawdzać, kto nabywa odporność, a kto nie? Eksperymenty na zwierzętach laboratoryjnych to zdecydowanie za mało. Zatem gdy już pojawia się problem epidemiczny, to zwykle obowiązuje zasada: wszystkie ręce na pokład; aplikujmy wcześniej stosowane sposoby i lekarstwa, a później się zobaczy. Nie jest to zdecydowanie twarde podejście naukowe, jednak lepszego, przynajmniej na razie, nie mamy.

Bardziej fascynujące od przyglądania się chorobom są w książce inne aspekty życia, które miewają charakter podobny do prawdziwych epidemii: moda, przekazywanie informacji, w tym także fake newsów, zmieniających preferencje polityczne i obyczaje społeczne w skali niemalże globalnej. Przykładów jest całkiem sporo, a nad zastosowaniami pracują wysoce wyspecjalizowane agencje. Nieco sarkastycznie dodam, że w sumie to pocieszające

zjawisko. Jeśli bowiem w sektorze publicznym nie ma środków na zatrudnienie epidemiologów, to ich wiedza i talent nie pozostają niezagospodarowane. Trafiają do agencji reklamowych, mediów i do banków. Ci najlepsi z nich są świadomi własnych ograniczeń i dobrze wiedzą, że powstaniem pandemii, czy to w realnym życiu, czy to w Internecie, sprzyjają nieprzewidywalne czynniki losowe i/lub dobry influencer z rozbudowaną siecią znajomych. Nie pozostajemy jednak zupełnie bezradni i coś jednak da się przewidzieć. Wszak całkiem niezłe radzimy sobie z kontrolą wieku chorób, czy też wprowadzaniem norm i zachowań ułatwiających pokojowe współżycie między ludźmi. Przynajmniej w tej chwili tak to wygląda, a życie zweryfikuje stabilność tych układów.

Do pokazania kruchości misternie budowanych konstrukcji czasami potrzeba naprawdę niewiele. W czasie rozbudowanej sieci kontaktów, w mocno zglobalizowanym świecie i jeszcze szybciej wymieniającej informacji sieci portali społecznościowych, bardzo często pojawiają

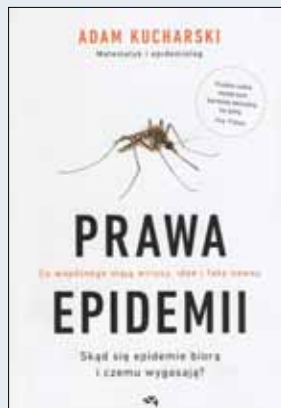
się zjawiska o charakterze game changerów. Zdawało się, że miały zmienić dotychczasową wizję świata. Pamięć o nich jednak przemija jak zeszłoroczny śnieg. Dlatego tak niewiele z obserwacji epidemii się uczymy i za każdym razem jesteśmy zaskoczeni przebiegiem kolejnej z nich. Ciekawe (Kucharski to dostrzega i ładnie opisuje), że transfer informacji to nie specyficznie ludzka cecha, występuje u wielu gatunków zwierząt. Dlatego nie zaskakuje, że właśnie wśród nich: sikor, delfinów czy małą, wielu badaczy poszukuje źródeł inspiracji i innowacji.

Prawa epidemii to może nie jest książka do rozmów przy imieninowym stole u cioci, ale jako zacytowany naukowy, multidyscyplinarny seminarium nadaje się znakomicie. Mam zwyczaj zaznaczania w książkach ważnych fragmentów. Tym razem podczas lektury oznakowałem aż 25 takich miejsc, czyli co 12 stron pojawiało się coś inspirującego. Według moich standardów to doprawdy zacytowany wynik.

A na sam koniec jeszcze wątek optymistyczny. Na tym świecie nic nie trwa wiecznie, a już na pewno nie epidemia. Warto i na tę ewentualność solidnie się przygotować.

Piotr Tryjanowski

Adam KUCHARSKI, *Prawa epidemii. Skąd się epidemie biorą i czemu wygasają?*, tłum. Jowita Maksymowicz-Hamann, Grupa Wydawnicza Relacja, Warszawa 2020.



Życiorysy rodzin (z tezą)

Obejmując relacją najmłodszych potomków, szukam przesłanek dla wniosków dotyczących zarówno duchowej i społecznej kondycji warstwy inteligentnej w Polsce, jak i przewidywanej ewolucji jej etosu.

Ćwierć wieku temu zaczęłam rozmawiać z żyjącymi przedstawicielami rodzin inteligentnych, zarazem dziedzicami krótszej lub dłuższej, zwykle parupokoleniowej tradycji pracy naukowej w tych rodzinach. Prawie zawsze moi rozmówcy także uprawiali naukę – na różnych etapach drogi akademickiej.

Chciałam się dowiadywać, w jakich okolicznościach decydowali się na to pierwsi uczeni w rodzie, zdając sobie sprawę, że nierzadko wiedza potomków przemieszana jest z rodzinnymi legendami, które jednak stanowią element przechowywanej tradycji i mówią, czasem niemało, o klimacie domu, w jakim rosły kolejne pokolenia. Miałam, oczywiście, tezę wyjściową, wyobrażenie o tym, czego się dowiem, pochodzącą z długoletniej znajomości licznych takich rodzin i wiedzę wyniesioną z własnego domu, chyba typowego dla warstwy inteligentnej. Rzadko zdarzały mi się zaskoczenia w tym względzie, najczęstszym było powszechne zaprzeczanie stereotypowemu przeświadczeniu, że życiowe wybory młodych ludzi kształtują się często w opozycji do oczekiwań rodziców i całej rodzinnej tradycji. W tym moim doświadczeniu „niebo w płomieniach” jawi się literacką hiperbolą.

Pragnąc poznać podstawowe rysy tradycji, te, które określają tożsamość inteligentów, naturalne było, że powtarzałam pytania o wymagania stawiane młodym ludziom i hierarchię owych wymagań (najczęściej wymieniano prawdomówność i ogólnie określaną przyzwoitość), oczekiwane od nich osiągnięcia życiowe, wpajane ambicje. Odpowiedziom towarzyszyło niemal zawsze zapewnienie o panującej w rodzinnym domu tolerancji, znacznej swobodzie i zaufaniu, jakim darzono dorastające dzieci, przy ustalonych obyczajach codziennego życia, takich np. jak punktualność związana ze wspólnymi posiłkami i to, co nazywano „dobrymi manierami”. Różnorakie warianty biograficzne, poza tym że zaciekawiają czytelników, pozwalają wyłuskać z relacji istotne cechy określające klimat domu i wpływające na wychowanie dorastających w nim pokoleń. Stanowią one elementy tego, co określamy, czasem nieco „na wyrost”, etosem inteligencji.

Świadomość rodowodu

Obejmując relacją najmłodszych potomków (pytam starsze pokolenie o upragnione, a także przewidywane ich losy), szu-

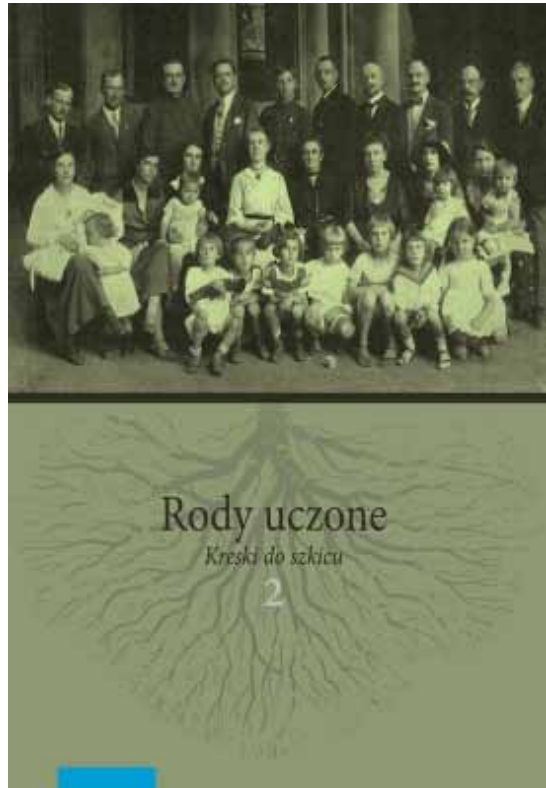
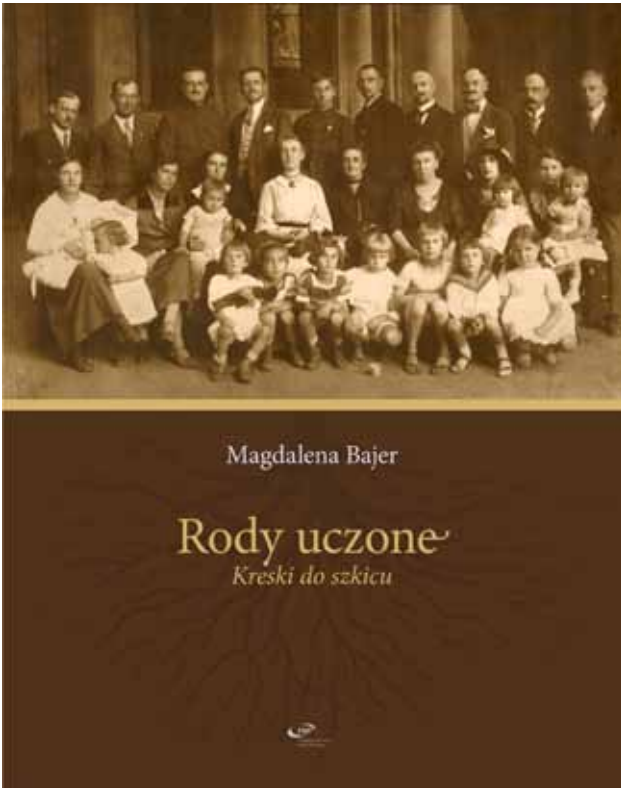
kam przesłanek dla wniosków dotyczących zarówno duchowej i społecznej kondycji warstwy inteligentnej w Polsce, jak i przewidywanej ewolucji jej etosu. W sytuacji powracającej dyskusji o radykalnej przemianie, zgoła zanikaniu inteligencji w jej dotychczasowym kulturowym kształcie, wydaje mi się to ważne dokumentalnie, a także interesujące w perspektywie owej wieszczonoj przyszłości.

U większości obecna jest świadomość rodowodu, w największej mierze szlacheckiego. Moi rozmówcy nie wymieniają wynikających stąd konsekwencji, ale wspomnianie szlacheckich przodków prowadzi zwykle do ujawnienia odziedziczonego po nich, choć nie deklarowanego w ten sposób, poczucia odpowiedzialności. Myślę (warto to zbadać), że wynika ono tyleż z poczucia niegdysiejszej przynależności do warstwy panującej, mającej decydujący wpływ na kształt życia zbiorowego, co ze swoistej ekspiacji za winy tej warstwy. Odczytuję te mentalne, subtelne związki z napomknieniami o minionych dziejach rodziny z okresu Rzeczypospolitej szlacheckiej (jeśli dzieje tych czasów sięgają) i z opinii na temat aktualnych zadań inteligentów.

Z tym ostatnim wiąże się przekonanie o naturalnej potrzebie – zgoła konieczności – kształcenia się na poziomie wyższym i w rodach uczonych także poświęcenia się nauce. Wolno chyba upatrywać wspólne źródło obu wymienionych rysów postawy życiowej: wykształcenie jest atrybutem uprawniającym (w pewnym stopniu) do pełnienia przywódczej roli w społeczeństwie, tę zaś biorą na siebie inteligenci kierowani poczuciem odpowiedzialności za poziom kulturowy czy też cywilizacyjny ogółu. Oczywiście w rozmowach z potomkami nie padają teoretyzujące uogólnienia, w każdym razie zdarza się to rzadko. Próbuje je formułować na marginesie publikowanych relacji, zawsze ze znakami zapytania. Służą mi do stawiania kolejnych pytań, przybliżających lepsze poznanie współczesnej warstwy inteligentnej.

Śmiałość cywilna

Liczne szczegóły w biografiiach moich bohaterów, a także komentarze do nich, wypowiedziane często mimochodem, nie wprost, mówią o pewnym rysie charakterystycznym osób wykształconych, osadzonych w tradycji wysoko ceniącej



wykształcenie, posiadających szerokie horyzonty myślowe. Tym rysem jest pewien rodzaj śmiałości, który nazwałabym „śmiałością cywilną”, a polega na podejmowaniu zadań, jakie innym wydają się niewykonalne, choć nikt nie przeczy sensowności, czasem konieczności ich podjęcia. Nie ma to nic wspólnego z donkiszoterią, gdyż poprzedzone jest trafnym rozpoznaniem potrzeb i racjonalnie formułowaną ich hierarchią.

W opisanej rodzinie skoligaconych ze sobą Kieniewiczów, Sobańskich i Koszutskich przedstawiciele pokolenia, którego dojrzałość przypadła na początek niepodległej Polski, poszli bez namysłu budować Gdynię, niezależnie od indywidualnego przygotowania zawodowego. Była to praktyczna weryfikacja poetyckiego „Mierz siły na zamiary”, wszakże przy dobrej znajomości, głębokiej ocenie i pełnej akceptacji zamiarów dyktowanych aktualnym obrotem historii ojczyzny, widzianym na tle powszechnej. Przez ćwierć wieku spotkań przekonałam się, jak bardzo wrażliwie obserwuje się historię w domach inteligentnych. Ta wrażliwość należy do stałych składników panującej tam atmosfery, tematów rozmów i rudymentów wychowania. W każdej poznanej przeze mnie rodzinie główne życiowe wybory kolejnych pokoleń o tym świadczą. Przytoczę słowa najmłodszego ze wspomnianych Sobańskich, Michała, z zawodu informatyka: „Ludzie skoligaceni z pierwszą ligą polskich rodów. Normalni zasobni ziemianie, wśród których bywali wielcy oryginałowie. Oni byli nie tylko ośrodkiem polskości, ale także później, w XVIII i XIX wieku, początkiem przemysłu, oświaty rolniczej, oświaty w ogóle. Kiedy przyszła katastrofa 1917 roku

i trzeba było wrócić do Królestwa, do Warszawy, żeby zaczynać od początku, tak samo jak po powstaniu listopadowym, styczniowym – oni znów zaczęli”. Po drugiej wojnie światowej potomkowie tych rodzin, upośledzeni politycznie w nowym ustroju, zaangażowali się aktywnie w odbudowę kraju.

Owa śmiałość, którą obrazują niemal wszystkie dzieje uczonych rodów, wydaje się istotnym czynnikiem w decyzjach o wykształceniu podejmowanych przez młodych ludzi i nierazkim potem wyborze drogi naukowej. Większość pytanym stwierdzała, że studia były czymś oczywistym, niepodlegającym namysłowi. Zdarza się unikanie tego samego kierunku, w którym odznaczył się dorobkiem któryś z przodków, zwłaszcza rodzic, w obawie przed porównaniami.

W rodzinnych historiach powtarzają się sylwetki uczonych robiących w epoce zaborów kariery na zagranicznych uniwersytetach i przerywających je bez wahania, by wrócić do niepodległej Polski i budować nowoczesne państwo. Stąd tak wielu profesorów w rządach oraz instytucjach publicznych międzywojennego dwudziestolecia. Gdy rozmawialiśmy o tym, padało słowo patriotyzm, używane raczej oszczędnie.

Historie rodów uczonych pozwalają wyciągać (wstrzeмиęliwie) wnioski o roli i dalszych losach tej warstwy, która istnieje dzisiaj w niewielu miejscach Europy, a która u nas jest ciągle świadoma własnej tradycji, może i potrafi z niej czerpać oryginalne, ale i aktualne inspiracje do lepszego urządzania świata.

Biografie i badania biograficzne

Dlaczego warto gromadzić wspomnienia?

Pisanie i publikowanie pamiętników, biografii, listów, wspomnień ma wieloletnią, ugruntowaną tradycję, nie powinno zatem dziwić, że z czasem stało się przedmiotem zainteresowań naukowców – nie tylko literaturoznawców, ale również socjologów i pedagogów.

Biografia może być rozumiana na wiele sposobów: jako historia życia, pełen jego cykl, ale i jako droga od narodzin ku śmierci (Lalak D., Ostaszewska A., *Źródła do badań biograficznych*, Warszawa 2016). Istotne z badawczego punktu widzenia wydaje się rozróżnienie między biografią przeżywaną i biografią opowiadaną – pierwsza z nich jest to „podmiotowo zorientowany i zorganizowany proces rozwoju i kształtowania ludzkiego życia” czy też, w innym ujęciu, „subiektywna konstrukcja przeżytego życia” (Lalak D., Ostaszewska A.). Z kolei biografia opowiadana jest to historia indywidualnych ludzkich doświadczeń powierzonych badaczowi lub odnaleziona w dokumentach czy materiałach archiwalnych.

Poszerzając tło definicyjne związane z różnymi ujęciami biografii, nie należy pomijać wymienianych przez Normana Denzina historii życia, historii przypadku czy też autonarracji (Denzin N.K., *Interpretative Biography. Qualitative Research Methods*, London–New Delhi 1989). Wiążą się one ściśle z procesem interpretacji tego co przeżyte, niejako łącząc aspekt przeżywaną z opowiadany. Historia życia przedstawia doświadczenia osoby, grupy czy organizacji w taki sposób, w jaki ów konkretny zbiór doświadczeń jest przez narratora interpretowany (Istotnego znaczenia nabiera tutaj zasada współczynnika humanistycznego, mówiąca o tym, że badacz powinien zawsze przyjmować jako punkt wyjścia w procesie interpretacyjnym stanowisko badanych, ich odczucia oraz przemyślenia). Relacja z życia z kolei zogniskowana jest na pewnym procesie, który badacz chce poddać interpretacji. Jej centralnym elementem jest autonarracja: opowieść osoby o swoim życiu w kontekście określonego zbioru doświadczeń, które narrator podziela z innymi lub nie. Inaczej, autonarrację określić można jako historię własnego ja w stosunku do jakiegoś przeżycia czy doświadczenia.

Fakty, szczerść, prawda

Należy zwrócić uwagę na fakt, że w odmienny sposób badają biografie socjologowie, a inaczej pedagodzy. W bada-

niach socjologicznych zazwyczaj poszukuje się wzorów przebiegu życia jednostek na tle sytuacji społeczno-historycznej lub przemian kulturowych. Kluczowe są tu nie tyle same losy jednostek, co powtarzalne sposoby reagowania na opisywane sytuacje, a celem, jaki stawia sobie badacz, jest próba skonstruowania pewnej ich typologii (Lalak D., Ostaszewska A.). Z perspektywy pedagogicznej natomiast badania biograficzne zazwyczaj koncentrują się na wielowymiarowych procesach uczenia się w toku biografii i na podstawie biografii (własnej) (Dubas E., Świtalski W.(red), *Biografia i badanie biografii. Uczenie się z biografii Innych*, t. 2, Łódź 2011), bądź na eksplorowaniu indywidualnych sposobów przekształcania środowiska z założeniem, że ostateczny kształt biografii zależy nie tylko od uwarunkowań środowiskowych, ale też, w co najmniej równym stopniu, od decyzji, doświadczeń i woli podmiotu.

Celem badań biograficznych w pedagogice, inaczej niż w analizach socjologicznych, jest zazwyczaj rekonstrukcja najważniejszych wątków w narracyjnej opowieści podejmowana po to, by przybliżyć procesy kształtowania tożsamości jednostkowej.

Zagadnieniem, które fascynuje badaczy biografii, są proporcje między wydarzeniami autentycznymi a fikcją. Wyróżnić można kilka podejść do gromadzenia materiałów autobiograficznych, a także do orzekania tego, co jest prawdą, a co nią nie jest. Odtwarzanie przeszłości uwarunkowane jest wieloma złożonymi procesami, wśród których wymienić warto: 1) rozbudzenie potrzeby wspomnień, akceptacji miejsc, wydarzeń i okoliczności, które stanowiły ramę dla przeżyć narratora. Głównym celem jest tutaj pokonanie wyobcowania emocjonalnego, przybliżanie słuchaczowi i sobie – przede wszystkim – minionych doznań, odczuć; 2) bierne współdziałanie słuchacza czy badacza biografii, które polega na otwarciu się na opowieść innej osoby, uruchomieniu procesu introspekcji, milczącym i akceptującym współbyciu w tym, co przywoływane; 3) fantazjowanie

– nie oznacza ono zniekształcania wydarzeń, jedynie przekładanie akcentów między tym, co uważaliśmy niegdyś za najistotniejsze, a tym, co z obecnej perspektywy wydaje się pierwszoplanowe (Demetrio D., *Terapeutyczny wymiar pisania o sobie*, Kraków 2000).

Inaczej niż Duccio Demetrio traktuje powstawanie opowieści biograficznej Norman Denzin w *Interpretative Biography*. Mniej tutaj filozofii wspomnienia i wypływających z niej czynników terapeutycznych, wspomniany autor koncentruje się raczej na technicznych aspektach, dotyczących sposobu i struktury pisania o życiu i minionych wydarzeniach, które się nań składają. Norman Denzin, poprzez oparcie opowieści biograficznej na konkretnych wytycznych, próbuje ująć ją w określone ramy, stworzyć swego rodzaju model konstruowania biografii, jednak i dla niego prawda tu występująca nie ma wymiaru jednoznacznego. Prawda to zarówno obiektywne wydarzenia, jak i pewne dokumentarne cechy. Autor wymienia wśród nich: szczerłość autobiograficzną – przedstawienie subiektywnej prawdy o życiu; prawdę historyczną – zgodność opisywanych wydarzeń z historycznymi zapisami i konotacjami; prawdę estetyczną (subiektywną); prawdę fikcji (to, w jaki sposób opisywane wydarzenia funkcjonują w świadomości narratora).

Danuta Lalak z kolei proponuje taki oto, bardziej przejrzysty podział zawartości materiału autobiograficznego, wyróżniając w nim: fakty – opisują to, co obiektywne, sprawdzalne (i co odpowiada prawdzie historycznej, a także wspomnianym uprzednio przez Denzina realnym i obiektywnym wydarzeniom w życiu narratora); faktyczności – dotyczą znaczeń, interpretacji, tego, jak opisywane fakty były doświadczane przez bohaterów (odpowiada to denzinowskiej prawdzie fikcji, jak i być może prawdzie estetycznej); fikcję – odnosi się ona do narracji, opowieści o tym, co dotyczy zarówno faktów, jak i faktyczności (odpowiada częściowo prawdzie historycznej, a częściowo szczerości autobiograficznej) (Lalak D., *Życie jako biografia. Podejście biograficzne w perspektywie pedagogicznej*, Warszawa 2010).

Prawda w tym ujęciu rozumiana jest jako zgoda faktów i faktyczności (sposobów przedstawiania faktów). W potocznym rozumieniu obejmuje więc pewną wspólnotę umysłową. Sięgając do autentyczności doświadczenia, sposobów doświadczania i przeżywania faktów (faktyczności) jako źródeł wiedzy biograficznej, otwieramy badanie naukowe na świat prze-

żyć wewnętrznych, do tej pory niedostępny nauce. Jak ważna jest to kwestia, ilustruje zestawienie możliwości badania opinii badanych (metoda sondażu) z badaniem sposobów budowania tożsamości i konstruowania świata przeżywanego (podejście interpretatywne, fenomenologia).

Tworzywo biografii

Studując biografie znanych albo mniej znanych osób, wielu z nas zastanawia się nad tym, co powoduje, że książka jest fascynująca i odwrotnie, z jakiego powodu lektura zaczyna nas nużyć? Czy zależy to od nietuzinkowej osobowości bohatera, niezwykłych okoliczności, w jakich przebiegało jego życie, a może od pisarskich umiejętności autora?

Zastanówmy się przez chwilę, co stanowi tworzywo biografii? Jak pisze Demetrio (Demetrio D., *Autobiografia...*), tworzywem biografii jest opowieść odzwierciedlająca mnogość nagromadzonych w ciągu całego życia wspomnień, rozmyślań, rozważań czy medytacji, która towarzyszy wielu ludziom na przestrzeni lat. Któż z nas nie ma wspomnień: przelotnych, dobrze utrwalonych pamięci, radosnych, ale i traumatycznych, bolesnych? Opisywana rzeczywistość nigdy nie jest obiektywna, zmienia kształt, staje się jedną z możliwych wersji przedstawianych wydarzeń. Ten subiektywny obraz jest dużą wartością biografii ludzkich: to, co udokumentowane, uprawomocnione historycznie, i to, co wzbogacone emocjami i odczytaniem narratora, tworzy wielowarstwową opowieść. Opowieść autobiograficzną, fabularyzowaną, spójną, ale i rozproszoną, dysocjacyjną. Życie rzeczy, ale i nasze własne jest zawsze życiem umysłu.

Procesem, który umożliwia rekonstrukcję minionych przeżyć i wydarzeń jest depersonalizacja. Opiera się ona na stopniowym zyskiwaniu dystansu do opisywanych wydarzeń, uwzględnieniu w porządku narracyjnym innych: ich emocji, przeżyć, pozostawienie przestrzeni na odmienne punkty widzenia. Trzymanie się jedynej, oficjalnej wersji izoluje od źródeł introspekcji, zamyka i oddala zamiast otwierać i przybliżać (Lalak D., Ostaszewska A.).

Procesy, o których mowa, są niejako intuicyjne, bardzo trudno sformułować jednoznaczne wskazówki, jak prowadzić autobiograficzne rozmowy. Czasem czynnikiem stymulującym narrację jest bliskość i wspólnota doświadczeń narratora i słuchacza, czasem komunikacja przebiega tym sprawniej, im osoby te mniej mają ze sobą wspólnego (na przykład dzienni-



Fot. Stefan Ciechan

karz i jego rozmówca). Istotne jest porozumienie w zakresie tego, co stanowi fundamentalne momenty egzystencji narratora. To właśnie one, kryzysy, epifanie, doświadczenia krystalizujące i momenty przełomowe, organizują narrację, nadając jej wewnętrzną chronologię (zawsze jest jakieś „wcześniej” i „później” wobec owych wydarzeń, nierzadko też od nich rozpoczyna się biograficzna opowieść).

Wiedza i samoświadomość

Na fabułę biograficzną zazwyczaj składają się trzy główne kategorie wydarzeń: incipit (wydarzenia poprzedzające punkt zwrotny biografii, ale też zachowane w pamięci a towarzyszące mu rzeczy, obrazy, osoby). Incipit może mieć charakter figuratywny (ludzie, zwierzęta) lub sensoryczny (zapachy, barwy, żywioły); ruit (tzw. życiowy background: pochodzenie, wykształcenie, rodzina, rówieśnicy, momenty kluczowe – sukcesy, porażki, ucieczki i powroty, zaskoczenia, pasje, miłości i antypatie; i wreszcie exit (efekty działań, niezrealizowane zamierzenia, zadania i cele na przyszłość, odkryte zdolności i ograniczenia). Exit jest zazwyczaj zamknięciem pewnego cyklu, generuje tożsamościowe pytania o sens i znaczenie egzystencjalnych doświadczeń. Bywa też zaproszeniem do ponownego odczytania treści autobiograficznych (Demetrio).

Zadaniem autora biografii jest zebrać je, uporządkować, opisać, zasięgając konsultacji u bohatera. Często sama czynność pisania poprzedzona jest decyzją, w jakiej kolejności przedstawić wydarzenia, co pominąć, a co wyeksponować.

Zakres działań badacza jest szerszy: powinien on nie tylko wysłuchać wspomnień, lecz ukierunkować tematycznie, uporządkować, nierzadko stymulując u narratora nie tylko retrospekcję, ale i pewne przewartościowanie, zgodnie z ideą i postrzeganiem autobiografii jako stanu ducha, w którym następuje nie tylko spotkanie z samym sobą, lecz także konfrontacja z przeszłością i jej reintegracja z teraźniejszością.

Biografia powstaje na bazie opowieści. Tworzywem opowieści z kolei jest wiedza o świecie i o sobie samym. Jak zauważa Anthony Giddens (Giddens A., Sutton P.W., *Socjologia*, Warszawa 2012), jest to wiedza dwojakiego rodzaju: komunikacyjna, czyli zyskiwana pod wpływem uczenia się, przyswajania faktów, werbalnego przekazu, który może mieć miejsce w sytuacjach formalnych i nieformalnych pod względem edukacyjnym, oraz koniunktywna – oparta na przekazie międzygeneracyjnym, wynikająca z więzi w rodzinie i uniwersalnych w kulturze wartościach czy symbolach występujących w baśniach, mitach lub innych Wielkich Narracjach. Bez wiedzy, o której mowa, podobnie jak bez pewnego poziomu samoświadomości – rozumianej jako zdolność do odpowiedzi na istotne, tożsamościowe pytania: kim jestem? dokąd zmierzam? co powoduje, że znalazłem się w obecnym miejscu i sytuacji? – nie jest możliwe stworzenie opowieści składającej się na biografie.

Rola słuchacza opowieści

Nie zawsze bohater biografii potrafi odnaleźć odpowiedzi na wskazane pytania, nie zawsze też jest gotów w sensie psychicznym, by spotkać się z przeszłością, stawić czoło temu, co minęło, a zdecydowało o dokonanych wyborach, podjętych decyzjach i tym wszystkim, co powoduje, że tak, a nie inaczej wspomina on przeszłość i wyobraża sobie przyszłość.

Właściwie poprowadzona i zrekonstruowana opowieść biograficzna ma walory terapeutyczne. Chodzi tutaj o to, by podczas zbierania wspomnień pomóc opowiadającemu uporządkować autonarrację, uruchamiając zarazem funkcję sprawczą opowiadania. Znaczenie przeżytych wydarzeń, ewolucję sposobu ich postrzegania, a także możliwe konsekwencje własnych działań, zarówno podjętych, jak i zaniechanych, najlepiej uświa-

damy sobie dopiero mówiąc o nich, opowiadając je. Komuś? Samym sobie? Okazuje się, że i słuchaczowi, i sobie samym.

Nierzadko wówczas rewidujemy własne przekonania, porządkujemy doznawane emocje. Funkcja sprawcza narracji wykorzystywana jest także w procesie terapeutycznym. To dzięki niej pacjent, wychodząc z gabinetu psychoterapeuty, nierzadko się zastanawia, dlaczego zupełnie inaczej myślał o swoich zachowaniach, czemu wypierał pewne rodzaje myśli i towarzyszących im odczuć, w efekcie końcowym dochodząc do wniosku, że to, czego doświadczył, nie tylko jest powszechniejsze, niż sądził, ale wydaje mu się bardziej zrozumiałe i spójne, a nierzadko znajduje swoje wytłumaczenie w przeszłości, działaniach innych osób.

Rola słuchacza opowieści jest niezwykle istotna jeszcze z jednego powodu – wspierając rekonstruowanie wydarzeń, pomaga on dostrzec momenty przełomowe w biografii, a nierzadko nazwać doświadczenia krystalizujące, czyli takie, które doprowadziły do znaczącej zmiany w postrzeganiu siebie samego czy jakiegoś ważnego w życiu obszaru. Doświadczenie krystalizujące może wiązać się z ważnym w sensie egzystencjalnym spotkaniem, które uwalnia potencjał twórczy, może też przybierać charakter epifanii (ośnienia, efektu halo, iluminacji). Z perspektywy czasowej niektóre z nich stają się trwałymi elementami tożsamości podmiotu, sytuując się w biografii jako momenty przełomowe. Oczywiście nie zawsze zbieranie materiałów biograficznych ma aż tak silne, katalizujące oddziaływanie, wzrost samoświadomości jest często elementem przemyśleń, refleksji czy samodzielnego „przepracowywania” autonarracji.

Zresztą momenty przełomowe wiodące do biograficznych metamorfoz są tylko jedną z czterech opisywanych przez Fritza Schützego struktur procesowych (za: Rokuszewska-Pawełek A., *Wywiad narracyjny jako źródło informacji*, [w:] *Wiedza, Kultura i Społeczeństwo* 1/2006). Struktury te są rodzajem narzędzia służącego do analizy i porządkowania materiału biograficznego. Pozostałe to: trajektorie (okresy, w których pojawiają się szczególne wyzwania spowodowane wydarzeniami losowymi, takimi jak: ciężka choroba, niepełnosprawność, strata bliskich osób, traumatyczne okoliczności historyczne – wojna, poważne kryzysy, wybuch epidemii), wzorce instytucjonalne (wymagania instytucji, oczekiwania, cele i reguły działania związane z pewnymi okresami w biografii i pełnieniem określonych ról) oraz plany biograficzne (intencjonalne planowanie własnego życia, podejmowanie działań na rzecz realizacji wspomnianych zamierzeń z uwzględnieniem psychicznych kosztów i ryzyka z nimi związanego). Struktury procesowe ukazują biografie jednostkową jako fenomen rozpięty pomiędzy podmiotowością i dążeniem do indywidualizacji życia, samorealizacji w sferze prywatnej a koniecznością sprostania wymogom instytucjonalnym, formalnym ograniczeniom roli społecznej i okoliczności życiowych, w jakich się znaleźliśmy, zmierzania się z przeciwnościami losu, jakie nas dotykają.

Z tego powodu, nie tylko w związku z dążeniem do podnoszenia samoświadomości i stymulowaniem biograficznego sprawstwa, powstają biograficzne zapiski: pamiętniki, opowieści, bardziej współcześnie – blogi. O ile jednak funkcją pamiętnika jest autorefleksja, blog to przede wszystkim autoprezentacja, często dokonująca się przez pryzmat swoich zainteresowań czy identyfikacji w sferze kultury (muzyka, literatura, moda).

Jak piszą badacze – nie ma nieciekawych biografii, są tylko niewłaściwe sposoby ich przedstawiania i analizowania.

Dr hab. Magda Karkowska, prof. UŁ, Wydział Nauk o Wychowaniu Uniwersytetu Łódzkiego. Nauczyciel dyplomowany, tłumacz, badaczka kultury i edukacji.

O metodach relacjonowania świata przeżyć wewnętrznych z dr **Martyną Pryszmont** z Pracowni Metodologii Badań nad Edukacją Uniwersytetu Wrocławskiego rozmawia Aneta Zawadzka.

Opowiedzieć życie

Kim jestem ja? Kim są inni? Fenomen istnienia nieustannie ciekawi, pobudzając do eksplorowania meandrow ludzkiej egzystencji.

Przedmiot pani badań stanowi biografia ludzi dorosłych. Jak mogłaby pani opisać jej fenomen? Czy jest ona wyłącznie zobiektywizowanym sprawozdaniem z życia, opisem faktów, wydarzeń i osób, które brały w nim udział?

Biografia jest indywidualną konstrukcją złożoną z wielu elementów życia człowieka. To historia, na którą składają się różne przeżycia osoby, tworząc kolekcję jej osobistych doświadczeń. Pytanie o biografię jako przedmiot badań wiąże się z pytaniem o źródła. Losy jednostki mogą być bowiem opowiedziane przez samego narratora (re)konstruującego osobistą autobiografię za pomocą odtworzenia zapisanych w pamięci ciała i umysłu sytuacji, wydarzeń i przeżyć, nadając im przy tym określone zabarwienie emocjonalne. Kiedy natomiast historia narratora opowiedziana zostaje przez osobę trzecią, staje się nową konstrukcją, a więc biografią opowiedzianą w perspektywie danego autora. Oba ujęcia, zarówno narratora, jak i autora biografii narratora, przedstawiają indywidualne ujęcia postrzegania i odczuwania otaczającego świata. Stąd, według mnie, trudno byłoby traktować biografię jako zobiektywizowane sprawozdanie z życia. Wydaje się jednak, iż rozumienie empatyczne, jako specyficzny sposób poznawania świata, umożliwia spojrzenie na historię życia człowieka w jego intersubiektywnym wymiarze i w tej perspektywie możliwe jest przybliżanie tego, co nieuchwytnie w obiektywnym przedstawianiu historii losu człowieka.

Biografia jest jednym ze sposobów relacjonowania ludzkich losów. Oprócz niej w przestrzeni badawczej funkcjonuje także autobiografia i auto/biografia. Gdzie przebiegają różnice między poszczególnymi obszarami?

Wszystkie trzy ujęcia, a więc wspomniana już biografia oraz autobiografia i auto/biografia, zajmują się historią życia i losów jednostki. Każde z nich unaocznia jednak inne źródło ich powstania i zarazem sposób konstruowania. Biografia, jak już mówiłam, to opis życia, który otrzymujemy bezpośrednio lub pośrednio od interesujących nas osób. Podczas wywiadu czy analizy dokumentów odtworzony zostaje przekaz dotyczący życia jednostki. Jeśli natomiast narrator opowiada o swoim życiu, rekonstruując kolejne wydarzenia, mamy do czynienia z autobiografią. W przypadku relacjonowania losów swoich oraz interesujących nas osób splatamy ze sobą różnego rodzaju historie życia ludzi. Opowiadanie o losach ludzi nie odbywa się w próżni, osadzone jest zawsze w przestrzeni spo-

łecznej i naszej indywidualnej perspektywie. Auto/biografie są więc splecionymi ze sobą historiami, które opowiadają o ludzkich losach spojrzeniem ich autorów.

Czy osobista biografia badacza może w jakiś sposób wpływać na eksplorowany obszar? Czy przeszkodą przy podejmowaniu decyzji przez podmiot poznający o zainteresowaniu się konkretnym wycinkiem rzeczywistości mogą być np. jego zniekształcenia poznawcze oraz filtry, przez które zdarza się obserwować siebie i innych?

Indywidualna tożsamość podmiotu poznającego, skomponowana z jego umysłowości, cielesności i duchowości, jest naturalnym kalejdoskopem, przez który podmiot przygląda się światu. Rola badającego jest jedną z pełnionych w życiu ról, w którą wchodzi osoba o określonej tożsamości. Proces poznawania świata odbywa się więc poprzez kontakt z interesującym ją fenomenem, zjawiskiem czy obszarem. Często wiąże się to z nawiązywaniem określonych relacji z tym, co poznawane, skutkując przy okazji wymianą wiedzy, wartości czy doświadczeń. W tym kontekście wyartykułowanie tego, co osobiste, staje się szansą na przybliżenie pewnego rodzaju narzędzia poznawczego, z którego korzysta poznający. Można wówczas dostrzec, co w indywidualnej perspektywie poznającego otwiera się na świat, a co się przed nim zamyka, czyli inaczej mówiąc, można zidentyfikować elementy wiedzy i doświadczenia badającego, które mają potencjał edukacyjny lub reprodukcyjny w kontekście poznawanych fenomenów i zjawisk. Interesującą formą przekraczania ograniczeń podmiotu poznającego jest triangulacja osoby badacza. Połączenie indywidualnych perspektyw daje więc szansę wykraczania poza własny horyzont poznawczy.

Gdzie w tej sytuacji jest miejsce na dystans? Czy możliwe, a może niezbędne, jest uzyskanie go przy jednoczesnym zachowaniu świadomości siebie jako podmiotu prowadzącego działania badawcze?

Dystans jest postawą postulowaną w scjentystycznych podejściach uprawiania nauki i tym samym istotnym składnikiem obiektywizmu. Jego przeciwieństwo stanowi zaangażowanie i partycypacja realizowana w wybranych jakościowych podejściach badawczych. Warto się zastanowić, czy możliwe i zarazem potrzebne jest łączenie obu postaw wobec poznawanego świata? Czy można być zaangażowanym i jednocze-

śnie zdystansowanym badającym? Wiele zależy tu od podmiotu poznającego, jego poziomu świadomości siebie i umiejętności poznawczych, a przede wszystkim od tego, jaką rolę chce pełnić w procesie badawczym. Zaangażowanie daje bowiem możliwość podejmowania wielu aktywności, które wychodzą poza czynności poznawcze, przybliżając tym samym proces badawczy do działalności animacyjnych, edukacyjnych, artystycznych czy nawet aktywistycznych. Interesujące jest także, czy dystans obecny w postawie badającego daje mu możliwość zaistnienia w roli podmiotu poznającego. Bycie podmiotem wyraża się bowiem w wolności badającego do decydowania o swojej roli, a także w jego autonomii w procesie poznania. Istotne jest ponadto, by funkcjonować jako istota autentyczna, a to z kolei wydaje się trudne do uobecnienia przy jednoczesnym zachowaniu dystansu w procesie badawczym.



W życiu pojawiają się wydarzenia o szczególnym ładunku emocjonalnym. Do takich zaliczają się kryzysy, ale też np. macierzyństwo. Można powiedzieć, że są one katalizatorami rozpoczynającymi proces analizowania siebie w konkretnej sytuacji, a także innych, znajdujących się w podobnym położeniu. Czy umieszczenie własnych przeżyć w kontekście przeżyć drugiego człowieka lub grupy ludzi może dać poczucie specyficznej ulgi i znieść, przynajmniej na chwilę, poczucie osamotnienia, trwogi lub przerażenia, wynikających z zaistnienia zupełnie nowych warunków?

Sytuacje, wydarzenia znaczące, punkty zwrotne stanowią naturalne składniki życia ludzkiego. W czasie ich trwania, następowania po sobie osiągamy dojrzałość w różnych obszarach naszego życia. Korzystnie byłoby, moim zdaniem, przy tej okazji zastanowić się, czy pojawianie się pewnych zdarzeń na określonych etapach naszego życia można odizolować od pełnionych przez nas ról zawodowych, w tym np. od roli badającego? Czy możliwe jest zdystansowanie się wobec doświadczeń, które często przyczyniają się do zmian w światopoglądzie, wartościach, a nawet osobowości podmiotu poznającego? Jeśli traktujemy je jako naturalny składnik życia ludzkiego, warto zacząć się im przyglądać, by w ten sposób zwrócić uwagę na to, w jaki sposób rzutują one na nasz sposób widzenia świata. Siła oddziaływania wydarzeń zwrotnych może spowodować, iż w danym czasie zapełnią one przestrzeń aktywności życiowych i poznawczych jednostki. Być może wyzwolą też potrzebę i motywację do zgłębiania ich w różnych kontekstach. Wówczas z pomocą przychodzą osoby badane, które spotykamy podczas realizowanych projektów. To „spotkanie” przejawia się w wielu różnych wymiarach, poznawczym, społecznym, emocjonalnym, a nawet cielesnym. Dzielenie się i zarazem przybliżanie własnych doświadczeń życiowych daje możliwość wychodzenia poza własny horyzont poznawczy, będąc jednocześnie szansą na intersubiektywne poznanie interesujących fenomenów i zjawisk. W wymiarze osobistym tego typu spotkania mogą mieć także potencjał edukacyjny i wyzwalający, w rozumieniu przekraczania granic rozumienia siebie, a także rozmycia poczucia samotności w trudach doświadczania świata. Warto jednak zwrócić uwagę, iż nie każde doświadczenie życiowe ma rozwojowy charakter. I wówczas pojawiają się pytania, co w takiej sytuacji dzieje się z podmiotem poznającym? W jaki sposób negatywny potencjał doświadczeń życiowych człowieka oddziałuje na realizowany proces badawczy?

Jak w związku z tym opisałaby pani urzeczywistnianie owego procesu badawczego? Czy zdarza się, że podmiot eksplorujący poszukuje świadomie lub intuicyjnie w biografii obcych osób podobnych elementów, które pozwoliłyby mu włączyć w ten proces składniki własnych przeżyć, dzięki czemu otworzy się droga do zrozumienia siebie oraz innych?

Podmiotowość poznającego splata się ze sferami jego aktywności zawodowej i naukowej na wiele różnych sposobów. Dotyczy to zarówno wyboru obszarów poznawczych, jak również ich percepcji w perspektywie określonych paradygmatów i tradycji badawczych. Świadomy lub intuicyjny wybór obszarów badawczych, a także uczestników badań, może wyrażać chęć badającego, by przyjrzeć się własnym doświadczeniom życiowym. Zapośredniczone przeżycia mogą stać się w ten sposób pomostem między nim a osobami zaproszonymi do badań, co z kolei stanowi szansę na głębsze rozumienie siebie i innych. Czy jednak podmiot poznający potrzebuje badań po to, by wyrazić ekspresję własnych przeżyć i aby miały one dla niego wyzwalający charakter? Nie sądzę. Myślę, że takie spojrzenie znacznie ograniczałoby całe spektrum celów i ról, chociażby partycypacji z uczestnikami badań na rzecz określonych działań i war-

tości, którymi zainteresowany jest podmiot poznający, który realizuje badania. Warto przy okazji zastanowić się nad przeciwnym kierunkiem sugerowanego oddziaływania, co się miało stanie, jeśli prowadzone przez badającego poszukiwania spowodują, iż zacznie on żyć światem swoich badań? Co wówczas, gdy tożsamość badającego przesiąknie terenem badań, a zdobyte doświadczenia spowodują zmiany w biografii podmiotu poznającego?

Dobór tematyki badawczej wydaje się więc nieprzypadkowym zjawiskiem. Czy w związku z tym da się odczytać rys biograficzny eksploratora, na zasadzie „opowiedz mi o swoich badaniach, a powiem ci, kim jesteś”?

Każde badanie związane jest z jakimiś motywacjami, które spowodowały badającego do zainicjowania procesu eksploracyjnego. Nie wszystkie przyczyny zostają oficjalnie wyrażone w sformułowanych przesłankach badań. Można podać wiele przykładów ukazujących splatanie się życia osobistego twórcy z jego aktywnością profesjonalną. Takie przenikanie się jest naturalnym procesem człowieka, ukazującym ekspansję obszarów aktywności życiowych podmiotu poznającego. Jednak nie zawsze powody osobiste są decydującym czynnikiem w dokonywanych wyborach w sferze profesjonalnej badającego. W tej kwestii wiele zależy zarówno od jego światopoglądu, jak i od uprawianej dziedziny nauki.

A jak odbywa się wybór metody pracy? Co wpływa na decyzję o wykorzystaniu określonego sposobu prowadzenia badań?

Współczesne jakościowe podejścia badawcze otwierają przed podmiotem poznającym wiele możliwości. Wydaje się, że ich wybór w dużej mierze zależy od predyspozycji i kompetencji badającego, a także ról, jakie planuje pełnić na arenie badań. Zyskuje on autonomię projektowania podejść i narzędzi badawczych, które pomocne będą w przybliżaniu badanych (mikro) światów. Niemniej w całym procesie planowania trajektorii badań oraz instrumentarium badawczego ważnym elementem jest uwzględnianie specyfiki poznawanych zjawisk i środowisk. Podsumowując, istotny jest dobór takiej metody, która pozwoli wyrazić ekspresję opisywanej rzeczywistości w perspektywie predyspozycji badającego.

Autonarracja jest jedną z możliwości opowiadania o świecie wewnętrznych przeżyć. Jakie uczucia mogą jej towarzyszyć? Czy np. osoba o temperamencie wysoce introwertywnym będzie mogła wykorzystać taką metodę pracy, czy też powstrzyma ją w tym przypadku poczucie skrępowania, może wstydu, przed ujawnieniem własnych przeżyć? Czy ewentualną słabość metody autobiograficznej widzieć można w jej ograniczeniu ze względu na osobiste uwarunkowania badacza?

Istotny czynnik decydujący o wyborze paradygmatu, podejścia, metody czy też narzędzia badawczego stanowią, jak już mówiłam, predyspozycje podmiotu poznającego. Obejmują one jego światopogląd, wiedzę, kompetencje i umiejętności, a także zdobywane w trakcie życia doświadczenie. Mając na względzie te osobiste i zawodowe predyspozycje, podmiot poznający zyskuje autonomię, a także przestrzeń do bycia autentycznym w procesie badawczym. Jeśli o wyborze metody decyduje wyłącznie problematyka i środowisko badane, wówczas może się pojawić problem ograniczonej aktywności podmiotu poznającego. Zdarzyć się może bowiem, iż nie odnajdzie się on w nieadekwatnej wobec jego kompetencji procedurze badawczej. Szczególnie dotyczy to tych podejść, które angażują badaczy na wielu polach aktywności, jak to się dzieje chociażby w przypadku autobiografii czy badania w działaniu lub posługującego się

szukają. Pułapka nieadekwatnej metody może się przyczynić do wielu niepowodzeń w procesie poznawania i rozumienia świata społecznego.

W przestrzeni, w której odbywa się proces autonarracyjny badacza, ukazują się inni ludzie, często z najbliższego grona podmiotu badającego. Co zrobić z ewentualnie pojawiającymi wątpliwościami związanymi z pokazywaniem sfery prywatnej osób, które znalazły się w polu badawczej aktywności tylko dlatego, że stanowią naturalne otoczenie eksploratora? Co dzieje się w przypadku, jeśli ktoś z nich nie wyraża na to zgody? Czy badacz próbuje je chronić, a jeśli tak, to czy nie istnieje niebezpieczeństwo tworzenie niedopowiedzeń albo jakiegoś rodzaju dostosowywania sytuacji z uwagi na dobro innych?

Podejścia badawcze angażujące uczestników badań są niezwykle wrażliwe na kwestie etyczne i w szczególności sposób otwarte na obecność wartości w procesie rozumienia świata. Odślanianie sfery prywatnej badającego lub osób badanych wiąże się z nieustannym i w pewnym sensie niedokończonym procesem refleksji nad etyką tego procesu. Opowiadanie o własnym życiu zawsze łączy się z opowiadaniem o życiu znaczących Innych. A oni nie zawsze są świadomi swojej roli w naszej autobiografii. Zdarza się więc, iż zapisana w autobiografii lub biografii badanych historia ludzi ulega wielu przeobrażeniom w trakcie, a także po zakończonym procesie jej pisania. Myślę tu o znaczeniach, jakie nadają jej podmioty z perspektywy czasu trwania ich życia. W tym sensie odczytywanie minionych wydarzeń każdorazowo może wiązać się z nowymi emocjami, które temu towarzyszą. Nowe interpretacje poznawanych zjawisk, zapisane na kartach raportów z badań, wymykają się bowiem naturze i rozwojowi człowieka. Dane jakościowe, można powiedzieć, „pracują” zgodnie z trwaniem życia ludzkiego, które podmiot poznający stara się uchwycić.

Czy dający się rozpoznać rodzaj „spłeczenia” ja badacza z eksplorowanym przez niego obszarem niesie ze sobą jakiś rodzaj ryzyka, korzyści, czy może jest wypadkową obu tych elementów?

Wobec zasygnalizowanych powyżej dylematów natury etycznej trudno jednoznacznie ocenić efekty przeprowadzonych badań. O ile na poziomie poznawczym są one widoczne, mogą tym samym podlegać ocenie ze względu na określone kryteria. Trudno natomiast o takie rozstrzygnięcie na poziomie emocjonalnym czy społecznym i zawodowym, ponieważ badający zawsze funkcjonuje w określonych środowiskach. Myślę, że konsekwencje badań ulegają wielu przeobrażeniom w trakcie rozwoju osobistego i zawodowego podmiotu poznającego.

Czego może się nauczyć badacz jako naukowiec, a czego jako człowiek z analizy biografii własnej oraz innych?

W wymiarze osobistym podjęcie refleksji nad autobiografią i biografiami Innych stanowi szansę przyjrzenia się sobie, jest próbą zrozumienia własnej sytuacji, włącznie z nadawaniem nowych znaczeń wybranym doświadczeniom życiowym. W wymiarze profesjonalnym z kolei daje możliwość (roz)poznawania interesujących zjawisk i fenomenów w perspektywie uczestników badań – narratorów. Poznanie naukowe oferuje stosowne narzędzia w postaci paradygmatów, teorii, koncepcji, podejść, metod, dzięki którym możliwe jest intersubiektywne rozumienie interesujących nas (mikro)światów. Oba wymiary analizy i refleksji są wobec siebie komplementarne, tworząc indywidualną perspektywę, czy inaczej mówiąc, kalejdoskop podmiotu poznającego, przez który przygląda się on światu.

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Dla bibliotek są prognozy złe

Nie można uprawiać zawodu ani wykonywać profesjonalnej specjalności, jeżeli nikt do tego nie przygotowuje, nie wdraża ani nie kształci. W takiej sytuacji to już nie jest żaden zawód, lecz najwyżej amatorszczyzna.

Akademickie bibliotekarstwo w Polsce, które jak wszędzie jest podstawą uczelnianego kształcenia na poziomie wyższym oraz stanowi bazę do uprawiania nauki, zostało niedawno odesłane do kąta albo wręcz na śmietnik. Z decyzji i najprawdopodobniej również woli jednego człowieka rozpoczął się proces degrengolady oraz de facto stopniowej likwidacji bibliotek na polskich uczelniach. Dokonała się dramatyczna kastracja akademickich instytutów bibliotekoznawczych w następstwie wykreślenia bibliotekoznawstwa, nazywanego też bibliologią, z rejestru dyscyplin naukowych.

Wprawdzie decydent przestał tymczasem decydować o sprawach nauki i edukacji, ale co uległo popsuciu, naprawione nie zostało. Ani rozliczone. Bądź przynajmniej ujawnione, że takie psujstwo miało miejsce. I to – co trzeba powtórzyć – wyłącznie u nas. W Bułgarii, Albanii, Urugwaju, a nawet Burkina-Faso – nie. Co więcej, wydarzyło się to jeszcze przed nadejściem ogólnoniszczycielskiej pandemii. Która do tego, co już uległo popsuciu, dołożyła jeszcze kasacje swoje.

Kasacje

Poczynania kasacyjne zaczęły się w Polsce od likwidacji zawodowego kształcenia bibliotekarzy na poziomie pomaturalnym, które istniało, ale przeszkadzało komuś jak drzazga w tyłku, dokonano więc zabiegu **uwolnienia**. Od umiejętności. Uprawiało wtedy ten zawód blisko 100 tys. osób i ktoś akurat dopuszczony do decyzji uznał, że żadne umiejętności ani żadna wiedza nie są im potrzebne. W związku z tym po prostu skreślił takie kształcenie i już. Zresztą żadnych dostrzeganych protestów nie było. Z niczyjej inicjatywy i z niczyjej strony.

Później nastąpił dalszy ciąg dewastacji. Intencjonalnych – bo to, co spowodowała pandemia, to odrębna lawina złych przypadłości nadająca się do osobnego zreferowania. Mianowicie spośród czterestu instytutów uczelnianych, którym wpisano w profilu powinność kształcenia bibliotekoznawców, jako kierunek (więc już nie całości tych instytutów) bibliotekoznawstwo uchowało się na razie w czterech uniwersytetach. Ale na tym kasacji nie koniec.

W każdym razie rzuca się w oczy redukcja liczby ośrodków z tą specjalnością, degrengolada jakości kształcenia, a tym bardziej uprawiania tej gałęzi nauki, oraz pauperyzacja profesji. No i tym razem również obyło się bez protestów. Widocznie bibliotekarze zatrudnieni w bibliotekach mają się tak do bibliotekarstwa, a bibliotekoznawcy przypisani do bibliotekoznawczych instytutów – do bibliotekoznawstwa, jak osoby niesłyszące do kompozycji muzycznych.

Sytuacja wygląda tak oto. Bibliotekoznawstwo, nie wiadomo dlaczego i po co przemianowane na jakąś bibliologię oraz jeszcze pożenione z nauką o informacji, lecz jednak dotychczas wciąż uchowane w garniturze naukowej dyscypliny, w następstwie pseudoreformy nazwanej szumnie nauką 2.0, stało się (wyłącznie w Polsce) kierunkiem. Podobno studiów, ponieważ nauki to już chyba nie. To tak, jakby Wierzynek stał się nagle McDonaldem.

Tego też nikt nie oprotestował. Bibliotekoznawstwo bowiem, albo bibliologia, znalazło się pod dodatkowo tłumiącym (protesty) wpływem informatologii, biorącej na uczelniach górę za sprawą niedostatku osób o statusie naukowym, wiedzących jak wygląda biblioteka. Informacja takiego rozeznania nie wymaga, dlatego informatologów jest więcej. No więc w taki oto sposób przebiega u nas publicznie dogorywanie naukowej dyscypliny bibliotekoznawczej. Warto powtórzyć: wyłącznie tutaj.

Kolejny krok w tej destrukcji stanowiła „liberalizacja” zawodowej kategorii bibliotekarstwa dyplomowanego, które od kilku miesięcy w bibliotekach uczelni wyższych może sobie być, ale też wcale być nie musi. Dotychczas była to obligatoryjna grupa pracowników akademickich, ze specjalnym przysposobieniem bibliotekoznawczym, uprawnionych do pełnienia co ważniejszych funkcji w bibliotekach uczelnianych. Teraz takich obowiązkowych wymagań już nie ma. Do zatrudnień więc i do nominacji dochodzi tam pozakryterialnie.

Żeby zaś wszystko to nie wyglądało na przypadek, dopowie, że również w praktyce waloryzującego punktowania akademickich periodyków naukowych, pozostawiono z punktami raptem siedem bibliotekoznawczych czasopism, spośród 32, jakie istniały poprzednio. Czyli jak dobijać, to dobijać! Wszystkie zresztą z najmniejszą liczbą możliwych punktów – poza jednym charakterystycznym wyjątkiem. Mianowicie rocznik „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne” uzyskał liczbę punktów podwójną, wbrew opinii stosownej komisji merytorycznej oraz na przekór naprawdę niskiej wartości naukowej. To jest zatem potwierdzenie, że w tym wszystkim na pewno nie zadziałał żaden przypadek. Ktoś miał taki właśnie plan i dopilnował realizacji.

Przedsięwzięcia następne

Na razie dokonały się pierwsze kasacje wstępne. Coś jak inauguracyjne wystrzały startowe. Z tym jednak, że o konsekwencjach fundamentalnych: jak początkowe rozłupanie kręgosłupa. Przecież nie można uprawiać zawodu ani wykonywać profesjonalnej specjalności, jeżeli nikt do tego nie przygo-

towuje, nie wdraża ani nie kształci. W takiej sytuacji to już nie jest żaden zawód, lecz najwyżej amatorszczyzna.

Nie da się zrozumieć, czemu do czegoś takiego doszło właśnie teraz oraz właśnie i jedynie u nas. Jak również niełatwo pojąć, czemu to nikogo nie obeszło. Bo przecież jedynym możliwym efektem jest cywilizacyjny regres, barbaryzacja, akces wsteczny do grupy krajów, w których wiedza potoczna kształtuje się poniżej poziomu godziwego. I to już następuje. W razie wątpliwości wystarczy rzut oka i ucha na medialne turnieje oraz konkursy (nie)wiedzy. Stopień nieoczytania, jak też zakres abnegacji przekracza wszelkie wyobrażenia.

Z co smutniejszych „kwiatków”. Oto pani doktor (!) nie potrafiła przypisać Bolonii do żadnego kraju. A znowu dwufakultetowy pan od informatyki nie wyszedł zwycięsko z pytania o jakiegoś Mickiewicza. Przy takich seryjnych decyzjach w odniesieniu do edukacji, studiów i nauki absolwenci szkół wyższych mogą nie osiągnąć biegłości w pisaniu oraz w czytaniu. Rzecz w tym, że cała współczesna wiedza oraz pokaźna część obecnej kultury opierają się na piśmiennictwie. Inne komunikacje są tylko dopełniające. Skoro zaś polikwiduje się biblioteki, to obieg piśmiennictwa upadnie też. Tworzono je w ciągu wielu lat, natomiast gilotynizacja przebiegnie w tempie zawrotnym. I to będą przedsięwzięcia kolejne, które zdewastują podstawy istniejącej wiedzy potocznej.

To nie jest konkluzyjna wydmuszka. Oto mianowicie inicjatywne pomysły centralnego likwidatora bibliotek zaczynają być przejmowane i kontynuowane szerzej – mimo, że on sam już w tym zakresie niczego więcej nie psuje. Ale przykład oraz możliwość zauważono. A jednocześnie skutki pandemii rzeczywiście okazały się takie, że pieniędzy na cele publiczne zaczyna dramatycznie brakować. Poza tym zauważono, że z tytułu bibliotekopsujstwa nikt złych konsekwencji nie poniósł. No to...

To dopiero początki, a już mamy w tym zakresie rekord Europy. Oto rada gminy Limanowa (nie mylić z miastem Limanową: to inne obszary administracyjne), w uzgodnieniu z wójtem, postanowiła zlikwidować wszystkie tamtejsze biblioteki publiczne. Nie jedną, nie trzy albo cztery, lecz od razu wszystkie siedem. Naśladowcy na pewno się znajdą. No i protestów zapewne znowu nie będzie.

W ciszy

To już taka prawidłowość: biblioteki umierają bezgłośnie. Oraz pojedynczo, pomimo że licznie. Znikają z pejzażu biblioteki szkolne, publiczne, akademickie i pedagogiczne. I nikt w ich obronie nie występuje. Milczy około dziewięć milionów korzystających, nie mówiąc o kilku milionach użytkowników bibliotek szkolnych. A to nie są wielkości małe. Nie odzywa się też około 80 tysięcy samych bibliotekarzy (było kilka głosów), w końcu z uprawiania tego zawodu żyjących. No i nie zabiera głosu kilkanaście bibliotekarskich stowarzyszeń.

Za granicą bywa rozmaicie. Na ogół jednak jest tak, że standardy bibliotekarstwa pozostają w związku przyczynowo-skutkowym z poziomem cywilizacyjnym. Tymczasem

w Polsce nikt na to nie zwraca uwagi. Wbrew społecznemu interesowi oraz na przekór stosownej ustawie można tu zrobić z bibliotekami cokolwiek się chce. Czy na pewno bez cywilizacyjnego uszczerbku?

W resorcie nauki antybiblioteczne procedury uruchomiły się i zrealizowały łatwiej niż łatwo. A znowu resort kultury nie zareagował na to w żaden sposób. Czasami więc trudno zgadnąć, jaki jest sens istnienia urzędów centralnych.

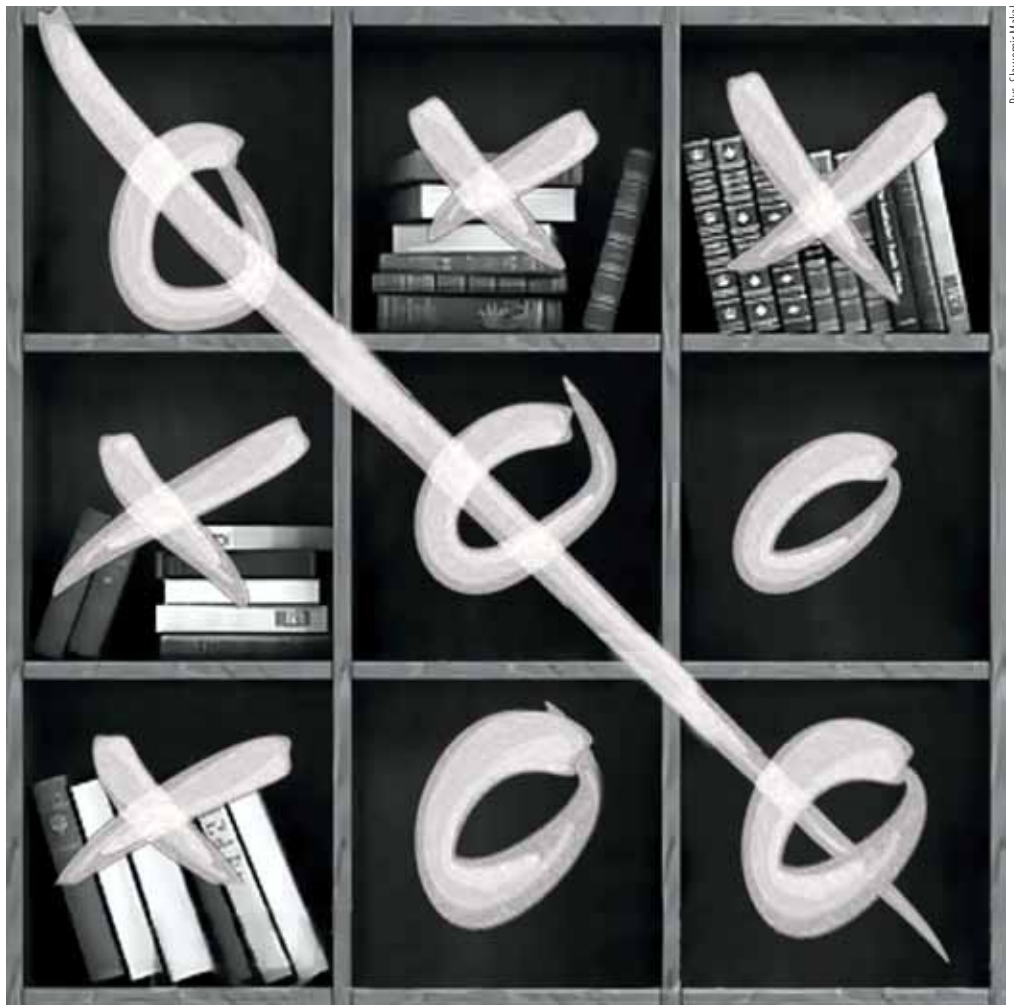
Jednak równie przykra jest bierność elity akademickiej. Likwidacja kadry bibliotekarzy dyplomowanych, bądź co bądź partnerskiej, kasacja bibliotekoznawstwa (bibliologii) jako dyscypliny naukowej oraz wycinanie kolejnych bibliotek instytutowych dokonuje się bez słowa protestu ze strony uczelnianych senatów albo rad wydziałów bądź instytutów. Było się razem przez dziesięciolecia, a niekiedy dłużej i z tej symbiozy coś pozytywnego wynikało. Ale kiedy jeden decydent, akurat z takimi możliwościami, przystąpił do poczynania kasacyjnych, nagle wszyscy zaczęli udawać, że nic się nie dzieje.

Być może w doraźnym wymiarze oraz w tymczasowej perspektywie tak to wygląda. Zwłaszcza kiedy dochodzi do tego postpandemiczny kontekst rozmaitych przypadłości dramatycznych. Jednak w dłuższej perspektywie dla pokoleń młodszych skutki wydają się dramatyczne.

No bo czy ktoś naprawdę uważa, że bez akademickiego bibliotekarstwa rzeczywiście da się uprawiać prawdziwą naukę oraz użytecznie kształcić studentów? A jeżeli tak, to dlaczego miałyby to w ten sposób wyglądać wyłącznie w Polsce?

Nakładki

Decyzje i rozwiązania zle często zapadają stadnie lub w niekorzystnych okolicznościach. Po prostu bywają takie wzajemne nakładki. I tym razem również było tak właśnie. Zrządzeniem losu bowiem w ślad za destrukcyjnymi wobec bibliotekarstwa postanowieniami pojawiły się jeszcze pandemiczne wymusze-



Fot. Sławomir Nakal

nia rozwiązań, zarówno praktycznych, jak i koncepcyjnych, odmieniające całą codzienność. A przede wszystkim w innym kierunku skierowały powszechną uwagę, jak też narzuciły inne hierarchie wartości. Nie można powiedzieć, żeby bezzasadnie. W sumie przez cały ten czas nie dało się myśleć pozamaseczkowo. A czy to już koniec, to się dopiero okaże.

Biblioteki, zresztą nie tylko uczelniane, tak jak inne ośrodki, pozamykano, i okazało się, że na krótką metę nauka jakoś sobie z tym radzi. Nikt nie powiedział, że produktywnie, ale też nikt temu nie zaprzeczył. W końcu chodziło głównie o to, żeby jakoś przetrwać niedługi relatywnie czas. Natomiast procesy studiowania w ogóle stanęły na głowie, nie tylko w bibliotecznym kontekście.

Paradoksalnie próby podtrzymania przez ten pandemiczny czas bibliotecznego oferty zdalnej, w trybie digitalnym, na pierwszy rzut oka i wtedy pozytywne oraz racjonalne, w późniejszym przeniesieniu do warunków już mniej więcej normalnych okazały się zdradliwe i nieefektywne. Przynajmniej w wariacie wyłączonego, autonomicznego. Podobnie zresztą jak cała próba edukacji zdalnej, która w takiej postaci, jak to miało miejsce, nie stanowi samodzielnego surogatu kształcenia. Sprawdza się (na razie?) wyłącznie jako dopełnienie.

Tymczasem jak na złość pojawiła się bez koniecznego przemyślenia prawdziwa nakładkowa lawina opinii bezkrytycznie akceptujących kształcenie i studia zdalne. Które przecież nie zostały wymyślone wczoraj, ale praktyka nie przyjęła ich z otwartymi ramionami. Więc niby teraz ma być inaczej?

Towarzyszy im zaś równie intensywna apologia zdalnego edukacyjnego zaplecza sieciowego. Co zatem charakterystyczne: już nie bibliotecznego. Tak nigdzie na świecie nie jest! Mimo że koronawirus dotarł przecież wszędzie. W rzeczywistości, na podstawie tego, co wiadomo teraz, formy zdalne mogą jedynie dopełniać oraz wspomagać naukę i życie naukowe, lecz nie zastępować.

A jednak opinia, żeby studia i naukę radykalnie wtłoczyć w mechanizm relacji zdalnych, z czasem wręcz wyłącznie na dystans, zdobywa coraz większy poklask. Wcale nie dla efektywności, bo tej nikt nie weryfikował ani nie porównywał, lecz głównie za sprawą prostoty, łatwości oraz radykalnie niższych kosztów. Złe skutki przyjdzie rozpoznać dopiero za jakiś czas, kiedy już mniej więcej wszystko zostanie popsute. W rezultacie zresztą przyczyn rozmaitych, ale głównie w następstwie niekompetentnych decyzji.

Owszem, jest teraz trudny czas wydobywania się z wielu zapaści, przede wszystkim postpandemicznych. Bibliotekarstwo to zatem, w ujęciu całościowym, działka poniekąd poboczna; przynajmniej w obecnym momencie. Na razie więc chodzi o to, żeby z procesów naprawczych oraz przywracania normalności nie zostało wyłączone. Nawet jeżeli nie wszystkie zarejestrowane szkody spowodowała epidemia.

Konkretnie: pożądane są odpowiednio ukierunkowane decyzje i przedsięwzięcia resortu nauki reperujące to, co resortowe pomysły w tym zakresie popsęły. Jak też bardzo potrzebne jest parcie w tym kierunku pracowników nauki jako zbiorowości. Bo to w końcu ich wspierające zaplecze.

Czas remontu

Wprawdzie porównywanie skutków pandemii do tego, co miało miejsce po ostatniej wojnie, to niewyobrażalne nadużycie oraz zawracanie głowy, ale dewastacje są jednak rozległe i jest co naprawiać. Nie wiadomo nawet, czy wszystko uda się zreperować ani kiedy, a w dodatku za co. W takich okolicznościach to, co przydarzyło się bibliotekarstwu, nie tylko akademickiemu, oraz bibliotekoznawstwu, nie musi wyglądać na przypadłość priorytetową. Ale jednak trzeba, żeby w ogólnym

postępowaniu remontowym nie zostało przeoczone. A takie niebezpieczeństwo istnieje.

Już bowiem wyraźnie widać, że w tym zakresie nie ma co liczyć na żądania publiczności i na interwencje bibliotecznymi użytkownikami, ponieważ wirówka oczekiwań potocznych jest różnorodna, niezwykle rozchwiana, przyporządkowana innym a zmiennym hierarchiom. Nie zadbają o biblioteki różnej maści władze akademickie, szkolne lub samorządowe. W codzienności potocznej priorytetów z takim ukierunkowaniem nie widać. Przydarzyły się bowiem akurat katastrofy różnorodne a liczne, na dodatek rozmaicie spowodowane. No więc następnie wcale nie musi być tak, żeby wszystko, co się w rezultacie popsęło, odżywało potem w całości i samorzutnie.

Logika podsuwa pomysł, że w bibliotekarstwie (przynajmniej) akademickim oraz w bibliotekoznawstwie należałoby liczyć na wspierające głosy kadr akademickich, a przede wszystkim na zrekonfigurowane poczynania resortu nauki, przez przyhamowanie zapędów likwidacyjnych wobec bibliotek na uczelniach oraz wzmocnienie ich funkcjonowania: w formule przede wszystkim usług bezpośrednich. Czyli na miejscu oraz na wynos, a jedynie dodatkowo – również zdalnie, online. Tymczasem taka hierarchia ulega załamaniu. To bardzo niedobrze.

Poza tym samo przez się naprasza się przywrócenie (decyzją resortu nauki) kategorii bibliotekarzy dyplomowanych jako obligatoryjnej kadry w całym bibliotekarstwie akademickim, w konkretnym zastosowaniu przynajmniej do uczelnianych bibliotek głównych. To przecież mają być kompetentni partnerzy pracowników nauki, a nie bezkwalifikacyjni amatorzy. Nie ma żadnego powodu, żeby nowe kierownictwo resortu nauki, nieobciążone przez odium decyzji poprzedników, nie mogło takiego rozwiązania restytuować jako obowiązkowego. W interesie nie tyle samego bibliotekarstwa akademickiego, ile przede wszystkim dla pożytku całej naszej nauki.

No i zachodzi potrzeba wykonawczo akurat zdecydowanie najtrudniejsza. Trzeba mianowicie odtworzyć, w ogóle od podstaw, kształcenie bibliotekarzy w Polsce. Trudno wszak zakładać, że będziemy w tym celu wysyłać kandydatów do Mongolii lub do Ekwadoru. Popsucie istniejącego i wcale wydolnego systemu zawodowej edukacji bibliotekarzy było wyczynem niewyobrażalnie bezsensownym. A jest oczywiste, że zawód oraz profesjonalna specjalność bez stosownego przysposobienia kadr nie ma prawa pożyć długo.

Na poziomie pomaturalnym, powiedzmy że licencjackim, potrzeba nam takich ośrodków w kraju około dziesięć – w już istniejących uniwersytetach oraz innych szkołach wyższych. Dla jasności: aktualnie nie ma ani jednego. Przy dobrej woli tych uczelni oraz ze wsparciem resortu nauki byłoby to możliwe do osiągnięcia. Ponadto nie zawadziłaby jeszcze pomoc resortu kultury (zajmuje się bibliotekarstwem publicznym) i resortu edukacji (nadzoruje bibliotekarstwo szkolne i pedagogiczne), ale przejawy tego zajmowania się i tego nadzoru są niedostrzeżalne, toteż raczej nie ma na co liczyć.

No i jeszcze konieczne jest takie sprofilowanie kształcenia, jak też promocja samego zawodu, żeby ktoś skusił się na ową edukację, a potem zechciał tę profesję uprawiać. Bo po takich przepychankach i perypetiach wcale to nie jest oczywiste.

Jednak w takim kraju jak Polska, potrzeba jeszcze pięć do siedmiu ośrodków akademickich kształcących bibliotekarzy (bibliotekoznawców) na poziomie magisterskim i doktorskim. Także zresztą na szczeblu ponaddoktorskim, a więc z przywróceniem rangi dyscypliny naukowej. Da się to zrobić? Musi się dać! I trzeba dopowiedzieć wyraźnie: to ma być **bibliotekoznawstwo**. Czyli nauka i wiedza o bibliotekarstwie, takie bowiem jest praktyczne zapotrzebowanie. Powymyślane

atrapy inne, rzekomo zastępcze, a więc jakieś bibliologie, informatologie, nie mają w tym zakresie przydatności żadnej. Przynależą do innych obszarów. Ewentualnie możliwe, że nauki.

Być może w ogólnej panoramie wydarzeń (było ich bowiem bardzo dużo) i połączonych złych następstw pandemii oraz chybionych decyzji, destrukcyjnych odniesień do bibliotekarstwa i do tego, w czym ono macza palce, chwilowo jeszcze w całości nie widać. Ale jednak naprawdę tak jest, że w następstwie zniszczenia podstaw bibliotekarskiego zawodu, więc profesjonalnej w tym zakresie edukacji, rozpoczął się bez rozgłosu odwrót od jednego z ważniejszych osiągnięć cywilizacji. W tle towarzy-

szy mu wszak postpandemiczne zawieszenie (?) funkcjonowania szeregu wydawnictw oraz zamknięcie licznych księgarni. Prognozy dla intelektualnego poziomu społeczeństwa w przyszłości są więc w związku z tym dalekie od optymizmu. Nie wiadomo dlaczego, ani z jakiego powodu, akurat u nas – dalsze niż gdziekolwiek indziej.

Rujnacja, chociaż postępuje, jest na razie w fazie wstępnej, zatem ewentualnie możliwa do powstrzymania. Przynajmniej dopóki efekty nie okażą się nieodwracalne. Ale wobec tego najwyższa pora, żeby wszyscy przestali udawać, że nic się nie dzieje.

Henryk Grabowski

Psychologia na co dzień

Psychologia jest nauką o motywach ludzkich zachowań. Gdyby motywy te były zawsze świadome, to psychologia nie miałaby racji bytu. Każdy mógłby po prostu siebie albo kogoś o nie zapytać. Niestety wiele motywów naszego postępowania jest poza zasięgiem naszej świadomości. Dlatego – ujmując ściślej – psychologia zajmuje się szukaniem odpowiedzi na pytania o nieświadomione motywy naszego postępowania.

Można zapytać, dlaczego jesteśmy skłonni wypierać ze świadomości rzeczywiste motywy naszych zachowań? Dlatego, że ich uświadomienie mogłoby destruktywnie wpływać na naszą samoocenę, powodując dyskomfort zwany w psychologii dysonansem poznawczym.

Gdy rzeczywiste motywy naszego postępowania nie powodują skutków negatywnych, można pozwolić im pozostawać

w nieświadomości, pamiętając, że permanentnie zaniżona samoocena może prowadzić do zaburzeń psychicznych powodujących większe szkody niż niewinna konfabulacja.

Nie wolno jednak zapominać, że mechanizm wyparcia dotyczy wszystkich ludzi. Nawet najwięksi zbrodniarze, jak Hitler, Stalin czy Pol Pot, wierzyli w godziwość motywów swojego postępowania. Dlatego wszędzie tam, gdzie istnieje podejrzenie, że jakiś aktywista społeczny, partyjny lub państwowy działa na szkodę społeczeństwa, niezależnie czy z nieświadomych czy świadomych motywów, należy je za pomocą wszelkich dostępnych narzędzi poznawczych identyfikować i piętnować. Jest to powinnością każdego przyzwoitego człowieka. Elementarna wiedza psychologiczna o mechanizmach rządzących ludzkim postępowaniem powinna być w tym pomocna.

Fot. Stefan Ciechan



Pandemia i umiędzynarodowienie

Epidemia koronawirusa spowodowała poważne zakłócenia na międzynarodowym rynku kształcenia wyższego. Najboleśniej skutki ograniczeń odczuły kraje, które miały największy udział w rynku studiów międzynarodowych.

Na czele takich krajów znajduje się Australia, gdzie w 2019 r. studiowało 720 tys. cudzoziemców. Edukacja jest tam trzecim towarem eksportowym, który ostatnio przyniósł temu państwu 37 mld dolarów australijskich – to aż 40% wartości eksportu usług. Organizacja Universities Australia ocenia, że w wyniku pandemii kraj utraci 21 tys. miejsc pracy w szkolnictwie wyższym i aż 14,5 mld dolarów amerykańskich przychodów.

W podobnej sytuacji jest Nowa Zelandia, gdzie szkolnictwo wyższe jest jednym z ważniejszych towarów eksportowych, a zagraniczni studenci wnieśli do gospodarki ponad 5 mld dolarów, wspierając 45 tys. miejsc pracy.

Najwięcej studentów międzynarodowych kształci się w Stanach Zjednoczonych – niemal 1,1 mln, z czego niemal połowa z Chin i Indii. 88% uczelni amerykańskich spodziewa się spadku liczby studentów zagranicznych, a 30% sądzi, że będzie on znaczny. Także w USA edukacja międzynarodowa jest ważnym działem gospodarki – stanowi 20% eksportu usług. Spodziewany spadek liczby studentów zagranicznych o 25% spowoduje utratę ok. 10 mld dolarów i 114 tys. miejsc pracy. Okazuje się, że część studentów z Azji, zwłaszcza z Chin, planuje przenieść się z USA do... Europy.

Rząd USA przeznaczył na pomoc szkołom wyższym rekordową kwotę 14 mld dolarów, którą organizacja American Council on Education uznała za wysoce nieodpowiednią, żądając podniesienia jej do poziomu 47 mld dolarów.

Także w Kanadzie dochody z opłat za studia od studentów międzynarodowych wyniosły w ub. roku 6 mld dolarów, a ich łączny wkład w PKB sięgnął 21 mld dolarów kanadyjskich.

Największymi europejskimi rynkami studiów międzynarodowych są Wielka Brytania, Niemcy i Francja. W Wielkiej Brytanii studiowało do niedawna ponad 485 tys. cudzoziemców. Przewiduje się, że w wyniku lockdownu spowodowanego epidemią kraj ten utraci ok. 6,9 mld funtów. W Niemczech kształciło się ponad 394 tys. obcokrajowców. Co ciekawe, skutki epidemii mogą być w sektorze szkolnictwa wyższego odczuwane relatywnie słabiej niż w innych krajach. Obecnie obserwuje się bowiem wzrost liczby cudzoziemców, którzy zapisują się na studia on-line. We Francji kształciło się prawie 360 tys. obcokrajowców. Po wybuchu epidemii wielu wróciło do swoich krajów. Zróżnicowanie struk-

tury narodowościowej studentów międzynarodowych w krajach europejskich powoduje, że spadek koniunktury odczuwają one słabiej niż wspomniane na początku kraje anglojęzyczne.

A jak jest w Polsce, gdzie niedawno kształciło się 85 tys. studentów międzynarodowych? Także na to pytanie znajdziemy próbę odpowiedzi w raporcie opracowanym przez Fundację Edukacyjną Perspektywy w ramach programu Study in Poland, realizowanego we współpracy z KRASP.

Na ankietę Perspektyw odpowiedziały 44 podmioty, w tym 42 uczelnie, Szkoła Nauk Społecznych przy IFiS PAN (którą wyróżniam z racji na jej unikalny charakter) i program miejski Study in Lublin. Wśród uczelni najwięcej było technicznych – aż 14. Ponadto 8 uniwersytetów klasycznych, 8 uczelni niepublicznych (wyłączając SNS PAN), w tym ALK, SWPS i 4 WSB, 3 AWF-y, 3 uczelnie ekonomiczne i tyleż rolniczych oraz 1 medyczna. Zabrakło w tym gronie kilku uczelni niepublicznych, które należą do liderów umiędzynarodowienia, oraz uniwersytetów medycznych, które należą pod tym względem do czołówki szkół publicznych. Przede wszystkim poza UW i UŁ zabrakło dużych uniwersytetów, jak np. UJ, UAM, UMK i UW.

Okazuje się, że polskie uczelnie utraciły część studentów międzynarodowych, ale znacznie mniej niż bym się spodziewał. Zapewne też wpływ zmniejszenia się ich liczby będzie bardziej znaczący dla poszczególnych uczelni niż dla całej gospodarki.

Jak się okazuje, wymuszone epidemią i związanymi z nią ograniczeniami powrotu do rodzinnych krajów wahają się w różnych uczelniach od 5 (25% uczelni wskazało taki odsetek, zwłaszcza z dużych ośrodków) do ponad 50% (w 13% ankietowanych uczelni). Jednak większość z nich nie zamierza przerwać kształcenia w Polsce i także ci, którzy teraz wrócili do domów, deklarują powrót po zniesieniu restrykcji. Jeśli idzie o mieszkanie w domach studenckich – 44% uczelni zadeklarowało, że powyżej 70% obcokrajowców w nich pozostało, w aż 20% uczelni ubytek wyniósł mniej niż 10%. Aż 51% uczelni stwierdziło, że nie uzyskała deklaracji o rezygnacji ze studiów, w 27% uczelni taką deklarację złożyło tylko 1-3% ogółu obcokrajowców. Tylko w 7% uczelni skala rezygnacji jest zauważalna (3-10%), a w 4% – średnia (15-25%).

Raport Perspektyw omawia jeszcze wiele innych wskaźników, przedstawia przygotowanie uczelni do prowadzenia zajęć zdalnych w języku angielskim oraz daje rekomendację dla uczelni na przyszłość. Mimo niedużej reprezentatywności, warto się z nim zapoznać, bo to bodaj jedyne tego rodzaju opracowanie polskie szerzej dostępne.

Anna Sajdak-Burska

Edukacja dla przyszłości

Konieczność profesjonalizacji roli nauczyciela akademickiego

W Polsce nie ma prawnego obowiązku zdobycia certyfikowanych uprawnień, które pozwalałyby na pracę dydaktyczną ze studentami i nie jestem przekonana, czy taki obowiązek powinien istnieć. Uważam jednak, że konieczne jest wejście na ścieżkę profesjonalizmu nie tylko badawczego, naukowego, potwierzonego stopniami czy tytułem naukowym, lecz także profesjonalizmu dydaktycznego.

W kultowym filmie *Pół żartem pół serio* z roku 1959, w reżyserii Billy'ego Wildera z Marylin Monroe, Tonym Curtisem oraz Jackiem Lemmonem w rolach głównych, pada słynne zdanie: „Well, nobody's perfect”. Tak, nikt nie jest doskonały. A jeśli już się zdarzy, że jest doskonały doskonałością naukową, to wcale nie znaczy, że znakomicie radzi sobie także w sytuacjach związanych z kształceniem studentów. Jedność nauki i kształcenia wcale nie oznacza symetryczności naszych kompetencji w tym obszarze i prostego transferu w obu kierunkach. Nobody is born teacher – nikt nie rodzi się nauczycielem, tak jak nikt nie rodzi się lekarzem czy adwokatem – taką tezę rozpoczął swój wykład, otwierając III Konferencję *Ars Docendi*, prof. Philippe Emplit z Wolnego Uniwersytetu w Brukseli. Cykl organizowanych od wielu lat w Uniwersytecie Jagiellońskim spotkań naukowych, poświęconych problematyce wspierania rozwoju kompetencji dydaktycznych kadry akademickiej oraz doktorantów, na których gościmy przedstawicieli z wielu stron świata, pozwala przyglądać się kierunkowi zmian w tym obszarze. Bo zmiana zachodzi i roztacza coraz większe kręgi. Wiele uczelni i uniwersytetów podejmuje wielotorowe działania zmierzające do uruchomienia i rozbudzenia w ludziach odpowiedzialnych za kształcenie i prowadzących zajęcia dydaktyczne potrzeby ciągłego rozwoju i podnoszenia własnych kwalifikacji. Bo czy każdy z nas, członków społeczności akademickiej, rodzi się nauczycielem? Czy każdy ma wrodzone predyspozycje, pasję, umiejętność zarażania innych, charyzmę zdolną przyciągać uwagę, łatwość wchodzenia w relacje międzyludzkie, talenty przywódcze, umiejętność prowadzenia grupy i radzenia sobie z dynamiką jej rozwoju? Czy każdy skutecznie refleksję nad własnym działaniem dydaktycznym, która chroni go przed wejściem w utarte koleiny schematów zajęć i prowadzenia ich w ten sam sposób od lat? Czy rzeczywiście fakt, iż sami kiedyś byliśmy studentami i dlatego znamy rzeczywistość kształcenia, jest wystarczającą legitymacją do tego, by wejść w rolę nauczyciela? Czy istotnie przekazywane przez środowisko naukowe wzorce dydaktycznego postępowania mają uniwersalną moc, gwarantującą sukces bez względu na gwałtownie zmieniający się świat?

W naszej katedrze zawsze tak było

Tradycyjna wizja uniwersyteckiego kształcenia, w której wciąż jednak mimo wszystko tkwimy, zakłada, iż kompetencje dydaktyczne kadry akademickiej wyznaczają: dorobek naukowy z danej dziedziny, znajomość metodologii badań oraz niemierzalna, pewna doza talentu pedagogicznego. Niemal sto lat temu znany filozof i pedagog Sergiusz Hessen pisał, że uniwersytet nie jest zakładem nauczania, żadną szkołą wyższego szczebla, lecz wyższą szkołą naukową, w której nauczyciel akademicki nie naucza przedmiotu, lecz publicznie wypowiada swoje poglądy naukowe oraz prowadzi poprzez badania nigdy niekończące się nauczanie. Dlatego też nauczyciel jest tym lepszy, im wyższy stopień naukowy czy tytuł posiada. Poglądy takie są podzielane przez niektóre środowiska do dnia dzisiejszego. Jednakowoż w ciągu stu lat uniwersytet mocno się zmienił, zmieniła się nasza wiedza o procesie uczenia się, radykalnie zmienili się także studenci. W tradycyjnym myśleniu o uniwersytecie przygotowanie do prowadzenia zajęć ze studentami, jakie nauczyciel nabywa z wiekiem i stażem, jest wynikiem procesów socjalizacyjnych, oznaczających pewnego rodzaju wrośnięcie w kulturę kształcenia danej uczelni. Nie zawsze jednak jest ono korzystne. Często w rozmowach z doktorantami słyszę: „ale u nas to się robi tak...”, „ale w naszej katedrze zawsze tak było...”. Bez wątplenia niekiedy wzorce te wspierają młodego człowieka, ale najczęściej są inhibitorem jego rozwoju. Jeśli zatem uniwersytet ma się zmienić i unowocześnić, musimy podjąć działania w kierunku zmiany myślenia o przygotowaniu kadry do prowadzenia zajęć dydaktycznych.

Wraz z przemianami współczesnego uniwersytetu w wielu krajach Europy Zachodniej i Północnej (np. w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Holandii, krajach skandynawskich), w USA, Izraelu oraz Australii dostrzeżono potrzebę „profesjonalizacji” roli nauczyciela akademickiego. Wprowadzono różnorodne programy profesjonalnego rozwoju kadry akademickiej ukierunkowane na podniesienie jakości kształcenia poprzez podniesienie kompetencji dydaktycznych nauczycieli. Kształcenie kadry powierzono wyspecjalizowanym jednostkom. W ten sposób powstały akademickie centra typu Center for Teaching Excel-

lence, Teaching and Learning Unit, Staff Development Center, HochschulDidaktik Zentrum, których działalność opiera się na interdyscyplinarnych zespołach. Kształcenie w nich zwykle ma charakter modułowy, który odzwierciedla potrzebę stopniowego, ustrukturyzowanego wchodzenia w głąb poszczególnych obszarów kompetencji dydaktycznych nauczyciela akademickiego. Badania wykazują, iż największą skuteczność mają działania długofalowe, dlatego też typowa struktura szkoleń zakłada około 200 godzin dydaktycznych ułożonych w następujących po sobie, rozłożonych w latach modułach. Taka struktura umożliwi nadanie szkoleniom bardziej indywidualnego, dostosowanego do konkretnych potrzeb profilu. Warto z tych wypracowanych wzorów korzystać, zwłaszcza teraz, kiedy nasze uczelnie walczą o wejście do wyższej ligi. Postulaty umiędzynarodowienia badań i kształcenia wymagają zadbania nie tylko o działania mające na celu jak najszerze włączenie polskich badaczy w międzynarodowy obieg nauki, lecz także zbudowanie oferty kształcenia zdolnej przyciągnąć do nas najlepszych studentów z całego świata.

Jak wspierać nauczycieli akademickich

Żaden, nawet najbardziej ambitny program podniesienia jakości kształcenia do rangi międzynarodowej, pożytkujący osiągnięcia nowoczesnej dydaktyki akademickiej, nie powiedzie się, jeśli nie zadamy o systemowe wsparcie kadry akademickiej. Wsparcia potrzebują pracownik badawczo-dydaktyczny, wchodzący w zawód, pracownik z dłuższym stażem odczuwający pewne trudności, jak i pracownik, który będąc liderem nauko-

wym czy dydaktycznym, poszukuje inspiracji do wdrażania innowacji w pracy ze studentami. Jeśli chcemy zbudować edukację dla przyszłości, musimy zadbać o zmianę myślenia o procesie kształcenia studentów i doktorantów. Implementacja innowacyjnych metod i technik promowanych w podejściu Student Centred Learning, umożliwiających pracę z osobami wybitnie uzdolnionymi, zaangażowanie studentów w prowadzenie badań naukowych oraz podejmowanie przez nich ważnych projektów społecznych wymaga od kadry akademickiej profesjonalnego przygotowania. W jakich obszarach można wspierać nauczycieli akademickich na drodze ku profesjonalizacji? Można wskazywać ich wiele i przykłady europejskich programów profesjonalizacji pokazują, że oferta ta zawsze powinna być zróżnicowana i elastyczna. W tym miejscu jednak chcę zwrócić uwagę jedynie na trzy kwestie.

Pierwszym, podstawowym horyzontem wsparcia powinien być, moim zdaniem, obszar związany z nowoczesną dydaktyką akademicką ogólną, oznaczającą pewną wspólną bazę dla wszystkich obszarów kształcenia, niezależnie od ich specyfiki i charakterystycznych tylko dla nich metod czy form kształcenia. I nie chodzi tu tylko o wiedzę o klasycznych elementach procesu kształcenia jak np. efekty kształcenia, metody dydaktyczne, metody aktywizujące czy też ewaluacja efektów kształcenia. Chodzi przede wszystkim o przebudowę myślenia o procesie kształcenia, zasadniczą przebudowę myślenia o studencie i jego studiowaniu. Nowoczesna dydaktyka akademicka, także w rozumieniu dyscyplinarnym, rozwija się w ostatniej dekadzie



Fot. Stefan Ciechan

bardzo dynamicznie. Z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że na tym polu nie mamy się czego wstydzić, wręcz przeciwnie, w wielu obszarach radzimy sobie dużo lepiej, niż sami jesteśmy skłonni to przyznać. Wciąż jednak aktualnym zadaniem pozostaje upowszechnienie podejścia opisywanego jako Student-Centred Learning, które tworzy przestrzeń do implementacji nowoczesnych strategii edukacyjnych: np. research-based learning, research-led learning, problem-based learning, team-based learning, task-based learning czy action-research-based learning. Nowoczesne modele dydaktyczne podkreślają aktywność studenta, jego autonomię myślenia, samodzielność w rozwiązywaniu problemów, myślenie krytyczne, umiejętność społecznego konstruowania znaczeń oraz rozwój kompetencji tzw. miękkich, społecznych, interpersonalnych. Każdy z tych modeli, nowoczesnych formatów uniwersyteckiego kształcenia, może i powinien wykorzystywać nowoczesne technologie komunikacyjne i informacyjne, które poszerzając środowisko aktywnego uczenia się studenta, będą stanowić ważny element samodzielnego uczenia się studenta i jego współdziałania z grupą.

Prawdziwy poligon doświadczeń

Drugim ważnym obszarem profesjonalizacji roli nauczyciela akademickiego są zatem kompetencje związane z wykorzystywaniem nowoczesnych narzędzi edukacji zdalnej. Świat współczesny potrafi zaskakiwać nas nieoczekiwanymi zdarzeniami, które zmuszają do przedefiniowania wszystkiego, co o nim wiemy i co do tej pory wydawało nam się niezmiennie. Wydarzenia ostatnich miesięcy zagrożenia epidemicznego kraju i świata spowodowały także i to, że kształcenie uniwersyteckie, które od wieków związane było przede wszystkim z kształceniem w murach uczelni, musiało przekroczyć swego rodzaju Rubikon. Musieliśmy wszyscy zawiesić myślenie o bezpośrednich kontaktach ze studentami i przejść na edukację zdalną, zapośredniczoną przez nowoczesne technologie. Doświadczenia te pokazują, że wiele jako wspólnota akademicka potrafimy, ale też wiele jeszcze musimy się nauczyć, wiele zbudować. Jeśli miałabym wskazać jakiegokolwiek dobro płynące z czasu pandemii, to z pewnością byłoby to masowe, choć wymuszone, wejście w edukację zdalną. Nawet oporni na nowe technologie musieli zacząć z nich korzystać. Fakt ten pociągnął za sobą wiele godzin szkoleń i spory przyrost umiejętności nauczycieli akademickich w tym zakresie. Jednak trzeba pamiętać, że poznanie możliwości funkcjonalności tej czy innej platformy, aplikacji czy komunikatora to dopiero pierwszy krok. Musimy się jeszcze nauczyć tego, w jaki sposób z narzędzi tych korzystać, by kształcenie nie było transmisyjne, nie opierało się na nagrywaniu wykładów, przekazywaniu gotowych materiałów i testowym rozliczaniu studenta z poziomu przyswojenia zadanej wiedzy, ale by było aktywne, oparte na webinarach, pracy grupowej, wspierało samodzielne, krytyczne myślenie, głębiej wchodziło w naturalne środowisko wirtualnego funkcjonowania młodych ludzi. Rozwijanie nowoczesnych form akademickiego kształcenia wykorzystujących technologie informacyjne i komunikacyjne jest teraz nie tylko pożądane, ale i konieczne. Wydarzenia ostatnich miesięcy stały się prawdziwym poligonem doświadczeń w tym obszarze, ale rozwój świata pokazuje, że nie ma odwrotu i nic już nie będzie dokładnie takie, jak przedtem. I w tym obszarze powinniśmy być profesjonalistami.

Aby wejść w rolę tutora

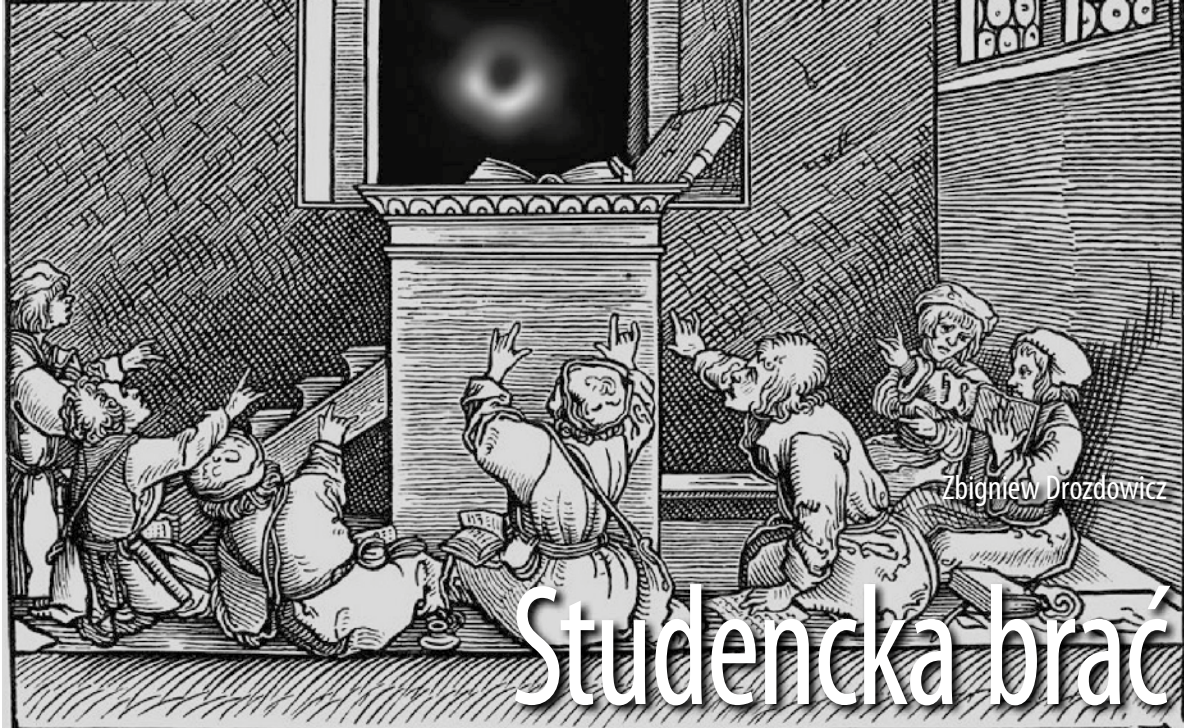
Trzeci obszar profesjonalizacji jest zarazem oczywisty i nieoczywisty. Oczywisty, ponieważ relacja mistrz – uczeń jest mocno zakorzeniona w tradycji uniwersyteckiej. Nieoczywisty, gdyż relacja ta wcale nie gwarantuje, że uda nam się roz-

winąć potencjał naszych studentów, wyłuskać talenty naukowe już na wczesnych etapach studiowania i stworzyć im warunki ku temu, by stali się młodymi badaczami, aktywnymi uczestnikami świata nauki. Częste przywoływanie relacji mistrz – uczeń jest tylko swoistym lejtmotywyem, słowem kluczem, wytrychem, które w istocie niewiele oznacza. Utalentowana młodzież akademicka, by móc odnosić sukcesy na polu naukowym, wymaga wsparcia już od momentu wejścia w mury uczelni i otoczenia indywidualną opieką. Drogą do tego wiodącą mogą być wszelkie formaty edukacji spersonalizowanej, oparte na modelach pracy z doradcą, których zadaniem jest wspieranie indywidualnych zainteresowań i uzdolnień badawczych studentów poprzez umożliwienie im wypracowania własnej ścieżki naukowego rozwoju. Do najpopularniejszych form należy tutoring i mentoring akademicki.

Tutoring akademicki jest tą szczególną formą spersonalizowanego kształcenia, która umożliwia rozpoznanie talentów na wczesnym etapie studiów. Bycie tutorem akademickim wymaga specyficznych kompetencji dydaktycznych i psychologicznych. Praca ta bowiem polega na wspieraniu studenta w procesie rozpoznawania przez niego swoich potrzeb, możliwości i ograniczeń, ułatwianiu procesu projektowania ścieżki rozwojowej, wyznaczaniu celów i zadań, pomocy w identyfikacji utrudnień i przeszkód, wspieraniu motywacji i facylitacji procesu uczenia się. Nie ma jednego wzorca pracy tutorskiej. Odmienne uwarunkowania historyczne oraz ekonomiczne powodują, iż nie można wprost implementować w Polsce modelu tutoring u z Oxfordu czy też z Cambridge. Wiele jednak dzieje się w tym obszarze. Poznaniu różnicowanych modeli tutoring u funkcjonalnych w renomowanych uniwersytetach Europy oraz podniesieniu kompetencji kadry akademickiej w zakresie wykorzystywania nowoczesnych metod i narzędzi kształcenia opartych na tutoring u ma służyć realizowany ministerialny program Mistrzowie Dydaktyki. Nie sposób także pominąć szeregu projektów na poszczególnych uczelniach, które z powodzeniem zaimplementowały programy tutorskie, jak chociażby Projekt IQ w Uniwersytecie Gdańskim, a to tylko jeden z przykładów. Każda taka inicjatywa wiąże się z profesjonalnym przygotowaniem kadry akademickiej do wejścia w rolę tutora i wyposażeniem go w narzędzia pracy tutorskiej. Podniesienie kompetencji kadry akademickiej w tym obszarze może odbywać się przez wizyty studyjne oraz warsztaty, szkolenia z zakresu tutoring u akademickiego, przywództwa w edukacji oraz empowermentu. Tu także trzeba być profesjonalistą.

W Polsce nie ma prawnego obowiązku zdobycia certyfikowanych uprawnień, które pozwalałyby na pracę dydaktyczną ze studentami i nie jestem przekonana, czy taki obowiązek powinien istnieć. Uważam jednak, że konieczne jest wejście na ścieżkę profesjonalizmu nie tylko badawczego, naukowego, potwierdzonego stopniami czy tytułem naukowym, ale także profesjonalizmu dydaktycznego. Działania wspierające rozwój kompetencji dydaktycznych w uczelniach w Polsce realizowane są głównie w ramach kilkuletnich projektów związanych z wprowadzaniem KRK, PRK, finansowanych głównie z Europejskiego Funduszu Społecznego, Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój (POWER). Doceniając ich rolę, uważam jednak, że nie możemy ciągle liczyć na doraźne akcje czy pojawiające się projekty. Pora na podjęcie konkretnych działań w kierunku systemowej profesjonalizacji roli nauczyciela akademickiego.

Dr hab. Anna Sajdak-Burska, prof. UJ, kierownik programu doktorskiego Szkoły Doktorskiej Nauk Społecznych UJ w dyscyplinie pedagogika, kierownik Zakładu Pedagogiki Szkolnej i Dydaktyki Akademickiej w Instytucie Pedagogiki na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie



Studencka brać

Rys. Sławomir Makal

W trakcie wykładu student cały czas przeglądał gazetę i nagle stwierdził: „Pani profesor gadu gadu, a tam Pershinga ubili!”.

Do wypowiedzi na temat studenckiej braci skłoniła mnie m.in. postawa jej przedstawicieli w wyborach na mojej uczelni. Kilka słów na ten temat powiem w ostatniej części rozważań. Jej funkcjonowanie chciałbym bowiem przedstawić szerzej. Jeśli miałbym już na wstępie sformułować jakąś generalizację, to powiedziałbym, że każdy wiek w naszym życiu daje okazję do zdobywania doświadczeń i intelektualnego dojrzewania, jednak poważne błędy popełnione w okresie młodości mogą się później okazać trudne do naprawienia.

Nieco historii

Wprawdzie pamięć o funkcjonowaniu studentów na uczelniach nie jest tak kulturowana i eksponowana jak pamięć o ich znaczących profesorach, jednak nie jest tak, że w uczelnianych murach czy kronikach nie można znaleźć żadnych świadectw ich życia. Spotykałem się zresztą z nimi niejednokrotnie podczas pobytów na uniwersytetach, w tym najstarszym z nich Uniwersytecie Bolońskim; jedna z rycin zawieszonych na ścianie jego średniowiecznej części przedstawia odjeżdżającego na koniu studenta i panienkę machającą mu z okienka chusteczką na pożegnanie (resztę można sobie dopowiedzieć). Pewne wzmianki na temat życia studenckiego pojawiają się również w książce Jacquesa Le Goffa pt. *Inteligencja w wiekach średnich*. Jej autor przypomina w niej m.in., że na uniwersytecie paryskim funkcjonowała „osobliwa grupa społeczna” nazywana goliardami: „Niektórzy powtarzają potępiające ich wyroki soborów i synodów, oraz opinie pierwszych pisarzy duchownych XII i XIII wieku. Traktują tych wędrownych klerków, czyli goliardów, jak włóczędzów, rozpustników, żonglerów, błaznów. (...) Ci ubodzy studenci, których nie przywiązywał do miejsca ani dom, ani prebenda czy beneficjum, puszczają się więc na przygodę intelektualną, wędrują za profesorem, który im się spodobał, wędrują z miasta do miasta, zbierając tam naukę. (...) Przyczyniają się do nadania tej epoce charakteru awanturniczego, impulsywnego, buntowniczego”. O awanturnictwie średniowiecznych studentów wspomina również George M. Trevelyan w swojej *Historii społecznej Anglii* – bywali oni „zadziornymi obrońcami uniwersyteckich »swobód«, »gnieździł się gęsto w brudnych domach oksfordzkich”, jednak „gdy okoliczności wzywały, wygwizdując urzędników królewskich albo uzbro-

jeni w pałki i sztylety, uderzali na motłoch popierający burmistrza przeciw rektorowi. (...) W roku 1355 mieszczanie urządzili prawdziwą rzeź kleryków i studentów; niedobitki uciekły w panice z Oksfordu, a uniwersytet pozostał zamknięty aż do czasu interwencji królewskiej, która zapewniła ochronę uczonym i uczącym się oraz ich pomściła”.

Takie studenckie wystąpienia powtarzały się w późniejszym okresie wielokrotnie. W minionym stuleciu wpłynęły one w jednym przypadku nie tylko na zmiany w akademickim życiu, lecz także w polityce władz. Należą do nich m.in. wystąpienia studentów w różnych krajach w 1968 roku. Początek dały im wydarzenia w Czechosłowacji, które przeszły do historii pod nazwą „praskiej wiosny”. Niewiele później pojawił się zapoczątkowany manifestacją studentów Uniwersytetu Warszawskiego polski Marzec '68 – jego sztandarowe hasła (takie jak „Niepodległość bez cenzury” czy „Chcemy kultury bez cenzury”) daleko wykraczały poza mury uczelni. Między majem i lipcem 1968 miały miejsce na wielką skalę protesty studentów we Francji; doprowadziły nie tylko do radykalnej reformy szkolnictwa wyższego w tym kraju, lecz także do pozbawienia władzy partii gaulistowskiej. Pojawiły się one również w innych częściach świata – tytułem przykładu przypomnę tylko wystąpienia studenckie przeciw wojnie w Wietnamie (z takimi dramatycznymi momentami jak masakra na amerykańskim uniwersytecie w Kent 4 maja 1970 roku), wystąpienia południowokoreańskich studentów w maju 1980 roku (nazwane „masakrą w Gwangju”) czy protesty studentów uczelni pekińskich między 15 kwietnia i 4 czerwca 1989 roku na Placu Tian'anmen (zakończone masakrą ich uczestników). Każde z tych wystąpień przebiegało w odmiennych realiach społecznych. Łączył je jednak duch buntu wobec poczynań władz politycznych i administracyjnych ich krajów.

Studenci czasów PRL-u

Nie chciałbym tutaj szerzej wypowiadać się na temat wydarzeń marcowych z 1968 roku, nie tylko dlatego, że były one już wielokrotnie analizowane i oceniane, ale przede wszystkim dlatego, że w tamtym czasie przygotowywałem się do matury i studentem zostałem kilka miesięcy potem. Chciałbym natomiast powiedzieć parę zdań o studentach, których pamiętam z okresu studiów na Uniwersytecie Poznańskim. Nie były to wprawdzie

czasy masowego kształcenia, jak to ma miejsce obecnie (aby dostać się na studia, trzeba było na egzaminie wstępnym pokonać kilku, a czasami nawet kilkunastu innych konkurentów), jednak ci, którzy wychodzili z tych zmagania zwycięsko, reprezentowali mocno zróżnicowaną społeczność. Rzecz jasna byli w niej tacy, którzy za życiowy sukces uznawali samo dostanie się na studia, a studiowanie nie powinno przeszkadzać w świętowaniu tego osiągnięcia. Tacy z reguły dosyć szybko (czasami już po pierwszym semestrze) kończyli przygodę z uczelnią. Podobnie rzecz się miała z koleżankami, które myślały nie tyle o studiowaniu, ile o znalezieniu kandydata na męża (potencjalnych kandydatów było oczywiście wielu, jednak dużo mniej gotowych na małżeńskie związki). Na drugim biegunie sytuowali się ci, którzy obiecali sobie i swoim najbliższym, że zrobią wszystko co możliwe, aby z sukcesem ukończyć studia – rzecz jasna najlepiej z wyróżnieniem. Do tego niestety nie wystarczyło i nie wystarczy zakuwanie na tzw. blachę. Miałem na roku kolegę, który ponoć „zakuwał” nawet encyklopedyczne hasła, a gdy ktoś mu wykazał, że czegoś jeszcze nie wiedział, był autentycznie nieszcześliwy.

Między skrajnymi przypadkami sytuowała się zdecydowana większość studentów, którzy trochę studiowali, trochę się rozglądali za jakimś okazjonalnym i bezproblemowym związkiem partnerskim, natomiast największą część czasu poświęcali na korzystanie z uroków studenckiego życia, takich np. jak imprezowanie w akademikach lub w studenckich klubach. Większości tej z reguły nie przelewało się finansowo. W tamtych latach zresztą mało kto w Polsce żył dostatnio, a studencka bieda nikogo raczej nie dziwiła i nawet niespecjalnie martwiła samych zainteresowanych. W końcu jakoś można było przeżyć, jeśli nie ze skromnego stypendium czy rodzinnych „dotacji”, to z możliwości, które dawały studenckie stołówki. Rzecz jasna bony żywieniowe trzeba było wykupić i nie wszystkich było na nie stać (mimo że cena nie była wygórowana). Na koniec czasu obiadowego pozostawało jednak z reguły coś w stołówkowym kotle i mogli z tego skorzystać ci, których na mojej uczelni nazywano „wiosłarzami” (od „wiosłowania” łyżką w talerzu bezpłatnej zupy). O tym, że studentom tamtych czasów nie wiodło się jednak najgorzej, może świadczyć chociażby fakt, że niektórzy z nich przedłużali akademickie życie do granic możliwości (pamiętam takich, którzy w nim „tkwili” siedem, osiem lat).

Była również grupa studentów, którzy stosunkowo wcześniej zaczęli myśleć o karierze zawodowej i przygotowywać się do niej poprzez zdobywanie zawodowych kwalifikacji, poważne traktowanie studiów albo ustawianie się pod promotora, który mógłby otworzyć „furtkę” do kariery uczelnianej i pozauczelnianej, w tym politycznej. Te ostatnie możliwości dawało m.in. angażowanie się w działalność organizacji studenckich, na które ówczesne władze uczelniane i polityczne spoglądały „łaskawym okiem” (jedną z nich był Związek Młodzieży Socjalistycznej). Niektórym z moich rówieśników udało się nawet w ten sposób zrobić spore kariery. Rzecz jasna do czasu, gdy na „świecznicach” znajdowali się ich promotorzy. Już w okresie tzw. pierwszej Solidarności niektórzy z nich boleśnie odczuli dokonującą się w Polsce zmiany, a rok 1989 dla wielu oznaczał prawdziwą katastrofę zawodową, czasami również życiową.

Dzisiejsi studenci

Z perspektywy lat spędzonych w uczelnianych murach (najpierw jako student, a później nauczyciel akademicki) nabrałem większego dystansu do wzlotów i upadków studenckiego życia. Niektóre mnie dziwiły, a inne śmieszyły. W tym punkcie rozważań nie chciałbym jednak dołączać do grona znajdujących się w tzw. słusznym wieku rówieśników, którzy na hasło „dzisiejsza młodzież” jedynie z rezygnacją machają ręką lub na koleżeńskich spotkaniach z uporem powtarzają, że kiedyś było

lepiej. Zgadzam się, że pod niejednym względem było inaczej niż dzisiaj. Nie tylko dlatego, że byliśmy wówczas młodzi, ale także dlatego, że głos studentów w dużo mniejszym stopniu był wówczas brany pod uwagę przez uczelniane władze. Stanowi to bez wątpienia świadectwo demokratyzacji życia akademickiego. Demokratyzacja ta (jak zresztą każda inna) ma jednak swoją cenę i nie w każdym przypadku dobrze służy akademickiej społeczności. Jest to problem od dosyć dawna znany i nagłaśniany zwłaszcza w tych momentach, gdy reprezentacja studentów w gremiach kolegialnych uczelni zajmuje stanowisko wyraźnie opozycyjne wobec stanowiska większości profesorów. Taka sytuacja miała miejsce na mojej uczelni zarówno podczas wyborów władz rektorskich w przeszłości, jak i obecnie. Skłania to do postawienia pytania: czy reprezentacja ta jest na tyle reprezentatywna, aby można było ją uznać za głos studenckiej większości? Można mieć co do tego istotne wątpliwości w sytuacji, gdy w jej wyborach bierze udział zdecydowana mniejszość studentów, a funkcjonowanie wybranych zaczyna przypominać (za przeproszeniem) tzw. działaczy młodzieżowych z przeszłości. Toczą oni oczywiście również boje, tyle tylko że mają one raczej niewiele wspólnego z bojami toczonymi przez studentów w 1968 roku i w latach późniejszych minionego stulecia. Sztuka demokracji jest sztuką na tyle trudną, że nie można jej opanować ani szybko, ani łatwo. Trzeba jednak próbować przyswoić sobie przynajmniej jej elementarne zasady, a promotorzy próbujących postawić na swoim studentów powinni im tłumaczyć, jakie zachowania są, a jakie nie są odpowiednie w akademickim życiu. To tyle jeśli chodzi o sygnalizowaną na wstępie kwestię.

Chciałbym powiedzieć również coś miłego, a być może nawet zabawnego na temat dzisiejszych studentów. Niektóre zachowania dosyć mocno się zmieniły od moich studenckich czasów. Należy do nich m.in. spora swoboda w podejściu do zajęć dydaktycznych. Po wielu dyskusjach na senacie mojej uczelni studenci wywalczyli sobie zapis w regulaminie studiów, że jedynie zajęcia na pierwszym roku są obowiązkowe. Dla wielu z nich nawet to wymaganie zdaje się zbyt daleko idącym ograniczeniem swobody studiowania i jeśli już zjawiają się na zajęciach, niejednokrotnie wychodzą przed zakończeniem albo zajmują się w trakcie bardziej interesującymi sprawami. Jeden z moich kolegów opowiadał mi o wydarzeniu, które wpawiło w zakłopotanie prowadzącą wykład panią profesor. W trakcie wykładu student cały czas przeglądał gazetę i nagle stwierdził: „Pani profesor gadu gadu, a tam Pershinga ubili” (w gazetach pisano wówczas o zastrzeleniu tego gangstera). Z kolei na moim wykładzie miałem do czynienia ze studentem, który cały czas zaglądał do komórki i od czasu do czasu korygował moje wypowiedzi stwierdzeniami: „A w Wikipedii napisano co innego”. Dodam, że był to student filozofii, i mam do nich dosyć daleko idącą wyrozumiałość. Podobnie zresztą jest ze studentami, którzy udają, że trochę studiują, a trochę pracują dla uzupełnienia portfela, a po ukończeniu studiów ich zawodowe kwalifikacje są dalekie od oczekiwania potencjalnych pracodawców. Nie powinno to zresztą specjalnie dziwić w sytuacji, gdy studiowanie w Polsce jest formalnie bezpłatne (rzecz jasna, ktoś jednak musi za to zapłacić). Wprawdzie również pod tym względem coś się w naszym kraju zmienia, to jednak daleko nam do takich krajów jak Stany Zjednoczone, w których studia sporo kosztują (na niektórych uczelniach ponad 50 tys. dolarów rocznie), a wskaźnik niespłacalności studenckich kredytów zbliża się do 50%. Uwagę tę dedykuję zwłaszcza studentom, którzy skłonni są stawiać raczej na swoje uprawnienia niż obowiązki, a po otrzymaniu dyplomu ukończenia studiów nie czują się dłużnikami społeczeństwa. Miało jednak być miło. Zatem nie powiem nic więcej o niedoskonałościach duszy studenta.

Wirtualne pracownie

Przygotowaliśmy kilka scenariuszy egzaminów dyplomowych, ostatecznie procedura egzaminu na platformie Google meet wygląda dokładnie tak jak wcześniej w rzeczywistości. Odbywa się o określonej godzinie, dzień wcześniej sekretarz sprawdza, czy wszyscy mamy połączenie.

Uczelnie artystyczne, podobnie jak inne szkoły wyższe, od 12 marca br. prowadziły zajęcia z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. Pojawia się pytanie, jak ma przebiegać takie kształcenie w przypadku zajęć o charakterze pracownianym, gdy szczególnie istotny jest bezpośredni kontakt z wykładowcą oraz dostęp do materiałów i narzędzi, w które wyposażone są pracownie.

Na ten problem zwróciło uwagę Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego – rozporządzenie z dnia 22 maja umożliwiło studentom kierunków artystycznych korzystanie ze szkolnej infrastruktury i udział w konsultacjach pracownianych prowadzonych na miejscu. Oczywiście z zachowaniem pewnych warunków. Kryteria na szczęście nie zostały ściśle określone: dosyć zawiły zapis mówiący o tym, że „uczelnie artystyczne mogą prowadzić w ich siedzibach lub filiach kształcenie w ramach zajęć, które nie mogą być zrealizowane z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość, albo zajęć, w których wykorzystanie tych metod i technik mogłoby znacząco wpływać na efektywność kształcenia” oraz „zajęcia przewidziane w programie studiów do realizacji na ostatnim roku studiów”, pozostawia rektorom dużą swobodę decyzyjną.

Przyjrzyjmy się, jak wyglądał trudny proces przenoszenia zajęć z pracowni uczelnianych do rzeczywistości wirtualnej, w tak szczególnej dziedzinie jak sztuki plastyczne. O swoich doświadczeniach opowiedzą prof. dr hab. Katarzyna Podgórska-Glonti, dziekan Wydziału Architektury Wnętrz i Scenografii UAP, oraz dr Tomasz Kalitko, dziekan Wydziału Malarstwa i Rysunku UAP.

Prof. Katarzyna Podgórska-Glonti

W przeddzień ogłoszenia informacji o zamknięciu instytucji kultury pojechałam do Krakowa na spotkanie dziekanów i otwarcie Międzynarodowego Biennale Architektury Wnętrz *in (the) Future*. Wystawę konkursową otwieraliśmy w Ogrodzie Sztuki. Prof. Marek Braun z krakowskiej ASP przygotował ze studentami performance, który miał wpisać się w myśl przewodnią biennale. Zaproszono do tej akcji także dziekanów z całej Polski. Wraz z organizatorami przebraliśmy się w przygotowane wcześniej kombinezony, maseczki i rękawiczki. W takich strojach wręczaliśmy nagrody studentom, a goście wernisażu z zainteresowaniem robili zdjęcia tej sytuacji. Niebawem jednak wystawa została otwarta i zamknięta równo-

ześnie w związku z epidemią. Zaczęliśmy się rozjeżdżać, ale coraz bardziej docierało do nas, że nie chodzi o przyszłość odległą, że to, co jest nam znane z literatury czy filmów katastroficznych, dzieje się już teraz, zupełnie realnie. Byliśmy zadziwieni, jak bardzo hasło „in the Future” nagle wpisało się w naszą terażniejszość.

Po powrocie, kiedy wszyscy robili w sklepach zapasy, my zastanawialiśmy się, jak teraz prowadzić zajęcia ze studentami. Wiedzieliśmy, że czeka nas praca zdalna, ale sytuacja wciąż wydawała się tymczasowa. Od poniedziałku zajęcia ruszyły w zmienionej formie. Na szczęście z komunikacji zdalnej, mailowej korzystaliśmy już wcześniej – studenci tą drogą przesyłają czasami prace do korekty, mamy też numery ich telefonów. Niebawem dział IT przesłał informacje dla pedagogów i studentów, jak korzystać z platform komunikacji, takich jak Google meet, Hangouts, Classroom, i z innych narzędzi.

Charakter naszych studiów jest całkowicie indywidualny, korekty odbywają się w relacji bezpośredniego kontaktu, a wszystkie rodzaje komunikacji pozawerbalnej mają duże znaczenie, stąd niełatwo było nam się odnaleźć w nowej sytuacji. Na naszym wydziale prowadzone są dwa kierunki – architektura wnętrz i scenografia, w obrębie której działają Katedra Ubioru i Katedra Scenografii. Na kierunku architektura wnętrz projekty studentów są przedstawiane w formie wizualizacji, więc przez cały czas mieliśmy do czynienia z narzędziami cyfrowymi. Inaczej jest w przypadku kolekcji ubiorów czy kostiumów teatralnych, te powstają są w skali 1:1 z materiałów, tekstyliów, struktur przeróżnych i realizowane są w poszczególnych pracowniach. Podobnie w przypadku scenografii – nawet jeżeli projekt ma charakter wirtualny, powinna powstać makieta w odpowiedniej skali. I nagle się okazało, że w związku z ograniczeniami w handlu studenci mają problem z zakupem koniecznych materiałów.

W tej sytuacji katedra ubioru podjęła decyzję, aby studenci pogłębili zagadnienia koncepcyjne związane z ich projektami. Jako pedagodzy musieliśmy stawać na wysokości zadania: mamy studentów o wysokiej wrażliwości, często wymagali także wsparcia, aby odnaleźć się w nowej sytuacji. Natomiast przy naszym zindywidualizowanym procesie kształcenia, jeżeli praca studenta, dyplomanta była bardzo zaawansowana w realizacji projektu, nie chcieliśmy go powstrzymywać, co nie znaczy, że ktoś, kto z braku materiałów pozostał tylko w sferze

koncepcji, będzie z tego powodu weryfikowany gorzej. Ta skala weryfikacji była dla nas dużym wyzwaniem, ale właśnie dzięki indywidualnemu podejściu do studenta, znajomości jego silnych i słabszych stron mogliśmy przekazywać mu odpowiednie sugestie. Studenci przesyłali nam swoje projekty, my robiliśmy korekty w formie zdalnej, mailowej, a oprócz tego prowadziliśmy konsultacje telefoniczne. Ta potrzeba, żeby się wzajemnie słyszeć, w wielu przypadkach była bardzo duża i znacząca.

Oczywiście trudno było ograniczać kontakty do godzin dydaktycznych przewidzianych dla poszczególnych pracowni. Wszyscy stwierdziliśmy, że potrzebujemy ponaddwukrotnie więcej czasu, żeby skupić się na tym, co student nam przesłał albo napisał, i odnieść się do tego w takiej czy innej formie. Wykładowcy są zmęczeni pracą przed ekranami monitorów, wiele rezultatów umiemy wypracować sprawniej w bezpośrednim kontakcie, a zależy nam, żeby poziom prac nie odbiegał od tych konsultowanych bezpośrednio.

Niektórzy studenci musieli zrezygnować z mieszkania w Poznaniu i przenieść się do swoich domów rodzinnych, czasami sprzęt, z którego korzystali, okazywał się zawodny, bywały problemy z transmisją danych, ale wspólnie na bieżąco staraliśmy się odpowiednio rozwiązywać zaistniałe problemy.

Jeszcze przed wybuchem pandemii założyłam w pracowni scenografii, którą prowadzę, że najbliższy semestr będzie poświęcony twórczości Sławomira Mrożka. Wielu studentów zainspirowanych tą literaturą podjęło w swoich pracach refleksje na temat stanu izolacji. W zajęciach pracowni obok polskich studentów uczestniczą studenci anglojęzyczni z Turcji i Francji. Ich odpowiedzi były bardzo interesujące. Widziałam, że są aktywnymi obserwatorami i interpretują ten dosyć klasyczny temat przez pryzmat rzeczywistości, w której aktualnie żyją, w której się znaleźli. Dostęp do „wypowiedzi” studentów jest szeroki. Pracownie, tak na architekturze wnętrz, jak i na scenografii, funkcjonują na Facebooku i cały czas upubliczniają

poszczególne prace, które obecnie można także obejrzeć na wystawie końcoworocznej.

Jako dziekan podjęłam decyzję, aby prowadzić zebrania rady naukowej, rad programowych kierunków i spotkania kadry za pomocą aplikacji Hangouts. Wideokonferencje pozwoliły na podejmowanie wielu zagadnień dotyczących spraw kończącego się semestru, a także planów na kolejny rok akademicki. W maju odbyliśmy Walne Zgromadzenie Wydziału, podczas którego połączyło się 36 wykładowców. Byliśmy z tego spotkania bardzo zadowoleni. Jeśli pojawiały się problemy na poziomie technicznym, przy kolejnych spotkaniach były coraz rzadsze. Każdy miał tę świadomość, że trzeba szukać rozwiązań, a nie pozostawać na etapie, że się nie da. To formuła wideokonferencji, maili, telefonów sprawdzała się. Nasze walne zgromadzenie było dla mnie sygnałem, jak bardzo jesteśmy spragnieni spotkania, w czasie którego możemy widzieć się nawzajem.

W miarę upływu czasu okazywało się, że większość studentów nie chce odraczać terminu egzaminów dyplomowych na okres po wakacjach, gdyż nie wiadomo, jaka sytuacja czeka nas jesienią. Termin został więc przesunięty tylko o miesiąc, aby absolwenci studiów licencjackich mogli być gotowi do zdalnej rekrutacji na studia magisterskie.

Komisje dyplomowe zostały już powołane. Sekretarze komisji udostępniają ich członkom materiał, który student przesyła w systemie Akademos. Do dyspozycji mamy dział IT, jakość połączenia przez Google meets jest sprawdzana na dzień przed obronami. Łączność przez cały czas trwania egzaminów zachowuje przewodniczący komisji i sekretarz, a pozostałe osoby przyłączają się w czasie kolejnych dyplomów, tak aby nie było zbyt dużego obciążenia. Jesteśmy już po sesji egzaminacyjnej i po pierwszych egzaminach dyplomowych, które przebiegły bez żadnych zakłóceń.

Po raz pierwszy wystawa końcoworoczna jest prezentowana wirtualnie. Dzięki temu można ją obejrzeć w znacznie więk-



Dorota Szafrńska, Katedra Kształtowania Wnętrz Wystawienniczych

szym zakresie i zasięgu. Tradycyjnie wystawa była organizowana po zaliczeniach, ale jeszcze przed dyplomami. Cała rada wydziału ogląda wspólnie wystawę i rezultaty rocznej pracy, czas jest jednak tak napięty, że trudno zapoznać się w całości z dorobkiem pracowni z innych wydziałów, które prezentowały się w różnych lokalizacjach. W tym roku jest inaczej – można z satysfakcją usiąść w fotelu i spokojnie zapoznać się z całością, co jest niewątpliwą zaletą.

Od 25 maja uczelnie mogły się częściowo otworzyć dla studentów. Zgodnie z zarządzeniem rektora, na wniosek dyplomanta, można już było umożliwić mu dostęp do infrastruktury uczelni: laboratoriów, warsztatów i pracowni.

Teraz, patrząc już z pewnej perspektywy na sytuację epidemii, muszę powiedzieć, że pierwsze dwa tygodnie były dla nas niezmiernie trudne, bo wiązały się z przejściem na zupełnie nową formę kształcenia, niespotykaną w uczelniach artystycznych. Dyskomfort był spotęgowany tym, że nie wiedzieliśmy, jak długo to potrwa. Udało się opanować nową formułę, ona oczywiście nie jest doskonała – widzimy potrzebę pracy manualnej z materiałami, które można zobaczyć w bezpośrednim kontakcie. Niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z pracą nad kostiumem, makietą, maskami czy innymi formami, które powstają w pracowniach, ważny jest udział różnych zmysłów: gestu, dotyku, czego nie da się doświadczyć w rzeczywistości wirtualnej. Natomiast stan izolacji pogłębiał refleksję studentów, którzy nagle zaczęli czerpać inspiracje z własnego doświadczenia, co było niezwykle cenne. Życzymy sobie jednak, żeby wrócić w październiku do bezpośredniego kontaktu. Tęsknimy za studentami i dotyczy to każdego pokolenia pedagogów – tych młodych i tych z dużym doświadczeniem dydaktycznym.

Dr Tomasz Kalitko

Po ogłoszeniu przez MNiSW decyzji o zawieszeniu zajęć sytuacja na naszym wydziale rozwijała się dynamicznie. To był moment, gdy studenci mieli już rozpoczęte prace na zaliczenia albo przygotowywali dyplomy. Rektor szybko podjął pierwsze kroki – dostaliśmy pakiet drogowskazów, ale każdy wydział, w tym Wydział Malarstwa i Rysunku, musiał się przygotować do edukacji wirtualnej, biorąc pod uwagę swoje specyficzne potrzeby. W sensie edukacyjnym trzeba było przewidzieć wszystkie możliwe scenariusze. Od początku chcieliśmy utrzymać studentów w pewnej dyscyplinie czasowej, żeby nie zgubić porządkującego rozkładu zajęć. Przenieśliśmy edukację na platformy, m.in. takie jak Google meet, które są dość proste i intuicyjne. Najczęściej spotykaliśmy się w składzie: profesor, asystent i student, a czasami w szerszym gronie. W pakiecie mamy takie narzędzie jak Classroom, za pomocą którego można prowadzić szersze konsultacje. Na Google meets korekty trwały dłużej, niemniej uważniej wsłuchiwalismy się w siebie, bez przerywania sobie wypowiedzi, co jest zabawną konkluzją takich relacji i swoistym ekwiwalentem braku ekspresji naturalnie obecnej podczas kontaktów bezpośrednich.

Pomimo że studenci faktycznie byli strapieni zamknięciem uczelni, zauważyliśmy, że już w pierwszych tygodniach bardzo zaangażowali się w poznanie nowych programów i narzędzi prezentacji. Mieli dużo pozytywnej energii.

Wsparcie ze strony uczelni, moim zdaniem, było bez precedensu: studenci mogli pracować na pełnym najnowszym pakiecie Adobe – każdy program, już po zainstalowaniu, odsyłał do tutoriali, które pokazywały, jak się go nauczyć. Sam z przyjemnością korzystałem z tych pakietów. Przy tych wszystkich plusach nie możemy pominąć faktu, że była to sytuacja wyjątkowa, wiadomo, że łatwiej i lepiej jest obejrzeć prace w sposób naturalny, w kontekście przestrzennym, i prowadzić konsultacje w bezpośrednim kontakcie ze studentem. Jednak pozytyw-



Strój postaci Amneris z opery G. Verdiego *Aida*

nie zaskoczyło nas to, że studenci bardzo szybko przygotowali się do pracy w nowych warunkach i od razu mieliśmy z nimi kontakt. Oczywiście zdarzały się też różne sytuacje losowe, jeśli ktoś się nie odzywał, trzeba było ustalić z jakiego powodu. Tak więc w tym pierwszym etapie uczyliśmy się nowych narzędzi i raportowaliśmy sobie stan obecności na zajęciach.

Przyznam, że to była bardzo intensywna praca. Choć konsultacje odbywały się w ramach godzin zajęć, naturalne było, że nikt nie zabroni profesorom dłuższego kontaktu ze studentami, zwłaszcza z dyplomantami, jeśli pojawiłyby się takie potrzeby. Wiadomo, że profesorowie z wielką atencją odnoszą się do swoich studentów i że jest to zawód zaufania społecznego, zatem czas poświęcany na korekty zwłaszcza dyplomantów bywa indywidualnie określany. Staraliśmy się jednak utrzymywać dyscyplinę rozkładu zajęć, bo ten schemat najlepiej się sprawdził i umożliwiał udział w różnych, następujących po sobie konsultacjach i wykładach.

Pomogła nam natomiast taka sytuacja: W zeszłym roku udało nam się dofinansować nasz Wydział Malarstwa i Rysunku i kupić urządzenia, które później okazały się absolutnie niezbędne, na przykład dobre przenośne laptopy dla wykładowców, którzy wcześniej nie dysponowali takim sprzętem. Mogliśmy też przeprowadzić cały pakiet szkoleń dla wykładowców i dla studentów, związanych z programami graficznymi czy wydawniczymi. Ci, którzy z niego nie skorzystali, załują teraz podwójnie. Wiedza związana ze znajomością nowych narzędzi edukacyjnych przekazywana była międzypokoleniowo. W ramach tego planu udało nam się uruchomić szereg nowych pracowni i laboratoriów, choćby Laboratorium Mappingu, Pracownię Komiksu czy Pracownię Rysunku 3D, w której prowadzący, dr hab. Marcin Konicki, przygotowywał galerie wirtualne dla studentów i pedagogów.

Ponieważ dyplomanci nie mogli korzystać z pracowni w tym pierwszym okresie, założyliśmy, że skoncentrują się na napisaniu pracy teoretycznej. To był ciąg intensywnego, kreatywnego myślenia. W pewnym momencie wycofaliśmy się z niektórych koncepcji, bo część obostrzeń została zniesiona, ale cieszę

się z nadatku naszych działań, ponieważ to dało nam poczucie odpowiedzialności za różne scenariusze związane z przygotowaniem dyplomów. Wypracowaliśmy je już w kwietniu, aby uwzględnić sytuację zdalnych egzaminów dyplomowych, w związku z tym dla każdego dyplomanta została przygotowana wspomniana wcześniej galeria wirtualna 3d, w kilku wersjach do wyboru. Dział promocji w porozumieniu z działem IT przygotował też pakiety do wystawy końcoworocznej, którą można oglądać na stronie internetowej uczelni, pod adresem wk.uap.edu.pl.

Przed egzaminami dyplomowymi zastanawialiśmy się, jak wyrównać szanse studentów w sensie rzeczywistym i wirtualnym. To przysparzało kłopotów, bo niektórzy studenci, wracając do swoich domów rodzinnych, gdzie tradycja tworzenia była wielopokoleniowa, dysponowali wspaniałymi warunkami do malowania: pracownią, która jest zawsze do dyspozycji, inni natomiast nie mieli takich możliwości.

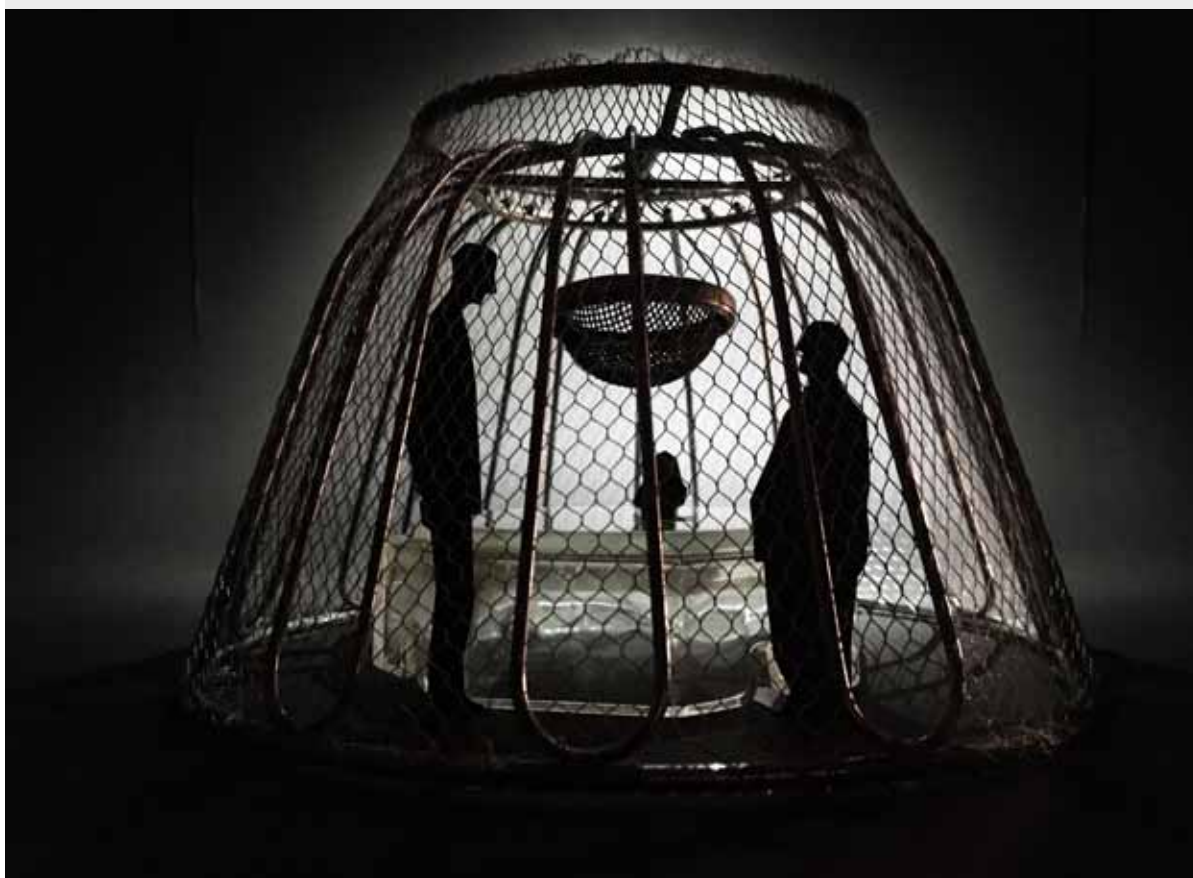
Narzędzia, w które wyposażyliśmy studentów, to również galerie wirtualne, które można sobie samemu skonstruować. Część tych mechanizmów była wyposażona w instruktaż, jak krok po kroku dojść do określonego efektu. Dodatkowo trzeba było przygotować prezentację dyplomu czy portfolio w formacie PDF. Przed egzaminami dyplomowymi wszyscy członkowie komisji za pomocą platform Akademu oraz Google-drive mogli przeglądać pakiety i dokumenty dostarczone przez studentów. Dyplom prowadzi sekretarz, wcześniej aranżujemy spotkanie, omawiamy szczegóły. Komisja łączy się przez Google meet. Jesteśmy po pierwszych dyplomach – gdy po 25 maja obostrzenia zostały poluzowane, pozwoliliśmy także na prezentację dyplomów w rzeczywistości. Polega to na tym, że student przygotowuje wystawę, pojedyncze osoby wchodzi i oglądają, a sama obrona odbywa się później na platformie Google meet. Było to możliwe dzięki temu, że nie usztwniliśmy się, tylko reagowaliśmy cały czas na potrzeby studentów i na aktualne możliwości. Dało nam to pewien komfort. Wszyscy mamy świadomość, że obraz malarski powinien być oglądany w rzeczywistości, choć muszę powiedzieć, że niektóre dyplomy w tych

wirtualnych prezentacjach wyglądają bardzo dobrze. Dla studentów jest także ważne, że korzystając z tych galerii, mają już gotową prezentację, którą po przeniesieniu do rzeczywistości wirtualnej może obejrzeć wielu odbiorców. Jest to sytuacja bez precedensu.

Przygotowaliśmy kilka scenariuszy egzaminów dyplomowych, ostatecznie procedura egzaminu na platformie Google meet wygląda dokładnie tak jak wcześniej w rzeczywistości. Odbywa się o określonej godzinie, dzień wcześniej sekretarz sprawdza, czy wszyscy mamy połączenie. Dział IT na wszelki wypadek przygotował kilka stanowisk w nowym budynku drukarni, gdyby ktoś miał problemy z łączem lub komputerem. Różnica jest tylko taka, że realne prace widzieliśmy już wcześniej, natomiast całą dokumentację możemy oglądać podczas rozmowy. Przewodniczący rozpoczyna egzamin, wypowiada się promotor, dyplomant przedstawia część praktyczną i teoretyczną, potem padają pytania, procedura więc nie ulega zmianie. Różnica jest również taka, że egzamin przeprowadzany wirtualnie trwa o ok. 20 minut dłużej.

Wszystkie pozytywy, o których powiedziałem, dotyczą tylko stanu, w którym jesteśmy. To był bardzo trudny czas, jeśli chodzi o ilość pracy: komputer włączony od rana do wieczora, a w międzyczasie telefon nie przestawał dzwonić. Na pewno trudniej jest się porozumieć, jeśli brakuje możliwości intuicyjnego przekazywania pozawerbalnych informacji. Studenci z drugiej strony zdobyli cały pakiet umiejętności, znajomość nowych narzędzi, które okazały się konieczne w ramach naszego działania. Bardzo interesująco wypadła wystawa końcoworoczna, którą można łatwiej przejrzeć, gdyż prace są eksponowane przez cały czas. Jest to okazja do dyskusji i weryfikacji efektów kształcenia. Ta wystawa pozostanie już na zawsze. Każda pracownia przygotowała swoje indywidualne pakiety. W ramach tego, co zaproponował dział promocji, można było zaprezentować się w różny sposób i każdy starał się zachować rys indywidualny. Prace naszych studentów będą także prezentowane poza uczelnią – na tegoroczny Poznań Art Week.

Wydział Architektury Wnętrz i Scenografii



Każdy student to osobna historia

Dystans administracyjny między władzami a studującymi jest znacznie mniejszy. Rektor i prorektorzy uczestniczą w wydarzeniach ważnych nie tylko dla całej uczelni, ale również dla jednostek organizacyjnych, spotykają się z przedstawicielami samorządu studenckiego i kół naukowych, a sprawy indywidualnych studentów nie czekają na „załatwienie” tygodniami.

Odosobnienie spowodowane tragicznymi okolicznościami pandemii koronawirusa, spowolnienie niektórych aspektów życia społecznego, a jednocześnie przesunięcie naszej aktywności w sferę cyfrową sprzyjają zadumie nad tym, jacy są ci, dla których pracujemy – studenci, główni uczestnicy życia uczelni i członkowie jej społeczności. Publiczne uczelnie zawodowe powołane przed ponad dwudziestu laty jako państwowe wyższe szkoły zawodowe miały na celu m.in. pobudzenie regionów, często prowincjonalnie położonych stolic dawnych województw, ich wsparcie przez kształtowanie kadr niezbędnych do rozwoju zgodnego z ich specyfiką, tradycjami gospodarczymi i przyszłościowymi aspiracjami. Zadanie to, spełniane odpowiedzialnie, stało się niejednokrotnie podstawą funkcjonowania małych ojczyzn i jednocześnie pozwoliło odnaleźć poza dużymi ośrodkami akademickimi niezwykle pokłady energii, entuzjazmu i kreatywności tkwiące w ludziach w różnym wieku. Wielu z nich nigdy nie podjęłoby studiów bez możliwości ich odbycia w pobliżu miejsca zamieszkania, inni z losowych przyczyn nie zrobili tego w przeszłości, a powstające uczelnie zawodowe umożliwiły im zdobycie zawodu, nowych kompetencji, awansu.

Liczby

Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Stanisława Pigoń w Krośnie, a od 1 maja 2020 roku pod nową nazwą: Karpacka Państwowa Uczelnia w Krośnie, działa już od ponad dwudziestu lat. W tym czasie wyższe wykształcenie na studiach licencjackich i inżynierskich uzyskało tu blisko 14 tys. studentów. Obecnie na osiemnastu kierunkach studiów pierwszego stopnia i dwóch kierunkach magisterskich studiuje około 2300 osób, w tym blisko 60% kobiet. Uwzględniając uczestników studiów podyplomowych i kursów, osiągamy liczbę blisko 2500 dorosłych mieszkańców regionu i nie tylko, podnoszących każdego roku kwalifikacje. Około trzy czwarte studiujących wybiera tryb stacjonarny, a studenci niestacjonarni to przede wszystkim przyszli inżynierowie. Blisko 12% stanowią kandydaci do tytułu magistra lub magistra inżyniera. Najpopularniejszymi kierunkami studiów stacjonarnych są od lat:

pielęgniarstwo, informatyka, zarządzanie, pedagogika i filologia angielska. Najliczniejsze kierunki niestacjonarne to mechanika i budowa maszyn oraz budownictwo.

Nasi studenci są w większości mieszkańcami małych miejscowości, położonych do 50 km od Krosna, 75% pochodzi ze wsi, dalsze 20% z miast do 50 tys. mieszkańców. Niemal w równym stopniu ukończyli licea ogólnokształcące i technika, dobrze radząc sobie z egzaminami maturalnymi. Blisko jedna czwarta z nich pobiera stypendium socjalne.

Ponad 75% studiujących w KPU ma nie więcej niż 25 lat, a więc są to zwykle absolwenci szkół średnich, którzy bezpośrednio po maturze podjęli studia. Blisko 20% to osoby do 40 roku życia, a pozostałe 5% – starsze, przy czym najstarszy student liczy 65 lat. Struktura wiekowa społeczności studenckiej wskazuje wyraźnie, że właśnie poprzez uczelnie zawodowe następuje otwarcie w małych ojczyznach furtki do zdobycia wykształcenia, zawodu, a nawet przebranżowienia się dla osób w wieku, w którym uczyć się jest znacznie trudniej niż wtedy, gdy się ma dwadzieścia lat.

Ta garść danych jest niezbędna, aby uświadomić oczywiste różnice, ale też i podobieństwa między studentami z dużych miast i tymi, którzy są rekrutowani w niespełna pięćdziesięciotysięcznym mieście i w powiatach ościennych.

Jak rozmawiamy

Specyfiką państwowych uczelni zawodowych, w tym także KPU w Krośnie, jest ich głębokie zakorzenienie w regionie, dlatego szczególnie mocno zwracamy uwagę na każdego studenta, bo każdy z nich to osobna historia, inne powody podjęcia studiów, a niejednokrotnie także inne problemy. Świadomość wartości, jaką ma dla tych młodych i trochę starszych ludzi, a także dla regionu, możliwość studiowania w pobliżu ich miejsca zamieszkania, znajduje wyraz w otwieraniu kierunków nawet przy relatywnie niewielkiej liczbie studentów, a także w tworzeniu małych grup zajęciowych, pozwalających na zindywidualizowanie procesu studiowania. Takie podejście pozwala na bliski, empatyczny kontakt kierowników zakładów i opiekunów grup



Szymon Muszański, I miejsce w VII Ogólnopolskim Konkursie Fotograficznym „Różnorodność biologiczna i krajobrazowa Bieszczadzkiego Parku Narodowego i otuliny”

ze studentami, wspieranie ich w trudnych sytuacjach, nie tylko związanych ze studiowaniem, ale również z sytuacjami życiowymi. Nie należą do rzadkości rozmowy kierowników zakładów z każdym studentem z osobna, który zgłasza chęć przerwania studiów. Wielokrotnie takie osobiste wsparcie powoduje, że deklaracja odejścia jest wycofywana, a młody człowiek z sukcesem kończy studia.

Szczególnie ważnym działaniem uczelni jest program dla studentów pracujących. Mając świadomość wielu trudnych sytuacji życiowych, w jakich znajdują się nasi studenci, zaproponowaliśmy przed kilku laty studia dzienne dla osób pracujących, wzorowane na dawnych studiach wieczorowych. Staraliśmy się w tej formule studiów stacjonarnych ułatwić studiowanie osobom pracującym lub mającym z innego powodu trudności w uczestniczeniu w zajęciach przedpołudniowych. Nazwaliśmy ten system 26+, chociaż biorą w nim udział również osoby młodsze. Z perspektywy kilku lat mogę powiedzieć, że to wyzwanie, jakkolwiek przysporzyło nam sporo problemów organizacyjnych, wielu osobom starszym umożliwiło uzyskanie upragnionego dyplomu inżyniera. Tu znajduje swoje szczególne potwierdzenie realizacja idei kształcenia przez całe życie. Zdarza się, że studenci w wieku 50+ mogą zawstydić pracowitością i sumiennością swoich młodszych przyjaciół. Czy studiowaliby bez PWSZ-etów? Wątpię.

Wielu studentów podkreśla możliwość bliskiej współpracy z organami uczelni. Ich koleżanki i koledzy z dużych uczelni rzadko widują rektora, prorektorów, może poza oficjalnymi uroczystościami. W mniejszych, bardziej kompaktowych uczelniach, takich jak krośnieńska KPU, dystans administracyjny między władzami a studiującymi jest znacznie mniejszy. Rektor i prorektorzy, a także dyrektorzy instytutów uczestniczą w wydarzeniach ważnych nie tylko dla całej uczelni, ale również dla jednostek organizacyjnych, spotykają się z przedstawicielami samorządu studenckiego i kół naukowych, a sprawy indywidualnych studentów nie czekają na „załatwienie” tygnumi.

Osiągnięcia

Obraz studentów krośnieńskiej uczelni nie byłby pełny bez zarysowania ich osiągnięć, pozwalających spojrzeć na młodych ludzi z odległej części kraju z innej perspektywy, bez przykrej pobłażliwości, wyrażonej słowem „prowincja”. Tych sukcesów jest bardzo wiele, ale przyjrzyjmy się wybranym.

Studenckie Koło Naukowe ROTOR od 2016 roku, zaczynając z bardzo skromnym budżetem, startuje w zawodach Shell Eco-marathon. Początkowo sukcesem było przejście kontroli bezpieczeństwa i możliwość pomiarowego przejazdu torem, co nie udało się ekipie renomowanej polskiej uczelni akademickiej mającej znacząco wyższe środki finansowe, ale każdy kolejny udział pozwalał na zwiększenie pokonanego dystansu. W 2019 roku krośnieńska drużyna, jako jedyna załoga z Polski, wystartowała na torze Circuit Park Bergheem w Holandii w kategorii: Prototype zasilanej etanolem. Efekt? 749 km/1 litr paliwa, a tym samym pierwsze miejsce w kategorii silników etanowych i drugie w kategorii silników spalinowych. Takie wyniki pozwalają naszym studentom wzmocnić wiarę w siebie, właściwie ocenić możliwości i bez kompleksów startować w życie.

Przykładów jest więcej. Student górnictwa i geologii, zdobywający ogólnopolskie i międzynarodowe nagrody w konkursach fotograficznych, pielęgniarki wygrywające ogólnopolskie zawody symulacji medycznej SIM_CHALLENGE, drużyny siatkarskie brylujące w ogólnopolskich rozgrywkach czy studenci z Akademii Budownictwa Regionalnego inwentaryzujący zabytkowe budynki Krosna i okolicznych wsi, eksplorujący kupieckie piwnice Dukli... A to przecież nie wszystko, bo właśnie w Krośnie studiowali także olimpijczycy z Londynu (2012), Vancouver (2010) i Soczi (2014).

W kraju i za granicą

Nasi studenci to także obcokrajowcy. Szczycimy się licznymi odwiedzającymi Krosno studentami z USA, Holandii, Portugalii, Turcji, Chin, Rosji, Ukrainy i wielu innych krajów euro-

pejskich, ale to także krośnianie, którzy wzorem Erazma z Rotterdamu poznają świat, studiując na zagranicznych uczelniach. Z pewnością wielu z nich czuje obawę przed wyjazdem, w głównej mierze wynikającą ze świadomości różnic kulturowych, z jakimi przyjdzie im się zmierzyć, ale również z niskiej oceny swoich umiejętności językowych. Zachęty wykładowców pomagają pokonać pierwszy krok – złożenie aplikacji, jednak dopiero zetknięcie się z rówieśnikami z innych uczelni powoduje prawdziwy przełom. Wracają głęboko odmienieni, z nowym spojrzeniem na świat, z większą otwartością i świadomością własnej wartości. Wśród ponad 370 studentów wyjeżdżających z Krosna za granicę na studia lub praktyki byli również i tacy, którzy studiując we Włoszech, egzaminy zdawali po włosku, dając dobre świadectwo krośnieńskim tradycjom Franciszka Pika-Mirandoli.

W trudnych warunkach

Obecny tryb zdalnego funkcjonowania uczelni wymusza zmiany naszych przyzwyczajeń, długotrwale wypracowanych procedur i tradycyjnych form zajęć. Paradoksalnie okazuje się, że taka sytuacja może zbliżyć. Profesorowie częściej napiszą e-maila do starostów grup, studenci z większą radością witają prowadzących, którzy pojawiają się podczas telekonferencji w ich telefonach i laptopach, wszyscy łakną kontaktu i z niecierpliwością oczekują na zakończenie wymuszonej izolacji. Jakkolwiek pierwsze podsumowania dydaktycznej aktywności uczelni w warunkach zdalnych przynoszą pozytywny obraz, to jednak nie możemy się tymi wynikami zachłystać. Pojawia się teraz ponownie, ale z zupełnie innej strony, pytanie o skalę wykluczenia cyfrowego studentów pochodzących z peryferyjnych powiatów kraju, często z obszarów, gdzie zasięg GSM jest tylko „na górce”, a w najlepszym przypadku na górnym piętrze. Musimy się także liczyć z sytuacją braku dostępu, w warunkach domowych, niektórych z naszych studentów do specjalistycznego oprogramowania i urządzeń pozwalających na komfortowy odbiór materiałów audiowizualnych czy uczestnictwo w zdalnych wykładach.

Te problemy wciąż stoją przed nami i w ich rozwiązanie muszą w przyszłości włączyć się struktury państwa, bo nie ma gwarancji, że obecna pandemia jest ostatnią.

Perspektywy

Jaka przyszłość rysuje się przed studentami uczelni zawodowych? Odpowiedź na takie pytanie jest niezwykle trudna, jednak robimy wszystko, aby przyszłość była jak najlepsza.

Co ważniejsze jednak, bardzo wiele robią w tej kwestii sami studenci. Na niektórych kierunkach, jak informatyka, większość z nich pracuje już podczas studiów, zwykle podpisując umowy o pracę na długo przed końcem ostatniego roku, inni, jak filolodzy, pielęgniarki czy inżynierowie budowlancy, również nie mają podstaw, by się martwić o szybkie zatrudnienie. Wiele podmiotów poszukuje wśród nich przyszłych pracowników. Jest także grupa kierunków, a wśród nich zielarstwo, których studenci chętnie wybierają samozatrudnienie, niejednokrotnie zakładając mikroprzedsiębiorstwa w trakcie lub nawet przed rozpoczęciem swojej przygody z wyższym wykształceniem.

Szczególną szansą, ale też i wyzwaniem, są studia dualne, stanowiące ukoronowanie praktycznego profilu kształcenia, realizowanego przez uczelnie zawodowe. Szczególnie bliska relacja między uczelnią, przedsiębiorstwem i grupami studentów owocuje korzyściami dla wszystkich stron tej formuły studiów. Mechanika i budowa maszyn przecierała w Krośnie ścieżkę, wchodząc w ten typ studiów wraz z Grupą Nowy Styl. Teraz przychodzi czas na kolejne kierunki.

Dobre perspektywy widzimy też przed studentami kierunków humanistycznych. Nie tylko dlatego, że znajdują na uczelni unikalne możliwości kształcenia, ale może przede wszystkim z uwagi na ich otwartość i wyjątkową predestynację do uczestniczenia w programach współpracy międzynarodowej, konferencjach czy wyjazdach zagranicznych, co z chęcią czynią. W globalizującym się świecie ich umiejętności językowe i tak ważne kompetencje miękkie, stają się coraz bardziej poszukiwanym towarem.

Szczególnym wyrazem zaangażowania studentów w kształtowanie własnej osobowości, a jednocześnie zmieniania na lepsze swojego otoczenia jest ich gotowość do działalności w organizacjach studenckich. Niezbyt chętnie zgłaszają akces do „struktur władzy” studenckiej, ale nigdy nie brakuje ich w działaniu. Angażują się w Studenckich Kołach Naukowych, działają w wolontariacie i uczelnianym Klubie Honorowych Dawców Krwi, z dużym oddaniem organizują i włączają się w przedsięwzięcia dobroczynne.

Bardzo trudno podsumować swoisty tekst, który w założeniu miał być jedynie zarysem obrazu studentów uczelni zawodowych. Nie mógł być inny w tych ramach i dzięki skromnemu zasobowi danych pochodzących z jednej uczelni. Jednak już sama trudność w wyborze faktów, które mogłyby zostać tu wspomniane, napawa mnie dumą. Bo przecież nie da się napisać źle o dobrych studentach.

Książki nadesłane

Piotr MARECKI, *Praktyka i eksperyment. Laboratoryjny model humanistyki*, Wyd. UJ, Kraków 2019, seria: Biblioteka XXII wieku.

Ewaluacja w edukacji. Teoria i praktyka, pod red. Urszuli SZUŚCIK i Danuty KOCUREK, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Zaburzenia płynności mowy – teoria i praktyka. Tom 2, pod red. Katarzyny WĘSIERSKIEJ i Mikołaja WITKOWSKIEGO, Wyd. UŚ, Katowice 2020, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Agnieszka TAMBOR, *Licz na Banacha. Podręcznik do nauczania polskiego słownictwa specjalistycznego dla cudzoziemców*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Podręczniki i Skrypty UŚ w Katowicach.

Halina RUSEK, *Koleżanki z Birkenau. Esej o pamiętaniu*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Zagadnienia prowadzenia zespołów muzycznych wspólnego rynku kultury, pod red. Izabelli ZIELECKIEJ-PANEK, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Transformacja Akademickiego Szkolnictwa Wyższego w Polsce w okresie 30-lecia 1989-2019, red. nauk. Jerzy Woźnicki, KRASP, Warszawa 2019.

Yuri SLEZKINE, *Dom władzy. Opowieść o rosyjskiej rewolucji. Tom 1: W drodze; Tom 2: W domu; Tom 3: Przed sądem*, tłum. Gabor Chodkowski-Gyurics, Grzegorz Kulesza, Klaudyna Michałowicz, Mateusz Różycki, Dariusz Skotarek, PIW, Warszawa 2019.

Rozmowa z dr. hab. **Krzysztofem Polkowskim**, prof. ASP, rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku

Artysta czy menedżer?

Rektor, który musi być pełnoprawnym menedżerem, nie jest zwolniony z obowiązków dydaktycznych, artystycznych i naukowych.

Został pan wybrany na stanowisko rektora gdańskiej ASP na kolejną kadencję.

Gdy przed czterema laty po raz pierwszy kandydowałem na stanowisko rektora, byłem dziekanem Wydziału Malarstwa, który uzyskał parametryczną kategorię A, postanowiłem więc wykorzystać swoje doświadczenie na rzecz budowania potencjału całej uczelni. Muszę powiedzieć, że jestem nietypowym przedstawicielem środowiska akademickiego, bo rozpocząłem karierę akademicką kończąc 39 lat. Wcześniej przez 15 lat pracowałem jako dyrektor Centrum Kultury, które prowadziło rozległą działalność i zatrudniało pracowników etatowych oraz zleceniobiorców. Miałem co prawda mniejszy budżet niż w tej chwili, ale nauczyłem się nim zarządzać, nabyłem praktyczną wiedzę o zarządzaniu ludźmi i organizowaniu struktur. Zaraz po studiach myślałem o pracy na ASP, po latach, dzięki sugestii kolegi, przystąpiłem do konkursu na stanowisko asystenta i wygrałem go. Ciekawostką jest, że rywalizowałem z prof. Dominikiem Lejmanem, obecnie znanym artystą z UAP. Przez kilka dobrych lat, zanim zostałem dziekanem, godziłem obowiązki nauczyciela akademickiego i menedżera.

W czasie pana poprzedniej kadencji wprowadzono Ustawę 2.0. Czy przyniosła duże zmiany w uczelni?

Gdy zostałem rektorem, w zasadzie wyprzedziłem zapisy nowej ustawy, bo śmiało zmieniłem strukturę organizacyjną administracji. Spod egidy kanclerza wyłączyłem wiele obszarów, które podporządkowałem sobie albo prorektorowi. Prorektor przejął obszary administracyjne związane ze współpracą zagraniczną i z działami kształcenia, ja natomiast – kadry i płace. Lubię być osobą sprawczą i mieć wpływ na to, czym zarządzam, tymczasem kanclerz nie musi czuć specyfiki kształcenia, w tym artystycznego, i stąd pole do nieporozumień. Chwalę sobie obecne zmiany w ustawie, bo poprzednio prorektorzy, podobnie jak sam rektor, byli wybierani przez elektorów, a w uczelniach często jest taka tradycja, że prorektorzy reprezentują inne wydziały niż rektor. Znam przypadek uczelni, gdzie prorektora wybrano, aby pilnował rektora, by ten nie zawłaszczył władzy. Jest to trochę chore i może prowadzić do konfliktów. Chciałem uniknąć takiej sytuacji i zdecydowałem, że będę posługiwał się pełnomocnikami. Mieliśmy więc jednego prorektora, z którym zarządzałem w dwuosobowym składzie, i pełnomocników. Zrobiłem też audyt i stwierdziłem, że biorąc pod uwagę optymalizację kosztów, kanclerz nie powinien mieć zastępcy. Na początku zmiany wzbudzały niepokój społeczności, powie-

działem jednak, że skoro jestem rektorem, to chcę w pełni odpowiadać także za gospodarkę finansową, tak jak jest to obecnie.

Gdy minister Jarosław Gowin, ówczesny wicepremier, wyszedł z propozycją reformy szkolnictwa, zaczął zapraszać rektorów na konferencje i kongresy, gdzie mogliśmy zabierać głos. Byłem czynnym uczestnikiem tych dyskusji, z pewnymi rozwiązaniami polemizowałem, a pewne chwaliłem. I stało się – ustawa została przegłosowana.

Czy państwa opinie były brane pod uwagę?

W pewnym stopniu. Zdziwiło mnie, że najważniejsze kompetencje senatu zostały całkowicie przesunięte na radę uczelni. Początkowo rada miała zatwierdzać strategię uczelni i mieli w niej przeważać tzw. członkowie zewnętrzni, którzy nie muszą rozumieć specyfiki kształcenia. Było to niebezpieczne. Gdyby jeden z członków rady przekonał innych, że prowadzenie jakiegoś kierunku niszowego nie jest opłacalne, bo lepiej nastawić się na rozwój kierunków popularnych, wtedy w głosowaniu większościowym ten kierunek by przepadł. Tymczasem tendencje się zmieniają i taka „popularność” może być tylko chwilowa. Na szczęście, pod wpływem nacisków środowiska akademickiego pierwotny projekt został zmieniony.

Jako jedyny rektor uczelni artystycznej wykorzystałem zapis poprzedniej ustawy i w trzecim roku mojej kadencji powołałem konwent złożony z m.in. marszałka województwa pomorskiego, prezydentów trzech miast, prezydenta Pracodawców Pomorza, dyrektorów Teatru Szekspirowskiego, Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych i Muzeum Narodowego, dyrektora Muzeum Miasta Gdańska i prezesów największych firm w Trójmieście. Konwent miał głos doradczy – popierał stanowisko moje i senatu dotyczące poprawek w ustawie i składał w tej sprawie pisma do ministrów i marszałka Senatu. Zależało nam m.in. na tym, aby zachować podział na sztuki piękne i sztuki projektowe. Ministerstwo miało jednak plany zmniejszenia liczby dyscyplin. Poniekąd wylano dziecko z kąpielą, bo przypisano nas wszystkich do dyscypliny „sztuki plastyczne”, a przecież mamy odrębne specyfiki. Z momentem wejścia nowej ustawy nasz konwent przestał istnieć.

Zastąpiła go rada uczelni.

Obecnie rada **opiniuje** projekt strategii uczelni, zatwierdza sprawozdania finansowe i sprawozdanie z wykonania planu rzeczowo-finansowego. Czyli – jak to ma miejsce w naszym przypadku – dotychczasowe kompetencje 32 członków senatu prze-

chodzą na siedmiu członków rady. Jest to dobre, bo nie komplikuje zbytnio procesu decyzyjnego. Nie ukrywam, że miałem duży wpływ na wybór członków rady, gdyż uważam, że pomiędzy rektorem a radą uczelni powinna być dobra „chemia”.

Jako kandydata do rady uczelni zaproponowałem jednego z członków konwentu, prof. Waldemara Ossowskiego, dyrektora Muzeum Historycznego Miasta Gdańska, który jest archeologiem i profesorem na Uniwersytecie Gdańskim, a więc osobą ze środowiska akademickiego. Kolejnym kandydatem był obecny prorektor ds. współpracy z zagranicą Uniwersytetu Gdańskiego, znakomity chemik prof. Piotr Stepnowski, który pracował w różnych strukturach doradczych, także związanych z Unią Europejską. W skład rady miała też wejść pani Magdalena Pramfelt, prezes Stowarzyszenia Konsulów Honorowych w Polsce. Bardzo się cieszę, że senat zaaprobował tych kandydatów. Jeśli chodzi o wewnętrznych członków rady, są to osoby bardzo doświadczone: byli dziekani oraz kierownik szkoły doktorskiej. Działalność rady oceniam bardzo pozytywnie, spotykamy się regularnie i traktujemy po partnersku, a na zebraniach mogę na bieżąco referować aktualne problemy. Gdy chcieliśmy podpisać umowę o wartości powyżej 2 mln na wynajem dużej przestrzeni, członkowie rady zapoznali się z dokumentacją i zadawali istotne pytania, co było bardzo konstruktywne. Rada musiała także wyrazić aprobatę dla kandydatów na rektora. Ponieważ poza mną żaden kandydat nie został zgłoszony, rada stwierdziła, że po czterech latach mojego zarządzania i całorocznej współpracy w pełni aprobuję moją kandydaturę. W wyborach uzyskałem 93% głosów, czyli mocny mandat.

Nowa ustawa otworzyła możliwość zmian w strukturze uczelni, jednak w gdańskiej ASP wydziały zostały zachowane.

Stwierdziliśmy, że wydziały są istotne – nadal mają swoją niezależność i środki na prowadzenie działalności. Wydziałami kierują dziekani, skorzystałem jednak z zapisu, że dziekani są moimi pełnomocnikami, których powołuję osobiście, a odwołani mogą być po zaopiniowaniu przez radę programową wydziału. Wprowadziliśmy prodziekanów do spraw kierunków kształcenia i kierowników katedr, struktura wydziałowa została

więc zachowana, z wyłączeniem rad wydziałów. Powstały rady programowe kierunków, powołaliśmy także radę naukową ds. stopni w dziedzinie sztuki.

Ustawa przyznała rektorowi duże kompetencje, między innymi odpowiedzialność za politykę kadrową. Rektor kreuje kryteria oceny okresowej pracownika także pod kątem jego działalności związanej z ewaluacją. Jest to bardzo istotne: od ewaluacji będzie zależało to, czy uczelnia utrzyma poziom akademicki, czy spadnie na poziom zawodowy i nie będzie mogła prowadzić szkoły doktorskiej. Taki scenariusz grozi potencjalnie każdej uczelni i rozumiem, że rektor powinien mieć większą siłę sprawczą, nie rozmywać odpowiedzialności, cedując ją na struktury wydziałowe czy na dziekanów.

Cieszę się, że dużo spraw spłynęło na rady programowe, które opiniowały kandydatów na dziekanów i prodziekanów do spraw kierunków, społeczność akademicka nie odczuła więc, by odebrano jej siłę sprawczą.

Na gdańskiej ASP prowadzimy jeden wydział stricte projektowy – architektury wnętrz i wzornictwa – oraz wydziały z kierunkami przypisanymi dawniej do dziedziny sztuk pięknych. Obecnie ewaluacja i parametryzacja nie dotyczą wydziałów tylko całej uczelni. Ma to swoje dodatnie strony i pozwala zakopać „topór niechęci” pomiędzy wydziałami projektowymi i artystycznymi. Padały stwierdzenia, że nazwa uczelni nie uwzględnia części projektowej i trzeba ją zmienić na Akademię Sztuk Pięknych i Projektowania, czyli po angielsku Academy of Fine Arts and Design. Na przeszkodzie tej zmianie stały kwestie proceduralne. Uważam jednak, że sztuki piękne i dziedziny projektowe są sobie bardzo bliskie – obraz powieszony na ścianie do facta wyposaża wnętrze, a designerskie krzesło może być niezależnym dziełem sztuki.

To, że akademie sztuk pięknych prowadzą także kierunki projektowo-artystyczne, jest obecnie normą.

Tak, ale trudno było przekonać do rezygnacji ze zmiany nazwy. Projektanci są pragmatyczni, muszą sprzedawać swoje projekty, więc mówią: „wy artyści bujacie w obłokach i możecie robić rzeczy, których nikt nie kupi”.



Fot. Bartosz Ziłkowski



Fot. Tomasz Kwiatkowski

Dyplomy 2018 ASP w Gdańsku Wpis ukończony

Obecnie, ze względu na ewaluację, wszyscy pracownicy są tak samo traktowani i nasze cztery wydziały: architektury wnętrz i wzornictwa, malarstwa, grafiki oraz rzeźby i intermedii, zaczynają już zupełnie inaczej ze sobą współpracować. Nie jest tak, że „moja chata z kraja”, musimy spojrzeć na sąsiada, bo konsekwencje jego osłabienia poniesie cała uczelnia. U nas na szczęście wszystkie wydziały mają podobny potencjał, wszystkie uzyskały kategorię parametryczną A i nie było tego „gorszego brata”. Oczywiście Wydział Architektury Wnętrz i Wzornictwa ma najwięcej pracowników i studentów, ale można powiedzieć, że pozostałe trzy wydziały równoważą to w jakiś sposób, przy wzajemnym poszanowaniu specyfiki.

Jak pan ocenia przekazanie przewodów doktorskich i postępowań habilitacyjnych uczelnianej radzie naukowej ds. stopni w dziedzinie sztuki?

Kiedyś przewody i postępowania odbywały się w wąskich radach ekspertów. Teraz, w przypadku rady naukowej, o habilitacji artysty, który reprezentuje na przykład malarstwo czy intermedia, może decydować projektant – architekt wnętrz albo wzornik i vice versa. Obawialiśmy się, że rada naukowa składająca się z przedstawicieli wielu dyscyplin może stanowić problem, jednak tak się nie stało. Mam odpowiedzialnych pracowników. Uczulałem radę na niebezpieczeństwo wyrażania krzywdzących opinii przez osoby, które nie są fachowcami w danej dyscyplinie. Lepiej zaufać kolegom i koleżankom reprezentującym tę właśnie dyscyplinę, ewentualnie zasięgnąć ich opinii. Taka sytuacja ma u nas miejsce.

A jak uczelnia poradziła sobie z organizacją zajęć w czasie epidemii?

Stwierdziliśmy, że biorąc pod uwagę priorytet zdrowia i życia pracowników, lepiej prowadzić zajęcia on line, co jest bardzo trudne w przypadku pracowni, w których mamy do czynienia z warsztatem i dostępem do narzędzi. Założyliśmy jednak, że to będzie rok eksperymentalny, więc warto trochę zmodyfikować program i nie zapraszać na uczelnie studentów

poza rocznikami dyplomowymi. Wszyscy nauczyciele akademicy nawiązali kontakt ze studentami. Prowadzili zajęcia, korzystając z różnych platform cyfrowych i z możliwości przesyłania plików w pdf-ach. Oczywiście taka sytuacja nie jest idealna dla społeczności artystycznej, gdzie ważny jest bezpośredni kontakt z wykładowcą i konsultacje w niewielkich grupach. Obecnie działamy hybrydowo. Studenci lat dyplomowych mogą brać udział w konsultacjach i – gdy jest to wskazane – realizować prace na terenie uczelni. Z tego powodu bardzo cieszy mnie decyzja ministra Piotra Glińskiego, który umożliwił warunkowe otwarcie uczelni po 25 maja, o co zresztą wystąpiła Konferencja Rektorów Uczelni Artystycznych. Oczywiście wszyscy musimy przestrzegać szczegółowego regulaminu opracowanego na czas epidemii.

Czy w związku z epidemią został zmieniony termin egzaminów dyplomowych?

Przyjęliśmy założenie, że nie może być tak, aby dyplomy, zwłaszcza magisterskie, były dyplomami „pandemicznymi”, a my przymknijemy oko na ich jakość. Student musi przedstawić dyplom kompletny i dobrze wykonany. Żeby nadrobić dwa i pół miesiąca lockdownu, wyznaczyliśmy termin egzaminów dyplomowych na początek października i termin rezerwowego w pierwszej połowie listopada. Dyplomy licencjackie zostaną obronione z końcem sierpnia i na początku września, a ponieważ większość uczelni artystycznych w Polsce będzie robić rekrutację na drugi stopień we wrześniu, więc wszyscy powinni zdążyć.

Na początku pierwszej kadencji za jeden z priorytetów uznał pan wzmocnienie współpracy międzynarodowej.

Wówczas widzieliśmy dwie możliwości: rozbudowę programu Erasmus Plus poprzez znalezienie większej liczby partnerów i organizację kształcenia komercyjnego w języku angielskim. Jestem bardzo zadowolony, bo podwoiliśmy liczbę uczelni, z którymi mamy podpisane umowy – w tej chwili jest to prawie sto uczelni w Europie i na świecie. Otrzymujemy dużo wniosków od kandydatów, którzy chcą u nas studiować albo nawet

pozostać na kolejny semestr. Wielu naszych studentów wyjeżdża za granicę, choć jest taka tendencja, że wybierają cieplejsze, bardziej atrakcyjne turystycznie destynacje i to generalnie dotyczy wszystkich uczelni w Polsce. Mieliśmy pomysł na organizację zajęć komercyjnych dla studentów z Chin, ale okazało się, że o ile w przypadku sztuk muzycznych można prowadzić współpracę, to jednak nie ma zbyt wielu chętnych na kształcenie w zakresie sztuk plastycznych, więc projekt upadł.

Wzięliśmy natomiast udział w konkursie, który organizowała NAWA i uzyskaliśmy półmilionowy grant na zwiększenie kompetencji językowych, interpersonalnych i organizacyjnych przydatnych we współpracy z zagranicą. Jesteśmy w trakcie realizacji tego projektu. Zapraszamy wykładowców z zagranicy, nasi też wyjeżdżają, wymieniamy projekty wystawiennicze i artystyczne z innymi ośrodkami; w zeszłym roku mieliśmy świetną wystawę grafiki chińskiej. Nie fetyszyzowałbym jednak umiędzynarodowienia. Ono jest uwzględniane w pewnych współczynnikach, na podstawie których finansuje się uczelnie, ale na pewno uczelnia publiczna, która prowadzi studia stacjonarne, nie uzyska takiego współczynnika jak na przykład Akademia Leona Koźmińskiego, w której 60% studentów to studenci zagraniczni. W przypadku uczelni publicznych należy dążyć do wskaźnika na poziomie 15%. W związku z sytuacją epidemiczną już dwie uczelnie – jedna z Hiszpanii i jedna z Irlandii – poinformowały nas, że zawieszają program wymiany. My też uważnie śledzimy rozwój sytuacji. Wydałem zarządzenie, na razie dosyć wstrzemięźliwe, o zakazie wyjazdów za granicę do 30 czerwca. Nie wiem, jaka będzie sytuacja epidemiczna w konkretnych krajach, a mam informację, że w ramach Erasmusa Plus część naszych studentów chciałaby odbyć praktyki w sierpniu, o ile to będzie możliwe. Wielu studentów z zagranicy nie chciało wracać do swoich krajów, gdyż czuło się u nas bezpiecznie. Myślimy o podtrzymaniu współpracy, ale o tym będą decydowały warunki i możliwości.

Spośród innych priorytetów wymienię powołanie nowych kierunków, które wykluczyłyby się z dotychczasowych specjalności, jak na przykład animacja prowadzona obecnie na wydziale grafiki. Są też pomysły, aby z grafiki wydzielić grafikę

projektową i grafikę warsztatową – artystyczną. Na wydziale rzeźby jest specjalność fotografia, która może stać się kierunkiem, a na wydziale malarstwa myślimy o nowym kierunku – sztuka w przestrzeni publicznej. Musimy jednak mierzyć siły na zamiary, chodzi o możliwości infrastruktury, możliwości finansowe i kadrowe. Chcielibyśmy także dobrze przejść ewaluację. Jako jedna spośród trzech uczelni artystycznych w Polsce powołaliśmy szkołę doktorską. Jest to duże obciążenie finansowe, ale uważam, że uczelnia z profilem ogólnoakademickim powinna mieć doktorantów.

Na początku poprzedniej kadencji miałem ambicje uzyskania dużej niezależności w stosunku do subwencji ministerialnej poprzez pozyskanie wpływów ze środków komercyjnych. Mamy sporo przestrzeni, na przykład piwnice o powierzchni 1000 m² pod Wielką Zbrojownią z pięknymi siedemnastowiecznymi sklepieniami. Nie możemy tam prowadzić dydaktyki, ale nic nie stoi na przeszkodzie np. działalności restauracyjnej. Sytuacja epidemiczna spowodowała jednak tymczasową weryfikację tych planów.

Akademia Sztuk Pięknych nie jest korporacją, która ma odpowiadać na zmienne zapotrzebowanie społeczne. Mamy misję: działamy w obszarze edukacji artystycznej, ale jesteśmy też instytucją kultury, organizujemy wystawy, które są konkurencyjne w stosunku do wystaw w galeriach czy muzeach miejskich.

Rzeczą dla mnie zasadniczą jest postrzeganie uczelni jako wspólnoty. Ponieważ wcześniej kierowałem dużym obszarem administracji, rozumiem problemy osób, które pracują w dziale księgowości, kadr czy analiz ekonomicznych. W programach wielu kandydatów na rektorów jest postulat ograniczenia biurokracji do minimum. Postulat interesujący, ale ponieważ mamy do czynienia z dziedziną finansów publicznych, często nie do zrealizowania w takim zakresie, jak proponują kandydaci. Jestem zwolennikiem pracy zadaniowej. Zdecydowałem się na skrócenie czasu pracy w administracji do siedmiu godzin i wprowadziłem taki zapis do nowego regulaminu pracy. Ten system się sprawdził, zadania są wykonywane i wszyscy są zadowoleni.



Fot. Anna Janay

Recycled – wystawa studencka ASP w Gdańsku



Wystawa końcoworoczna – malarstwo, ASP w Gdańsku

Fot. Halina Maljevska

Wyciągnąłem także wnioski z poprzedniej kadencji i każda osoba, która uzyskała habilitację, otrzymuje automatycznie awans na stanowisko profesora ASP. Nowa ustawa odblokowała takie rozwiązania. Wcześniej mój kolega, będąc adiunktem i zarazem kierownikiem katedry, czekał na to stanowisko około 15 lat. W przypadku doktoratów cezura wynosi trzy lata. Ponieważ wiąże się to ze zwiększeniem wynagrodzenia, pracownicy mogą mieć większą satysfakcję. Umiejętność zarządzania zespołem polega także na tworzeniu dobrej atmosfery pracy.

Jakie jest miejsce malarstwa w gdańskiej ASP?

Dziękuję za to pytanie. W zakładaniu gdańskiej ASP, która w tym roku obchodzi 75-lecie, brali udział wybitni malarze, jak chociażby Artur Nacht Samborski. Zaproszono tu znakomitych artystów: Tadeusza Piotra Potworowskiego, Juliusza Studnickiego, Aleksandra Kobzdeja. Po wojnie do Gdańska przyjechali wykładowcy z Wilna, Lwowa i z krakowskiej ASP. Wykształcili takich artystów jak Władysław Jackiewicz, były rektor, czy Kiejstut Bereznicki. Kierunek malarstwo miał mocną pozycję, wielu rektorów było malarzami, wykładowcy odgrywali dużą rolę, byli zaangażowani w różne kolegia i grupy eksperckie. Był taki moment, że mieliśmy wspólny Wydział Grafiki i Malarstwa, ale gdy graficy się odłączyli, doszło do perturbacji organizacyjnych i wydział stracił uprawnienia do postępowania habilitacyjnych. Miałem wtedy rozpocząć habilitację i musiałem trochę odczekać. Z czasem jednak oba wydziały okrzepły i stały się mocne. Pomimo popularności nowych kierunków obserwujemy niesłabnące zainteresowanie kandydatów kierunkiem malarstwo.

Czy malarstwo jako przedmiot jest obecne na kierunkach projektowych?

Na tych kierunkach są opracowywane niezależne programy studiów. Liczba godzin przedmiotów artystycznych została w nich zmniejszona na rzecz zajęć strictly projektowych. Na architekturze i wzornictwie jest fakultatywna pracownia malarska i rysunkowa, studenci mogą wybierać również pra-

cownie artystyczne na pozostałych kierunkach reprezentujących sztuki piękne. Osobiście uważam, że dobry projektant nie musi dobrze malować czy rysować, ale i tak jesteśmy ewenementem, bo u nas student wzornictwa potrafi wziąć kartkę papieru i narysować np. smartfon, a studenci z ważnych uczelni artystycznych w Europie często nie potrafią, bo nikt od nich tego nie wymaga. Jeśli nie mają laptopa z zasilaniem, to nie są w stanie przekazać swojej wizji potencjalnemu klientowi. Tymczasem rysunek jest wykładnią tego, co myślimy, malarstwo z kolei uczy rozróżniania pewnych subtelności związanych z obszarem koloru. Oczywiście są różne książki zawierające przykłady łączenia kolorów, harmonii, może z nich skorzystać nawet daltonista, gdy odczyta podane numery. Co innego jednak, jeśli się samemu maluje – takie działania na pewno świetnie przełożą się na doświadczenia projektowe.

Chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę, nie do końca przewidzianą w ustawie. Rektor, który musi być pełnoprawnym menedżerem, nie jest zwolniony z obowiązków dydaktycznych, artystycznych i naukowych. Ograniczając swoją aktywność, odczuwam dyskomfort, jestem jednak człowiekiem na tyle dojrzałym, że dokonałem wyboru i wolę być lepszym rektorem zarządzającym uczelnią niż aktywnym artystą czy dydaktykiem. Mam nadzieję, że po ośmioletniej przerwie będę w stanie powrócić do aktywności artystycznej. Jeżeli angażujemy się artystycznie, dydaktycznie, naukowo, to nie poświęcimy czasu na zarządzanie uczelnią, nie przeanalizujemy wszystkich wariantów, nie przeczytamy wszystkich dokumentów, na podstawie których możemy wysnuć odpowiednie wnioski. Nie podjąłbym się roli rektora, gdybym musiał ograniczyć swoją funkcję do spraw reprezentacyjnych. Cieszy mnie, że w jakimś sensie kontynuuję drogę poprzedników. Czasami, na początku kadencji, oceniałem ich decyzje krytycznie, a potem zobaczyłem, że pracując w określonych warunkach i sytuacji zewnętrznej, nie mogli decydować inaczej. Szacunku nie da się uzyskać poprzez samą funkcję, tylko poprzez decyzje.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Marek Misiak

W obiegu zamkniętym

Brys: Sławomir Makal

Jeżeli niespecjaliści będą konsekwentnie zniechęceni do szukania konsultacji fachowców, to faktycznie przeciętny poziom poprawności językowej będzie się obniżał, gdyż język nie jest w pełni samoregulującym się mechanizmem.

Mogłoby się wydawać, że gdy zasiądziemy w gronie ludzi z podobnej jak my branży – naukowej lub zawodowej – powinniśmy się czuć znakomicie. Podobne problemy, zrozumienie natury naszej pracy i zawodowego żargonu, którym się posługujemy. Nie bez powodu wiele osób małżonka czy partnera poznaje w pracy, nie tylko dlatego, że tam nawiązują relacje społeczne, ale też z racji wielu wspólnych tematów. W edytorskiej profesji taka wspólnota jest odczuwalna zwłaszcza przy naukowych wydarzeniach branżowych. Jeśli ktoś nie ujawni rażącej niekompetencji, atmosfera jest bardzo pozytywna; rzadko zauważyć można przejawy rywalizacji czy udowadnianie jeden drugiemu, kto jest mądrzejszy (a jeśli nawet, to tonem żartu).

Tyle że w takich wydarzeniach uczestniczę kilka razy w roku, na co dzień zaś ze „środowiskiem” mam do czynienia raczej w cyberprzestrzeni (z wyjątkiem koleżanek i kolegów z pracy, ale tu się dobrze znamy, lubimy – tak, red. AR i red. AK, o was mowa). Mam na myśli przede wszystkim internetowe poradnie językowe (przede wszystkim tę działającą w ramach serwisu Słownika Języka Polskiego), fora branżowe i – o nich będzie tu mowa przede wszystkim – profile, strony i grupy w mediach społecznościowych. Z poradni korzystam, gdy mam wątpliwości co do wyboru poprawnego wariantu w języku polskim;

z forów tematycznych – gdy mam takie wątpliwości w języku angielskim lub niemieckim (na Zachodzie preferowana jest raczej ta forma zamiast bardziej sformalizowanej poradni) oraz gdy poszukuję nowych zleceń redakcji/korekty/przekładu w celu załatwienia domowego budżetu. Media społecznościowe przeszukuję zaś głównie po to, by ogólnie poszerzyć wiedzę i zapoznać się z cudzymi doświadczeniami. Poruszane są tam często problemy, z którymi sam się jak dotąd nie zetknąłem lub w ogóle nie miałem świadomości ich istnienia, a które są i ważne, i ciekawe. Już szereg razy omal nie zakrzusilem się kawą, gdy surfując w chwili przerwy od pracy po którejś z facebookowych stron poświęconych kulturze języka, zorientowałem się, że sposób mówienia lub pisanie, który wydawał mi się w stu procentach poprawny, wcale taki nie jest. Przyszna, trochę podnosi mi się wtedy ciśnienie, ale jestem zły wyłącznie sam na siebie, że nie wychyciłem.

Używanie wiedzy do upokarzania innych

Tak jest, dopóki czytam posty, gdy jednak przychodzi do komentarzy, następuje przejście z cieplarni do amazońskiej dżungli. Nie jesteśmy już w Kansas, Dorotko. To właśnie tu znajduje się owa Kraina Oczywistości. Zasada jest dokładnie odwrotna niż w szkole. Zarówno w podstawówce, jak i w liceum

zachęcano nas do zadawania pytań i samodzielnych poszukiwań, przede wszystkim mówiąc nam, że nie ma głupich pytań, są tylko głupie odpowiedzi. Tymczasem w mediach społecznościowych właściwie każde pytanie jest głupie, bo albo odpowiedź jest oczywista i jak można tego nie wiedzieć, albo jest to problem o zerowym znaczeniu i jak można zwracać tym głowę zabiegającym ludziom (skoro są tacy zalatani, to co robią na „feju”, walczą o lepszy świat?). Takie podejście zniechęca szczególnie laików, którzy chcieliby się czegoś dowiedzieć, a nie chcą bazować na (często wzajemnie sprzecznych) wynikach wyszukiwania w internecie (a o istnieniu poradni często nawet nie wiedzą). Użyję mocnego sformułowania: moim zdaniem stanowi to zaprzeczenie powołania edytora i polonisty w ogólności. Jego rolą powinno być upowszechnianie wiedzy o poprawnym (a nawet pięknym) mówieniu i pisaniu, a nie stosowanie tej wiedzy do poniżania maluczkich. Używanie jakiegokolwiek wiedzy naukowej do upokarzania innych jest nadużyciem, wykorzystaniem czegoś dobrego w złym celu. Taki laik może o nic już więcej, jeśli chodzi o kwestie poprawnościowe, nie spytać, bo nikt nie lubi, gdy mu się sugeruje deficyty intelektualne. Wówczas tacy komentatorzy będą mogli ze spokojnym sumieniem nadal narzekać w swoim gronie (i nawet nie mijać się zbytnio z prawdą) na ogół Polaków komunikujących się w (ich zdaniem) języku niby-polskim (language remotely similar to Polish). Jeżeli niespecjaliści będą konsekwentnie zniechęceni do szukania konsultacji fachowców, to faktycznie przeciętny poziom poprawności językowej będzie się obniżał, gdyż język – wbrew tezm leseferystów-amatorów, najczęściej nie-filologów – nie jest w pełni samoregulującym się mechanizmem.

Wśród komentujących pokazną grupę stanowią też osoby, niekiedy z branży ani nawet z humanistycznym wykształceniem, które post lub artykuł o dowolnym typie błędów komentują stwierdzeniami, jak bardzo mierzą ich takie transgresje (znów: tak oczywiste, że nie warto nawet tego wyjaśniać) i jak bardzo tracą w ich oczach osoby ich się dopuszczające. Kilka lat temu dość szerokim echem odbiła się w branży dyskusja (prowadzona w wielu miejscach cyberprzestrzeni) wokół rozpoczynania e-maili formułą „witam”. Tak, jest to stylistycznie niepoprawne i ja sam nigdy tak nie robię, ale byłem autentycznie zdumiony, gdy cały szereg pracowników naukowych różnych specjalności pod nazwiskiem pisało, że... nie odpisują studentom na tak zaczynającą się korespondencję, a nawet – poza formułą otwierającą – w ogóle jej nie czytają. Studiowałem uważnie te deklaracje, mając nadzieję, że wykryję w nich ukryty sarkazm lub retoryczną przesadę, na które być może jestem zbyt mało uciążliwy. Ale nie, ci ludzie ewidentnie pisali serio, co więcej – uważali swoją postawę za objaw niezłomnych zasad.

Użyję teraz najmocniejszego sformułowania w całym tym tekście. Taka postawa ma w języku polskim, o którego czystość tak dbają, swoją nazwę: małostkowość. Rozpoczęcie e-maila od „witam” to wykroczenie przeciw etykietce językowej, ale niezaskzczenie oficjalnej (!) korespondencji od studenta odpowiedzią to zwykła arogancja, która wydaje mi się problemem znacznie poważniejszym niż niepełna znajomość polskiej etykiety językowej. Natomiast w szerokim społecznym odbiorze dbałość o językową poprawność zaczyna się kojarzyć z małostkowym czepialstwem i poczuciem wyższości na pograniczu klasizmu (przy czym tym razem chodzi o tych znających tajniki poprawnej polszczyzny vs resztę). Uważający się za strażników poprawności, aktywni w mediach społecznościowych ironiści funkcjonują wówczas w obiegu zamkniętym, charakterystycznym raczej dla uprawiania nauki niż jej popularyzacji – wzajemnie sobie potakują, podczas gdy świat wokół omija ich na odległość rzutu sznyderą. Sam nigdy nie poprawiam innych

niepytany, a zapytany staram się za wszelką cenę unikać belferskiego tonu, który miałby wszelkie cechy zboczenia zawodowego (zwłaszcza że dla wielu Polaków każdy filolog to wciąż z definicji z zawodu nauczyciel). Dzięki temu jest szansa, że spytają kolejny raz.

Zawsze mnie uczono, że...

Najbardziej twórcze wydają mi się komentarze zaczynające się od „A mnie się zawsze wydawało, że...”. Jeśli ktoś jest zaskoczony i zdziwiony, to wyrażenie tego zdziwienia czy wręcz polemika są bardzo cenne – to nie carska administracja, gdzie należy wyłącznie słuchać, milczeć i nie roztrząsać. Ale właśnie, polemika i szermierka słowna to nie to samo. Nawet jeśli uznamy, że złośliwość jest cechą ludzi inteligentnych (nie zgadzam się z tym twierdzeniem, ale to moje zdanie), jest ona czymś wyraźnie różnym od arogancji czy poczucia wyższości.

Charakterystyczne jest to, że znakomita większość komentarzy zawierających autorytatywne stwierdzenia nie popiera tych dyrektywnych sformułowań żadnym źródłem poza „ja...” lub „moim zdaniem”. Żadnego linka do odpowiedzi z poradni internetowej, hasła słownikowego – nic. Jeśli ktoś już się na coś powołuje, to częściej na „zawsze mnie uczono, że...” niż na wypowiedź Mirosława Bańki, Andrzeja Markowskiego, Jerzego Bartmińskiego czy Jana Miodka (w kwestiach czysto edytorskich ich odpowiednikiem byłby chyba Adam Wolański). Biada natomiast mnie samemu, jeśli powołam się na swoje doświadczenie zawodowe. Dowiem się wówczas, że a) pracuję w garażowym wydawnictwie, b) to, że tacy jak ja pracują w branży, jest dowodem na jej upadek, względnie c) Amerykanie i Niemcy nie mają zielonego pojęcia o czymkolwiek, a ja jestem jednym z nich i jak mi się nie podoba, to droga za Odrę/ocean wolna. Bywa, że faktycznie czuję się bezpieczniej wśród Niemców czy Amerykanów, bo żaden z tych języków nie jest moją mową ojczystą i choć cały czas się ich uczę (i będę się uczył do końca życia), pogodziłem się z tym, że cały czas popełniam zauważalne dla native speakerów błędy. Być może w miarę szlifowania znajomości danego języka stają się one subtelniejsze, ale wciąż się zdarzają. Po prostu nie mam pretensji do mówienia po angielsku jak nowojorczyk, a po niemiecku jak berlińczyk.

Wyraźna jest różnica między stronami czy grupami poświęconymi poprawności językowej i zagadnieniom typowo edytorskim. Na tych drugich atmosfera jest wyraźnie przyjaźniejsza i bardziej merytoryczna (a tam także trafiają się laicy, np. przygotowujący prace doktorskie lub wewnętrzne publikacje firmowe, którym zależy na możliwie profesjonalnej ich formie). Znacznie częściej jest tu powoływanie się na źródła, a i doświadczenie zawodowe jest traktowane poważniej (choć nie czolobitnie). Na stronach lub w grupach typowo korektorskich jest już w moim odczuciu nieco gorzej. Na niektórych z nich część komentarzy jest niebezpiecznie podobna do tych z grup „poprawnościowych”.

Niektóre takie strony i grupy śledzą w mediach społecznościowych tysiące osób. Jako redaktora uprawiającego swój zawód nie w ramach pokuty za grzechy w poprzednich wcieleniach bardzo mnie to cieszy, ale jeśli nadal dyskusja na wielu z nich będzie się odbywała w takim klimacie, wielu odbiorców zacznie je traktować jako „michałki”, gdzie mogą dla rozrywki poczytać, jak jeden drugiemu ubliża, a nie dowiedzieć się czegoś na temat wyrafinowanej polszczyzny. Na tym popularyzacja kultury języka także nie polega, a jeśli kultura języka i kultura osobista mają stanowić zbiory w znacznej mierze rozłączne, to tym bardziej.

Za inspirację do powstania tego tekstu dziękuję Alicji Berk z koła naukowego Fast Book na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

W stronę wartości

„Strategia rozwoju Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II na lata 2020-2025” to dokument, który uczelnia przyjęła m.in. w związku z wymogami, jakie nakłada ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. O szczegółach nowych rozwiązań informuje „Przegląd Uniwersytecki” (nr 2-3/2020).



Jak się dowiadujemy, zaplanowane zmiany mają być realizowane w kilku obszarach działalności. Wśród priorytetowych zadań do wykonania znalazło się miejsce dla poprawy jakości prowadzonych badań, stałego podnoszenia jakości publikacji, a także tworzenia międzynarodowych zespołów badawczych. Podejmowane aktywności odbywać się mają przy poszanowaniu i zachowaniu

tożsamości KUL, jako uniwersytetu o katolickich charakterze, którego dewizą jest zawołanie „Deo et Patriae” (Bogu i Ojczyźnie). Dochowanie wierności hołdowanym wartościom znalazło odzwierciedlenie w stosownych zapisach umieszczonych w strategii. Wskazują one wyraźnie na katalog norm i zachowań, których przestrzeganie wymaga się od wszystkich osób związanych z uczelnią. Intencją twórców nowoprzyjętego dokumentu było to, aby dokonywanie niezbędnych zmian odbywało się na drodze ewolucji, a nie rewolucji. Wybór takiej ścieżki umożliwi modyfikację wyłącznie tych obszarów, które tego wymagają, przy jednoczesnym zachowaniu status quo uczelni w jej fundamentalnym wymiarze. Wytyczne zamieszczone w dokumencie traktować więc można jako rodzaj wskazówek niezbędnych do przeprowadzenia pełnego procesu zmian.

Nowa strategia została tak przygotowana, by pełnić rolę dokumentu o charakterze utylitarnym, nie stworzonym wyłącznie po to, by wypełnić ustawowe wymogi. Stąd wynika fakt, że dużą uwagę przykładac się będzie do monitorowania stanu wdrażania poszczególnych zapisów oraz ewaluowania kolejnych etapów realizacyjnych.

Realna szansa rozwoju

Co zrobić, by młodzi naukowcy wybierali uczelnię jako miejsce swojej zawodowej kariery i nie opuszczali jej murów zaraz po studiach, by znaleźć zatrudnienie w innych sektorach gospodarki? Trzeba zapewnić im dobre warunki do pracy i rozwoju, to wydaje się oczywiste. Jak jednak dokonać tego w praktyce?



Remedium mają stanowić szkoły doktorskie. To zupełnie nowe na rodzimym rynku edukacyjnym rozwiązanie wprowadzone zostało zapisami Konstytucji dla Nauki. Powstała inicjatywa stwarza możliwości dla wszystkich, także dla tych, którzy do tej pory wahali się, czy wkroczyć na

ścieżkę naukowego awansu. Za atuty wprowadzonego modelu kształcenia uchodzić może z pewnością, w przeważającej części, bezpłatny dostęp do zajęć, a także gwarancja wynagrodzenia. Znika w ten sposób przeszkoda w postaci niskich, a przez to mało zachęcających stypendiów, których dodatkowo udzielanie odbywało się często na warunkach konkursowych.

Nowe rozwiązanie ma przynieść korzyść nie tylko naukowcom. O ile oni bowiem będą mogli skupić się na prowadzeniu badań, o tyle szkoła wyższa uniknie problemu dublowania się dyscyplin, te bowiem, zgodnie z Ustawą 2.0, przypisane zostały do uczelni, a nie do poszczególnych wydziałów. Trzeba przy okazji zaznaczyć, że do momentu, kiedy obecnie działające rozwiązania nie wygasną, czyli do 31 grudnia 2023 r., kształcenie doktorantów odbywać się będzie równolegle na dwóch ścieżkach.

Zainteresowanych większą ilością szczegółów, a szczególnie wdrażaniem nowych zapisów na Politechnice Gdańskiej, odsyłamy do lektury „Pisma PG” (nr 7/2019). Jak wynika z opublikowanego tekstu, uczelnia prowadzić będzie Szkołę Doktorską wspólnie z dwoma jednostkami Polskiej Akademii Nauk: Instytutem Maszyn Przepływowych oraz Instytutem Budownictwa Wodnego, gwarantując kształcenie w obrębie nauk społecznych, nauk ścisłych i przyrodniczych oraz nauk inżynieryjno-technicznych, łącznie w dwunastu dyscyplinach. Wszyscy chętni przyjmowani będą, po pierwsze w ramach rekrutacji standardowej, po drugie zaś akcyjnie, na zasadach rekrutacji specjalnej.

Dalekosiężne plany

Przez 4 lata Akademia Morska w Szczecinie wprowadzać będzie w życie Projekt Akademia Przyszłości. W ramach tego przedsięwzięcia o charakterze dydaktycznym przewidziano



kilka zadań do realizacji. Na przedmiotowej liście znalazło się otwarcie drugiego stopnia studiów na kierunku oceanotechnika, a także utworzenie nowych specjalności na kierunkach informatyka i logistyka. Są to, odpowiednio, programowanie systemów multimedialnych oraz logistyka turystyki wodnej. Ta ostatnia jest, warto dodać, unikatową specjalnością w skali kraju. W programie studiów

znalazły się zagadnienia związane m.in. z budową jednostek pływających, marin, portów oraz terminali pasażerskich. Założenia Akademii Przyszłości przewidują także staże dla absolwentów kończących studia w 2023 r. na kierunku zarządzania i inżynieria.

Ostatnim, co nie znaczy mniej ważnym oczywiście punktem wdrażanego projektu, jest informatyzacja uczelni, oznaczająca w tym przypadku kontynuację zakupów nowoczesnych systemów potrzebnych do prowadzenia i organizowania zajęć dydaktycznych.

Aby uzyskać więcej informacji na temat całego przedsięwzięcia, sięgnąć trzeba do uczelnianego magazynu „Akademickie Aktualności Morskie” (nr 3/2019).

Aneta Zawadzka

Dorota Korwin-Piotrowska

Dlaczego potrzebujemy eutyryki?

Celem wartościowej rozmowy, sprzyjającej lepszemu wzajemnemu poznaniu i zrozumieniu, nie jest doprowadzenie do sytuacji, by się we wszystkim z kimś zgadzać, bo to niemożliwe i niepotrzebne, lecz by wzmacniać umiejętność współbycia z innymi, aby – na ile to możliwe – wytwarzać międzyludzkie pogranicze.

Eutyryka w przyjętym przeze mnie znaczeniu jest częścią retoryki, taką jej odmianą, która z założenia ma służyć wzajemnemu zrozumieniu, pozostawaniu w wartościowym dialogowym kontakcie. W tytule mojej książki *Eutyryka. Rzecz o dobrej (roz)mowie* użyta jest gra słów, która wymaga wyjaśnienia. Dobra mowa to, ogólnie rzecz biorąc, taki typ komunikowania się za pomocą języka, który odrzuca słowną przemoc bądź jednostronną dominację, bo nastawiony jest na to, co tworzy pogranicze pomiędzy różnymi osobami, stylami myślenia i funkcjonowania. Oznacza to powrót do etymologicznych korzeni komunikacji: łacińskie *communitas* to wszak „wspólność”, „poczucie łączności”, ale też „ludzkość, uprzejmość”, natomiast *communicare* to „uczynić wspólnym, połączyć”, ale też „użyczyć, udzielić, do udziału przypuścić, dać” (*Słownik łacińsko-polski. Według słownika Hermana Mengego i Henryka Kopii*, oprac. K. Kumaniecki, Warszawa, PWN, 1979, s. 101). Chodzi właśnie o takie „przypuszczenie do udziału” i nastawienie na to, by słowa nas prowadziły w kierunku „poczucia łączności”. Dobra rozmowa natomiast to nie po prostu każda wymiana zdań, lecz szczególny przypadek słownej interakcji, „dialog prawdziwy” (określenie Martina Bubera), a więc egzystencjalnie ważny, w którym zachodzi głębsze międzyludzkie spotkanie i następuje realizacja poczucia łączności. Dobra rozmowa zatem to wypadkowa odpowiedniego nastawienia osób oraz ich umiejętności zastosowania dobrej mowy. Takiej postawy oraz odpowiedniego działania można się nauczyć.

Podstawą eutyryki jest etyka słowa i jednocześnie świadomość zagrożeń płynących z traktowania wszelkich dyskusji i sporów w kategoriach wojny. Nie chodzi jednak jedynie o deklarowanie dobrych intencji, ale o konkretne zachowania i zabiegi słowne, które mogą pomóc w takim posługiwaniu się językiem, by nie tylko nie ranić odbiorcy i nie marnować czasu na słowną szermierkę, ale by rozmowa stawała się czasem owocnym, przynoszącym obu stronom satysfakcję. Co nie oznacza najwyżej, że ma być łatwa i przyjemna oraz zwieńczona ustępstwem bądź pełną zgodą. Przeciwnie, najczęściej wiąże się z wysiłkiem i pokonywaniem przeszkód oraz docho-

dzeniem do jakiegoś „protokołu rozbieżności”, ale jednocześnie jest ważnym doświadczeniem.

Książka o dobrej rozmowie

Powody, dla których konieczne stało się, moim zdaniem, utworzenie eutyryki, są co najmniej dwa. Pierwszy – to fatalny stan publicznych i prywatnych rozmów, debat, dyskusji i sporów. Widoczne jest sprowadzanie zagadnień do sytuacji zero-jedynkowych, stosowanie nieuzasadnionych uproszczeń, wybiórczych przykładów, etykietek, emocjonalnego szantażu, rezygnacja z zasad fair play, też naśladowanie kpiącego i niefrasobliwego tonu wielu programów rozrywkowych. W kontaktach dominuje chęć wyeksponowania siebie, „wygrania” za wszelką cenę każdego sporu, uzyskania przewagi w oczach obserwatorów. Wszystko to niezależnie od merytorycznych racji i wagi tematu, od aktualnej sytuacji, szerszego kontekstu, a także wrażliwości prowadzących dialog osób czy stanu wzajemnych relacji. W mediach wzrasta przyzwolenie na manipulowanie oponentem i słuchaczami lub widzami, stosowanie rozmaitych socjotechnicznych sztuczek, tendencyjne zestawianie informacji i celowe pomniejszanie bądź powiększanie ich wagi, robienie osobistych przytyków, rozkręcanie emocji. Promuje się łączenie elokwencji z nieustępliwością i słowną agresją. Niezgoda na ten stan rzeczy oraz chęć konstruktywnego działania prowadzącego do pokazania innych możliwości leżały u podstaw napisania książki o dobrej (roz)mowie.

Drugi powód to fakt, że wewnątrz retoryki brakuje teoretycznej i praktycznej przeciwwagi dla erystyki i związanych z nią publikacji, szkoleń, kursów. Erystyka, czyli sztuka wygrywania sporów za wszelką cenę, wywodzi się ze starożytnej sofistyki – retorycznej dziedziny zajmującej się dyskutowaniem i argumentacją, uczącej, jak z pomocą logicznych i paralogicznych wypowiedzeń móc efektywnie przekonać do każdej, dowolnie sformułowanej tezy. Podstawą erystyki jest umiejętność zastosowania forteli, w dużej mierze nielojalnych wobec partnera rozmowy (jak je kiedyś określił Tadeusz Kotarbiński), po prostu nieetycznych. Współcześnie rozwinięciem listy erystycznych zabiegów jest tzw. neurolingwistyczne programowa-

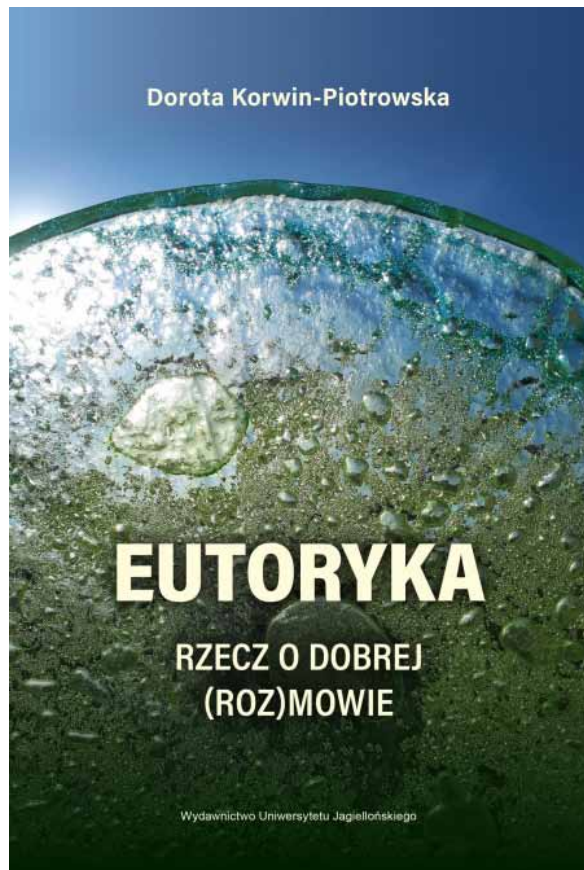
nie (NLP), wykorzystujące i popularyzujące wiedzę z zakresu językoznawstwa i psychologii do uzyskiwania dominacji nad innymi ludźmi, sterowania ich sposobem myślenia i wyborami dla uzyskania osobistych, praktycznych, a często też komercyjnych korzyści osoby oddziałującej. W życiu publicznym powszechne, choć skrętnie ukrywane, stają się też uwzględniające chwytły erystyczne i elementy NLP szkolenia z zakresu marketingu politycznego i technik manipulacji (działalność spin doktorów, rozmaitych specjalistów od białego i czarnego PR-u, propagandy, sterowania mową nienawiści). Retoryka jako sztuka posługiwania się słowem sprowadzona zostaje do bardzo niebezpiecznego, a jednocześnie szalenie zawężonego wymiaru.

Dopełnienie sztuki wymowy

Do tego dochodzi obserwacja z mojej akademickiej praktyki (od lat uczę poetyki i kompozycji z elementami retoryki). Kurs retoryki, obejmujący podstawowe działy, tj. inwencję, kompozycję, elokucję, mnemonikę i umiejętność wygłaszania oracji, pozostawia niedosyt, jeśli chodzi o możliwość współpracy z rozmówcą w trakcie komunikowania się i wzajemnego przekonywania. Zupełnie tak, jakby pozytywne oddziaływanie znajdowało się poza obszarem zainteresowań retoryki, choć wszyscy przecież używamy jej – i potrzebujemy – do takich celów. W moim przekonaniu niezbędnym współczesnym dopełnieniem antycznej „sztuki wymowy” jest interdyscyplinarna wiedza dotycząca języka i porozumiewania się ludzi, przede wszystkim z zakresu językoznawstwa i psychologii, jak również socjologii oraz filozofii. Wspomnieć tu jeszcze należy młodsze dziedziny, które swoją refleksją obejmują też funkcjonowanie mowy, takie jak antropologia, kognitywistyka czy komunikologia. Wiedza ta powinna być wykorzystana do rozwijania umiejętności retorycznych, nie tylko takich jak przemawianie, argumentowanie oraz dyskutowanie, ale też twórcze myślenie i znajdowanie nowych rozwiązań (kwestia heurystyki). Służyć może ona również do pracy z pamięcią, toposami i stereotypami, jak też do prowadzenia społecznego dialogu w formie mediacji, deliberacji bądź negocjacji. A ponadto – właśnie do uczenia wartościowej rozmowy sprzyjającej lepszemu wzajemnemu poznaniu i zrozumieniu. Celem takiej rozmowy, raz jeszcze podkreślimy, nie jest doprowadzenie do sytuacji, by się we wszystkim z kimś zgadzało, bo to niemożliwe i niepotrzebne, lecz by wzmacniać umiejętność współbycia z innymi, aby – na ile to możliwe – wytwarzać międzyludzkie pogranicze. Słowa są bowiem częścią naszego zachowania się, a od jakości posługiwania się nimi zależy w dużej mierze jakość kontaktu z innymi ludźmi i jakość egzystencji.

Retoryka stawia na sprawność

Oczywiście zawsze może powstać pytanie, czy nie wystarczy zastosowanie dotychczasowej retoryki do nowych celów. Jednak, zauważmy, cele przecież nie są nowe – od zawsze istniała potrzeba, a nawet konieczność prowadzenia wartościowych dialogów z innymi ludźmi. Tymczasem retoryka, jeśli chodzi o międzyludzką komunikację, co prawda od antyku deklarowała związek z etyką i dobrem (ustami m.in. Izokratesa, Aristotelesa, Cyserona czy Kwintyliana), ale w praktyce bardziej stawiała na sprawność w posługiwaniu się słowem, umiejętność sprytnego odbicia argumentów oponenta, trafność w doborze środków językowych. Jest to, oczywiście, bardzo przydatne i cenne, lecz niewystarczające z punktu widzenia rozwijania i podtrzymywania relacji. Wyraz ‘bene’, używany przy określaniu retoryki (ars bene dicendi – sztuka dobrego, czyli rzetelnego, pięknego mówienia, jak nazywano w przeszłości tę dziedzinę, nawiązując do słów Kwintyliana), odnoszony wszak był często nie tyle do kwestii etycznych, ile do trafności, czyli rzemiosła.



Rozumiano przez to wykorzystanie logiki, znajomość języka, reguł stylistycznej adekwatności i ozdobności oraz stosowanie prawideł kompozycji, aby wypowiedź była zarówno imponująca, jak i skuteczna. Zastanawiano się, jak wpływać na rozum, wolę i uczucia słuchaczy, by zyskać ich przychyłność. Ponadto część znanych mówców stawiała i stawia bardziej na rozmaite sztuczki, paralogizmy i manipulowanie słowami rozmówcy, stosowanie przesady itd., a więc zmierza w stronę sofistyki i erystyki w prowadzeniu wywodu oraz dyskutowaniu, przyciągając uwagę efektywnością swoich poczyną. Stąd dla wielu (choć niesłusznie) retoryka i sofistyka stały się pojęciami stosowanymi wymiennie, zaś erystyka postrzegana była jako ukoronowanie umiejętności retorycznych. Potrzebny jest więc nowy termin, aby wyraźnie zaznaczyć, że w proponowanej wersji retoryki inne są zarówno założenia, jak i wynikająca z nich praktyka, a przede wszystkim metody postępowania.

Zdegradowana przestrzeń komunikacyjna

Prezentowana książka omawia najważniejsze czynniki służące „dialogom prawdziwym” i budowaniu relacji, udzielaniu rozmówcy wsparcia: od przyjęcia właściwej postawy wobec interlokutora, przez m.in. aktywne słuchanie i używanie objaśnień czy parafraz, po stosowanie odpowiednich słownych zachowań (praca zawiera opis 41 zabiegów eutorycznych, które są działaniami sprzyjającymi dobrej rozmowie, wraz z przykładami możliwych zwrotów).

Eutoryka wpisuje się w cały rozbudowany nurt badań i publikacji z zakresu psychologii perswazji, socjologii komunikacji, pragmatyki i etyki słowa, również filozofii dialogu, wsluchuje się także w głosy psychoterapeutów, społeczników i pisarzy zatroskanych stanem rozmowy oraz międzyludzkich relacji. Wszystko to są krople, które – miejmy nadzieję – drążą skałę. Inna retoryka jest nam potrzebna dla nas samych, abyśmy mieli większą świadomość i lepsze narzędzia w porozumie-

waniu się z innymi ludźmi. A z punktu widzenia codziennej praktyki i społecznego dobra eutoryka jest wręcz konieczna. Jest zaproszeniem do rozwijania takiego sposobu myślenia, w którym to, co dzieje się pomiędzy ludźmi podczas rozmowy – i co stwarza tę sferę pomiędzy – jest ważniejsze niż efekt triumfatora, korzyść manipulanta czy egocentryczne popisy sztukmistrza albo radocha krzywdzącego innych hejtera.

Zaśmianie języka agresją, nienawiścią, złośliwością, manipulacją, chęcią poniżenia kogoś jest bowiem jak zaśmianie wspólnej przestrzeni. Wystarczy, by parę osób rzuciło na ziemię w jednym miejscu odpady – jak czasem bywa na poboczach, w przydrożnych rowach czy na działkach wyglądających na niczyje – a zrobi się tam zaniedbane terytorium, gdzie potem już wiele osób będzie pozbywało się śmieci. W rezultacie wszyscy, chcąc nie chcąc, zaczynają funkcjonować w przestrzeni częściowo zdegradowanej. W takiej zdegradowanej przestrzeni komunikacyjnej obecnie żyjemy, aktywnie w tym procesie uczestnicząc lub tylko biernie godząc się z tym stanem, co prowadzi do jej dalszego wyniszczenia. Tymczasem nawet

drobne zmiany zachowań mogą przyczynić się do polepszenia sytuacji. Język zależy od relacji międzyludzkich, a relacje od języka, są to zjawiska współzależne – dewastacja jednego pociąga za sobą dewastację pozostałych, natomiast uważność, troska i dbałość pomagają odzyskiwać utracone terytoria.

Termin eutoryka składa się z przedrostka greckiego eu-, który oznacza to, co dobre, oraz części wyrazu retoryka. Projekt eutoryki przedstawiam szczegółowo w książce: D. Korwin-Piotrowska, *Eutoryka. Rzecz o dobrej (roz)mowie*, Kraków, Wydawnictwo UJ, 2020. Słowo 'eutoryka' utworzyłam pierwotnie na użytek książki *Białe znaki. Milczenie w strukturze i znaczeniu utworów narracyjnych (Na podstawie polskiej literatury współczesnej)*, Kraków, Wydawnictwo UJ, 2015, s. 102-103.

Dr hab. Dorota Korwin-Piotrowska, prof. UJ, Katedra Lingwistyki Komputerowej, Wydział Zarządzania i Komunikacji UJ. Bada pogranicze literaturoznawstwa i lingwistyki, zajmuje się poetyką kognitywną, tekstologią i antropologią milczenia.

Książki nadesłane

Karol ŻOJDŹ, *Wszyscy ludzie króla. Zygmunt III Waza i jego stronnicy w Wielkim Księstwie Litewskim w pierwszych dekadach XVII wieku*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

Gajusz Pliniusz SEKUNDUS, *Historia naturalna. Tom II: Antropologia i Zoologia. Księgi VII-XI*, tłum. i oprac. Ireneusz Mikołajczyk, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

Wokół pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, męża stanu, wodza i bohatera narodowego, pod red. Aleksandra SMOLIŃSKIEGO i Jarosława DURKI, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2020.

Karl JASPERS, *Filozofia. Tom 1: Filozoficzna orientacja w świecie*, tłum. Mirosław Żelazny, red. nauk. Mirosław Żelazny i Roman Specht, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019, seria: Klasyka Filozofii.

Zdzisława PIĄTEK, *Eugenika. Zagrożenie czy nadzieja ludzkości?*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019, seria: Miniatury etyczne.

Piotr DOMERACKI, Marcin JARANOWSKI, Marcin T. ZDRENKA, *Sześć cnót mniejszych*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019, seria: Miniatury etyczne.

Akademicki program mentoringowy w praktyce, red. nauk. Piotr JAWORSKI, Krystyna MALIŃSKA, Agata ŻAK, Difin, Warszawa 2019.

Szanse i wyzwania dla polskich wydawnictw i czasopism naukowych, IPWC im. Marka Dietricha, Warszawa 2019.

Piotr CHOYNOWSKI, *Rzeczy drobne i zabawne*, red. nauk. Monika Gabrys-Sławińska, Aleksander Wójtowicz, oprac. Agnieszka Stańczak, Wyd. UMCS, Lublin 2019.

Ariel ORZEŁEK, *Poszukiwanie modelu realizmu politycznego. Myśl i publicystyka Aleksandra Bocheńskiego*, Wyd. UMCS, Lublin 2019.

Uniwersytet XXI wieku. Między uniwersytem Humboldta a uniwersytem badawczym, red. nauk. Jerzy Marian BRZEZIŃSKI, Tadeusz WALLAS, Wyd. Nauk. UAM, Poznań 2019.

Agnieszka KRAMKOWSKA-DĄBROWSKA, *Krasiński. Świadectwo*, Wyd. UŁ, Łódź 2020, seria: Projekt: Egzystencja i Literatura.

Janusz SKODLARSKI, *Religia a gospodarka. Judaizm – chrześcijaństwo – islam*, Wyd. UŁ, Łódź 2020, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Marvin CARLSON, *Teatr*, tłum. Krystyna Kujawińska Courtney i Anna Jędrzejewska, Wyd. UŁ, Łódź 2020, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Ludzie Księgi. Wokół wybranych zagadnień Wydawnictwa Jakuba Mortkowicza, pod red. Ewy JASKÓŁO-WEJ, Wyd. UŚ, Katowice 2020, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Krzysztof MATUSZEWSKI, *W zderzeniu z naturą – świętość Brata Alberta. Naturalne uwarunkowania życia duchowego świętego Alberta Chmielowskiego*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Jakość w kształceniu językowym. Rozważania teoretyczne i praktyczne rozwiązania, pod red. Danuty GABRYŚ-BARKER i Ryszarda KALAMARZA, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Wypatrywanie. Filozoficzne aspekty języka, literatury i edukacji, red. Małgorzata WÓJCIK-DUDEK, Ewelina ZYGAN, Wyd. UŚ, Katowice 2020, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Jarosław TOMASIEWICZ, *W kierunku nacjokracji. Tendencje autorytarne, totalistyczne i profaszystowskie w polskiej myśli politycznej (1933-1939): narodowcy – narodowi radykałowie – narodowi socjaliści*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Zmysły i literatura dla dzieci i młodzieży, pod red. Bernadety NIESPOREK-SZAMBURSKIEJ, Małgorzaty WÓJCIK-DUDEK, Wyd. UŚ, Katowice 2020, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Court, nobles and festivals: Studies on the Early Modern visual culture, ed. by Oskar J. ROJEWSKI, Mirosława SOB-CZYŃSKA-SZCZEPAŃSKA, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Jacek SZPAK, *Polska prowincja paulinów od XVII wieku do 1864 roku. Dzieje gospodarcze: klasztor na Jasnej Górze w Częstochowie*, Wyd. UŚ, Katowice 2020, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Stephen E. TOULMIN, *Filozofia nauki*, tłum. Tomasz Zarębski, Wyd. Nauk. Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2018, seria: Seria Wittgensteinowska.

Bystroniowie

Do wszechstronnego dorobku uczonego przynaję się ludoznawcy, lingwiści, kulturoznawcy, także historycy – napisał historyczną monografię Warszawy i pracę o Polakach w Algierze – socjologowie, psychologowie społeczni.

Myszę, że większość moich kolegów na studiach polonistycznych niedługo po wojnie kojarzyła nazwisko Jana Bystronia z jedną tylko książką zatytułowaną *Komizm*. Zaglądaliśmy do grubego tomu (nie był lekturą obowiązkową), trochę się dziwiąc brakiem wstępu, który zawierałby marksistowską, klasową interpretację licznych przykładów tego, kto, kiedy, z czego się śmiał w feudalnej, potem burżuazyjnej Polsce. Powojenne wydanie ukazało się w innych już czasach, po Październiku. Wertując *Komizm* teraz, z racji wspomniania rodziny autora i jego samego, zdumiałam się uniwersalną aktualnością spisanych tam anegdot i porzekadeł.

* * *

Autor książki, którą dzisiaj nazwano by kulturą wśród publikacji naukowych, pochodził z chłopskiej rodziny związanej zamieszkaniem, ale i działaniami, ze Śląskiem Cieszyńskim. Zapisany w historii działaczem na rzecz polskości był jego dziadek macierzysty, Andrzej Cinciała (1825–1898), absolwent Wydziału Prawa UJ, z zamiłowania ludoznawca, mający w dorobku wiele prac z zakresu dialektologii, z których *Słownik dialektyczny Śląska Cieszyńskiego* otrzymał nagrodę PAU, co trzeba podkreślić, gdyż ten wątek rodzinnej tradycji owocnie rozwinęli potomkowie.

Jan, ojciec Jana

Urodzony w 1860 roku Jan Bystron po niemieckim gimnazjum w Cieszynie studiował sławoznawstwo, germanistykę i filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1881–1886, by je zakończyć, wedle ówczesnych zasad, doktoratem z filozofii i uzupełnić przez niemal rok w Lipsku.

Jak bardzo wielu uczonych z jego pokolenia Jan Bystron miał w biografii okresy nauczania w krakowskich gimnazjach – polskiego i niemieckiego oraz języków klasycznych, czego w rodzinnej opowieści nie należy pomijać, gdy mnożą się głosy o tym, że proces edukacji stanowi jedność i jego etapy nie powinny być odgródzone od siebie, a biografie licznych uczonych stanowią niebagatelny za tym argument.

Dziedzicząc rodzinny i ten właściwy Polakom na Śląsku Cieszyńskim patriotyzm, starszy Jan Bystron zajął się badaniem historii języka polskiego. O obszarze zainteresowań świadczą wymownie tytuły niektórych publikacji: *O mowie polskiej w dorzeczu Stonawki i Łucyny w Księstwie Cieszyńskim*, *O mowie i języku ksiąg ustaw polskich na podstawie kodeksów Świętosławowego, Działyńskich, Dzikowskiego i Stradomskiego*. Szukając polskich źródeł językowych na terenach Śląska Cieszyńskiego,

uczony sięgał daleko w przeszłość, ale czerpał je także z gwar współczesnych, poświęcając tym ostatnim wiele uwagi.

Osobny nurt, choć podporządkowany głównemu celowi – uzasadnianiu polskości piśmienniczej schedy małej ojczyzny badacza – stanowią w jego dorobku tłumaczenia z niemieckiego i słowackiego.

W początkach XX wieku, na który to czas przypada gros twórczości Jana Bystronia starszego, kształtują się w Polsce (jeszcze rozbiorowej) nowe obszary humanistyki, polegające na integrowaniu badań poszczególnych dziedzin kultury i odnajdywaniu wspólnych prawideł rządzących ich rozwojem. W następnym pokoleniu syn będzie literaturoznawcą, „premuzykologiem” i jednym z pierwszych socjologów europejskiej miary. Jan Bystron senior wnikliwie dociekał nieznanych faktów z dziejów języka, wiedziony niemożliwym do ujawnienia w jego czasach imperatywem patriotycznym, i zgromadził cenny – politycznie i, jak się okazało, naukowo – zasób wiedzy o ważnej części terytorium Polski.

Słuchając lub czytając opowieści o współczesnych mu uczonych uprawiających rozmaite dziedziny nauki, rozmaite specjalności, zdajemy sobie sprawę, jak szeroko patrzyli na aktualne i przyszłe potrzeby ojczyzny, na konieczność kształcenia najszerszych warstw społeczeństwa, żeby mogło podjąć prace rozwojowe na wszystkich odcinkach życia zbiorowego, bez nadto długiej przerwy na odrabianie zaległości. Toteż autorzy rozpraw naukowych starali się w nich szybko publikować wyniki badań i szeroko je upowszechniać.

Jan Bystron ogłaszał prace gwaroznawcze i te poświęcone historii języka w seriach rozpraw PAU, a lokalnie, bardziej popularnie, na łamach czasopism, które współredagował: „Gwiazdki Cieszyńskiej” i „Słowansky’ego Sbornika”. Był aktywnym członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Uczony syn zapamiętał z ojcowskiej biografii wczesną, studencką przynależność do kręgu akademickiej elity – Jan Bystron, pełniący wówczas funkcję guwernera w domu Józefa Łepkowskiego, pierwszego profesora archeologii w Polsce, rektora UJ, był uczestnikiem tzw. *privatissimów*, towarzyskich spotkań dyskusyjnych urządzanych przez wielkiego awangardowego językoznawcę, Jana Baudouina de Courtenay. Ze wspomnień innych gości wynika, że zabierał głos, budząc zainteresowanie.

Bystroniowie stali się rodziną inteligentką ze wszystkimi tego statusu atrybutami w życiu dwu pokoleń, za sprawą studiów akademickich i tego, że bezpośrednio po nich ojciec i syn podjęli drogę naukową. Ich los jest świadectwem miar, jakimi w ówczesnym środowisku akademickim mierzono wartość

wchodzących w nie osób. Miar nie deklarowanych, lecz stosowanych konsekwentnie. Były to czasy, kiedy opinia społeczna zamykała uczonych w więzy z kości słoniowej (zapewne niekiedy zasadnie), zarazem jednak oczekiwała od nich udziału w lepszym urzędowaniu świata i przypisywała wiodącą w tym rolę. W Polsce u schyłku epoki rozbiorowej i u progu niepodległości były to zadania duże i pilne.

Jan Stanisław, syn Jana

Młodszy syn Jana Bystronia, Jan Stanisław, urodził się w roku 1892 w Krakowie. Ze Śląskiem Cieszyńskim wiązały go rodzinne wspomnienia i zapewne inspiracje naukowe, jako że poszedł drogą przodków, czyniąc z tej drogi szeroki trakt wszechstronnie rozwijanej humanistyki.

Studiował filologię w UJ, u znakomitych uczonych (autorzy moich studenckich podręczników), m.in. Jana Łosia, Ignacego Chrzanowskiego, Stanisława Windakiewicza i częściowo równoległe etnografię w École des Hautes Études w Paryżu. W roku 1914 uzyskał doktorat z filozofii, cztery lata później z etnologii – oba stopnie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesorem nadzwyczajnym został w Poznaniu, gdzie kierował katedrą Etnologii i Etnografii w latach 1919–1925, by wrócić do Krakowa i jako profesor zwyczajny objąć na blisko dekadę Katedrę Etnologii i Socjologii. Od roku 1934 do 1948 Jan Bystron junior kierował Katedrą Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zmarł w Warszawie w roku 1964.

W wiodących ośrodkach zapoczątkował pionierskie badania w obrębie specjalności wcześniej w Polsce szerzej nierozwijanych, a przeżywających nagromadzenie problemów do rozwiązania i pojawienie się nowych metod badawczych. Profesor Bystron wykładał m.in. psychologię społeczną, badającą całą sferę motywów zbiorowych działań, różnicujących się i ewoluujących w warunkach przeobrażeń społecznych, zwłaszcza gwałtownych i zaskakujących.

Należał do tych uczonych, którym ojczysta historia przyniosła, nieco paradoksalnie, szansę przodownictwa w tym, co dzisiaj nazywamy interdyscyplinarnością i co z dzisiejszej perspektywy szczególnie cenimy. W niepodległej Polsce trzeba było intensywnie rozwijać wiele dziedzin nauki, niektóre – do takich należała socjologia – niemal od podstaw, i to zadanie podejmowali ludzie o szerokich horyzontach, bogatej wyobraźni, odznaczający się intelektualną śmiałością, umiejący rozpoznawać i zachęcać do współpracy zdolnych uczniów. Jan Stanisław Bystron zainteresował się socjologią wcześniej pod wpływem lektur pism wielkiego jej europejskiej miary prekursora, Floriana Znanieckiego.

Rozległość zainteresowań czytelnika tych prac, ich ewolucję bardzo dobrze ilustrują tytuły kolejnych książek Jana Bystronia młodszego, dlatego kilka z nich przytoczę. Debiutował publikacją *Człowiek i książka* (1916), którą można przypisać socjologii kultury (w znaczeniu ogólnym). Dalsze to: *Słowiańskie obrzędy rolnicze* (1916), *Artyzm poezji ludowej* (1921), *Uspołecznienie szkoły* (1933), *Megalomania narodowa* (1935), *Komizm* (1939), *Etnografia Polski* (1947). Niektóre książki były wznawiane po wojnie i są stale obecne w humanistycznych bibliotekach, ale w dobie obowiązującego marksizmu nie trafiały na listę lektur obowiązkowych.

Profesor Bystron był także edytorem, np. obszernego zbioru *Polska pieśń ludowa*, wydanego dwukrotnie, w roku 1921 i 1945, stanowiącego cenną pomoc repertuarową dla zespołów śpiewających, zarazem źródło do badań folklorystycznych. W obu przypadkach nieocenionym walorem dzieła jest jego naukowo zweryfikowana wiarygodność, która w początkach rozwoju ludoznawstwa zastępowała patriotyczne kolekcjonerstwo i indywidualne gusty zbieraczy.

Do wszechstronnego dorobku uczonego przynajmniej się ludoznawcy, lingwiści, kulturoznawcy (w jego czasach tego terminu nie używano), także historycy – napisał historyczną monogra-



Jan Stanisław Bystron Źródło: Wikipedia

fię Warszawy i pracę o Polakach w Algierze – socjologowie, psychologowie społeczni. Traktując kulturę jako integralny obszar poznania, Jan Bystron stosował do różnych jego zjawisk zróżnicowane, odrębne metody. Był autorem koncepcji nakazującej ograniczanie badań etnograficznych do określonego miejsca i czasu oraz traktowanie zebranego materiału jak rzeczywistość historyczną, jako że ten materiał ulega szybko zmieniającym się wpływom otoczenia i jest uzależniony od szerokiego kontekstu społecznego.

Zadaniem elity umysłowej Drugiej Rzeczypospolitej, nie mniej ważnym i tak samo pilnym jak rozwijanie badań naukowych, było tworzenie nowoczesnej i powszechnie dostępnej oświaty. W życiorysach uczonych tamtego czasu znajdujemy wielokrotnie wspomniane epizody nauczycielskie, a także działania w szerszej, państwowej skali. Wywodzący się z oświeconej rodziny chłopskiej Jan Stanisław Bystron, jak już wiemy, w młodości uczył, później pisał o szkole prace socjologiczne, a w latach 1934–1936 był dyrektorem Departamentu Szkolnictwa Wyższego w Ministerstwie Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych; kierował także Komisją Oświatową dla Prus Wschodnich. Podczas okupacji niemieckiej prowadził tajne nauczanie, a także działał w Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i warszawskim Komitecie Samopomocy Społecznej.

Koncepcje naukowe, wyniki badań, postulaty dotyczące zadań i potrzeb nauki w Polsce upowszechniał w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk i Towarzystwie Naukowym we Lwowie. Po wojnie został członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk.

* * *

W dorobku Janów Bystroniów, ojca i syna, pokolenia humanistów dziedziczą wiele aktualnych inspiracji, tropów wiodących ku sprawom ciągle nierozpoznanym, ścieżek nie do końca przetartych.

„Przekonanie, że Bóg wybrał dany naród jako wyróżniający się swym idealnym charakterem i doskonałością, celem przeprowadzenia swych zamierzeń na Ziemi, wydaje się powszechne; w tej czy innej formie spotykamy je chyba u wszystkich narodów...”. Jan S. Bystron, *Megalomania narodowa*, 1935.

Życie poświęcone chorobom

W pracowni Hirszfeld wyprodukował szczepionkę przeciwtyfusową i przeciwcholeryczną, szkolił bakteriologów. Od władz otrzymał order Świętego Sawy. Mógł uruchomić badania nad grupami krwi żołnierzy różnych narodów i ras. Wiosną 1919 roku ewakuowano pracownię wraz ze szpitalem przez Dubrownik do Belggradu.

Ludwik Hirszfeld urodził się w Warszawie 5 sierpnia 1884 roku. Pochodził ze spolonizowanej rodziny żydowskiej. Jego stryj, Bolesław Hirszfeld, chemik i działacz oświatowy, był współzałożycielem Związku Młodzieży Polskiej „Zet”; podczas jego pogrzebu „Uniwersytet i Politechnika przerwały zajęcia” (co odnotował Ludwik Hirszfeld w *Historii jednego życia*, 1946). Ojciec Ludwika, Stanisław, był kupcem, a matka, Jenny z domu Ginsberg, prowadziła dom. Jako nastolatek zetknął się Ludwik z socjalizmem i rosyjskimi żandarmami. W szkolnym kółku samokształceniowym był bibliotekarzem, z kolegami „potajemnie studiowali historię Polski”. W roku 1902, po ukończeniu gimnazjum w Łodzi – „z uczuciem wewnętrznego niezaspokojenia i pogardy dla form życia, które mnie otaczały” – wyjechał na studia medyczne do Würzburga. Jak zapisał, „Życie miasta krążyło wokół uniwersytetu: studenci byli dziećmi wszystkich. Tak wyrozumiały był stosunek do ich miłych szaleństw (...). Po wykładach chodziłem po okolicznych lasach, przeważnie samotnie, i próbowałem odnaleźć siebie. W tej pogoni za sobą, muszę przyznać, wielką pomocą był mi Nietzsche (...). Powoli dojrzewała we mnie myśl poświęcenia się pracy naukowej. Nie jakieś określone zainteresowanie, ale niechęć do zwykłych form życia i umiłowanie cichej zadumy pracowni naukowej”.

Po roku Hirszfeld przeniósł się na Uniwersytet Berliński: „Przez krótki czas wałęsałem się po wykładach, aż wreszcie – zastawiwszy zegarek dla opłacenia pracowni – zapisałem się do prof. Fickera. Miałem wówczas lat 21, byłem już żonaty i żona moja umożliwiła mi, dając lekcje w Berlinie, pokrycie wydatków na zwierzęta doświadczalne”. Żoną była Hanna z domu Kassmann: „mając 15 lat zakochałem się, mając 21 lat ożeniłem się i nie mogłem zrozumieć, dlaczego mnie żona wybrała”. Poznali się na lekcjach tańca. Na Uniwersytecie Berlińskim Ludwik zdobył doktorat *exima cum laude*. Na podstawie pracy *Untersuchungen über die Hämmaghitination und ihre physikalischen Grundlagen* (1907). Z jego udziałem „bakteriologia i serologia stawały się podstawą walki z chorobami zakaźnymi”. Po doktoracie Hirszfeld uzyskał asystenturę w oddziale parazytologii w Zakła-

dzie Badania Raka na Uniwersytecie w Heidelbergu (1907-1909). Inicjował prace publikowane: „Ogłosiłem przyczynę tłumaczący ruch ameb wpływem zmiennych ładunków elektrycznych na ciśnienie powierzchniowe”. Z rozmów z kierownikiem oddziału serologicznego, Emilem von Dungernem, do którego jako asystent trafił Hirszfeld, wyłoniła się nowa nauka o grupach krwi, serologia konstytucjonalna: „Pracowaliśmy nieregularnie. Czasami do drugiej, trzeciej w nocy, czasami w godzinach biurowych braliśmy rowery i wyjeżdżaliśmy w dolinę Nekar”. Odkryli, że grupy krwi dziedziczyły się według praw Mendla. „Cechy A i B są dominujące, cecha 0 ustępująca”. W kolejnym doniesieniu naukowym „wskazaliśmy już możliwość zastosowania grup krwi do spraw dochodzenia ojcostwa”.

Ogrodnik dusz ludzkich

Mimo tych dokonań Hirszfeld przeniósł się na Uniwersytet w Zurychu. Jako głęboką przyczynę wymienił pozycję Dungere: „byłem synem narodu, który wycierpiał, on zaś pochodził ze szczytów, gdzie się nie widzi ludzkiego cierpienia”. Dungere „pochodził ze starego rodu baronów. Jego babka była rosyjską arystokratką, matka córką barona z krajów bałtyckich. Dziadek jego był twórcą konstytucji badeńskiej (...). On sam był przeznaczony na kammerherrera księcia Luksemburgu”. Żona Hirszfelda otrzymała w Zurychu asystenturę w Klinice Dziecięcej – byli małżeństwem jednozawodowym. Hirszfeld objął asystenturę u prof. Williama Silberschmidta w Zakładzie Higieny (1911). Był też „asystentem wykładowym” na Uniwersytecie: „W Zurychu pokochałem pracę pedagogiczną i poza pracą naukową moje najlepsze chwile spędzałem z młodzieżą uniwersytecką”. Określał się jako „ogrodnik dusz ludzkich”. Habilitował się w 1914 roku na podstawie prac nad związkiem zjawisk odpornościowych z krzepliwością krwi. Po wykładzie dla członków wydziału wygłosił publiczny odczyt *Zagadnienie dziedziczności w świetle nauki o odporności*. Jako *privat-dozent* prowadził Hirszfeld wykłady o chorobach zakaźnych dla studentów wszystkich wydziałów oraz kurs serologii dla studentów medycyny.

Po wybuchu epidemii duru plamistego w Serbii zgłosił się do rządu serbskiego. W lutym 1915 roku wziął urlop akademicki. Trafił do szpitala zakaźnego Valiero, gdzie epidemia zapoczątkowała się wśród jeńców austriackich. Po dezynfekcji miasteczka „fala epidemiczna zaczęła opadać”. Z pomocą żony i jej szwagra uruchomił profesjonalną pracownię szpitalną. Podczas ewakuacji do Albanii poznał „opowiadania żołnierzy o dawnych bojach i ciche zadumanie w oczekiwaniu śmierci, i niepokój o losy bliskich”. Hirszfelowie kilkakrotnie byli okradani. Przez włoskie Bari dotarli do Rzymu, następnie do Zurychu. Po krótkim czasie ogarnęła ich „choroba dali”, wyruszyli na zaproszenie emigracyjnego rządu serbskiego na Korfu, gdzie wybuchła epidemia cholery. Zostali ulokowani w Salonikach, w centralnej pracowni szpitalnej armii serbskiej. Hirszfeld nie zrezygnował z badań: „opisałem objaw opadania krwinek, wyhodowałem nieznaną zarazkę paratyfusu”. Wobec miejscowego braku działań wojennych rozwinęło się w Salonikach międzynarodowe życie towarzyskie. Ludwik zachorował na paratyfus, gorączkę papatacci, a następnie – przez pół roku – podzwrotnikową zimnicę.

W pracowni Hirszfeld wyprodukował szczepionkę przeciwtyfusową i przeciwcholeryczną, szkolił bakteriologów. Od władz otrzymał order Świętego Sawy. Mógł uruchomić badania nad grupami krwi żołnierzy różnych narodów i ras. Wiosną 1919 roku ewakuowano pracownię wraz ze szpitalem przez Dubrownik do Belgradu.

Na obczyźnie tylko terazniejszość

Hirszfelowie oczekiwali już od paru miesięcy na powrót do niepodległej Polski: „W młodości nie zależało mi na domu i nie lubiłem dzieci. A teraz zacząłem tęsknić za spokojem domu i życiem rodzinnym u siebie w kraju, gdzie się jest jak drzewo, które zapuszcza korzenie”. Po piętnastu latach nieobecności powrócił do Warszawy: „Wchodzę do mieszkania matki. Nie zastaję jej; pielęgnuje umierającą babkę (...). Ale stół jest nakryty i na nim wszystko, co w dzieciństwie lubiłem (...). To była ojczyzna (...). Byłem jak ktoś, który żył tylko intelektem, a tutaj otwarły się szeroko podwoje duszy i zacząłem się wsłuchiwać w ongiś słyszane dźwięki i nakazy i wspomnienia (...) w ojczyźnie ma się i przeszłość i przyszłość, na obczyźnie tylko terazniejszość”.

Pieniądze (13 tys. fr. szwajcarskich), które przesłał do kraju, pozwoliły „na kupno skromnego mieszkania (...). Wysokość pensji urzędniczej w czasie inflacji nie wystarczała na najskromniejsze potrzeby. Oczekiwaliśmy wówczas dziecka. Żona była zmuszona do podjęcia natychmiastowej pracy zarobkowej. Objęła posadę lekarza szkolnego, a później lekarza ubezpieczalni”. Maria urodziła się w sierpniu 1920 roku. Ludwik Hirszfeld wybrał nie uniwersytet, lecz Zakład Badania Surowic (włączony w 1926 roku do Państwowego Zakładu Higieny, kierowanego przez Ludwika Rajchmana). Hirszfeld współpracował z Komisją Standaryzacji Surowic i Szczepionek Komitetu Higieny przy Lidze Narodów. Od roku 1924 wykładał naukę o odporności na Wolnej Wszechnicy Polskiej, zajmował katedrę bakteriologii. Nie chciał habilitować się na UW, „uważając, że ani moja przeszłość naukowa, ani stanowisko nie pozwalają mi na to”. Jednak na zaproszenie Romana Nitscha – po zwolnieniu z egzaminów – przyjął uniwersytecką docenturę (1926). Wykładał serologię, a na farmacji bakteriologię. W 1931 roku został na UW profesorem tytularnym. W Szkole Higieny PZH wykładał lekarzom powiatowym naukę o odporności. Prowadził pismo „Medycyna Doświadczalna i Społeczna”. Współzałożył Towarzystwo Mikrobiologów i Epidemiologów Polskich. Został sekretarzem generalnym Towarzystwa Biologicznego. Był członkiem Naczelnej Rady Zdrowia. W 1930 roku wybrano



Ludwik Hirszfeld Źródło: Wikipedia

go na członka zwyczajnego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Prowadził akcję szczepienną z pomocą Towarzystwa Medycyny Zapobiegawczej, którego był wiceprzewodniczącym. Wielokrotnie brał udział w zagranicznych kongresach naukowych, gdzie zetknął się z narastającymi wpływami faszyzmu.

Hirszfeld pracował w PZH, nawet po oddaniu stanowiska wicedyrektora, „od rana do wieczora, na obiady nie wracał do domu”. Kierował Działem Bakteriologii i Medycyny Doświadczalnej oraz Oddziałem Badania Surowic. Pod jego kierunkiem powstało szesnaście prac doktorskich, a cztery osoby się habilitowały. Opublikował książkę w języku niemieckim *Serologia konstytucjonalna* (1928), a w 1934 *Grupy krwi w zastoso-* *sowaniu do biologii, medycyny i prawa* (w tłumaczeniu na jęz. francuski ukazała się w 1938 roku). Jako współautor ogłosił z żoną albo współpracownikami kilka artykułów.

Serdeczna głębia życia rodzinnego

Wymiar etyczny miała refleksja Hirszfelda: „Przyzwyczajenie i dostosowanie się wzajemne ma takie samo prawo istnienia, jak niszczenie tzw. wrogiego gatunku. Przyjęcie ciał bakterioobójczych jest przeniesieniem pojęcia walki między gatunkami na zjawiska odpornościowe. Chorobotwórczość może być pomyślana tylko jako stopień ewolucji w kierunku symbiozy” (wstęp do *Prolegomenów do nauki o odporności*, praca w jęz. niemieckim, 1930).

Hirszfelowie żyli w mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej, patrząc z okna „na szary mur oficyny (...). Dusiliśmy się w mieszkaniu. Często wieczorem szedłem do Ogrodu Botanicznego lub do Łazienek, by patrzeć w niebo i upajać się zapachem drzew i ziemi”. W roku 1927, zwiedzając Saską Kępe, kupili z nagłą, w nocy: „parcelę pośród kwitnących sadów (...). Posiadać własny domek z ogródkiem stało się moją namiętnością (...). Założyłem się, budowałem w najdroższym czasie (...) ale w końcu

w roku 1930 mogłem się przenieść do własnego domu”. Poznali „całą serdeczną głębię życia rodzinnego. Okna naszej sypialni wychodziły na wschód (...). Z rana zrywałem róże (...). Żona potrafiła stworzyć ognisko skromnej wytworności, wspólnoty i napięcia (...). Nie dążyliśmy do szerszego życia towarzyskiego, często jednak zapraszałem uczonych odwiedzających Warszawę i nasz Zakład”. Mieszkali razem z przyjaciółką i jej synem Jackiem, rówieśnikiem ich córki. Ta w 1938 roku wyjechała po maturze na studia na Sorbonie.

Wybuch II wojny światowej i okupacja przyniosły Hirszfeldom egzystencjalne zagrożenie. Hirszfeld przyjął postawę czynną w okresie oblężenia Warszawy – zorganizował w Szpitalu Ujazdowskim akcję krwiodawstwa dla ofiar oblężenia miasta. Prowadził wojskową poradnię bakteriologiczną. Nocował u siostry, w pobliżu szpitala. Jego żona uruchomiła prowizoryczny szpital na Saskiej Kępie. Dom rodzinny został we frontowej części zdemolowany przez pociski, mimo to chronił we wrześniu kilkanaście przygodnych osób.

W czasie okupacji usunięto Hirszfelda z Zakładu Higieny na rozkaz władz niemieckich – nie był aryjczykiem. Mimo to kontynuował prywatnie, z Różą Amzel, badania nad „dziedziczeniem postaci przejściowych grup krwi”, pisał „podręcznik nauki o odporności”. Co środy bywał w zakładzie: „Gdy wchodziłem do Zakładu, otwierała się moja rana”. Po objęciu kierownictwa zakładu przez Niemców przestał przychodzić.

Getto

Na prośbę Towarzystwa Pomocy Żydom (Joint) Hirszfeld opracował raport odrzucający niemiecką tezę propagandową, iż „Żydzi są nosicielami zarazków, od których sami nie chorują”. Memoriał nie pomógł. W połowie października 1940 roku została stworzona dzielnica żydowska. Hirszfeld miał od przyjaciół zaproszenia do USA i Jugosławii, uzyskał jedynie zgodę na mieszkanie we własnym domu: „Przez cały czas ani ja, ani nikt z mojej rodziny nie nosił opaski”. Z Rady Głównej Opiekuńczej uzyskali na to zgodę jako „chrześcijanie pochodzenia niaryjskiego, którzy mają zasługi dla kraju”. Okazało się to pułapką. Okupanci, mając adresy, odstawili wszystkich do getta, w tym Hirszfeldów, eskortowała ich policja. Był to ostatni dzień lutego 1941 roku: „Następnego dnia przyszli Niemcy do mojej willi i zabrali meble, obrazy, dywany i wszystko, co im się spodobało. Książki polecił zarekwirować Zakład, ażeby je uratować od zagłady”.

W getcie zamieszkali początkowo u znajomych przy ulicy Grzybowskiej: „Okna naszego pokoju wychodziły na placzyk na rogu Ciepłej. Z rana około szóstej budziły nas samochody ciężarowe zabierające niewolników do pracy na stronę »aryjską«. W getcie Hirszfeld czuł się „obcy temu narodowi. Odrzucony przez tłum jako chrześcijanin (...). Przyjaciele nasi już po kilku dniach przysłali nam »lewe« papiery i nalegali, byśmy uciekali z getta. Z drugiej strony kontynuowałem moje starania o wyjazd za granicę”. Hirszfeld otrzymał honorowe obywatelstwo Jugosławii (24 III 1941), jednak trzy dni później wybuchły tam działania zbrojne. Z poparciem Adam Czerniakowa, prezesa gminy żydowskiej, Hirszfeld otworzył kurs dla farmaceutów i podjął walkę z epidemią duru plamistego. Miał w getcie odczyty dla lekarzy, a następnie wykłady o chorobach zakaźnych. Uruchomił też kurs dla dentystów i kurs patologii ogólnej. Wykładał na kursie dla personelu sanitarnego – zakonspirowanych studiach medycznych: „odnalazłem siebie jako ogrodnika dusz ludzkich”. W nowym gmachu na Stawkach otrzymał pięć pokoi na pracownię szpitalną – bakteriologiczną, zdobył cieplarnię i mikroskopy. Na podstawie literatury udowodnił, że „struktura serologiczna krwi Żydów upodabnia się do struktury krwi narodów, wśród których żyli”. Hirsz-



Hanna Hirszfeldowa Źródło: Wikipedia

feld uzyskał z Jointu subwencję na pracę naukową. Opracował memoriał o przyczynach duru plamistego w getcie. Został przewodniczącym Rady Zdrowia w getcie: „Opracowaliśmy projekt walki z gruźlicą, z chorobami wenerycznymi. Zajęliśmy się higieną szkolną, obozową, oczyszczaniem ze śmieci miasta, walką ze świerzmem”. Nie mogli jednak zwalczyć najcięższej „epidemii” – głodu.

Zakątek zadumy w piekle

Od sierpnia 1941 roku Hirszfeldowie zamieszkali na plebanii kościoła Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim. Mieszkali tam także inni parafianie chrześcijańscy: „Okna naszego mieszkania wychodziły na niewielki, ale śliczny ogródek kościelny (...). Mieliśmy uczucie, że jesteśmy w zakątku zadumy, ciszy i życzliwości, który zachował się w piekle (...). Przez rok codziennie, i rano i wieczorem, wchłaniałem nastrój ciszy kościelnej”. Mając stałą przepustkę – jako przewodniczący Rady Zdrowia – Hirszfeld chodził poza mury getta i mimo zakazu zdejmował opaskę. Jednak znajomi, witający go „ze wzruszeniem (...) nie wczuwają się w nasze przeżycia. Mają swoje troski i bóle (...) odwiedzanie przyjaciół w mojej Warszawie, jak gdybym przybywał z innego kraju, staje się dla mnie psychicznie nie do zniesienia”. Przestał więc wychodzić, nie odczuł straty przepustki zabranej przez komisarza getta. Hirszfeld zanotował: „dopiero w dzielnicy poznałem bliżej duszę żydowską. Poznałem ją i w złym i w dobrym. Spotkałem tam dużą liczbę ludzi etycznie i intelektualnie nieprzeciętnych, którym krzywdą się dzieje, jeśli podlegają fali nieodróżnionemu niechęci i antysemityzmu”. Dostrzegał naganne postępowanie policji żydowskiej i postawy egoizmu. Do tego „stwierdzałem brak litości dla nędzarzy, biurokratyzm nie licujący z intelektualizmem, chytrych, pęd do oszukiwania, nawet u elity umy-

słowej (...). Przekupstwa i szantaż były na porządku dziennym (...). Motłoch żydowski był najbardziej zacofanym motłochem w Europie. Ale przyczyną tego między innymi jest, że naród żydowski oddawał swoją elitę narodom, wśród których żył”. Słoczenie w getcie i codzienna trauma potęgowały te różnicowania. Podczas wykładów o rasizmie Hirszfeldek głosił potrzebę – nawet w tych realiach – „wewnętrznej odnowy”. Uważał, że „złe cechy Żydów tłumaczą się ich historią i mogą i powinny ulec zmianie, dla rasistów są one odziedziczonym przekleństwem rasy”.

Od początku lipca 1942 roku pojawiły się zapowiedzi likwidacji ludności getta. Zorganizowana akcja uruchomiona została 22 lipca. Wydano też „rozkaz zamknięcia obu kościołów, oddania kluczy”. Szpital na Stawkach, w którym do tego czasu Hirszfeldek pracował, zamieniono w stację wysyłania mieszkańców getta do obozu śmierci koło Małkini: „cynizm tej akcji polegał na tym, że do wychwytywania współplemieńców swych zmuszono ludzi, których wynagrodzeniem miało być prawo chrońnienia przed wywiezieniem matek i ojców. Uczucie bezbronności wytwarza nastrój rozpacz i paniki straszniejszy od śmierci”.

W małym domku w lesie

Pracownię Hirszfeldeka przeniesiono wraz ze szpitalem do szpitala dziecięcego na ulicy Żelaznej. Wobec blokady prac szpitalnych i osobistego zagrożenia Hirszfeldek decyduje się skorzystać z pomocy rodziny Potockich – było to wyjście „w przebraniu robotników z grupą niewolników, którzy pracowali poza murami”. Córka miała wysoką gorączkę, Ludwik był „półprzytomny”. Trzy tygodnie ukrywali się z żoną u życzliwej przedwojennej koleżanki. Rozpowszechniano wiadomość, że popełnili na plebanii samobójstwo, by uniknąć wywiezienia do obozu. Żona złamała rękę, nie mogła jednak być leczona w szpitalu, a córka nadal gorączkowała. By ratować zdrowie córki, Hirszfeldek pojechał do Starej Miłosny: „Zamieszkaliśmy w małym domku w lesie wraz z naszą wierną Zosią Ossowską, która mieszkała z nami na Kepie od początku wojny”. Następnie wyjechali do Wiślicy, gdzie ukrył ich lekarz Szymon Starkiewicz (żona pozostała w Miłosni). Mówili po polsku, w wyglądzie nie byli „typu semickiego”. Nie musieli się ukrywać: „Wyrzucamy się na słońcu, spoglądając na cichy nurt rzeki, na płynące na niebie obłoki i staramy się zapomnieć”. Ze wsi trafili do dworku Adama Grabkowskiego w Kamiennej: „Rozpoczynamy nowe życie, życie szarych ludzi. Nie jestem więcej sobą, ale nikt mnie nie pyta o nic”. Byli tam goszczeni przez pół roku. Hirszfeldek od rana analizował statystykę lekarską, pracował nad podręcznikiem immunologii i czytał dzieła Shakespeare’a w oryginale. W sąsiednich miasteczkach trwała akcja „polowań na Żydów”. Z rozmów Hirszfeldeka wynikało, że „prawie wszyscy byli antysemitami, ale nie spotkałem wśród nich ludzi, którzy by aprobowali ten sposób likwidacji zagadnienia”. Rozmówcy nie wiedzieli, iż był spolonizowanym Żydem.

W styczniu 1943 roku córka zapadła na zapalenie płuc. Po depeszy przyjechała matka, mimo ryzyka rozpoznania. Tydzień później urządzono pogrzeb. Hirszfeldek zatytułował tę część wspomnień *Moja największa przegrana*. Po kilku tygodniach Hirszfeldek wrócił w końcu lutego do Starej Miłosny, do domku Laury Kenigowej: „Czasami wychodziliśmy do pobliskiego lasu lub na okoliczne łąki, na ogół jednak tylko wieczorami, by nie zwracać uwagi sąsiadów”. Od czerwca Hirszfeldek zaczął pisać cytowane wspomnienia: „pisanie tej książki umożliwiło mi przetrwanie”. Powstały cztery egzemplarze w maszynopisie sporządzonym przez żonę, trzy zginęły podczas powstania warszawskiego, czwarty ocalał zakopany w słoju. W marcu Hirszfeldek przenieśli się do Warszawy, wynajęli pokój „wraz

z utrzymaniem” przy ulicy Złotej. Wychodzili tylko sporadycznie. W tym czasie zginęła wraz z mężem, Władysławem Sterlingiem, siostra Ludwika. Trzy miesiące „aresztu domowego” osłabiły Hirszfeldek, nie pomagało „kilkugodzinne froterowanie całego mieszkania, ani bieganie naokoło stołu”. Wyjechał z żoną na wieś, do Lipki koło Tłuszcza. Podawał się za urzędnika – dezynfektora: „Grałem rolę zmęczonego starszego pana, który pomagał żonie w zajęciach gospodarskich i nie przywykł do pracy umysłowej”.

W Lublinie i Wrocławiu

Już 30 lipca zobaczył czołgi radzieckie i wycofującą się armię niemiecką. Nocami oglądali luno pożarów związanych z powstaniem warszawskim. Wobec groźby ewakuacji Hirszfeldek ukryli się z grupą mieszkańców w lesie. Niemcy zmusili ich do kopania umocnień. Dopiero 18 sierpnia pojawili się żołnierze sowieccy. Po kilku tygodniach, „po powrocie do mojej osobowości zarówno moja żona jak i ja zostaliśmy profesorami nowo powstałego Uniwersytetu im. Curie Skłodowskiej w Lublinie”.

Hirszfeldek zorganizował Wydział Lekarski i Katedrę Mikrobiologii Lekarskiej. Został wybrany na prorektora. Żona kierowała Kliniką Chorób Dziecięcych. Zanotował: „Do Warszawy nie mogłem i nie chciałem wracać. Widok zburzonego miasta, mojego zburzonego domku, gdzie byłem taki szczęśliwy, i wreszcie myśl o moich tragicznie zmarłych asystentach była mi tak bolesna, że praca w Zakładzie Higieny była dla mnie psychicznie niemożliwa”.

W połowie 1945 roku Hirszfeldek przebywał z delegacją w Moskwie na uroczystościach 220-lecia Akademii Nauk. Po powrocie otrzymał w Ministerstwie Oświaty propozycję zorganizowania wydziału lekarskiego na uniwersytecie i politechnice we Wrocławiu. Przeniósł się tam 1 sierpnia, a już 6 września miał pierwszy wykład. Żona przyjechała w październiku i objęła Klinikę Chorób Dziecięcych. Hirszfeldek został dziekanem Wydziału Lekarskiego i kierownikiem Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej. Mieszkali z żoną przy ulicy Wittyga. Hirszfeldek współorganizował Wrocławskie Towarzystwo Naukowe, był dożgonnie jego wiceprezesem. Od 1945 roku przewodniczył Radzie Naukowej do spraw Krwiodawstwa przy PCK. W maju 1946 roku Hirszfeldek odwiedzili placówki amerykańskie na zaproszenie Fundacji Rockefellera. Redakcja „Odrodzenia” nie przyjęła do druku artykułu *Nauka autonomiczna czy nauka kierowana*, napisanego w lipcu 1947 roku przez Hirszfeldeka. Minister Stanisław Skrzeszewski odrzucił (list do Hirszfeldeka z 15 X 1947) skargę Hirszfeldeka, zwłaszcza zaś tezy o „całkowitej niezależności” pracy naukowej i prawie do „swobodnego wyciągania wniosków”. Hirszfeldek uważał, że planowanie w nauce nie powinno dotyczyć prac wybitnych uczonych (za: Witold Chmielewski, *Stanisław Skrzeszewski wobec ludzi nauki...*, 2014). W roku 1948 ukazała się drukiem *Immunologia ogólna*. W roku 1950 wydzielono z uniwersytetu i politechniki Akademię Medyczną we Wrocławiu. Hirszfeldek włączył się w działania pacyfistyczne – został członkiem Komitetu Obróńców Pokoju. W 1951 roku otrzymał państwową nagrodę I stopnia. Po zorganizowaniu PAN Hirszfeldek był jej członkiem rzeczywistym, a także członkiem Prezydium PAN. Został kierownikiem Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN, ulokowanym (1954) we Wrocławiu. Był członkiem Związku Literatów Polskich. W 1964 roku opublikowano jego *Myśli*.

Zdrowie dopisywało Hirszfeldekowi, potrafił nadal pracować po czterech godzinach na dobę. Jednak w 1953 roku nagle zachorował, poddano go operacji. Zmarł na zawał 7 marca 1954 roku. Odprowadzało go na wrocławski cmentarz grono współpracowników i uczniów.

Nie ma nauki bez założeń

Epistemiczne układy odniesienia

EUO to założenia, które dotyczą całej nauki. Wyznaczają one, jak uprawiać naukę jako taką. Wpływają na wszystkie naukowe teorie i dyscypliny. Można powiedzieć, że dany EUO jest warunkiem koniecznym naukowości w ogóle. Jeśli ktoś go narusza, to jednocześnie zrywa z nauką.

Nazwę „epistemiczne układy odniesienia” (EUO) wprowadził polski filozof nauki Kazimierz Jodkowski. Odnosi się ona do najogólniejszych założeń na temat tego, jak można uprawiać naukę. Idea EUO pojawiła się podczas analiz sporu ewolucjonizmu z kreacjonizmem, ale EUO jest kategorią, która służy opisowi nauki w ogóle i pozwala ująć ważną cechę działalności naukowej, jaką jest zależność od pewnych filozoficznych, naukowo nieuzasadnianych twierdzeń. By dobrze zrozumieć, na czym polega wartość poznawcza tej kategorii i co poprzez jej użycie dowiadujemy się o nauce, trzeba najpierw wyjaśnić pewne typowe nieporozumienia związane z jej funkcjonowaniem. Mówiąc o nauce, będziemy tu mieli na myśli nauki empiryczne (ang. science).

Jeden z mitów na temat nauki głosi, że opiera się ona tylko na obserwacji, tzw. nagich faktach i logice. Teorie i prawa naukowe biorą się stąd, że naukowcy w nieuprzedzony sposób dokonują obserwacji, a następnie na drodze logicznego rozumowania ustalają istnienie jakiegoś porządku w tym, co zaobserwowali, i porządek ten wyrażają za pomocą praw i teorii. Żeby taka obserwacja była rzetelną obserwacją naukową, musi być niczym nieuprzedzona, nic nie powinno na nią wpływać poza tym, co jest obserwowane. Nie chodzi tu tylko o to, że uczoney musi w czasie obserwacji być trzeźwy, nie być pod wpływem narkotyków. Nie powinien jednak przede wszystkim w ich trakcie ani podczas przygotowania i gromadzenia obserwacji kierować się jakimiś wcześniejszymi założeniami teoretycznymi, filozoficznymi, religijnymi czy jakimikolwiek innymi. Wcześniejsze założenia mogą bowiem wpływać na dobór materiału badawczego lub selekcję wyników oraz sprawić, że nie widziałby faktów takimi, jakie są.

Uczoney wolny od wszelkich wcześniejszych założeń ma dostęp do tak zwanych „nagich faktów”. Jego obserwacje są pewne i stanowią solidny fundament dla teorii opracowywanych na ich podstawie. Z faktów tych na drodze logiki indukcyjnej uczoney wyprowadza prawa i teorie naukowe. Oparcie na nagich faktach i zastosowanie logiki gwarantują pewność i prawdziwość praw i teorii naukowych. Porządny uczoney zaczyna od nieuprzedzonej obserwacji i na tej podstawie drogą logicznych rozumowań dochodzi do teorii. Sam Newton mawiał „hypotheses non fingo”, czyli „hipotez nie wymyślam”, mając

na myśli, że właśnie w ten sposób, tj. wychodząc od nieuprzedzonej obserwacji, doszedł do słynnej teorii. Wielu uczonych podobnie widzi swoją pracę.

Nagie fakty nie istnieją

Do połowy XX wieku taki obraz pochodzenia praw i teorii naukowych był powszechnie podzielany także w filozofii nauki. Określa się go mianem indukcjonizmu przez nawiązanie do wnioskowań indukcyjnych, czyli rodzaju rozumowań, jaki miał być zgodny z tą koncepcją stosowany w poznaniu naukowym. Nauki takie jak fizyka, chemia czy biologia nazywano nawet naukami indukcyjnymi. Indukcja, upraszczając nieco sprawę, jest to wnioskowanie, w którym na podstawie przesłanek jednostkowych, tzw. zdań szczegółowych, które mówią coś o poszczególnych przedmiotach danego rodzaju, przechodzi się do wniosku o wszystkich przedmiotach danego rodzaju, jeśli tylko w każdym zaobserwowanym przypadku wystąpi interesująca nas cecha, której w badanych przedmiotach poszukiwaliśmy. Indukcja jest jednak wnioskowaniem zawodnym, bo jeśli wniosek obejmuje także objekty danego rodzaju, których nie badaliśmy, to nie mamy gwarancji jego poprawności. Może być tak, że wszystkie zaobserwowane przedmioty posiadały daną cechę, ale są takie, których nie obserwowaliśmy, a które tej cechy nie mają. By ogólne wnioski uzyskane w ten sposób były możliwie wiarygodne, ważne jest z jednej strony, żeby przeprowadzać możliwie wiele obserwacji i w możliwie różnorodnych warunkach, ale także, aby same obserwacje dawały nam rzetelną informację o faktach, czyli żeby mieć dostęp do „nagich faktów”.

We współczesnej filozofii nauki przypływa się tezę o uteoretyzowaniu obserwacji, która – najprościej mówiąc – głosi, że „nagie fakty” nie istnieją. Nie należy tego traktować jako zarzutu wobec nauki. Po prostu ideał poznania, jaki przyjmował indukcjonizm, był iluzją. Nie jest tak, że uczeni obserwują nagie fakty, nie jest też tak, że jakaś czysta obserwacja jest początkiem wiedzy naukowej. Nie jest to wina naukowców. Po prostu nieuprzedzona niczym obserwacja nie istnieje.

Tezę o uteoretyzowaniu obserwacji rozumie się na różne sposoby, mniej lub bardziej radykalne. Najsłabsza przyjmuje, że gdy uczoney obserwuje świat, to wcześniej przyjęte teorie pozwalają mu decydować, które z zebranych faktów są ważne, a które nie,

jakich narzędzi ma użyć do obserwacji, jakie wyniki należy uznać za relewantne itp. Wskazuje się też, że samo użycie narzędzi obserwacyjnych, szczególnie tych bardzo skomplikowanych, jak akceleratory cząstek, radioteleskopy, mikroskopy elektronowe itp., ale tak naprawdę także i prostszych, jak lupa, wiąże się z zaufaniem do teorii, na podstawie których urządzenia te zbudowano. Uczony, który ich używa, patrzy na świat jakby poprzez teorie wykorzystane przy ich konstrukcji. Wcześniej przyjęte teorie, także poprzez język używany do opisu wyników obserwacji, wpływają na to, co uznane zostaje za fakt. W zależności od pojęć, jakimi dysponujemy, różnie postrzegamy rzeczywistość. Słowa „planeta” czy „atom” nie oznaczają dziś tego samego, co sześćset lat temu. Gdy starożytni astronomowie spoglądali w niebo, patrząc na Księżyc, Słońce i Marsa, widzieli w tych ciałach planety. Nie zaliczyliby Ziemi do planet, bo słowo „planeta” pochodzi z języka greckiego od słowa oznaczającego „błądzić”, a Ziemia według nich była nieruchoma. Planetami były ciała niebieskie, które w przeciwieństwie do gwiazd stałych zmieniają położenie względem siebie. Dla Kopernika słońce już nie mogło być planetą. Słowo „atom” wywodzi się z greckiego słowa, które odnosi się do czegoś niepodzielnego. Jeszcze nowożytni uczeni rozumieli atomy jako najmniejsze, niepodzielne dalej cząstki materialne, z których zbudowany jest cały przyrodniczy świat.

Język zmienia świat

Dziś w nauce wciąż używa się tych słów, ale ich znaczenia są zupełnie inne. Pojawiają się też słowa, których kiedyś nie było: gen, grawitacja, czasoprzestrzeń, fraktal itp. Uczni, ucząc się swojego zawodu, uczą się tych słów i ich znaczeń, a później używają ich do opisu świata. Można więc powiedzieć, że wraz ze zmianami w języku zmienia się też naukowy obraz świata, w tym fakty. Najradzykalniejsi filozofowie mówią nawet, że zmienia się świat. Nie mamy bowiem dostępu do innej rzeczywistości niż ta, jaka jawi nam się w poznaniu wyrażanym w aktualnie używanych pojęciach i przy ich obecnych znaczeniach. Na ile ta skrajna wersja jest do utrzymania, to ważny problem w filozofii nauki, który tu jednak pominiemy. W każdym razie język wpływa w pewien sposób na to, co widzimy. Nie ma więc nagich faktów, obserwacji wolnych od założeń, od wcześniej przyjętych teorii. W tym sensie teoria wyprzedza obserwację.

Kolejny mit, jakim należy się zająć, by właściwie ująć rolę EUO w nauce, głosi, że nauka jest zasadniczo odmienna i wolna od filozofii. W pierwszej połowie XX w. dominujący nurt w filozofii nauki, znany jako logiczny empiryzm lub neopozytywizm, starał się wykazać, że w nauce wszystkie twierdzenia są sensowne poznawczo, czego nie można powiedzieć o twierdzeniach występujących w różnych działach filozofii, które zbiorczo określali oni mianem twierdzeń metafizycznych. Neopozytywiści przedstawili dwa główne kryteria odróżniania twierdzeń sensownych od bezsensownych. Pierwsze z nich, kryterium empirycznej weryfikowalności, głosiło, że sensowne są tylko twierdzenia, których prawdziwość można udowodnić na drodze obserwacji. Twierdzenia metafizyczne, jak „Bóg podtrzymuje świat w istnieniu w każdym momencie” albo „Istnieje świat poza moim umysłem”, nie dają się udowodnić w ten sposób, więc nie są sensowne. Inaczej miało być z prawami i teoriami naukowymi, których prawdziwość, jak się wydawało, można wykazać na drodze empirycznej. Ponieważ jednak liczba obserwacji, jakich jesteśmy w stanie dokonać, jest ograniczona, a udowodnienie prawdziwości dowolnych, ściśle ogólnych praw i teorii naukowych wymagałoby przeprowadzenia nieskończonej liczby obserwacji, więc o żadnym z nich nie można orzec, że jest udowodnione. Według tego kryterium są więc tak samo bezsensowne jak metafizyka. Poza tym samo kryterium empi-

rycznej weryfikowalności jest jakimś twierdzeniem, a też nie można go udowodnić na drodze empirycznej, więc jest pozbawione sensowności.

Pod wpływem tych i innych zarzutów neopozytywiści zaproponowali kryterium empirycznej confirmowalności. W przypadku twierdzeń sensownych możemy mówić o stopniu potwierdzenia tych twierdzeń, który jest zależny od liczby obserwacji, jaka jest z nimi zgodna. Jeśli chodzi o twierdzenia metafizyczne, nieważne, ile byśmy dokonali obserwacji, żadna liczba faktów nie czyni ich mniej lub bardziej prawdopodobnymi. Na prawdopodobieństwo zdania „Bóg podtrzymuje świat w istnieniu w każdym momencie” nie wpływają żadne fakty. Inaczej miało być w przypadku praw i teorii naukowych. Im więcej zaobserwowanych faktów zgodnych z daną teorią czy prawem przy braku faktów niezgodnych, tym większe prawdopodobieństwo tego prawa czy teorii. Jednak ściśle ogólne prawa i teorie naukowe znów okazują się bezsensowne, bo dowolnie wielka skończona liczba obserwacji nie wpływa na wzrost prawdopodobieństwa twierdzeń, które mają nieskończoną liczbę konsekwencji obserwacyjnych wymagających sprawdzenia. A do nich należą najogólniejsze prawa i teorie naukowe. Prawdopodobieństwo praw i teorii naukowych okazuje się więc zerowe, tak samo jak twierdzeń metafizycznych. Są więc tak samo bezsensowne.

Która teoria jest lepsza

Przy okazji krytyki kryterium empirycznej confirmowalności wskazywano też, że z tymi samymi faktami mogą być zgodne teorie, które sobie wzajemnie przeczą. Oznacza to, że same fakty i logika nie wystarczają, by zdecydować o wyborze teorii. W takich sytuacjach, gdy trzeba wybrać między alternatywnymi teoriami, do głosu dochodzą dodatkowe, pozaempiryczne i logiczne czynniki. Uczni często odwołują się do większej prostoty, elegancji jakiejś teorii, łatwości dokonywania obliczeń, zgodności z innymi przyjętymi teoriami, większej liczby sprawdzalnych przewidywań związanych z daną teorią i do innych czynników funkcjonujących raczej jak wartości podatne na różne interpretacje i związane z subiektywnym aspektem pracy uczonego niż jako jednoznaczne logiczne dyrektywy. Odwołanie do tej czy innej wartości jako decydującej o wyborze teorii nie jest też podyktowane po prostu faktami i logiką. Wartości te funkcjonują jakby obok faktów i logiki, w mniej jednoznaczny sposób wpływając na wybór teorii.

Nie znaczy to, że na rzecz uwzględnienia tych wartości przy wyborze teorii nie można podać żadnego uzasadnienia. Przykładowo, uznając, że lepsza teoria to ta, która jest prostsza, można argumentować, że świat jest zasadniczo prosty i dlatego należy wybierać teorię, która w prostszy sposób tłumaczy dane zjawisko. Jednak takie twierdzenie na temat świata ma charakter filozoficzny, a nawet metafizyczny w sensie neopozytywistycznym. Można też argumentować, nie odwołując się do prostoty świata, ale metodologicznie: lepiej wybierać teorię, która pozwala na łatwiejsze obliczenia, odwołuje się do mniejszej liczby obiektów, czynników, elementów użytych w wyjaśnieniu danego zjawiska. Możemy jednak pytać, a dlaczego tak jest lepiej? Czy w nauce chodzi o to, żeby łatwiej coś obliczyć, czy raczej żeby dowiedzieć się, jak się rzeczy naprawdę mają? Odpowiedzi na te pytania nie są odpowiedziami pochodzącymi z jakiegokolwiek dyscypliny naukowej, lecz mają charakter filozoficzny. Tego typu analizy zaczęły pokazywać, że wbrew opinii neopozytywistów filozofia jest do uprawiania nauki konieczna.

Metafizyczny składnik nauki

Już w pierwszej połowie XX w. zaczęły też pojawiać się prace z historii nauki, w których wskazywano na ważną

i pozytywną rolę czynników filozoficznych w jej rozwoju. Pokazywały one, że niesprawdzaalne idee filozoficzne często były punktem wyjścia do bardziej szczegółowych i empirycznie sprawdzalnych teorii. Pozwoliły też dostrzec, że poszczególne dyscypliny, a nawet teorie naukowe, zakładają prawdziwość pewnych twierdzeń o świecie, które nie są sprawdzalne obserwacyjnie i których nie poddaje się testowaniu. Poszczególne dyscypliny i teorie naukowe postulują pewną ontologię, czyli mówią o rodzajach istniejących bytów i relacji między nimi. Przyjęta ontologia wpływa na to, jak uczeni rozumieją badany przez nich fragment rzeczywistości. Ontologia nie jest jednoznacznie wyznaczona przez doświadczenie, lecz raczej pozwala określić, co jest faktem i jak należy rozumieć to, co się obserwuje. Na przykład niektóre dyscypliny i teorie na różnych etapach swojego rozwoju zakładały istnienie oddziaływania na odległość między ciałami, występowanie tak zwanych wpływów (jak wpływ planet na zjawiska ziemskie), inne zakładały istnienie niepodzielnych cząstek materii, atomów, a wszelką zmianę tłumaczyły mechanicznym oddziaływaniem między tymi cząsteczkami. W nauce może być przyjmowany pełny determinizm procesów zachodzących w materii nieożywionej (jak w klasycznej fizyce Newtonowskiej), ale można też mówić o nieprzewidywalności i specyficzności zjawisk o charakterze biologicznym, takich jak ewolucja życia na Ziemi. Można też indeterministycznie rozumieć zjawiska kwantowe (jak w interpretacji kopenhaskiej), choć można i deterministycznie, jak wolał Einstein czy David Bohm. Tego typu założenia ontologiczne przyjmowane i odrzucane są wraz z teoriami, w których funkcjonują, a nie bezpośrednio na podstawie obserwacji.

Takie elementy w nauce Thomas Kuhn określał jako metafizyczny składnik macierzy dyscypliny naukowej. Karl Rajmund Popper pisał o metafizyce jako heurystycznym źródle teorii naukowych. Imre Lakatos mówił o metafizycznych rdzeniach programów badawczych. Paul Feyerabend uważał, że uczeni, by wzmocnić potencjał krytyczny nauki, wręcz powinni wymyślać nowe koncepcje metafizyczne, które później byłyby uszczegóławiane i opracowywane do postaci empirycznie sprawdzalnej. Gerald Holton używał kategorii *themata*, by określić pewne niewyprowadzalne z doświadczenia idee na temat struktury rzeczywistości, które niekiedy są specyficzne dla danej dyscypliny czy teorii w danym okresie, a niekiedy powtarzają się w wielu z nich i funkcjonują w nauce przez wiele lat, a nawet stuleci. Ich wspólną cechą jest to, że nie wynikają z obserwacji, lecz pełnią raczej funkcję filozoficznych założeń.

Oprócz jednak założeń filozoficznych charakterystycznych dla danej dyscypliny istnieją też założenia, które podzielane są przez naukę jako całość. Niektóre z nich, jak się wydaje, muszą być przyjmowane, by jej uprawianie miało w ogóle sens. Jest tak na przykład z założeniem jednostajności przyrody, na mocy którego przyjmuje się, że prawa przyrody, jakie działają tu i teraz, obowiązują również w pozostałych momentach czasu, na całej Ziemi, a nawet w całym wszechświecie. Bez tego założenia nie miałyby sensu ani poszukiwanie prawidłowości w przyrodzie, ani testowanie teorii, które te prawidłowości wyrażają. Gdyby przyjąć, że przyroda jest tak niestabilna, że dokładnie te same warunki początkowe nie będą prowadzić do tych samych skutków, to jak miałyby być możliwe jakiegokolwiek poznanie? Z tym założeniem wiążą się inne, mówiące, że przyroda jest uporządkowana w sposób racjonalny, poznawalny dla umysłu ludzkiego itp. Bez nich również trudno wyobrazić sobie sensowną działalność naukową. O ich prawdziwości nie rozstrzygają fakty, ale to raczej wcześniejsze przyjęcie, że są one prawdziwe, pozwala nam w ogóle prowadzić badania i oceniać zgodność faktów z przyjętymi teoriami.

Naturalizm jako warunek naukowości

I tu dochodzimy do miejsca, w którym należy rozpatrywać rolę EUO w nauce. EUO to też założenia, które dotyczą całej nauki. Wyznaczają one, jak uprawiać naukę jako taką. Wpływają na wszystkie naukowe teorie i dyscypliny. Można powiedzieć, że dany EUO jest warunkiem koniecznym naukowości w ogóle. Jeśli ktoś go narusza, to jednocześnie zrywa z nauką. Powszechnie rozpoznane jest to, że współcześnie warunkiem koniecznym naukowości jest zasada naturalizmu metodologicznego. Głosi ona, że w nauce wolno wyjaśniać wszelkie zjawiska przyrodnicze, odwołując się wyłącznie do innych zjawisk przyrodniczych, czyli nigdy nie wolno się odwoływać do bytów spoza „tego świata”, tzn. do bytów nadnaturalnych, jak bogowie, demony, anioły itp. Analizując spór ewolucjonizmu z kreacjonizmem, Jodkowski zauważył, że kreacjoniści młodej Ziemi mają zasadę, zgodnie z którą żadna koncepcja wyjaśniająca pochodzenie organizmów na Ziemi nie może kłócić się z odpowiednio rozumianym tekstem Księgi Rodzaju. Przyjmują więc inną zasadę wyznaczającą sposób uprawiania badań. EUO współczesnej nauki jest naturalizm, a EUO tych kreacjonistów jest Księga Rodzaju.

Każde EUO, jak wskazuje Jodkowski, funkcjonuje jak wartości. Nie wynika z faktów, raczej służy ich interpretacji i ocenie, ale czy to znaczy, że przyjmowane jest bez uzasadnienia? Każde EUO da się obronić przy pewnych założeniach. Na przykład, jeśli uważamy, że celem nauki jest pozna-



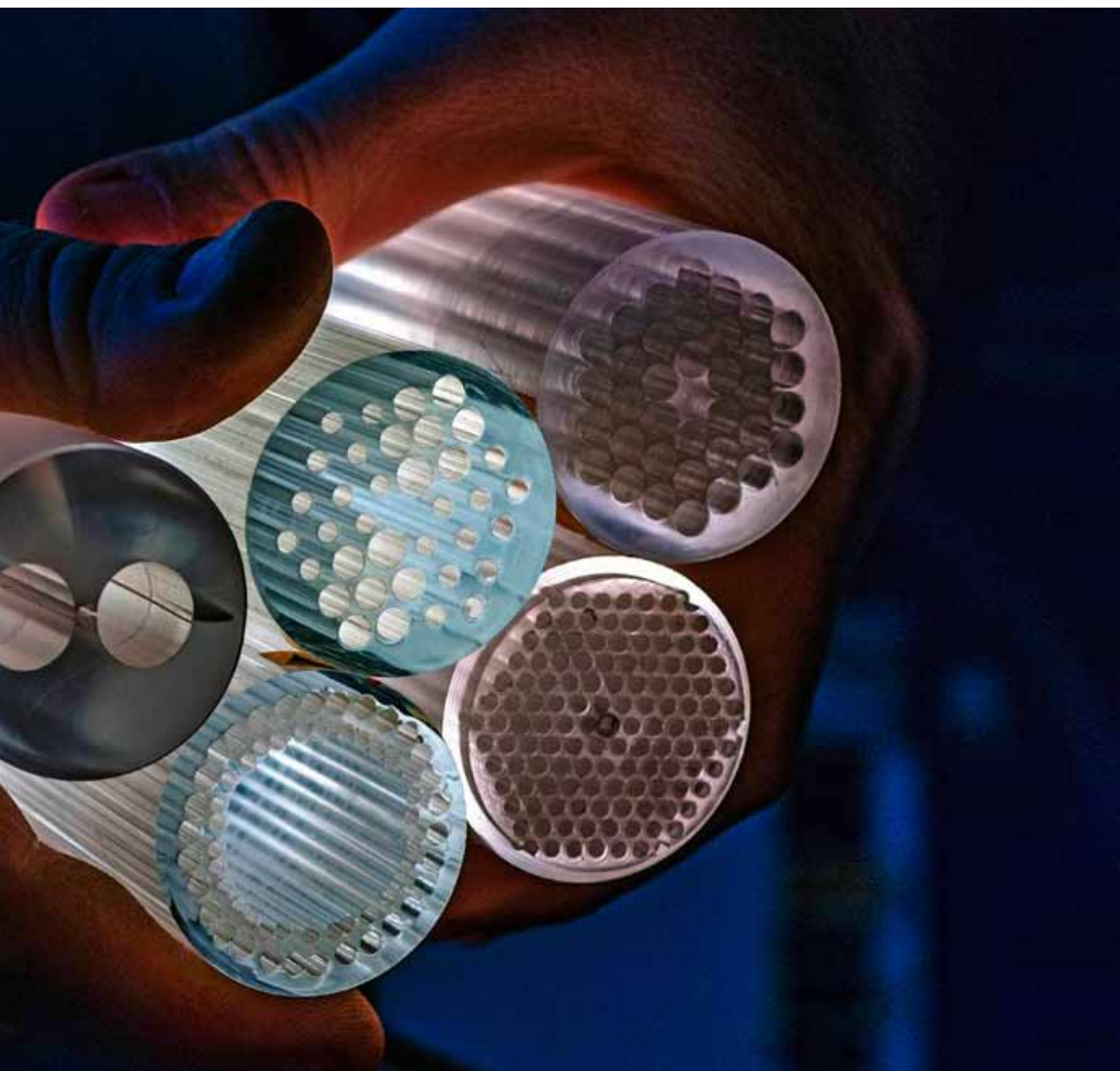
nie prawdy o świecie, to naturalistyczny EUO ma sens, jeśli założymy, że nie istnieją żadne nadnaturalne byty, na przykład Bóg judeochrześcijaństwa, lub że istnieje, ale nie działa w świecie w sposób rozpoznawalny. Naturalizm metodologiczny można więc uzasadniać, odwołując się do mocnych tez światopoglądowych. Nadnaturalistyczny EUO przyjmowałby odmienne przesłanki. W każdym razie ponieważ EUO określa najbardziej ogólne założenia nauki, to sama nauka nie może rozstrzygać o jego poprawności bez popadania w błędne koło. Żeby coś naukowo uzasadnić, wcześniej musimy zdecydować, na czym polega nauka, jakie wyjaśnienia w niej dopuszczamy, czyli musimy przyjąć jakieś EUO. Jak więc można przekonywać na rzecz przyjęcia tego czy innego EUO? Jodkowski uważa, że w grę wchodzi jedynie perswazja, odwołania do filozofii czy światopoglądu.

Co z tego wszystkiego wynika? Dostrzeżenie roli, jaką w nauce odgrywają EUO, prowadzi przede wszystkim do pytania, czy możliwe jest uprawianie nauki wyznaczone przez różne EUO. Czy naturalizm jest jedynym dopuszczalnym EUO? Jakie zalety i wady ma przyjęcie naturalizmu metodologicznego jako koniecznego warunku naukowości? Czy można uprawiać naukę bez niego? Jak bardzo różniłaby się nauka oparta na naturalizmie od nauki niewykluczającej nadnaturalnych ingerencji? Czy oprócz naturalizmu i nadnaturalizmu są jakieś inne założenia nauki, które funkcjonują jako EUO? Możliwe odpowie-

dzi na te pytania analizowane są w środowisku zielonogórskich filozofów nauki, szczególnie w publikacjach Krzysztofa Kiliana i Dariusza Sagana.

Naturalistyczne EUO okazuje się silnie wiązać naukę z określonym światopoglądem. Jednak sam naturalistyczny EUO nie może być przez naukę logicznie uzasadniany. Raczej ten wyłącznie naturalistyczny charakter poszczególnych teorii i koncepcji funkcjonujących w różnych dziedzinach nauki należałoby uznać z wynik przyjęcia naturalistycznego EUO. Żadne dane empiryczne nie rozstrzygają bowiem o prawdziwości twierdzeń metafizycznych, a do takich zaliczają się filozoficzne przesłanki na rzecz naturalistycznego EUO. To samo dotyczy EUO zakładanego przez wspomnianych kreacjonistów. W każdym razie to nie fizyka czy biologia posiadają aparaturę pojęciową, by analizować relacje między filozoficznymi założeniami nauki a jej szczegółowymi ustaleniami. Światopoglądowe zaangażowanie tego czy innego EUO i niemożność naukowego rozstrzygnięcia o słuszności EUO wskazują zaś na iluzoryczność przekonania, według których to ustalenia nauk szczegółowych rozstrzygają o słuszności najogólniejszych założeń filozoficzno-ideologicznych. A nauka, jaką znamy, nie może bez takich założeń się obejść.

Dr hab. Piotr Bylica, prof. UZ, filozof przyrody, nauki i religii, Instytut Filozofii Uniwersytetu Zielonogórskiego



Fot. Stefan Czechan

Kilka uwag o błędzie

Kiedy pierwszy raz zetknąłem się z wydawnictwem uczelnianym, byłem zdumiony postawą jego dyrektora, który powiedział, że prace naukowe, a szczególnie te związane ze stopniem naukowym (chodziło o habilitację), nie mogą (sic!) być redagowane, ponieważ naukowiec musi znać język, a jeśli go nie zna, to nie zasługuje na miano uczonego. Autor taki nie ma nic do roboty w wydawnictwie uczelnianym. Niech sobie szuka innego.

Na szczęście osoba ta już nie pracuje, ale wiem, że pracowała długo i miała wpływ na dyrektorów innych podobnych placówek w całym kraju. Teza, którą pan dyrektor rozprowadzał między znajomymi wydawcami, polegała na myleniu trzech dużych sfer pojęciowych. Pierwsza jest ekonomiczna: im mniej redagowania, tym tańszy nakład. Druga to pogarda do tych, którym udaje się osiągnąć więcej niż magisterium, zwana także zawiścią.

Trzeci czynnik, moim zdaniem najważniejszy, to nieznanie istoty (definicji) i natury (sposobu istnienia) błędu. *Errare humanum est*, mawiali starożytni. Nie ma ludzi, którzy błędów nie robią. Mądry językoznawca, któremu w zakresie znajomości poprawnego języka wszyscy ufają, zawsze dwa razy sprawdza, co napisał, bo mógł mu się omsknąć palec z klawisza.

Pojęcie ogólne i nadrzędne (hiperonim) o nazwie „błąd” ma definicję: „znacząco niepożądane (ale niekoniecznie niepoprawne) działanie lub niepożądany skutek działania i (albo) zdarzenia”.

Nieistotna tu jest przyczyna takiego skutku, tę rozpatrujemy dopiero wtedy, kiedy mamy do czynienia z błędem konkretnym, czyli z faktem. „Błąd” – pojęcie ogólne – bywa mylony z pojęciami szczególnymi (hiponimami, podlegającymi hiperonimowi), takimi jak „pomyłka” i „usterka”, ale także „nieprawda”, „kłamstwo”, „fałsz”, „zachowanie niezgodne z regułą” i tym podobne. Choć należą one do zbiorczej kategorii „zakłóceń”, to mają zupełnie różne zakresy znaczeniowe i wcale nie muszą oznaczać czegoś niepożądanego. Na przykład konkurenci w politycznej grze wyborczej często świadomie posługują się błędami, tak jakby te nimi absolutnie nie były, a więc uznają je za wręcz pożądane i wygłaszają błędne tezy niczym słuszną prawdę objawioną. Pojęcie „błąd” ma więc charakter względny.

Ciekawe, że słowniki (np. *Inny słownik języka polskiego PWN*, Warszawa 2000) na ogół kojarzą błąd z naruszeniem jakichś reguł, przepisów etc., jednak praktyka (choćby wyborcza czy artystyczna) pokazuje, że nie jest to ujęcie trafne, ponieważ błędy można spotkać w dziedzinach, w których żadne przepisy ani powszechne reguły, nawet obyczajowe czy logiczne, nie działają.

Często działają prywatnie. Błąd może dotyczyć np. takiego ustawienia rzeczy na stole, które nam się nie podoba. „Moja

żona błędnie kładzie serwetki, robi błędy estetyczne” – powie ktoś, kto za jedyną ważną uważa estetykę swoją własną. Nasze wymagania nie muszą być logiczne i mogą nie zależeć od żadnych zasad, no bo jakież to zasady rządzą upodobaniami albo widzimisię? Nawet psychologia sobie z tym nie radzi. Nie ma znaczenia także intencja. Błąd bez żadnej intencji może na przykład popełnić maszyna na skutek chwilowego braku zasilania, ale jak wiadomo maszyny są od człowieka całkowicie zależne już w momencie ich projektowania, a potem produkcji i eksploatacji. Powiemy, że błąd maszyny jest w jakimś stopniu zależny od człowieka. Twórcy robotów wkładają w nie swoje błędy, teraz jeszcze niewidoczne. Udział człowieka w błędzie maszyny jest jednak tylko wtedy istotny, kiedy błędowi można było zaradzić, kiedy przewidywanie błędu było możliwe. Tak tę sprawę traktuje choćby prawo.

Liczba możliwych typów błędów jest tak duża, że bez specjalnych badań nie można się tu podjąć ich klasyfikacji. Jednak wszyscy na ogół wiemy, że wynik jakiegoś działania jest błędem, gdy – powiedzmy to jeszcze raz – powoduje niechciane zakłócenia. Na przykład dróżnik przez pomyłkę robi błąd, przestawiając zwrotnicę inaczej niż należy.

„Pomyłka” jest w tym ujęciu pojęciem bardziej psychologicznym niż prakseologicznym. Jest to prosty i zwykle pojedynczy błąd popełniony na skutek *zaniechania lub niewłaściwego wyboru*, mimo że sprawca wie, jak należało postąpić i orientuje się, na czym polega poprawność danego obiektu lub działania. Do pomyłek często dochodzi na skutek zakłóceń psychicznych – nieuwagi, braku koncentracji, złego samopoczucia, ale także fizycznych, takich jak wybranie i naciśnięcie nieodpowiedniego przycisku, założenie lewego buta na prawą nogę. Pomyłką nazwiemy wykonanie mnożenia zamiast dzielenia.

Ale niektórzy sądzą, że wszystko, co daje efekt niepożądany, jest skutkiem mylenia się. Nie zawsze tak jest, może bowiem nastąpić na przykład seria różnych pomyłek, a więc mieszanka, która ogólnie daje po prostu błąd, jakiego pomyłką nazwać nie sposób. A jednak wszystkie błędy bywają nazywane pomyłkami, najczęściej w praktyce sprawozdawców sportowych: „Nasz napastnik znowu się pomylił, strzelając nad poprzeczkę”.

Z całą pewnością pomyłką jest natomiast ustanowienie takiego dyrektora w wydawnictwie, który uważa, że książek nie należy redagować, bo autorzy muszą być we wszystkim geniuszami. Wypada też dodać, że jeden z naszych wybitnych pisarzy, którego tekstów dzieci uczą się w szkole, miał poważne problemy z ortografią.

Zdolność do obserwacji



Anglojęzyczne rozróżnienie na *scientist* i *scholar* oraz *science* i *knowledge* (niem. *Wissenschaft* i *Kenntnis*) jest często odbierane jako wartościujące: coś jest nauką, a coś mieści się jedynie w szerszej kategorii „wiedzy”, a zatem nie cechuje go ten sam poziom intelektualnej dyscypliny, sprawdzalności i – przede wszystkim – obiektywizmu. Im bardziej zaś oddalamy się od nauki (*science*), tym bardziej przybliżamy się do literatury. Ta ma być subiektywna i (często używane sformułowanie) „rządzić się swoimi prawami”. Warto jednak nie zgubić świadomości, że tekst literacki także może prezentować rezultaty poznania. Uważam, że nie bez powodu po niemiecku *Kenntnis* to i „wiedza”, i „poznanie, znajomość” (także w sensie filozoficznym, jako *episteme*). „Rządzący się swoimi prawami” (także literacki) jest wolny od rygorów, ale nie dlatego, że są złe, bo ograniczają – nauki ściśle nie bez powodu narzucają dyscyplinę myślenia i badania, gdyż tylko ona gwarantuje wiarygodność ustaleń. Po prostu, jeśli poznanie ma częściowo przynajmniej pozaracjonalny charakter, może nie dawać się opisać językiem nauki. Nie wszystko daje się zobiektywizować, ale nie znaczy to, że takich problemów nie należy badać i poznawać. Literatura oferuje nie tylko wrażenia estetyczne i przeżycia emocjonalne, lecz także ważne spostrzeżenia na temat ludzkiej psychiki, sensu i wartości ludzkiego życia, hierarchii wartości.

Krystian Darmach zgłębia specyficzne pogranicze humanistyki rozumianej jako część świata nauki oraz literatury. Nie bez powodu w tytule pojawia się nie antropologia, a antropografia, najważniejszym celem nie jest tu bowiem zobiektywizowanie i uogólnienie rezultatów obserwacji, lecz możliwie bliskie podejście do subiektywnej, jednostkowej prawdy przez małe „p”. Subiektywizm to całkowicie świadomy. Ważnym pojęciem jest dla Darmacha autoetnografia, a zatem sytuacja, gdy obserwator sam siebie czyni przedmiotem obserwacji, gdyż: 1) jego reakcje i refleksje są ważnym źródłem wiedzy o przedmiocie obserwacji – staje się on naprawdę poznawalny dopiero w kontekście intelektualnego backgroundu podmiotu poznającego, 2) każda obserwacja etnograficzna jest obserwacją uczestniczącą i obserwujący wpływa na obserwowaną sytuację, a zatem i ona na niego.

Pierwszą połowę publikacji zajmuje metodologiczny wstęp, który może budzić znierocliwienie, jak przeciągnięta retardacja w dawnych epokach. Gdy jednak przejdzie się do drugiej części, czyli praktycznych studiów antropograficznych, okazuje się, że tak dokładne omawianie naukowych (np. fenomenologicznych) i literackich (Pessoa, Kerouac, William Carlos Williams) inspiracji autora było potrzebne. Można bowiem docenić sztukę wcielania tych pomysłów w praktyce.

Zdecydowanie najciekawsze są te szkice w obrębie drugiej części książki, których tematem są miejsca i sytuacje o pozornie mniejszym potencjale – te z krajowego podwórka: przebudowa dworca Łódź Fabryczna, bywalcy ekskluzywnego siłowni jako mikrospołeczność i panujące w niej zwyczaje oraz ulice w centrum Łodzi jako miejsce obserwacji antropograficznej. Darmach demonstruje jednocześnie praktyczną aplikację swoich koncepcji, niecodzienną zdolność uważnej obserwacji, fascynujące skojarzenia oraz – i warto to szczególnie podkreślić – autentycznie niepospolity talent literacki. Słabiej wypadają natomiast szkice poświęcone kulturowym aplikacjom smartfonu i Lizbonie. W tym pierwszym w natłoku abstrakcji gubią się osobiste obserwacje, które miały być przecież istotą podejścia proponowanego przez autora. Drugi zbliża się treściowo, stylistycznie i kompozycyjnie do popularnych współcześnie książek reportażowych, np. znakomitej skądinąd *Samotności Portugalczyka* Izzy Klementowskiej. Z jednej strony świadczy zatem o talencie autora, z drugiej wrażenie pewnej wtórności jest nieodparte.

Marek Misiak

Krystian DARMACH, *Zapisywanie świata. W poszukiwaniu antropografii*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020.

Droga donikąd



W analizie transakcyjnej, czyli psychologicznej koncepcji stosunków międzyludzkich, wyróżnia się cztery rodzaje pozycji życiowych: ja jestem ok – ty jesteś ok, ja jestem ok – ty nie jesteś ok, ja nie jestem ok – ty jesteś ok i ja nie jestem ok – ty nie jesteś ok. Postawy te opisują świat relacji osobowych dzięki perspektywie, z której jednostka patrzy na siebie oraz innych. Nietrudno się domyślić, że najkorzystniejsza dla dobrostanu poszczególnych podmiotów, jak i całej społeczności, jest pierwsza z nich, tu bowiem każdy jest wygrywającym. Każda kolejna niesie ze sobą negatywne konsekwencje, stawiając uczestników gry życiowej na z góry przegranych pozycjach.

Jak bardzo szkodliwe jest codzienne działanie oparte na nieadaptacyjnych schematach, przekonać się można, podpatrując zachowania różnych grup społecznych. Spojrzeniem na środowisko akademickie postanowił uraczyć nas Jan Nowicki. W książce *Stracone pokolenia, czyli co robią studenci za Twoje pieniądze* autor dokonał przeglądu destrukcyjnych zachowań ujawniających się w relacji między studentami a wykładowcami. Odmalowany przez niego obraz rodzimej edukacji przypomina pole walki, na którym dwa ścierające się ze sobą obozy, studentów i wykładowców, okopały się na swoich pozycjach i zamierzają bronić ich za wszelką cenę.

Przyjęta w książce konwencja przypomina formułę spowiedź skruszonego grzesznika, który choć wiele złych uczynków popełnił, na końcu żałuje za wszystko. Katalog przewin neofity jest, trzeba przyznać, imponujący. Na liście niecnosci pochodzących z czasów studenckich znalazło się ściąganie, mataczenie, imprezowanie czy unikanie chodzenia na zajęcia. Któż jednak ośmieli się rzucić kamieniem, skoro sam niewinny z pewnością nie jest? Wykładowcom zarzucono nie tylko brak zaangażowania i motywacji do uczenia, ale też interesowność przejawiającą się w przyjmowaniu różnego rodzaju prezentów w zamian za wpis w indeksie. Autor, wychodząc od własnego doświadczenia, stawia ogólną diagnozę dotyczącą całego systemu szkolnictwa wyższego w Polsce. Według Nowickiego istniejąca obecnie na rodzimych uczelniach sytuacja jest bardzo zła. Stały się one w większości, jego zdaniem, miejscem do zarabiania pieniędzy, a nie miejscem kształcenia fachowców. Taka droga prowadzi jednak donikąd. W ten sposób bowiem tworzy się jednostki, które na arenie międzynarodowej nie mają szansy realnie zaistnieć, co dobrze widać, twierdzi autor, jeśli przyjrzy się osiągnięciom naukowym i pozycjom rankingowym zajmowanym przez polskie uczelnie.

Epatowanie opisem dysfunkcyjnych zachowań to znana metoda, wykorzystywana przez wielu zazwyczaj w celu przyciągnięcia uwagi odbiorców. Chciałoby się wierzyć, że w przypadku książki Nowickiego, której tytuł wpisuje się w określoną konwencję, zabieg ten służy wyłącznie rzuceniu światła na problem, a nie na osobę autora. Jego osobiste przeżycia użyte zostały, jak się można domyśleć, do napiętnowania nieprawidłowości. Jeśli będziemy czytać tę książkę tylko przez pryzmat szczytnego celu, jakim jest odsłonięcie prawdy o przyzwoleniu na funkcjonujące niechlujstwo intelektualne, konformizm i bylejakość, usłyszymy kolejny głos w dyskusji dotyczącej jakości kształcenia w naszym kraju. Któż wówczas nie przyłączy się do apelu autora nawołującego do zmiany statusu studiów z egalitarnego na elitarny? Jeśli to ma być jedyny sposób na podniesienie jakości kształcenia i wyeliminowanie z naukowego grona przypadkowych jednostek, które na studiach znalazły się z powodów niezupełnie merytorycznych.

Książkę Nowickiego potraktować warto jako rodzaj zaczepki skierowanej do wszystkich, którzy mają wpływ na kształt rzeczywistości akademickiej. Można ją zignorować albo wykorzystać do rozpoczęcia rozmowy na temat potrzeby zmian w polskim szkolnictwie wyższym.

Aneta Zawadzka

Jan NOWICKI, *Stracone pokolenia, czyli co robią studenci za Twoje pieniądze*, Wydawnictwo Nowae Res, Gdynia 2020.

Niewiadomski remastered



Tytułowe *Osiemdziesiąt* to po prostu osiem dekad literatury, jakie upływały pomiędzy początkiem, a końcem okresu szczególnie interesującego autora, czyli z grubsza biorąc latami trzydziestymi XX wieku oraz pierwszą dekadą wieku XXI. Niewiadomski nie stara się na siłę budować paraleli, tym bardziej że na książkę składają się teksty już publikowane i trochę po latach przeredagowane, uzupełnione, dopowiedziane. Badacz we wstępie wyjaśnia (czytelnikom ocenić, na ile wiarygodnie), że książka nie jest typową „zbiórką” prezentującą dotychczasowy dorobek, lecz kompozycją konkretnych szkiców mającą na celu zobrazować zainteresowania literaturoznawcze oraz pokazać podobieństwa i różnice wybranych aspektów dwudziestolecia międzywojennego i literatury najnowszej. Oba tytułowe „przełomy” to okresy, na które istotny wpływ miały wydarzenia polityczne i historyczne; żeby zarysować sytuację, wystarczy podać daty: 1918, 1939, 1945 i 1989.

Niewiadomski może spoglądać na literaturę z dwóch odmiennych punktów. Po pierwsze z zewnątrz, jako jej badacz i historyk literatury. Po wtóre, i może przede wszystkim, od środka, jako krytyk literacki i poeta, aktywny uczestnik literackich procesów ostatnich trzech dekad. Tematyka zebranych w tomie szkiców jest niezwykle różnorodna i przekrojowa, część pierwsza, od Józefa Czechowicza, przez analizę *Trzech zim* Czesława Miłosza, po Jerzego Zagórskiego i jego poetycką wyobraźnię. Bardzo ciekawym podsumowaniem jest artykuł o katastrofizmie; Niewiadomski stara się doprecyzować owo pojęcie, ukazać jego poetyckie, przedwojenne realizacje i przedstawić, jak był reprezentowany (lub nie) w twórczości poetów powojennych. Wysuwa tezę, że „prawdziwy” katastrofizm w literaturze odnajdujemy wyłącznie w poezji przedwojennej, wszystko, co powstało później, to jedynie mniej lub bardziej odległe nawiązania do poprzedników. Katastrofizm po 1945 przybiera w poezji raczej znamiona upadku niż werystycznej katastrofy, nowi katastrofiści nie są już tak autentyczni, bazują na doświadczeniach literackich antenatów.

Bohaterami części drugiej są m.in. Marcin Świetlicki, Jan Polkowski, Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki. Lubelski badacz analizuje ich utwory, wzbogaca o nowe spostrzeżenia, przypomina dyskusje rozpalające krytykę literacką w latach dziewięćdziesiątych. Podział na klasycystów i barbarzyńców dokonany przez Karola Maliszewskiego, słynny artykuł *Zanik centrali* Janusza Sławińskiego opisujący pewne „rozdrobnienie” życia literackiego czy krytycznoliterackie próby publicystów postulujących istnienie jednolitego pokolenia spośród poetów publikujących po roku 1989, co chyba do dzisiaj się nie udało.

Niezwykle istotnym zagadnieniem pozostaje problem periodyzacji literatury najnowszej. Jest to zresztą tematyka, która chyba najśliszniej powraca przy okazji okrągłych dat, gdy wielu literatów ulega pokusie zamknięcia literatury w określonych ramach historycznych. Niewiadomski odżegnuje się od stworzonej kilka dekad temu paraleli między polską przedwojenną i po 1989 roku, oczywiście podobieństw można się doszukiwać w sytuacji historyczno-politycznej, ale chyba na tym punkty zbieżne się kończą, bo krajozraz literacki jest zgoła odmienny. Zadaje też pytanie, czy rzeczywiście rok 1989 stał się jakkolwiek cezurą. Bez wątpliwości doszło do zmiany gospodarczej, co odbiło się na rynku wydawniczym, ale „szatkowanie” historii literatury skleconymi naprędce okresami wynikającymi li tylko z przemian historycznych, nie zawsze wychodzi jej na dobre.

Odbieram tę książkę jak płytę po remasteringu wzbogaconą o niepublikowaną piosenkę. Znajome, przyjazne dźwięki słyszane po raz kolejny, szybka powtórka z historii literatury i przypomnienie lat, gdy o Marcinie Świetlickim mówiło się „młody autor”.

Jacek Hnidiuk

Andrzej NIEWIADOMSKI, *Osiemdziesiąt. Studium o poezji „przełomów”*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2020.

Bez ozdobnych zawilosci



Piotr Choynowski, urodzony w 1885 w Warszawie, wcześniej osierocony przez ojca, dzieciństwo spędził u wuja na Uralu i w Samarze. Zanim zadebiutował literacko w konkursie „Tygodnika Ilustrowanego” opowiadaniem *Barowska* (1910), zdążył ukończyć studia chemiczne w Warszawie i rozpocząć studiowanie historii i filozofii w Zurychu, gdzie ze względu na chorobę płuc przebywał w latach 1910-1912. Wydał m.in. nowele: *Kij w mrowisko* (1922), *O pięciu panach Sulerzyckich* (1928), *Opowiadania szlacheckie* (1936). Pisał też powieści. Naj-

popularniejszą z nich stała się *Kuźnia* (1919), poświęcona gorączce przedpowstańczej 1863 roku, poprzedzona zaś kwereńdą pamiętników i dokumentów tego czasu. Inna powieść, *Dom w śródmieściu* (1924), opowiada o losach zdeklasowanej szlachty na tle wydarzeń lat 1918-1920, natomiast w powieści *W młodych oczach* (1933) zobrażowana zostaje kondycja patriotyczna i moralna społeczeństwa Królestwa Polskiego przed rokiem 1905, z jasnym, rozstrzygającym ostatecznie przesłaniem o sensie i konieczności poprzedniego zrywu 1863 roku.

Sławę – choć krótką ze względu na przedwczesną śmierć – przyniosły jednak Choynowskiemu felietony. Publikował je w „Tygodniku Ilustrowanym” w latach 1925-1929. Felietony Choynowskiego z lat 1928-29, w liczbie 64, wydano w roku 1930 jako *Rzeczy drobne i zabawne*. Pisał Choynowski o społeczeństwie polskim, jego życiu codziennym, zwyczajach towarzyskich, o Warszawie, rzeczach śmiesznych, ale i niepokojących tendencjach. Siegał do czasów rozbiorów, przedstawiając różnice mentalności Polaków poszczególnych ziem. W felietonie *Patriotyzm dzielnicowy* utyskiwał na zjawisko polskiej megalomanii budowanej na barkach zaborców. Choynowski wieszczy, że niełatwo będzie odtwarzać, a niejednokrotnie budować na nowo narodową więź. Do wnikliwej zmysłu obserwacji i troski o społeczeństwo – cech Choynowskiego i jego felietonów – dodać trzeba epicką niewzruszoność, daleką od krytycyzmu. Bardziej zakorzeniony w pozytywizmie niż naturalizm, starał się przedstawiać harmonijną wizję świata. Był tradycjonalistą, a w stosowanej najchętniej formie gawędy odnajdziemy pogodny humor starego świata szlacheckiego, z zaskakującym przeszczipaniem go w środowisko wielkomięskie.

Chciał się wzorować na Prusie, poświęca mu zresztą felieton *Wspomnienie o Prusie*, będący relacją z dwóch spotkań z pisarzem. Pierwsze nastąpiło w Nałęczowie, kiedy będąc dzieckiem, spacerował z babką w parku, a ta w pewnej chwili przystanąła i wskazała mu pana Prusa, mówiąc nabożnie, że to „nie tylko wielki człowiek, ale i zacyjny człowiek”. Drugie przypadkowe spotkanie nastąpiło w warszawskim tramwaju, kiedy Prus, już leciwy, miał trudność z wydostaniem się z wagonu. „Poznałem go od razu i ucieszyłem się strasznie. Powiem bez przesady, iż w myśli całowałem jego spracowaną od pióra dłoń. A przecież nie pomogłem mu wysiąść, choć szło mu to z trudnością! Powstrzymała mnie głupia młodzieńcza nieśmiałość, nieśmiałość wobec wielkości. (...) Nigdy w życiu sobie tego nie daruję!”

To uwielbienie dla Prusa trwało latami, choć miało i komiczny wymiar: w czasach rewolucji 1905 r. z trybuny wiecowej usiłował zwalczać Prusem Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy. Przykład Choynowskiego może też pokazać, że i Prus pisał „ku pokrzepieniu serc”. Świadczy o tym wyznanie: „za to od długich już lat, gdy przychodzi na mnie ciężkie chwile, gdy ogarnia duszę wstręt niemożny do życia, biorę z półki *Lalkę* i czytam którykolwiek z rozdziałów Rzeckiego. Szukam pociechy i znajduję ją. Prus godzi mnie ze światem”.

Prof. Monika Gabryś-Sławińska nazwała Choynowskiego mistrzem mowy polskiej. Słusznie. O swym pisaniu mawiał wszak: „Zmierzam w pisaniu do prostoty języka. To jest właściwa doskonałość językowa. Żadnych łamańców! Nieprędko doszedłem do prostoty. Szukałem jej, przedzierając się najpierw przez ozdobne zawilosci”.

Bogdan Bernat

Piotr CHOYNOWSKI, *Rzeczy drobne i zabawne*, red. nauk. Monika Gabryś-Sławińska, Aleksander Wójtowicz, oprac. Agnieszka Stańczak, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2019.

Problemy z obcością



Co znaczy być na obczyźnie? Na to pytanie odpowiada zbiorowy tom *Z ojczyzny do obczyzny. Doświadczenia uchodźstwa polskiego*. Interdyscyplinarne (socjologiczne, kulturoznawcze, etnograficzne, literaturoznawcze, historyczne) badania doświadczeń uchodźczych trwają. Ich sprawą zasadniczą pozostają kwestie tożsamościowe. Zajmuje się nimi Urszula Lehr, określając mentalną kondycję jednostki wobec chaosu egzystencjalnego na przykładzie uchodźstwa niepodległościowego w Wielkiej Brytanii. Pokazuje

„balansowanie pomiędzy *self image* (statusem przedmiotowym, tożsamością nadaną z racji urodzenia) a *self concept* (statusem podmiotowym, tożsamością wybraną)”. Zmaganie się obu statusów stanowi zasadniczą ośnowę tej książki. Joanna Janiszewska, wnikając w polską społeczność w Szkocji po 1945 roku, dowodzi, że doświadczenia migracyjne wywołują bez względu na czas i miejsce „szok kulturowy”. Potrzeba oswojenia obcej „przestrzeni” jest konieczna, żeby żyć.

Geografia opisywanych w książce zjawisk jest rozległa. Paulina Cichoń, mając na uwadze *Obrazy z życia na Wschodzie* Anny Neumanowej, omawia afrykańskie wątki polskiej emigracji i jej twórczość. Historię i świadectwa uchodźczego dzieciństwa w Indiach w latach 1942-1946 poznajemy w opracowaniu Tomasza Kalniuka. O doświadczeniach uchodźstwa i emigracji w polskiej literaturze dla dzieci i młodzieży na obczyźnie pisze Marcin Lutomiński; odkrywa on zapomnianą twórczość emigrantów adresowaną do młodych czytelników. Rafał Moczkołan powraca do dyskusji na łamach „Kontynentów” pod hasłem: *Czy dzieci polskie wynaradawiają się?*, a tym samym wpisuje się we współczesne problemy tożsamościowo-wychowawcze Europy.

Rafał Beszterda przenosi nas do Norwegii. Dzieli się obserwacjami i danymi statystycznymi, wskazującymi na inną niż polska specyfikę „modelu życia” stworzonego przez państwo norweskie. Uwagi ks. prof. Janusza St. Pasierba do relacji polskich duchownych z pracy duszpasterskiej w Ameryce pozwoliły Agnieszce Laddach przybliżyć słabo rozpoznane realia pracy duszpasterskiej polskich księży z dala od Kraju.

Świetłana Czerwonną pisze o Polakach w Moskwie XX wieku – uświadamia, jak mało wiemy o ich losach dramatycznie uwikłanych w historię Rosji. Duchowy wymiar polskości repatriantów z Kazachstanu penetruje Joanna Książek. Według niej tożsamość okazuje się wartością funkcjonalną. Na przykładzie kazachstańskich Polaków widać, że „Pierwszoplanową” cechą wspólnoty, do której aspirują, stanowi więc język polski, nie zaś wyznanie, ponieważ to język, a nie wyznanie jest elementem, z powodu którego się ją kwestionuje”.

Regionalny wymiar uchodźstwa pojawia się w artykule Marty Frączkiewicz; przygląda się ona migracjom ludności przybyłej na Warmię i Mazury pod koniec II wojny światowej i tuż po niej. Ich rezultatem były komplikacje z pamięcią i postpamięcią. Artura Trąpszyca zastanawia dziwny świat ojczyzny utraconej i odzyskanej w świetle życia i twórczości Czesława Niemena.

W książce cofamy się też do XIX wieku. Krzysztof Marchlewicz ujawnia zrab spraw, które wprowadzają w dzieje wyborów moralnych powstańców listopadowych po 1831 r. W artykule *Z ojczyzny do obczyzny i z powrotem* przypomina Andrzej Rataj epizod emigracyjny z udziałem m.in. Henryka Stenkiewicza, Karola Chłapowskiego, Heleny Modrzejewskiej.

W zbiorze są też podjęte zagadnienia kontekstowe, jak np. działalność Karola Estreichera (1906–1984) w czasie II wojny światowej jako rewidora zagrabionych przez Niemców dzieł sztuki.

Historyczne i nowe napięcia pomiędzy „ojczyzną” i „obczyzną” są bogatsze i bardziej złożone niż to się nam wydaje.

Zbigniew Chojnowski

Anna Jawor

Z ojczyzny do obczyzny. Doświadczenia uchodźstwa polskiego, pod red. Rafała KLESTY-NAWROCKIEGO, Marcina LUTOMIŃSKIEGO i Artura TRĄPSZYCA, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Oddział w Toruniu, Toruń 2019.

Druga strona świata



W czasie pandemii koronawirusa, kiedy wiele aktywności, w tym zajęcia uniwersyteckie, odbywają się online, pojawiają się też wiele pytań. Dotyczą one choćby tego, na ile nowe technologie są błogosławieństwem, bo dzięki nim w ogóle możemy komunikować się i pracować, na ile zaś przekleństwem, bo np. jeszcze bardziej zaciera się granica między pracą a życiem prywatnym. Tego rodzaju wątpliwości towarzyszą też od lat zagadnieniu sztucznej inteligencji. Omawiana książka w pigułce przybliża ten fenomen. Czy przypadkiem nie stanie się tak, że stworzymy byty inteligentniejsze od nas samych i w końcu

wymkną się nam one spod kontroli? Oto największy dylemat. Ale książka Margaret Boden, choć zwięzła, znacznie wykracza poza te obawy.

Poznajemy więc historię sztucznej inteligencji, a nawet jej przewidywania snute już w pierwszej połowie XIX wieku, początki, za które uznaje się prace Alana Turinga sto lat później, oraz podziały w środowisku badaczy tego zjawiska z lat sześćdziesiątych. Sztuczna inteligencja nie jest bowiem niczym jednolitym ani łatwo definiowalnym. Jak pisze autorka, AI (ang. artificial intelligence) „usiłuje sprawić, by komputery wykonywały te same czynności, które wykonują umysły” i ma ona dwa zasadnicze cele. Pierwszy to sprawienie, by komputery robiły pożyteczne rzeczy. Drugi polega na wykorzystaniu pojęć i modeli sztucznej inteligencji, by pomogły one odpowiedzieć na pytania dotyczące ludzi i innych istot żywych.

W książce znajdziemy wiele przykładów prób realizowania obydwu tych celów. Jeśli chodzi o pożytek z komputerów, już dziś ich zastosowanie jest wszechobecne. Systemy nawigacji satelitarnej czy wyszukiwarka Google, gry wideo i Hollywoodzkie animacje, roboty wysyłane na Księżyc i Marsa oraz satelity krążące w kosmosie – wszystko to opiera się na technikach sztucznej inteligencji. Ale mamy też o wiele bardziej spektakularne i kontrowersyjne zastosowanie AI. Np. pluszowa foczka Paro, czyli robot, który porusza się, słucha, widzi i może być wykorzystywany przy leczeniu depresji albo choroby Alzheimera, kiedy np. podpowiada, o której przyjąć jaki lek. Paro potrafi zrelaksować człowieka, a nawet przywołać jego wspomnienia. Reaguje, wchodzi w interakcje, może być zwykłym towarzyszem. Takich „niezawodnych przyjaciół” (pomoce w pracach domowych, czynnościach seksualnych, organizowaniu dnia) jest mnóstwo, głównie w Japonii. Być może to przyszłość? Ale towarzysze-roboty, choćby nie wiadomo jak inteligentne, ciepłe i sympatyczne, nigdy nie zastąpią drugiego człowieka.

Jak słusznie pisze Boden, nawet jeśli osoba jest dzięki tej technologii szczęśliwsza, jej „ludzka godność zostaje przy okazji w pozornie nieszkodliwy sposób zdradzona”. „Często, nawet w trudnych emocjonalnie sytuacjach poradnictwa, osoba pragnie przede wszystkim *uznania* swojej odwagi i/lub cierpienia. Ale to wynika ze wspólnego zrozumienia ludzkiej kondycji. Oszukujemy jednostkę, oferując jedynie powierzchowną symulację współczucia”. To oczywiście nie znaczy, że należy zrezygnować z takich pomocy w terapii i w życiu. Warto mieć jednak świadomość, że sztuczna inteligencja, choćby doskonała, pozostanie sztuczna.

Bardzo ciekawe są fragmenty dotyczące emocji, szczególnie istotnych np. u nianiek-robotów. Systemy AI już mogą rozpoznawać emocje na podstawie chociażby oddechu człowieka albo jego reakcji skórno-galwanicznych, intonacji, szybkości mówienia czy doboru słów. Robią wrażenie także dane dotyczące widzenia komputerowego, np. te o skuteczności rozpoznawania twarzy. Albo że system może zaalarmować, gdy ktoś zachowuje się podejrzanie (np. co chwila podchodzi do czyjegoś samochodu). Albo że identyfikuje komórki nowotworowe trafniej niż patologowie.

Margaret A. BODEN, **Sztuczna inteligencja. Jej natura i przyszłość**, tłum. Tomasz Siczkowski, red. nauk. Piotr Fulmański, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020, seria: Krótkie Wprowadzenie.



fot. Sławomir Makal

Leszek Szaruga

K2-18b i inne podobne

124 lata świetlne od nas – co oznacza 42 573 600 000 000 km (raptem 42,5 biliona) – wokół pewnego czerwonego karła krąży planeta prawdopodobnie posiadająca wodę i jest to zapewne najbliższy nam obiekt ziemopodobny, ale i tak nienadający się do życia człowieka w takiej postaci, w jakiej na razie egzystuje, gdyż grawitacja by go unieruchomiła, zaś radiacja gwiazdna pozbawiła żywota. Ale przecież nie jest nigdzie powiedziane, że ewolucja człowieka osiągnęła ostateczny etap. Nie brakuje wszak posthumanistycznych koncepcji prorokujących przeniesienie i przedłużenie człowieczeństwa w formy „wyższe”. No bo niby dlaczego nie? Przecie ani nasi przodkowie z rodu człowiekowatych nie mogliby sobie przedstawić – jeśli takie zdolności przedstawiania czegoś sobie posiadali – obrazu homo erectus, nie mówiąc już o homo sapiens sapiens, ani nawet nasi historyczni poprzednicy z powiedzmy XV stulecia nie potrafiliby sobie wyobrazić nas współczesnych wyposażonych w dodatkowy organ, jakim jest telefon komórkowy, czego zresztą nawet Stanisław Lem w swej bogatej zmysłności nie wykreował. Pytaniem otwartym pozostaje tu jednak definicja owego człowieczeństwa, co o tyle jest trudne, że nie mamy w tej kwestii jednomyślności nawet na poziomie zarodków.

Czy maszyny są przedłużeniem naszych ciał? Czy „sztuczna inteligencja” jest protezą naszych umysłów? Czy po przeszczepie mózgu jest on własnością ciała, czy ciało jest jego własnością, a jeśli tak, to może należy mówić o przeszczepieniu ciała mózgowi? Lecz w takim razie kogo jako siebie rozpoznaje ta hybrydowa postać, gdy patrzy w lustro? Czy „dzieci z próbowki” albo z in vitro – jak zwał, tak zwał – są prawomocnie „ludzkie”, czy może „sztuczne”? Oto seria pytań – a może być ona, ta seria, bardzo długa – która będzie narastać. Co do „zasiedlenia” przez ludzi mniej lub bardziej odległych ciał niebieskich można postawić takie oto pytanie: czy przetransportowanie do K2-18b „istoty” stworzonej przez człowieka i wyposażonej w człeko pochodną „sztuczna inteligencję”, z pamięcią dzieł ludzkiej kreatywności, także artystycznej, i zdolną do twórczości tam – z miejscowych surowców – własnej „cywilizacji”, będzie osadzeniem tam jakiejś formy człowieczeństwa? Jakiej? Czy będzie ta forma zdolna do uczuć, zaś jeśli tak, to czy możliwe są w jej przypadku uczucia metafizyczne?

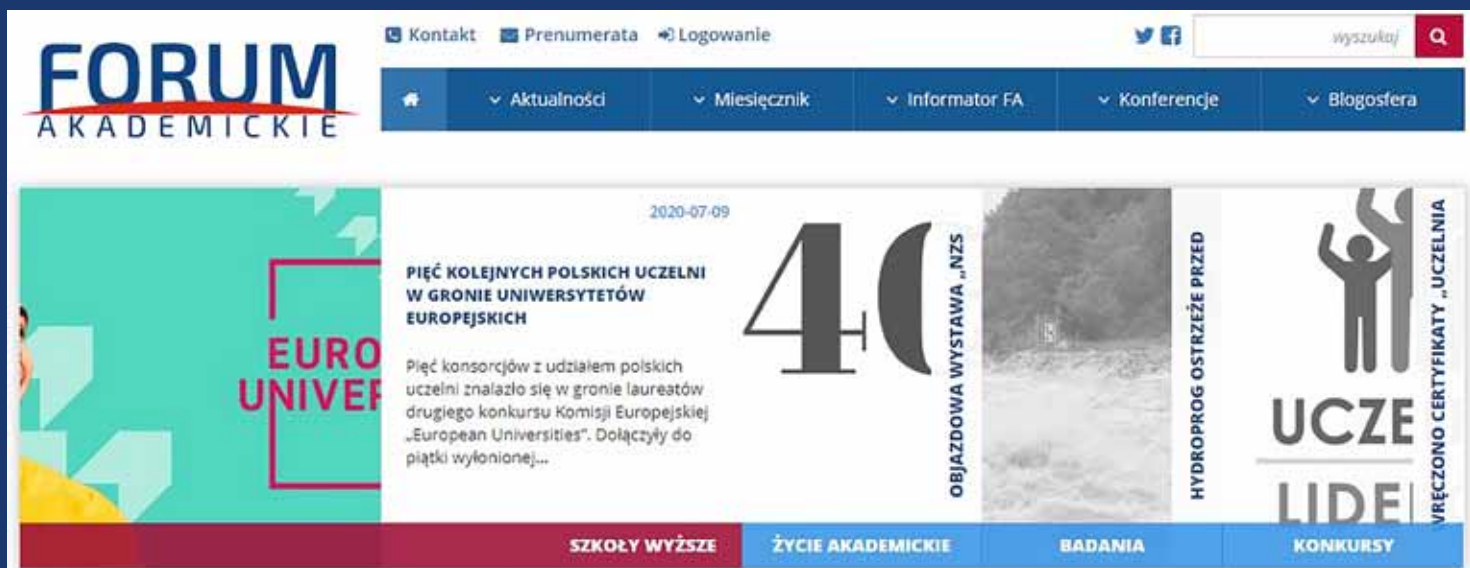
Zapewne wobec ogromu wciąż nierozwiązanych problemów można podobne roztrząsania uznać za pozbawione większego znaczenia. Rzecz w tym, że ludzie zadają sobie pytania podobnej natury już od dawien dawna, a w każdym razie od chwili,

gdy uświadomili sobie, że kosmos jest obszarem, który można przemierzać i być może – dziś już z pewnością – eksploatować, a zatem i myślenie o podróżach w tej przestrzeni, od pierwszych baśniowo-fantastycznych po najnowsze literackie i filmowe opowieści, weszło na stałe do repertuaru ludzkiej cywilizacji, z zatem pojawiły się zarówno badawcze, jak militarne koncepcje kosmicznych poczynań i wciąż zdają się, po chwilowych zapaściach, odżywać na nowo. W końcu nie tylko dla zabawy – choć zakładam, że bawili się przy tym setnie – nasi studenci zaprojektowali marsjańskie osiedle, rozważając przy tym, czy powinno być ono wyposażone także w więzienie.

Ale oczywiście podróż na Marsa to w skali kosmicznej tyle, co przejście z jednego pokoju do drugiego w tym samym mieszkaniu. Do K2-18b, nie mówiąc już o dalszych regionach wszechświata, jest jednak trochę dalej i przy dzisiejszym rozwoju techniki to wycieczka kilkupokoleniowa. Cóż, nie o takich wyprawach można przeczytać w literaturze. Ale nie tylko w literaturze, wszak i naukowcom się zdarzają zupełnie serio traktowane rozprawy z dziedziny, która nosi piękną nazwę kosmoteologii, która zdaje się milcząco zakładać, że człowiekowi może się zdarzyć spotkanie z inteligentnymi istotami kosmicznymi, którym kwestie teologiczne obce nie będą. Spotkanie takie zdaje się jednak raczej mało prawdopodobne w wersji bezpośredniej. Może się wszak wydarzyć, że w miarę „zasiedlenia” różnych odległych planet przez nasze „istoty” wyposażone w sztuczną inteligencję, natkną się na nie, w odległej przyszłości i w odległych zakamarkach kosmosu – być może wówczas, gdy Ziemia będzie już tylko wspomnieniem w historii wszechświata – jacyś rzeczywisti kosmici. Czy to będzie oznaczać, że spotkali tam naszych „potomków”? W pewnej mierze tak właśnie być może, choć po nas, podobnie jak po Etruskach czy Jaćwingach, nie mówiąc już o neandertalczykach, nic poza owymi „istotami” nie pozostanie.

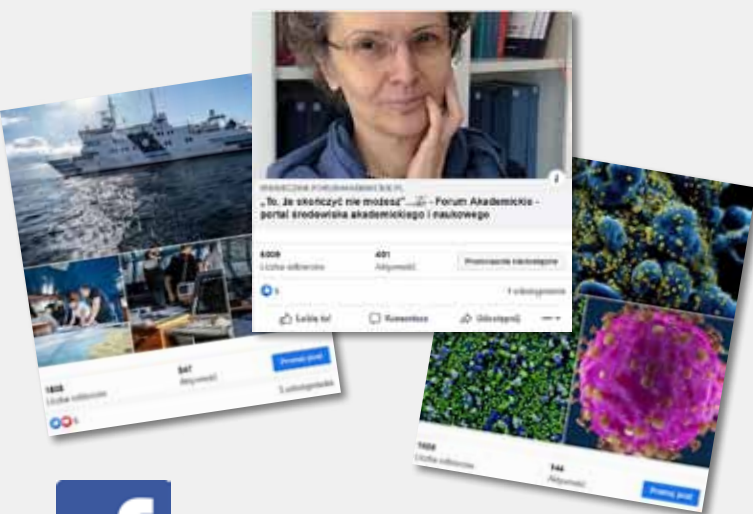
I to w zasadzie wszystko, co w pandemicznych okolicznościach przełomu wiosenno-letniego AD 2020 spisałem, by przezwyciężyć wszystkie uciążliwości związane z poszukiwaniem skutecznych form zdalnego nauczania, skryty jako przedstawiciel grupy wysokiego ryzyka (65+ z chorobami przewlekłymi) przed zbyt wieloma bezpośrednimi kontaktami z osobnikami tego samego gatunku zaatakowanymi przez podstępne go koronawirusa, życząc wszystkim czytelnikom, by w czasie gdy będą to czytać, problemy z tymi niebezpieczeństwami zostały zażegnane.

Jesteśmy też w Internecie



www.forumakademickie.pl

Jesienią nowa odsłona portalu



@ForumAkademickie

Prawie 2000 polubień i 2200 obserwujących
Najpopularniejsze posty z zasięgiem 5-10 tys. odbiorców



@ForumAkad

Już ponad 900 tweetów
Prawie 1000 obserwujących

Filozoficzne jubileusze Bocheński, Ingarden

Str. 44-55

